

*Marta Radomska kreuje
postaci pełne przewrotnego
humoru, zadziorne, nieco
szalone i bardzo, bardzo
ludzkie. Polecam!*

Agnieszka Lingas-Łoniewska

MARTA R A D O M S K A

Sprintem

DO MARZEŃ

Sprintem
DO MARZEŃ
MARTA RADOMSKA



Copyright © by Marta Radomska, 2018

Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie Sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadząca: Adriana Biernacka

Redakcja: Hanna Trubicka

Korekta: Magdalena Owczarzak

Projekt okładki: Anna Damasiewicz

Fotografia na okładce: Bogdan Sonjachnyj | Depositphotos

Konwersja: Grzegorz Kalisiak

ISBN 978-83-7976-856-1

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Dla Anki, Agnieszki, Moniki

Biegła.

Miarowy, równy krok doskonale zgrała z oddechem i teraz pędziła przed siebie, ciesząc się każdym przebytym kilometrem, z którym wieczorny wiatr muskał jej twarz ciepłym powiewem. Niecierpliwym gestem poprawiła wysmykujące się spod sportowej czapeczki kosmyki włosów i zerknęła zadowolona na pulsometr.

Była taka piękna, bogini szybkości i wytrzymałości, tak silna i niezależna, jakby ogromny wysiłek dodawał jej sił, zamiast ujmować. Nic nie mogło powstrzymać jej pędu ku celowi, który raz obrała.

Tylko... Tylko że to nie on był celem. Każdego dnia próbował nie poddawać się tej dręczącej myśli. Myśli, która odbierała mu nadzieję, że kiedyś przybiegnie do niego. Piękna, roześmiana, z rozwianym włosom, gotowa oddać całą swoją niezależność i ciągnęła potrzebę walki o więcej. Stracił już złudzenia.

Nie pozostało mu już nic.

Nic, może poza odebraniem jej innym, na których mogłaby zechcieć zwrócić kiedyś uwagę.

Należało coś zrobić.

* * *

Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle...

Za babą i diabeł nie trafi...

Jak się baba uprze, to diabła przegada i młyn przekrzyczy, świat zrujnuje, byle na swoim postawić...

Ja sama zaś byłam na najlepszej drodze, by wysłać w diabły całą moją ambicję i głupie pomysły, które kazały mi od dwóch godzin krążyć świńskim truchtem wokół sporych rozmiarów parku w towarzystwie wielkiego, groźnie wyglądającego psa i pulsometru, który, szlag by trafił, uparcie pokazywał mi znacznie mniejszą liczbę przebytych kilometrów niż mentalny licznik wmontowany gdzieś w mojej głowie. Jakże to, do cholery, dopiero dwadzieścia pięć kilometrów? Oblatuję ten cholerny park już Bóg wie który raz, powinno być co najmniej sto!

Wydobywające się ze mnie gniewne posapywanie, w które z każdym wylanym litrem potu wkradała się także nuta rozpacz, bynajmniej nie przeszkadzało psu, truchtającemu obok jak gdyby nigdy nic. Z trzydziestokilogramowego amstaffa z sierścią w kolorze ciemnego beżu, zawadiacko przyklapniętym uchem i wywieszonym aktualnie jęzorem promieniowały taka sama pogoda ducha i niezłomna wytrwałość, jakie wykazywał ponad dwie godziny temu, gdy w wiosenny sobotni poranek wyruszyliśmy na trasę z ambitnym planem, by dobrze się wybiegać. Tyle że ja swoją niezłomność i pogodę ducha zdążyłam wypocić do zera w okolicach dziewiętnastego kilometra.

„A przed nami jeszcze przynajmniej dziesięć”, jęknęłam w duchu ze zgrozą, zerkając na pulsometr.

Nie było sensu informować o tym Dragona. Ten był w stanie latać wokół parku w nieskończoność. Znając życie, po powrocie do domu wciągnie miskę chrupek, popije wodą i zaproponuje spacer śpiącemu zapewne jeszcze błogo Łukaszowi. Może nie taki długi i w trochę spokojniejszym tempie, ale pozwalający obwąchać najważniejsze ze strategicznych punktów, które w galopie przy boku pani były zazwyczaj haniebnie pomijane. Szczęśliwie Dragon nie chował urazy o te niedopatżenia, powstałe podczas realizacji planów treningowych. Ostatecznie celem było przebiegnięcie maratonu...

Cel celem, ale droga do niego, jak to zwykle bywa, prowadziła wyjątkowo okrężnymi ścieżkami. W dodatku wyboistymi. I pewnie tylko dlatego maltretowałam nieszczęsne zwierzę dzień po dniu coraz dłuższymi dystansami, choć miałam spore wątpliwości, czy ktokolwiek wpuści mnie na trasę maratonu z olbrzymim przedstawicielem rasy w typie TTB.

Chociaż przedstawiciel rasy w typie TTB miał nikłe szanse wystartować razem ze mną, trenował równie zawzięcie, osiągając nieporównywalnie lepsze wyniki. Ot, dla przykładu, po przebiegnięciu trzydziestu kilometrów miał siłę nie tylko rześkim truchtem wbiec po schodach, ale również pociągnąć za sobą ledwo zipiącą i trzymającą się na nogach na bardzo umowne słowo honoru ukochaną pańczę. A potem wyprowadzić na spacer pana. A potem zafundować gimnastykę patrzącemu kpiąco na całe to sportowe szaleństwo i wylegującemu się na fotelu kotu. Dopiero wtedy, wreszcie rzetelnie zmęczony, Dragon wędrował na sofę w salonie i rozprostowywał zmęczone łapy. Ostatecznie kolejnego dnia również trzeba było być w formie i zadbać o kondycję ludzko-kocięgo elementu rodziny...

A przynajmniej o to, żeby pani nie narobiła wstydu i nie padła na trasie tego całego maratonu. Skoro już bowiem na taki głupi pomysł wpadła i zdecydowała się wciągnąć w to szaleństwo psa, niechże konsekwentnie trenuje swoje łapy. Tak konsekwentnie, jak robi to pies.

W kwestii konsekwencji pozostawałam o całe lata świetlne w tyle za Dragonem, jednak co do padnięcia na trasie maratonu byliśmy zgodni. O padnięciu na trasie nie mogło być mowy. Ewentualnie gdzieś później, poza zasięgiem ludzkiego i psiego wzroku. Maraton należało bezwzględnie przebiec.

Minęło pół roku od czasu, gdy własne głupie pomysły i wybujała ambicja pchnęły mnie na trasę okrążanego milion razy parku, jednak wszystkich wścibskich, łaknących pikantnych szczegółów z tego okresu, informuję bez ogródek, że niewiele się w moim życiu zmieniło. Nadal pracowałam jako trenerka personalna w fitness klubie. Nadal jako przychówek posiadałam jedną sztukę piesa-biesa i jedną sztukę kota Behemota. Nadal wiodłam życie ściśle splecione z żywotem najlepszego przyjaciela i współpracownika, Dareczka Nawrockiego. I nadal trwałam przy boku jego młodszego przyrodniego brata, Łukasza.

No, może z tym brakiem zmian troszkę przesadzam. Zmienił się odrobinę charakter moich relacji z Dareczkiem. Od czasu gdy osobiście wyswatałam i ożeniłam go z przyjaciółką z dzieciństwa, spadł mi z głowy obowiązek organizowania życia trzydziestolatkowi, który w sprawach zawodowych błyszczał kompetencją i profesjonalizmem, ale w kwestiach codziennych powalał wszystkich swoją nieporadnością i roztargnieniem. Tym bardziej cieszyłam się, gdy pokochał z wzajemnością zaradną i opiekuńczą, konkretną do bólu, a przede wszystkim nieskończenie cierpliwą Beatkę. I choć moja rola w charakterze życiowej podpory, wsparcia i pogotowia ratunkowego w życiu Dareczka uległa znacznemu ograniczeniu, w domu i sercach rodziny Nawrockich nadal byłam ważną osobą. Teraz, jako narzeczona Łukasza, zupełnie oficjalnie.

Od razu wyjaśniam, że choć od kilku miesięcy nosiłam na palcu pierścioneł zaręczynowy, moja niechęć do zalegalizowanych związków nie do końca zdążyła się ulotnić. Wrodzona i głęboko zakorzeniona po kiepskich doświadczeniach z płcią przeciwną, kazała mi nadal wdzięcznie wyłgiwać się od ustalenia daty ślubu. I choć układało mi się z Łukaszem lepiej, niż śmiałam kiedykolwiek marzyć, wspólne mieszkanie, konto w banku i zwierzyniec w zupełności mi wystarczały. Nie do końca satysfakcjonowały Łukasza, który niezbyt chętnie zgodził się poczekać i wytrwać do momentu, aż uraza do zalegalizowanych związków damsko-męskich mi przejdzie. Pierścioneł zaręczynowy był formą kompromisu, którą oboje byliśmy skłonni zaakceptować. Trochę więcej kłopotów z akceptacją takiego stanu rzeczy miały wprawdzie rodziny, jednak i im udało się pojąć, że decyzji o ślubie nie zamierzamy odkładać na

wieczne nigdy. Koniec końców z nieco późniejszym sfinalizowaniem naszych ślubnych planów pogodziła się nawet pani Eliza, matka Łukasza i moja przyszła teściowa. Taki układ był mi bardzo na rękę. Zwłaszcza że do sfinalizowania miałam także kilka innych kwestii... Na przykład ten cholerny maraton w czerwcu...

Na pomysł przebiegnięcia potwornego dystansu ponad czterdziestu dwóch kilometrów wpadłam, usiłując zmotywować do walki o własne szczęście jedną z podopiecznych z fitness klubu, czterdziestokilkuletnią panią Halinkę, która do tej pory dbała jedynie o szczęście pana małżonka, swoje zaniedbując kompletnie. Troszcząc się o przygasające coraz częściej ognisko domowe, zaniedbała własną kondycję, zdrowie i marzenia, w czym pan małżonek konsekwentnie jej pomagał. Sam maratończyk, żonie wmawiał nieudolność i słabość zarówno fizyczną, jak i psychiczną, opierając się głównie na twierdzeniu, iż, cytuję, „jest babą”. Co nie przeszkodziło mu bynajmniej zostawić ją w końcu dla innej „baby”, jeszcze nie tak życiowo przydepniętej i zrezygnowanej jak pani Halinka. Nic dziwnego, że gdy cięższa o gorzkie rozczarowanie i nabyte kilogramy w ciągu lat dbania jedynie o pana małżonka zjawiała się w klubie, priorytetem stał się nie tyle spadek wagi, co odzyskanie wiary we własne siły i możliwość skopania byłemu już na szczęście mężowi tyłka. A pani Halinka postanowiła zrobić to dosłownie. Jej największym marzeniem stało się przebiec maraton. Przyklasnęłam marzeniu z zapalem. A potem nie pozostało mi nic innego, jak poprosić kolegę z pracy, zapalonego maratończyka, o ułożenie planów treningowych. Dla pani Halinki i dla siebie. Ostatecznie jako trener personalny miałam święty obowiązek wspierać ją w dążeniu do realizacji sportowych marzeń...

W konsekwencji co drugi dzień prałam przed siebie z rozwianym włosom, rozmazanym niechlujnie od potu tuszem do rzęs i mocnym postanowieniem przebiegnięcia upiornego dystansu w wielkim stylu, raz a porządnie, tak, by potem z czystym sumieniem złożyć własnym nogom i płucm uroczystą przysięgę: nigdy więcej maratonów!

Chociaż już może lepiej kolejny maraton, zamiast następnej głupoty, która powstanie w mojej głowie...

Póki co, brakowało mi całkiem sporo do przetruchtania planowanego dystansu, gdyż jeżeli nawet zdołałam pokonać kolkę, nagły spadek energii oraz motywacji na dziewiętnastym kilometrze, w okolicach trzydziestego organizm ogłaszał protest totalny, skutecznie uniemożliwiając przebieranie nogami w ustalonym tempie, i nic nie mogłam na to poradzić. Nie pomagało bieganie z energetyzującą muzyką. Z relaksacyjną, wzmagającą koncentrację też nie. Żadne mantry, szeptane zachęcająco pod adresem dolnych odnóży, żadne rozciąganie przed treningiem ani nawet spożycie kilku kawałków tortu, który na krótszych dystansach był zazwyczaj dobrym paliwem. Skuteczna okazała się jak do tej pory jedynie komenda „biegnij” skierowana do Dragona, jednak skutki uboczne jej wypowiedzenia leczyłam zbyt długo, by pokusić się o wypróbowanie metody drugi raz. Zachęczone mianowicie do biegu zwierzę, konsekwentnie i posłusznie przebrnęło przez koszmarne trzydziesty kilometr, nie zważając na to, że znajdująca się na drugim końcu smyczy istota ludzka ma z tym nieco większy problem. W rezultacie, zbyt zmęczona, by kontrolować własne nogi, otoczenie i poczynania psa, wyłożyłam się jak długa na pierwszym lepszym wystającym z gleby korzeniu i przez krytyczny kilometr zostałam dosłownie przewleczona, gdyż Dragon parł do przodu, dopóki moje wrzaski nie odwołały nieszczęsnej komendy. A może miało to coś wspólnego z faktem, że nawet tak wytrzymałe zwierzę musiało od czasu do czasu zrobić przystanek pod krzaczkiem. Do domu wróciliśmy autem, bo spuchnięta po kolizji z korzeniem stopa zmusiła mnie do wezwania posiłków w postaci Łukasza. Resztę dnia spędziłam oklejona plastrami niczym mumia, równie nieruchawa, bo z nogą owiniętą kompresami z altacetem, klnąc i obiecując sobie już nigdy nie nadużywać polecenia „biegnij”.

Wyglądało na to, że legendarny trzydziesty kilometr, nawet w wersji wyłącznie treningowej, posiada jakąś przeklętą moc, uniemożliwiającą mi sforsowanie tej przeszkody w przebyciu docelowego dystansu. Do pioruna, to już przetrwanie trzydziestych urodzin było o niebo łatwiejsze!

No i proszę! Dziś znów to samo! Płuca rżęą jak moje auto przed odstawieniem do mechanika, oddech staje się chrapliwy i urywany, a nogi nagle osiągają wagę miliarda ton, choć przez ostatnie pół roku dzięki systematycznym galopom straciłam dobre pięć kilo. Motywacja siada, niczym przekłuty cieniutką igielką balonik. Nie pozostaje nic innego, jak resztkami sił spowolnić piesa-biesa i okiełznać wściekłą zawiść, z jaką w krytycznych momentach zezowałam na zasuwaną z równą prędkością i swobodnym oddechem kobitkę, którą często spotykałam na swojej trasie wokół parku. I która, wszystko na to wskazywało, nie miała z trzydziestym kilometrem najmniejszych kłopotów...

Miałam wielką ochotę zacześcić ją któregoś dnia i spróbować podpytać, jaką to nieziemską mocą dysponuje i jak się pod tę moc ewentualnie podpiąć. Pewnie bym to nawet zrobiła, gdyby nie inna nieziemska moc, zwana powszechnie babską zawiścią, nakazująca spoglądać na wszystkie ładniejsze, zgrabniejsze, szybsze i lepiej umalowane przedstawicielki płci żeńskiej spojrzeniem ponurym i nasyconym wrogością. Niechętnie przyznałam sama przed sobą, że prędzej byłabym skłonna pod osłoną peleryny niewidki związać dziewczynie sznurówki, niż podejść, przedstawić się i spytać, gdzie, do ciężkiej cholery, robię błąd. Może miałabym inne podejście, gdyby nie była przy tej całej swojej szybkości tak cholernie ładna. I nigdy nierozmazana. Z naturalnymi (chyba?) blond włosami, rozjaśnionymi słońcem. I biustem w rozmiarze C.

Tak, ten biust zdecydowanie przesądzał sprawę.

Rzuciłam mijającej mnie lekko łani ponure spojrzenie i marnując energię na wymamrotanie kilku niepocholebnych komentarzy pod adresem rzeczonoego biustu, przyhamowałam nieco Dragona. Najwyższy czas na krótką przerwę. Pod pretekstem rozciągnięcia łydki, w której właśnie złapał mnie lekki skurcz, rzecz jasna. I przemyślenia strategii, jak dobrnąć do oddalonego o pięć kilometrów domu, przynajmniej udając, że biegnę. Problem wciągnięcia mojej osoby na górę po schodach pozostawiałam Dragonowi. Potem być może Łukasz zlituje się na tyle, by zorganizować mi relaksującą kąpiel. Albo przynajmniej wrzuci mnie do pralki, włączając program z delikatnym odwirowaniem.

Póki co jednak od relaksującego masażu w pralce dzieliło mnie przeklęte pięć kilometrów — odległość, która w linii prostej oddzielała mieszkanie moje i Łukasza od innego, często odwiedzanego przez nas lokum. Pech chciał, że tym razem nogi zastrajkowały tuż pod oknami mieszkania Dareczka i Beatki. Co gorsza, w jednym z tych okien wisiał właśnie Dareczek, sącząc poranną kawę i wystawiając twarz ku pierwszemu przebłyskom wiosennego słońca. A ponieważ rytuał wiszenia i sączenia w wolne od pracy poranki zakładał również kontemplowanie poczynań jednostek kręcących się pod oknem, nie ulegało wątpliwości, że i moje pozorowane rozciąganie zostanie szybko zauważone. Szczególnie że Dragon, pies z natury towarzyski i przywiązany do wszystkich członków rodziny Nawrockich, właśnie dostrzegł wiszącego w oknie Darka i radosnym szczekaniem obwieścił naszą obecność pod blokiem.

I rzeczywiście.

— O, Aleksandro! — zdziwił się uprzejmie Dareczek, którego uwagę ściągnął na nas mój przeraźliwie towarzyski zwierzak. — Co robisz na tej części osiedla o dziewiątej rano w sobotę?

— Kwiatki zrywam, żeby ładniej wyglądały na stole przy śniadaniu — wymamrotałam gniewnie. — Trenuję do maratonu! Biegam! Nie widać? — wrzasnęłam do Dara.

— No tak też właśnie podejrzewałam. Tyle że póki co bardziej stoisz — zachichotał

Darek. — Ja nie wiem, trenowania stania Marcin ci chyba w rozpisce nie uwzględnił?

— Podobnie jak tego, że pies od czasu do czasu musi pod krzaczek — burknęłam zniecierpliwiona. — Ja się w tym czasie rozciągam.

Na potwierdzenie słów z rozmachem zarzuciłam nogę na oparcie najbliższej ławki. Rozmach okazał się zbyt duży. Nie zdołałam powstrzymać głośnego jęku, gdy tym razem zupełnie autentyczny skurcz chwycił mnie w pośladek.

Tymczasem Darecki obserwował z góry moje poczynania z coraz większym zainteresowaniem.

— Może ty lepiej po tej przerwie technicznej odpuść sobie szaleńcze galopy i przerzuć się na spokojny truchcik — zaproponował z troską w głosie. — Sapiesz jak miech kowalski. Na tej zasadzie nie doleczysz nawet do domu. O, zobacz, tam taka babka biegnie, niezbyt szybko, ale równo, może to jest metoda? Wiesz, żebyś nie dostała zawału jeszcze przed tym maratonem...

Potężne zgrzytnięcie wydobyło mi się spomiędzy zębów, gdy zerknęłam w kierunku stawianej mi za przykład babki. Ku nam równym krokiem zmierzała biuściasta blond łania, która w czasie mojej przerwy technicznej najwyraźniej zdążyła zrobić kolejne okrążenie wokół parku. Pokazując mi ją paluchem i stawiając za przykład doskonałej formy, Darek miał szansę wydatnie przyspieszyć mój ewentualny zawał, niebezpiecznie podnosząc mi ciśnienie.

Nie pozostało mi nic innego, jak zmanifestować jawną pogardę dla haniebnego braku wsparcia ze strony najlepszego przyjaciela. Zagryzłam wargi, zarzuciłam na oparcie ławki drugą nogę i przeczekawszy w tej pozycji, aż Dragon zakończy podlewanie trawnika, ruszyłam ku nowszej części osiedla na tyle rażnym, energicznym krokiem, na ile pozwalał mi nadal obolały od skurczu pośladek. Płuca i serce zachęczone odpoczynkiem zmobilizowały do wysiłku całą resztę. Rozpaczliwie liczyłam, że ten radosny zryw wystarczy, by biegiem dotrzeć do mety zaplanowanego na dziś dystansu. Na to, że potem będę miała jeszcze siły samodzielnie się wykapać, straciłam wszelką nadzieję. Ale w tej chwili liczyła się tak zwana sportowa złość. I jeszcze gorsza złość spowodowana porównywaniem do choleryjnej łani, która na szczęście zniknęła mi z pola widzenia. Niesiona pragnieniem udowodnienia Dareczkowi, kto tu jest lepszy, wystartowałam na najwyższym biegu.

— Olka, wyhamuj! — usłyszałam jeszcze za sobą. — Maratonów nie biega się sprintem! „Wiem, do cholery”, zgrzytnęłam zębami i przyspieszyłam jeszcze bardziej.

Przewidywania Darka sprawdziły się połowicznie. Do domu — owszem, doleciałam. Tyle że doholowana przez Dragona po schodach nie byłam w stanie nawet wyartykułować prośby o wrzucenie do pralki. Przekroczywszy próg mieszkania, osunęłam się bez sił po ścianie i w tej pozycji spędziłam kolejną godzinę, popijając wodę mineralną, którą Łukasz, wychodząc do sklepu po pieczywo, litościwie przyniósł mi do przedpokoju.

— Olka, ty tu umarłaś czy co? — zdziwił się pół godziny później, gdy okazało się, że wejście do mieszkania wymaga przeskoczenia przez moje wyciągnięte na całą długość nogi. — Chryste, przecież ty się dziewczyno wykończysz! I nie mówię o samym maratonie, bo do maratonu są jeszcze trzy miesiące. Jak tak wyglądasz po trzydziestu kilometrach, to boję się myśleć, jak będzie po tych czterdziestu!

— Gorzej — zgodziłam się słabo, czując niejasno, że mi obraz samej siebie również może się wtedy mocno nie podobać.

Nie było siły. Gdzieś popełniałam jakiś okropny, straszliwy błąd. Błąd, który nie dość, że mógł mnie wykończyć jeszcze przed startem, to jeszcze zrujnować marzenie mojej podopiecznej, którą miałam wspierać, a nie angażować w krytycznym momencie trasy w charakterze holu. Należało bezwzględnie ten błąd wykryć. Jak już będę miała, rzecz jasna, siłę...

Kończąc rozważania tym optymistycznym akcentem, z trudem wykrztusiłam z siebie

prośbę o przygotowanie drugiego śniadania i przyniesienie do przedpokoju. Ruszenie tyłka do kuchni póki co przekraczało moje możliwości.

Podobnie jak otwarte przyznanie, że może by należało skonsultować problem z fachowcem...

* * *

Fachowca miałam pod ręką i to na tym samym piętrze. Zazwyczaj nadmiernie bliskie sąsiedztwo kolegi z pracy było odrobinę irytujące, szczególnie że Marcin do jednostek dyskretnych nie należał. Mogłam ze stuprocentową pewnością zakładać, że każda najdrobniejsza błahostka z mojego życia prywatnego wyleje się w najbardziej kłopotliwym momencie w pracy. I to bynajmniej nie dzięki plotkarskim skłonnościom Marcina. Ot, takie tam specyficzne poczucie humoru, które objawiało się pod postacią zabawnych anegdotek o licznej rzeszy znajomych, którymi chętnie ubarwiał pogawędki z klientami i resztą trenerów w naszym klubie, przy okazji wskazując anonimowych, rzecz jasna, bohaterów swych opowiadań paluchem. Tym bardziej było mi nie na rękę, by wtajemniczać go w swoje maratońskie rozterki. Z drugiej jednak strony Marcin, miłośnik biegów długodystansowych, był najbardziej kompetentną osobą, która mogłaby rozwiązać moje wątpliwości i swym zawsze precyzyjnie wymierzonym w cel paluchem wskazać nieszczęsny błąd. Ewentualnie podpowiedzieć, jak ten błąd zlikwidować. Nic dziwnego, że gdy organizm przyswoił kalorie ze śniadania w wystarczającym stopniu, bym mogła podnieść zbolale gnaty z podłogi i zrobić się na człowieka, wciągnęłam rozwleczone portki od dresu, ulubioną domową koszulkę i zmobilizowałam się do wizyty w mieszkaniu obok. „Szczęście całe, że to jedno i to samo piętro”, pomyślałam z ulgą, naciskając guzik dzwonka.

„Niepotrzebnie siliłam się na tę całą elegancję-Francję”, pomyślałam z ironią, bo mój rozwleczony i nieco sprany dres i tak prezentował się nader szykownie w porównaniu z portkami od piżamy, w których pomimo późnej godziny nadal paradował Marcin. Wygnieciony podkoszulek i rozczochrana burza rudych włosów sugerowały, że wstał niedawno. Albo został wywleczony z łóżka przez moją natrętną wizytę.

W żadnym z tych przypadków nie zamierzałam rozczulać się nad nadal niezupełnie przytomnym kolegą. Zdecydowana wykorzystać krótką chwilę, zanim mój organizm przypomni sobie o porannych galopach i zasłabnie na nowo, bezceremonialnie wpakowałam się do mieszkania. Dopiero w przedpokoju nieco zastopowałam.

— Nie przeszkadzam, mam nadzieję — chrząknęłam, rozglądając się w poszukiwaniu śladów obecności jednostki płci przeciwnej. — Jesteś sam?

Marcin ziewnął przeciągle i potoczył dookoła wzrokiem pełnym łagodnej melancholii.

— A widzisz tu kogoś oprócz posępnego samotnika zmuszonego podążać w pojedynkę przez życie?

Och. Zdaje się, że właśnie palnęłam potworną gafę. Tylko skąd mogłam wiedzieć, że znajomość Marcina z poznaną na ostatnim szkoleniu instruktorką nie wyjdzie poza kilka wspólnych przebieżek i weekendowy kurs jogi? No nie, właściwie mogłam. Znałam nie od dziś przedziwną skłonność Marcina do fascynacji kobietami, które absolutnie się dla niego nie nadawały. Choćby taka Agnieszka Pilarska, dietetyczka w naszym klubie. Śliczna, przesympatyczna kobieta, w dodatku prawie na wyciągnięcie ręki. Cóż z tego, skoro od kilku miesięcy wynajmowała moje stare mieszkanie wspólnie z partnerką? Zośka Nowicka, koleżanka ze studiów, szczenięca miłość Marcina, za którą tęsknił przez trzy lata rozłąki, gdy wyjechała do pracy do Szwecji. A potem wróciła do kraju, przywożąc męża i dwójkę dzieci. Ania, jedna z

moich podopiecznych, wiecznie rozdarta między uczuciem do Marcina a miłością do portfela małżonka... Celina, która swojego męża zdecydowała się porzucić tylko po to, by porzucić również Marcina dla instruktora jazdy konnej. Nie miałam pojęcia, jaki życiowy defekt posiadała aktualna niedoszła ukochana, jednak w tym przypadku jego obecność mocno mnie zniesmaczyła. Niemal natychmiast znaleźli wspólny język, łączyło ich sportowe hobby i namiętność do kawy z mleczkiem kokosowym. Co tym razem poszło nie tak?

— Ano, facet. — Marcin wzruszył ramionami, parząc kawę. — Taki już chyba na stałe. Fatum. A może po prostu gdzieś popełniam błąd...

Błąd. Sama przyłazłam tu w nadziei, że ktoś mi łopatologicznie wytłumaczy moje własne błędy.

— Mam propozycję — zaczęłam ostrożnie. — Przehandluję mój błąd za twój. To znaczy wiedzę. Uczciwa propozycja.

Na wieść o moich błędach Marcin wyraźnie się ożywił.

— O, to ty popełniasz jakieś błędy? — Uśmiechnął się pod nosem. — Do tej pory jakoś nie zauważyłem...

— O, czyli rozumiem, że tak tylko dla żartu nabijałeś się z mojej zadyszki w czwartek wieczorem? — burknęłam rozeźlona. — Cholera, jasne, że popełniam błędy. Tylko że nie zawsze je widzę. Potrzebny mi ktoś z lepszym wzrokiem. Albo perspektywą.

Wobec takiego wyznania z moich rzadko kalanych samokrytyką słów Marcin wyraźnie się ożywił. Potrzeba poużalania się nad kolejnym miłosnym falstartem na chwilę odpłynęła w siną dal.

— No, dawaj — rzucił zachęcająco i wysłuchał moich żalów na przekłęty trzydziesty kilometr, który bez ciężkich napadów palpacji serca, bezdechów i skurczy katowanych dolnych kończyn nijak nie dawał się pokonać. Następnie zażądał dokładnych informacji na temat spożywanych przed treningiem posiłków, liczby przesypianych godzin i uzupełnianych w ciągu dnia płynów.

— No zlituj się, jestem zawodowcem — syknęłam zniecierpliwiona, bo dokładnie taką samą procedurę przesłuchań wdrażaliśmy wobec podopiecznych, których postępy następowały w podejrzenie wolnym tempie. Jednak słowo się rzekło. Chciałam porady fachowca, to i na obrażenie wszystkich grzeszków powinnam być gotowa. Niechętnie udzieliłam odpowiedzi na bardziej lub mniej drażliwe pytania.

Marcin mojej spowiedzi wysłuchał cierpliwie, po czym natychmiast znalazł błąd.

— Ty zresz po prostu za dużo tortów — oznajmił bezlitośnie. — Węglowodany proste, paliwo może i dobre, ale na krótko. I tak się dziwię, że dociągasz na tym do trzydziestki.

— Dociągać do trzydziestki to bardzo bym chciała — wymamrotałam. — Dajże spokój, poza skłonnością do tortów, sam dobrze wiesz, że żarciem słodczy nie grzeszę.

— Nie licząc tego słoika z miodem, z którym paradujesz w godzinach pracy. I zapewne po — wytknął mi Marcin. — Cud boski, że Aga jeszcze ci go nie skonfiskowała. Znasz jej ortodoksyjne podejście do zdrowego żywienia.

To był cios poniżej pasa. Rzeczony słoik z miodem stanowił magiczne źródło mocy i pomógł mi przetrwać niejeden kataklizm, łącznie z remontem fitness klubu, który Dareczek pozostawił mi na głowie, wyjeżdżając w podróż poślubną. Domowy miód z pasieki mojej ciotki posiadał cudowne właściwości łagodzące napięcia, nie wspominając o całym mnóstwie wartości odżywczych. Tak, miód był mi niezbędny do zachowania zdrowia fizycznego i względnej chociażby równowagi duchowej. Wara wszystkim od mojego słoika z miodem!

— I na tym miodzie zamierzasz przebiec maraton? — Marcin spojrział na mnie z politowaniem. — Ze słoikiem pod pachą i łyżeczką w zębach?

Dokonałam w głowie szybkiej wizualizacji i niemal natychmiast jęknęłam głucho. Podręczny słoiczek nie wystarczyłby mi nawet do połowy dystansu!

— Chyba zwariowałeś! Musiałabym wlec za sobą ule z połowy pasieki mojej ciotki!

— To może i czas najwyższy w ogóle przemyśleć uzależnienie od węglowodanów prostych — wytknął mi Marcin. — Twój maraton, twój problem. Ale jeżeli nie zamierzasz zmarnować przebiegniętych kilometrów, przemyśl konsultacje z Agą.

Zamilkłam przygnębiona. Bardzo nie podobała mi się wizja tortowej abstynencji, zwłaszcza że kwestię zdrowego odżywiania poza tym drobnym, jak sądziłam, odstępstwem, zdążyłam przez lata pracy w fitness klubie dopracować do perfekcji. Na torciki pozwalałam sobie wprawdzie w ostatnich czasach trochę częściej, rozgrzeszając się coraz luźniejszymi w talii ciuchami. Spożywanie ich traktowałam również w kategoriach swoistej terapii, jaką wielokrotnie zalecało mi grono najbliższych, poirytowanych, rozbawionych lub zwyczajnie zaniepokojonych moją patologiczną skłonnością do perfekcjonizmu.

Co nie zmieniało faktu, że nawet Darek kilkakrotnie zakwestionował torty z kremem rumowym jako skuteczną formę antyperfekcjonistycznej terapii.

— To już raczej mogłabyś raz kiedyś odpuścić szorowanie butów po każdym treningu — poradził. — Albo zostawić nieumyty kubek wieczorem. Zdecydowanie zdrowsze i nie podnosi nadmiernie poziomu cholesterolu.

Pewnie było w tym trochę prawdy, jednak miałam poważne obawy, że pozostawiając choćby jedną łyżeczkę w zlewie, podniosłabym sobie następnego dnia ciśnienie, co było równie szkodliwe, jak cholesterol.

Ponieważ jednak Marcin żadnych innych błędów w moim wykonaniu się nie dopatrywał, wyglądało na to, że nie zdołam uniknąć tortowej abstynencji. Z ciężkim sercem obiecałam skonsultować się z Agnieszką i skupiłam się dla odmiany na popełnianych przez przyjaciela błędach życiowych.

Niestety źródło niepowodzeń sercowych Marcina okazało się wprawdzie łatwe do zdiagnozowania, lecz jednocześnie równie trudne do wyeliminowania, jak moja zgubna namiętność. Trudno było bowiem przekonać tak skończonego romantyka, że najpierw należy teren wy badać, a potem dopiero zakochiwać się śmiertelnie i na zabój. W rezultacie, gdy rozstawaliśmy się kilka minut przed szesnastą, oboje z ciężkim sercem do trapiących nas zgryzot dołożyliśmy uroczystą przysięgę podjęcia pracy nad własnym charakterem i wyeliminowania źródła słabości.

— Tobie to dobrze — westchnął Marcin, odprowadzając mnie do drzwi. — Nikt ci nie każe pchać się do cukierni, możesz je omijać szerokim łukiem. Ja się od dziewczyny tak łatwo nie uwolnię, widuję ją, ciężka cholera, każdego wieczora... I chyba nic nie dam rady z tym zrobić, bo wspominała, że mieszka gdzieś tu niedaleko...

Ze współczuciem poklepałam przyjaciela po plecach i udałam się do mieszkania, owładnięta obsesyjną myślą o sporym kawałku tortu, który został nam po imprezie urodzinowej Łukasza. Od rana cieszyłam się na myśl o zjedzeniu go wieczorem w charakterze nagrody za paskudnie ciężki sobotni trening. Wyglądało na to, że nie pozostało mi nic innego, jak nakarmić nim szacownego jubilata.

Tymczasem szacowny jubilat zdawał się dysponować jakąś nadprzyrodzoną zdolnością telepatii, gdyż tort zdążył zniknąć przed moim powrotem. Właściwie powinienam się tego spodziewać, słysząc już na klatce schodowej dobiegający z naszego mieszkania głos Dareczka.

— No i proszę, jakie ja mam wyczucie — stwierdził zadowolony, gdy wraz z braćmi Nawrockimi i piesem-biesem zainstalowałam się w salonie. Behemot zapewne znów wykorzystał poranne biegi Dragona i czym prędzej zaanektował psie posłanie. — Mówiłem ci o tych tortach

od samego początku. Było słuchać rad przyjaciela.

— Powiedział przyjaciel, który właśnie zżarł mi ostatni kawałek tortu przed postem — westchnęłam.

— Nie marudź, ułatwiam ci podjęcie tej trudnej decyzji...

— To może sam podejmij trudną decyzję i przestań żreć słodkie!

— Aleksandro, zwracam ci uwagę, że żrę w ilościach znacznie mniejszych od ciebie!

Poza tym, ja nie przymierzam się do jakichś maratońskich galopów! Mnie dietetyczne grzeszki aż tak nie zaszkodzą!

Fuknęłam rozeźlona beczelnością przyjaciela.

— Dziękuję ci bardzo za takie ułatwianie! Oczekiwałam trochę innego wsparcia. Ja pani Halince nie wymiatam z lodówki połowy zawartości!

— Toteż ja wymiotłem ci tylko tort!

— Mógłbyś raczej tylek choć czasem ruszyć i iść ze mną pobiegać! Zobaczyć, jak to jest przez całą wieczność przebierać nogami! Psu się chce, Beatka ostatnio dopingowała mnie na rowerze i tylko mój najlepszy podobno przyjaciel wymądrza się w wersji teoretycznej, zamiast wesprzeć w praktyce!

— I niby jak mam cię wesprzeć w tej praktyce? — zasapał gniewnie Daro. — Całe życie cię wspieram, Aleksandro, jak tylko potrafię! Tym razem masz rację, nieco bardziej mentalnie, ale tych wspierających w praktyce — sama widzisz — że płacze się cały tłum! Co ja mam jeszcze...

— Po prostu przebiegnij z nią ten maraton — mrugnął Łukasz, który aż do tej pory przysłuchiwał się naszej wymianie czułości z ledwie powstrzymanym śmiechem. — No co, takiego wspierania nic nie przebije.

Oboje wgapiliśmy się w niego z konsternacją. Czyżby Łukasz mówił poważnie? Z pewnością chętnie zgłosiłby swoją kandydaturę do naszej biegowej ekipy, gdyby nie wypadek samochodowy, który zeszłej jesieni na dość długo zdyskwalifikował go w zakresie forsownego uprawiania sportu. Niecały miesiąc temu skończył rehabilitację i dopiero od niedawna wracał do aktywności fizycznej, póki co trenując na pływalni i z niewielkim obciążeniem na siłowni. Gdyby był w pełni sił, zapewne całą trójką skutecznialibyśmy kilka razy w tygodniu intensywne galopy, robiąc z siebie idiotów w oczach kota Behemota. Jednak by i Daruś był zdolny do takich poświęceń, szczerze wątpiłam. Maksymalnie zaangażowany w pracę, Darek niechętnie poświęcał się dodatkowym formom aktywności fizycznej, maskując wrodzone lenistwo sprytną wymówką, że przetrenowany trener nie jest dobrym przykładem dla podopiecznych.

— Żartujesz — bąknęłam, spoglądając na Łukasza niepewnie, bo niepokojący błysk w oczach ukochanego i błakający się na jego ustach zagadkowy uśmiech nie pozwalały na jednoznaczne rozstrzygnięcie wątpliwości.

Łukasz tymczasem nie zamierzał ułatwiać nam rozszyfrowania swoich intencji. Spoglądał kpiącym wzrokiem to na mnie, to na Dara, czekając na rozwój sytuacji.

Milczeliśmy sobie tak jeszcze przez chwilę, gdy Daro zdecydował się podjąć grę.

— No cóż — chrząknął dla dodania sobie animuszu. — Może i jest to jakiś pomysł. Może Aleksandra wreszcie poczułaby się dostatecznie przeze mnie wspierana. Choć nie rozumiem, dlaczego nie czuje się teraz — sarknęła na wspomnienie takiego lekceważenia.

Gdyby nie to sarknięcie, potraktowałabym sprawę jak dobry żart i zamknęła temat jakąś krótką, niezbyt zjadliwą ripostą. Sarknięcie dźgnęło jednak niczym ostroga urażoną chwilę wcześniej ambicję i poczucie niesprawiedliwości. Jak to, przecież to ja, do ciężkiej cholery, niańczyłam go niemal przez całe życie!

— A i owszem! Poczulałabym się wreszcie wspierana — burknęłam. — O ile zechcesz się

dla mnie przetrenować!

Stało się. Tym razem męska ambicja wierzgnęła pod wpływem gwałtownej krytyki.

— A żebyś wiedziała! — zasapał rozeźlony Dareczek. — Przebiegnę z tobą ten cholerny maraton!

W salonie zapadła cisza, której nawet Dragon nie ośmielił się zakłócić cichym pochrapywaniem. Wyrwany przez awanturujące się jednostki ze snu, zerkał na nas z zainteresowaniem. Przyzwyczajony do zwiększonej ilości decybeli, za każdym razem gdy wpadaliśmy z Darkiem w szalę dyskusji, pies albo opuszczał pokój i szukał spokojniejszego miejsca na drzemkę, albo przyglądał się nam pytającym wzrokiem, usiłując zrozumieć, o co chodzi tym razem. Dzisiejsza awantura zainteresowała go na tyle, że pozostał na sofie, od czasu do czasu rzucając w kierunku Łukasza spojrzenia z prośbą o wyjaśnienie.

Tym razem pan miał jednak do roboty coś innego. Najwyraźniej równie zaskoczony podjęciem przez brata rękawicy, jak ja, usilnie zastanawiał się, czy aby idea wspólnego wypuszczenia nas na trasę nie stanie się przyczyną jakiejś kolejnej straszliwej awantury.

Istniał jeszcze jeden poważny problem.

— To bardzo miło z twojej strony, że zechcesz się tak poświęcić — chrząknął Łukasz. — Tyle że ten maraton jest za trzy miesiące. Trochę mało czasu dla początkującego biegacza...

Jeżeli Dariusz miał jeszcze jakieś wątpliwości co do udziału w potwornej imprezie, właśnie wyzbył się ich ostatecznie.

— Może i początkujący jako biegacz, ale nie jako sportowiec. — Poklepał brata po ramieniu. — Nic się nie martw. Dwa miesiące to kawał czasu! Nie wmawiaj mi, że z moją kondycją nie przebiegnę głupich czterdziestu kilometrów!

Pewność siebie Dara nawet mnie odrobinę zaskoczyła.

— Czterdziestu dwóch — wymamrotałam, gapiąc się na niego z niedowierzaniem. — I trochę... Gratuluję optymizmu.

— Ależ to nie jest kwestia optymizmu, tylko realna ocena własnych możliwości — zachnął się Darek, najwyraźniej już nieco zniecierpliwiony naszą niewiarą.

— A jednak doradzałbym skonfrontować tę ocenę z rzeczywistością — zaczął ostrożnie Łukasz, któremu teraz naprawdę przestało być do śmiechu. — Może jakiś półmaratonik, tak na dobry początek? Przetestujecie sobie swoje możliwości. Przy okazji sprawdzimy, ile jesteście w stanie przebiec, powstrzymując się od szaleńczych sprintów, by zakasować jedno drugie... Wiecie, szkoda by było, żeby was znieśli z trasy z powodu ciężkiej dychawicy...

Spojrzeliliśmy na siebie z Darem. Pomysł nie był głupi. Nie wiem, jak bardzo Darkowi była potrzebna taka konfrontacja wyobrażeń na temat swoich możliwości z rzeczywistością, jednak sama byłam bardziej skłonna zadebiutować w biegu na dystansie już znanym i przetestowanym. Dwadzieścia jeden kilometrów przeleczę i jest duża szansa, że wcale nie w stylu rozpaczliwym.

Nie wiem, jakim torem biegły myśli Dara, jednak wyglądało na to, że i on odetchnął z ulgą. Chyba nawet jego zwykła pewność siebie zaczynała topnieć, w miarę jak do umysłu docierała perspektywa podjęcia szaleńczego wyzwania. Dwadzieścia jeden kilometrów brzmiało o niebo lepiej, niż czterdzieści.

— No. To tak jakby postanowione — bąknął. — Półmaraton. Jakoś za miesiąc.

— Stoi.

Słowo się rzekło. Nie pozostało nam nic innego, jak rozejrzeć się w internecie w poszukiwaniu stosownej imprezy w interesującym nas terminie.

Póki co jednak rozglądaliśmy się po salonie, gapiąc się na siebie z niedowierzaniem. Kolejny raz drobna, wydawałoby się, wymiana zdań, zaprawiona jedną głupią uwagą ze strony

Łukasza, i proszę! Gdybyż to jeszcze trafiło na w miarę normalnych ludzi! Jednak każdy, kto choć odrobinę znał mnie i Dara, mógł w ciemno obstawiać, że dając się namówić na jedno wariactwo, przy okazji zupełnie niechcący popełnimy milion kolejnych, dostarczając rozrywki zarówno sobie, jak i całemu towarzystwu. Jak zaś piorunujące okazały się skutki tych rozrywek, mało kto odważył się w ogóle myśleć. Pewnie dlatego Łukasz, który niebacznie podrzucił nam kolejny debilny pomysł, siedział, zerkając to na mnie, to na brata i zastanawiał się gorączkowo, czy aby niewinnym dowcipem nie doprowadził do rychłej eksplozji inwencji twórczej w zakresie pakowania się w tarapaty.

Pełna napięcia cisza była dla niego niemym potwierdzeniem, że rzeczywiście popełnił błąd.

Być może, gdyby potrwała odrobinę dłużej, zechciałby to jakoś odkręcić i uspokoić szalejące w naszych duszach sportowe i inne, mniej szlachetne ambicje. Właściwie to nawet miał taki zamiar i powoli zaczął otwierać usta, gdy gdzieś z góry runął potężny rumor.

Przerażeni poderwaliśmy się na równe nogi.

— Co to, do ciężkiej cholery było? — zasapał Dareczek, rozglądając się niespokojnie. — To nowe bloki, nie mówcie, że dwa lata po wybudowaniu już się wali!

— To chyba właśnie dlatego, że nowe — wymamrotał Łukasz, zerkając nerwowo ku sufitowi. — To z tego mieszkania, co do tej pory wynajmowali studenci. Zdaje się, że ktoś postanowił wprowadzić się na stałe...

Próbował jeszcze coś powiedzieć, ale jego słowa utonęły w kolejnej salwie piekielnego jazgotu. Teraz nie mieliśmy już wątpliwości. Podobne dźwięki nie dawały mi żyć, kiedy tuż po przeprowadzce do Łukasza zdecydowaliśmy się nieco zmodernizować mieszkanie. Nie miałam pojęcia, z czego wykonano ściany w tych budynkach, jednak nawet zbrojone żelbetonem ściany w starym bloku z lat osiemdziesiątych, w którym mieszkali moi rodzice, nie wydawały tak przeraźliwych dźwięków podczas wiercenia. Tu każda próba nawiercenia choćby głupiej dziurki na zawieszenie obrazka kończyła się rykiem nieszczęsnej wiertarki i smrodem palonego wiertła. Zważywszy, że my montowaliśmy skomplikowany system półek pod kątem uwielbiającego przebywać na wysokościach kota Behemota i nową szafę wnękową w przedpokoju, sami przez trzy dni produkowaliśmy dźwięki tak samo przeraźliwe i zdolne doprowadzić pół pionu do szaleństwa.

— Tyle że my zrobiliśmy kolędę po sąsiadach i grzecznie przeprosiliśmy za ewentualne zakłócanie ciszy — mruknął Łukasz, gdy ryki wiertarki nareszcie umilkły. — I robiliśmy ten cały hałas w dni powszednie najpóźniej do godziny osiemnastej.

— Nie każdy może sobie pozwolić na taki luksus...

— Ale chyba na wywieszenie karteczki z informacją, że przez kilka dni będzie głośno tak...

Debatę nad polubownym załatwianiem drażliwej kwestii remontowych hałasów pomiędzy sąsiadami uniemożliwił nam kolejny rumor. Tym razem nie pomogło przeczekanie kilku minut. Rozrywkowy sąsiad dopiero się rozkręcał.

— Coś mi się zdaje, że to było na rozgrzewkę — wyszczerzył się Daro, rezygnując z propozycji wypicia jeszcze jednej kawy. — Wiecie co, ja się chyba ulotnię. Czas zacząć przygotowania do półmaratonu!

— Sam bym się najchętniej ulotnił — wymamrotał Łukasz dwie godziny później, gdy do potępieńczego wycia wiertarki dołączyło walenie młotkiem. Wyglądało na to, że Darek niechcący wypowiedział jakieś straszliwe proroctwo, które właśnie zaczynało się spełniać.

Kilka minut po dwudziestej wszyscy mieliśmy serdecznie dość. Ochota na ulotnienie się jak najdalej od źródła piekielnego hałasu kwitła w nas bujnym kwieciami i tylko chłód marmoski

nocy powstrzymywał nas przed wyprysnięciem na dwór w celu odbycia bardzo długiego spaceru. I fakt, że oprócz Dragona na smyczy musielibyśmy targać ze sobą klatkę z wściekłym kotem Behemotem. Nie mówiąc już o tym, że najpierw należałoby go do tejże klatki upchnąć. Na takie efekty specjalne żadne z nas nie miało za bardzo ochoty.

Szczególnie że nie było nawet takiej potrzeby. Zirytowane hałasem zwierzaki już dawno poradziły sobie we własnym zakresie. Dragon wcisnął się do szafy w sypialni, wsadzając łeb pod swetry Łukasza. Wkrótce dołączył do niego kot, który swoim zwyczajem wybrał górne rejony i zakopał się w miękkim, zielonym kocu po babci, który z obawy przed nadmiernym zafutrzaniem naiwnie trzymałam na jednej z półek.

Tuż przed dwudziestą drugą stanęliśmy przed trudnym wyborem. Kłaść się do łóżka, zatkawszy uszy wszelkimi dostępnymi metodami, czy skulić się obok zwierzaków. Uchylone delikatnie drzwi szafy ukazały nam śpiące snem sprawiedliwych zwierząt Dragona i Behemota. Ich sposób na odizolowanie się od hałasu najwyraźniej zdawał egzamin.

— Tylko że tam już nie ma miejsca — jęknęłam z rozpaczą. — Szlag, gdyby to byli ci z dołu, mogłabym przynajmniej zacząć skakać i tupać w podłogę w najwyższych szpilkach, jakie mam!

— Zacznijmy od tego, że musiałybyś kupić szpilki... Pamiętam, że jak słuchaliśmy z Darkiem za głośno muzyki, matka waliła w sufit kijem od mopa.

Spojrzałam na Łukasza z rozpaczą i popędziłam do kuchni.

Metoda z kijem okazała się doskonała. Przynajmniej w zakresie zwalania nam na łeb kilku grudek tynku, które odpadły z sufitu, gdy uśiłowalam rzeczonym kijem zagłuszyć młotek sąsiada.

— No brawo — burknęłam, otrzepując biały proszek z włosów. — Tym kijem rozwalimy sufit i w ramach zemsty sami zrobimy remont. Chyba nie tak to miało działać.

Zniechęcony Łukasz wzruszył ramionami.

— Działo, jak działało. O walącym się tynku nic nie wiem, ale przynajmniej docierał do nas komunikat, że należy ograniczyć decybele. Do tych tam najwyraźniej nie dotarł — wymamrotał, krzywiąc się, gdy wiertarka kolejny raz wydała z siebie męczeńskie wycie.

Łukasz jęknął rozpaczliwie i padł na łóżko, wzorem zwierzaków zakopując się z głową pod kołdrę i zatykając uszy poduszką.

Patrzyłam z niedowierzaniem na ten akt kapitulacji. Zaraz, zaraz, jako mężczyzna powinien chyba wdziać na portki od piżamy jakąś zbroję i udać się na górę ze szlachetnym zamiarem ocalenia przed niewyspaniem i atakiem szału ukochanej księżniczki. Za taką interwencję pewnie byłby mu zresztą wdzięczny cały pion!

— No chyba żartujesz — zachnęłam się, bo Łukasz nie wyglądał na skorego do przywdziewania zbroi ani innego stosownego na bój z uciążliwymi sąsiadami odzienia. — Zamierzasz tak po prostu iść spać?

— Zwierzęta poszły — usłyszałam niewyraźne mamrotanie spod kołdry. — I całkiem nieźle na tym wyszły, przynajmniej będą jutro wyspane. Ja też bym chciał...

— A ja? — wrzasnęłam rozżalona. — Wiesz, że do spania potrzebuję mieć idealną ciszę, idealnie ciemno...

— Z poduszką na głowie jest idealnie ciemno, nie marudź...

— I świeże powietrze! — dokończyłam skargę. — Mam się udusić?

— Chryste, jak dla mnie możesz udusić sąsiadów! — wrzasnął Łukasz, podrywając się z łóżka. — Obedrzeć ze skóry, zalać mieszkanie, a w ostateczności podrzucić zawartość kuwety! Olka, mnie już zaczyna być wszystko jedno, bo jak nie oni, to ty! Idź ich zabij, odreagujesz i może w lepszym nastroju wrócisz do łóżka! Masz moje rozgrzeszenie! Amen!

— Alleluja — burknęłam, patrząc, jak ponownie zakopuje się w pościeli. A proszę bardzo! Otóż pójdę tam sama i osobiście zażądam zaprzestania nocnych hałasów! I zobaczymy, kto tu będzie bohaterem w swoim domu!

Mamrocząc gniewnie, mało subtelnym gestem wyciągnęłam Dragonowi spod tyłka swoje spodnie i bluzę od dresu. Silić się na wielkie przebieranie nie miałam ochoty, wciągnęłam je zatem na piżamę, klnąc niezbyt głośno, za to dosadnie, na obfitość koronek i śliski jedwab, które z uporem odmawiały jako takiego ułożenia się pod portkami. Wprawdzie z mieszkania na górze od kilku minut dochodziło jedynie jednostajne, umiarkowane głośne stukanie młotkiem, jednak rozdrażniona przez wcześniejszą kakofonię i niesforne, uwierające mnie pod dresem koronki, nie byłam skłonna odpuścić. Wyprysłam z mieszkania, w ostatniej chwili przypominając sobie o butach. Nie zamierzałam na bosą łapę po korytarzu, coś by wypadało na nogach mieć. Dopiero na schodach uświadomiłam sobie, że wkładając pierwsze lepsze obuwie, jakie stało przy drzwiach, popełniłam okropną głupotę. Po pierwsze, czarne, lakierowane szpilki, które wbrew słowom Łukasza jednakże posiadałam, niekoniecznie nadawały się na nocne sprinty po piętrach, szczególnie że po dzisiejszym galopie nawet najbardziej rozklepane tenisówki nie złagodziłyby potwornego bólu łydek. Druga sprawa, że w zestawieniu z nieszczęsnym dressem i wyzierającą spod niego jedwabną piżamką musiały wyglądać przeraźliwie głupio. To dotarło do mnie jednak dopiero w chwili, gdy zipiąc, dysząc żądzą zemsty i posyjąc z powodu zakwasów, stanęłam pod drzwiami sąsiadów. Nie ma mowy, nie wracam się przebrać! Nie wracam, bo jak wrócę, to drugi raz już tu nie wleżę. Głupio może i wyglądam, ale furia w spojrzeniu i zaciśnięte szczęki powinny jakoś to zrównoważyć. No, jeszcze sekunda, żeby uspokoić oddech...

Krótką chwilą względnej ciszy w remontowanym mieszkaniu idealnie zgrała się w czasie z opanowaniem przeze mnie gniewnego (tylko gniewnego, podkreślam!) sapania. Z zupełnie niepotrzebnym rozmachem załomotałam w drzwi.

„No, o taki właśnie efekt mi chodziło”, pomyślałam lekko zaskoczona, bo po drugiej stronie umilkło nawet szuranie i szeleszczenie. To bardzo miło, jednak jaką miałam gwarancję, że gdy wrócę na dół, nie zacznie się od nowa? Dla pewności postanowiłam wyartykułować jeszcze komunikat werbalny. Już nieco ciszej, jednak nadal zdecydowanie zastukałam do drzwi.

Coś zaszeleściło. Tym razem znacznie bliżej mnie. Szelest przybliżył się jeszcze bardziej. Ktoś chyba zdecydował się wreszcie przestać udawać sąsiada-widmo. Na sekundę zapadła znów cisza, po czym usłyszałam powolny, jakby niepewny szcęk klucza w zamku. No, nareszcie będę miała okazję powiedzieć, co myślę o wierceniach po dwudziestej drugiej w weekend!

Tymczasem drzwi uchyliły się nieco i sroga tyrada zamarła mi na ustach.

— Tak, dobry wieczór? — odezwała się stojąca w progu młoda kobieta w upapranych farbą żółtych ogrodniczkach i równie upstrzonej plamami bluzce. Spomiędzy jasnobeżowych piegów, zapewne również powstałych w wyniku malowania, spoglądały na mnie z lekkim niepokojem duże brązowe oczy.

A ja tkwiłam naprzeciwno, zapomniawszy ludzkiego języka, bo pomimo remontowego kamuflażu rozpoznałam stojącą naprzeciwno kobietę.

* * *

— I jak? — wymamrotał Łukasz, gdy dotarłam wreszcie do sypialni, ściągnęłam dres i szpilki, w których z wrażenia przyleciałam aż tutaj, i z ciężkim westchnieniem opadłam na łóżko.

— A co, nie słyhać? — burknęłam niechętnie.

— A owszem, słyhać. Ciszę.

— Chcieliśmy ciszę, nie?

— Chcieliśmy. Więc nie rozumiem, dlaczego jesteś wściekła.

— Adrenalina. U mnie trzyma dość długo — mruknęłam wymijająco, kładąc się obok. —

Do rana będzie święty spokój, więc nie nakrywaj mnie proszę razem z głową — syknęłam, bo Łukasz jakby nie dowierzał moim zapewnieniom i na wszelki wypadek narzucił nam obojgu kołdrę na głowę.

— Dobrze, już dobrze. Tylko mnie nie pogryź.

Ależ wcale nie miałam takiego zamiaru. Chociaż może troszeczkę. W zastępstwie za osobę, która obietnicą przestrzegania godzin ciszy nocnej, grzecznymi przeprosinami i przesympatycznym sposobem bycia sprawiła, że poziom adrenaliny mógł przeszkadzać mi w zaśnięciu pomimo ustania hałasów.

Kto mógł przypuszczać, że drzwi piętro wyżej otworzy mi zniechęcona biuściasta blond łania, wpędzająca mnie systematycznie w kompleksy od dobrych kilku tygodni? I że z tak autentycznym poczuciem winy będzie przeproszać i tłumaczyć się pragnieniem jak najszybszego zakończenia remontu, by nie powodować uciążliwych hałasów nazbyt długo? A na domiar złego przedstawi się, uściśnie mi umazaną farbą dłoń i z uśmiechem oznajmi, że pomimo niefortunnego początku znajomości ma nadzieję, że zostaniemy dobrymi koleżankami?

„Niech piekło pochłonie Sabinkę”, pomyślałam zdegustowana i wbrew ponurym przewidywaniom nareszcie zasnęłam.

* * *

Wbrew proroctwom Marcina, że na żaden półmaraton już w tej chwili nie dostaniemy biletów, dzięki znajomości Łukasza udało się załatwić je dość łatwo. Teraz nie mieliśmy już z Darkiem wyjścia. Należało ruszyć z kopyta z treningami i pozbawioną węglowodanów prostych dietą. Dni upływały, odmierzane ilością potu wylewanego w godzinach pracy i w czasie prywatnym. A w moim przypadku również niepochlebny inwektywami, mamrotanymi pod adresem wesołej i upiornie towarzyskiej Sabinki, która po mojej nocnej wizycie zapalała szczerą sympatią do mojej osoby. Zwłaszcza że, jak zauważyła, wiele nas łączy. Wiek, zamiłowanie do tego samego sportu oraz zdrowego trybu życia, a także przekonanie do butów biegowych marki Asics. Nie miałam wprawdzie pojęcia, jakim cudem podczas galopów skuteczniczanych z nieosiągalną dla mnie bez ciężkiej dychawicy prędkością zdołała wypatrzeć moje obuwie, wyglądało jednak na to, że śledziła moje treningi równie uważnie, jak ja jej. I bynajmniej nie zamierzała przestać.

Na szczęście inwigilacja przez konkurencję nie była zjawiskiem permanentnym i istniała szansa, że moja nerwica na tle trzydziestego kilometra nie zostanie pogłębiona przez nadmiar oglądania popisów biegowych Sabinki. Zarówno rozbieżne dni i godziny pracy, jak i zaabsorbowanie remontem nowego mieszkania sprawiały, że na trasie wokół parku widywałyśmy się dość nieregularnie. Za taki stan rzeczy byłam głęboko wdzięczna, zwłaszcza po propozycji wspólnej przebieżki, która ani chybi zabiłaby we mnie ostatecznie wiarę we własne siły i nadzieję na pokonanie dystansu czterdziestu dwóch kilometrów w stylu innym niż rozpaczliwy.

Z przebieżki wyłgałam się wprawdzie bez problemów, gdyż każda z nas dysponowała czasem wolnym w zupełnie innych godzinach, jednak zupełnie wyprzeć się znajomości z nową sąsiadką nie byłam w stanie.

— Ty, co to za jedna? — spytała któregoś dnia Beata, gdy wychodząc na spacer z Dragonem kurtuazyjnie pomachałam do startującej właśnie spod klatki Sabinki. Zignorować

radosnego powitania i udawać, że jej nie dostrzegam, nie dało rady. — Nie kojarzę dziewczyny.

— Nowa sąsiadka, szlag by ją trafił — wyjaśniłam z ciężkim westchnieniem. — Ta od remontów o trzeciej w nocy, stanika, w którym sama bym się utopiła i obiegania parku w tempie strusia pędziwiatra.

— Oj, coś widzę, jesteś na nią cięta — Beatka z życzliwym zainteresowaniem popatrzyła na znikającą z zawrotną szybkością Sabinę. — Na biust jej nie patrzyłam, ale wygląda na sympatyczną. Zresztą, sama mówiłaś, że te najgorsze hałasy już przestała skuteczniać. I przeprosiła.

Machnęłam zniecierpliwioną ręką. Nie było sensu tłumaczyć Beatce mojego nastawienia. Beatka, znana jako najbardziej pokojowo nastawiona osoba na świecie, żeby kogoś nie lubić, potrzebowała zazwyczaj przynajmniej stu powodów. Dopóki nie zebrała całej tej kolekcji, wobec każdej żywej istoty miała niewyczerpane pokłady życzliwości i wiary w jej dobre intencje. Doprawdy, rzadko się zdarzało, by ktoś zdołał nadepnąć jej na odcisk do tego stopnia, by zostać na dzień dobry skreślonym. Jak ja mam tej pocziwej duszy tłumaczyć, że zżera mnie zwykła ludzka zazdrość o wymiary i wyniki biegowe Sabiny? A także tajemną umiejętność pogodzenia jednego z drugim? U mnie obfitość biustu ni cholery nie szła w parze z intensywnymi treningami. Im więcej biegałam, tym bardziej chudłam, zaczynając, rzecz jasna, od biustu. W głowie mi się nie chciało pomieścić, że da się ten proces jakoś umiejscowić w okolicach, na przykład, tyłka. Co do samych zaś rezultatów i osiągniętych prędkości, Beatka zapewne słusznie i w sposób całkowicie nieprzystający do mojego charakteru poradziłaby mi tym bardziej umówić się z sąsiadką na wspólne bieganie. A nuż odkryję dzięki temu metodę na pokonanie trudności?

Tyle Beatka ze swoją wieczną życzliwością. Wszystkim, którzy dziwili się, jakim cudem przyjaźniliśmy się od tylu lat, tłumaczyłam, że słodycz każdego anioła powinien równoważyć mniej niebiański pierwiastek. Jako kąśliwa zołza nadawałam się znakomicie.

Póki co jednak wchodziliśmy w tę strefę parku, gdzie Dragon miał zwyczaj pokazywać swoje bardziej diabelskie oblicze. Tu należało mocniej przytrzymać smycz i wyteńczyć uwagę, szczególnie latem. Musiałyśmy bowiem przejść przez wąski pas porośniętego gęstą trawką brzegu niewielkiego jeziora w centrum parku.

Obszar ten, choć niewielki, dzięki odizolowaniu od hałasów dochodzących z pobliskich osiedli, cieszył się ogromną popularnością istot żywych rozmaitej maści i gatunku. Z przyjemnością taplały się w nim kaczki i łabędzie, którym wysepka na środku jeziora umożliwiała korzystanie z dobrodziejstw czystego zbiorniczka bez nadmiernego kontaktu z ludźmi, przesiadującymi wiosną i latem tłumnie na trawce i ustawionych w pobliżu ławeczek. Miejsce było idealne również dla zakochanych, choć romantyczne pikniki odbywały się tu raczej w późniejszych godzinach i w pełni lata. Natomiast gdy przez chmury przebiły się pierwsze promienie wiosennego słońca, mniej więcej od godziny dziesiątej rano trawkę oblegały matki z dziećmi: dziećmi chodzącymi, dziećmi raczkującymi, dziećmi siedzącymi jeszcze w wózeczkach i wreszcie tymi starszymi, które nadal wymagały nadzoru podczas zabawy, jednak były wystarczająco duże, by zerkać na nie z ławeczki, jak bawią się na pobliskim placu. Skolonizowany przez matki z pociechami, a latem innych amatorów moczenia nóg w jezioru, trawniczek był główną przyczyną moich trosk, ilekroć wychodziłam sama na spacer z piesem-biesem.

Przyczyn tych obaw było kilka. Przede wszystkim ja sama. Mała, bardziej chuda niż szczupła, pomimo umięśnionej sylwetki nie prezentowałam się imponująco, przyczepiona do drugiego końca smyczy, na której prowadziłam wielkie, groźnie wyglądające zwierzę. Sprawiało to wrażenie, jakby to Dragon wyprowadzał mnie, a nie odwrotnie. Nic dziwnego, że zatroskane o bezpieczeństwo pociech matki w lekkim popłochu spoglądały na wielkiego psa i jego malutką

panią, wkraczających na teren przybrzeżnej łączki. Znałam wprawdzie usposobienie Dragona i mogłam każdej z tych matek wystawić pisemną gwarancję, że pies nigdy w życiu nie zaatakował żadnego dziecka, dziećmi się generalnie nie interesował i mogły dla niego nie istnieć. Mogły w jego pobliżu również wrzeszczeć, piszczeć i latać do upojenia. Tyle że olbrzymi łeb z wystającymi w nieco krzywym zgryzie zębiskami i przeszło trzydzieści kilo zwartych mięśni plus zła sława, jaką owiane są teriery typu bull, na pierwszy rzut oka mówiły coś zupełnie innego. Na nasz widok przerażone kobiety w nagłej panice wołały dzieci do siebie lub zrywały się na nogi, gotowe własną piersią zasłonić bezbronne pociechy przed zakusami potwornej bestii. A co odważniejsze komentowały. I tu powstawał problem. O ile bowiem gotowość do obrony zbywałam lekkim uśmiechem, niepoehlebne komentarze pod adresem mojego psa irytowały mnie niewymownie. Ilekroć zdarzało mi się słyszeć, że psy tego typu powinny być wyprowadzane tylko w kagańcu, na krótkiej smyczy i przez kogoś, kto sobie z nimi da radę, a najlepiej to w ogóle zostać uśpione i zutylizowane bez śladu, zaczynało istnieć poważne zagrożenie pogryzieniem. I to bynajmniej nie dzieci przez psa. Ani nawet matek przez psa. W takich sytuacjach byłam gotowa poświęcić własne zęby i psią metodą bronić honoru Dragona, którego można było podejrzewać o wszystko, tylko nie o agresję.

Jednak i Dragon przyczynił się do faktu, że moje tётno niebezpiecznie przyspieszało, ilekroć znajdowaliśmy się w pobliżu trawniczka. Tyle że nie ludzie byli dla niego źródłem problemu. Problem pojawiał się, gdy zechcieli pobiegać na boso lub zamoczyć w jeziorze nogi. Na brzegu bowiem pozostawiali wtedy buty. Sandały. Balerinki. Adidasy. TRAMPKI.

Nie od dziś wiedzieliśmy, że istnieją dwie nieokiełznane namiętności, którym Dragon poddaje się bez chwili zastanowienia i opanowanie go wówczas jest prawie niemożliwością. Jedną było świeże, wiszące jeszcze na suszarce pranie. Drugą — jeden, wybrany typ obuwia. Ten pies nie odpuścił żadnym trampkom.

Z niepokojem przyjrzałam się zatem młodej, zakochanej na amen parze, która wiosenne ciepłoko w niedzielne popołudnie wybrała sobie na piknik nad jeziorkiem. Odważni, przed chwilą brodzili po kostki w wodzie, sprawdzając jej temperaturę. Teraz wrócili na koc, wyciągnęli termos z kawą i objęci kontemplowali malowniczą wysepkę na jeziorze.

Kontemplowania wysepki czepiać się nie zamierzałam, niech im romansowanie na łonie natury idzie na zdrowie. Tylko dlaczego, u diaska, nie założyli butów? Traf chciał, że oboje właśnie trampki mieli na nogach, kiedy tu przyszli. Ściągnęli je i rzucili byle jak za koszyk z jedzeniem.

A ja, uspokojona nieobecnością strwożonych na widok Dragona matek, których brak spowodowany był zapewne porą obiadową, spuściłam psa ze smyczy.

Po czym na widok porzuconych przez właścicieli trampek struchlałam.

— Co ty tak wrosłaś w ziemię? — zniecierpliwiła się Beatka, której mój nagły stupor przerwał świeże plotki z małżeńskiego stadła młodych Nawrockich. — Pies idzie, a ty stoisz jak zaklęta.

— No właśnie — jęknęłam, wpatrzona z zapartym tchem w Dragona, który, jak słusznie zauważyła Beatka, szedł. W bardzo niewłaściwym kierunku, choć z psiego punktu widzenia był on jak najbardziej prawidłowy. — Beata, oni mają trampki!

Beatka komunikat zrozumiała błyskawicznie, wielokrotnie już pouczana, by w naszym mieszkaniu zjawiać się w każdym innym obuwiu. Zerknęła w kierunku pary na kocu, potem w kierunku Dragona i roześmiała się kpiąco.

— Oleczka, popadasz w paranoję! Gdzie pies, gdzie trampki! Przecież on się nawet nie zorientował! Widzisz, gapi się na łabędzia na jeziorze!

„Albo usilnie sprawia takie wrażenie”, przemknęło mi przez myśl. Dragon głupi nie był i

wielokrotnie już nam to udowodnił. Doskonale wiedział, że kradzież butów, zwłaszcza obcym ludziom, jest absolutnie zakazana pod groźbą banicji z terenu sypialni przynajmniej przez trzy dni i noc. Zrezygnować ze złodziejskich skłonności jednak nie potrafił. Rozumował zatem słusznie — należało kraść w taki sposób, by państwo się nie zorientowali.

Teraz również robił, co mógł, by sprawiać wrażenie zainteresowanego wszystkim, tylko nie nieszczęsnym obuwiem. Podbiegł do wielkiego kamienia, na którym od czasu do czasu przysiadły dobrze widoczne na szarym tle motyle. Włazł do wody, markując chęć dobrania się do pływającego blisko brzegu łabędzia. Wreszcie wyskoczył z jeziora i otrząsnął się porządnie, by rozpocząć radosne tarzanie się w trawce i wachanie kwiatków.

Zupełnie normalne zachowanie zdrowego, młodego, pełnego energii i zadowolonego z życia psa.

„A może Beatka faktycznie ma rację”, pomyślałam, uważnie obserwując psie zakusy na pierwsze tej wiosny motylki. Może popadam w paranoję? Bardzo szkoda, że nie ma tu Łukasza, który z Dragonem mieszkał dłużej niż ja i nie był to jego pierwszy pies. Na psiej psychologii znał się doskonale i umiał bezbłędnie wychwycić najdrobniejsze oznaki świadczące o planowaniu przez psa kradzieży. Co więcej, potrafił tę kradzież udaremnić, wydając odpowiednio szybko stosowną komendę. Dragon wiedział, że pana nie nabierze na żadne sztuczki i w obecności Łukasza na dzień dobry odpuszczał kombinowanie. Znacznie gorzej sytuacja wyglądała w moim przypadku. Jako pani zasługiwałam w psich oczach na duży szacunek, wiedziałam też, że kocha mnie bezgranicznie i zawsze jest gotów mnie bronić, jednocześnie mój autorytet miał pewne granice. Wiedziałam, że jeżeli na czas nie zapobiegnę zagrożeniu, uszarpię się potem straszliwie, by wyrwać trampki zakochanej pary z psiej paszczy. A potem nie zostanie mi nic innego, jak obiecać zakup nowych butów, bo te wydarte psu nie będą się już do niczego nadawały.

Z tym większym niepokojem śledziłam radosne powitanie wiosny, któremu Dragon oddawał się już od piętnastu minut. Wiosna zdążyła przyjść dobre trzy tygodnie temu, a tego dopiero teraz olśniło, akurat. Stałam zatem z uporem, lekceważąc propozycję Beatki, by powoli ruszyć alejką.

Przyzwyczajona do mojego uporu Beatka szybko skapitulowała.

— To chodź przynajmniej na tę ławeczkę — zaproponowała, wskazując zachęcającym gestem na pobliskie siedzisko.

Rzuciłam rozpaczliwe spojrzenie na ławeczkę. Była wystarczająco blisko, by mieć z niej dobry widok na psie kombinacje i w razie potrzeby szybko zareagować. Nie miałam zamiaru psuć spaceru Beatce, która od kilku dni bardzo nalegała na spotkanie w damskim gronie. Z ciężkim westchnieniem odwróciłam się i powolnym krokiem ruszyłam za Beatką w kierunku ławeczki.

I ta właśnie chwila przesądziła o dalszych losach naszej miłej pogawędki. Wystarczyła bowiem Dragonowi, by porzucić radosne płąsy na cześć wiosny oraz motylków i węzowym ruchem zakraść się w pobliże koca pary zakochanych. Na nic więcej czasu mu nie starczyło, bo dotarłam do ławki i obróciłam się we właściwym kierunku, sadzając cztery litery na siedzisku.

Cztery litery siedzisko ledwo dotknęły, gdyż na widok Dragona czającego się w pobliżu butów poderwałam się z dzikim wrzaskiem i ruszyłam w kierunku koca. Nie musiałam wyrzaskiwać żadnej z właściwych komend — wiedziałam, że teraz żadna już nie zadziała. Wrzeszczałam raczej z nadzieją, że nieświadomi przestępstwa zakochani odwrócą się i krzykiem przegonią złodzieja.

Zakochani zareagowali prawidłowo. Słyszając wrzaski za swoimi plecami, rozejrzeli się w popłochu. Na widok wielkiego psa w odległości niespełna metra dziewczyna poderwała się z koca i zaczęła krzyczeć nie mniej przeraźliwie ode mnie. Chłopak także skoczył na równe nogi i

zastygł z przerażoną miną, niepewny, jak najlepiej obronić ukochaną przed atakiem zębatej bestii. Wrzesczyć razem z nami nie zamierzał, wybrał metodę polegającą na bezładnym machaniu rękoma i tupaniu. Gdzieś z tyłu słyszałam okrzyki przestraszonej Beatki.

Żadna z tych atrakcji nie zrobiła większego wrażenia na psie, który miał większy problem niż nasze wrzaski. Ukraść dwie pary butów w całym tym zamieszaniu było trudno nawet tak uzdolnionemu złodziejowi. Zrezygnować z takiego łupu — to nie leżało w jego naturze. Zdenerwowany, przez kilka sekund usiłował chwycić w pysk wszystkie cztery trampki. Gdy uznał, że jestem zbyt blisko, złapał pierwszy but z brzegu i pognał przed siebie, zręcznie wymijając Beatkę i mnie.

— Szlag! — jęknęłam i ruszyłam z kopyta za psem. — Strasznie państwa przepraszam, oddam! — dodałam, nie precyzując, czy oddam but, czy pieniądze.

Sądząc po słabnących krzykach za plecami, w pogoń za niesfornym zwierzakiem ruszyła również Beatka.

Nie zamierzałam czekać na przyjaciółkę, której kondycja nie pozwalała zbyt długo utrzymać szalonego tempa. Pędząc za psem, zastanawiałam się rozpaczliwie, dokąd biegnie ten diabeł. Póki co zasuwał z pełną prędkością główną alejką w kierunku domu, jednak byłam przekonana, że lada moment zrezygnuje z obranej trasy. Pierwszy odruch kazał mu biec ze zdobyczą do któregoś z opiekunów, jednak ta zasada w przypadku kradzionych butów nie obowiązywała. W takiej sytuacji należało opiekunom bezwzględnie zejść z oczu. Tuż przed ścieżką, prowadzącą pod nasz blok, Dragon gwałtownie skręcił i pognał w kierunku siłowni na świeżym powietrzu, mieszczącej się na niewielkim placyku.

A potem wydarzyło się coś bardzo dziwnego.

Pędzący z prędkością światła pies z ukradzionym trampkiem w pysku nagle wykonał niespodziewany zwrot i z radosnym piskiem rozpoczął hamowanie. Po czym ruszył rażnym truchtem w kierunku dwojga ludzi w strojach biegaczy, którzy albo dopiero szykowali się do rozpoczęcia treningu, albo dopiero co go zakończyli i teraz rozciągali się, wykorzystując w tym celu przyrządy z siłowni. Ze zdumienia sama przyhamowałam i wytrzeszczyłam oczy, usiłując rozpoznać choć jedno z nich. Dragon miał z tym mniejszy problem niż ja, bo z zadowoleniem biegł do wysokiego, barczystego mężczyzny, któremu towarzyszyła szczupła blondynka.

„Szczupła, biuściasta blondynka”, zgrzytnęłam zębami.

Jednak nie o Sabinkę chodziło Dragonowi. Przyjrzałam się zatem towarzyszowi sąsiadki.

Następnie wzięłam głęboki wdech. A wraz z wydechem wyrzuciłam z siebie straszliwą ilość przekleństw, której nie powstydziliby się niejeden dorożkarz.

Cóż innego mogłam powiedzieć, widząc w towarzystwie biuściastej Sabinki swojego dobrego przyjaciela Dariusza?

Patrzyłam w ciężkim osłupieniu, jak Dragon dopada Darka, wylewnie się wita i wciska mu do ręki zaśliniony zapewne bardzo obficie, skradziony trampek.

Obecność piesa w parku nie była dla Darka niczym dziwnym. Był również przyzwyczajony, że ten konkretny, najbardziej pokojowo i życzliwie nastawiony do świata amstaff biega czasami samopas — przynajmniej dopóki nie dogonią go ciężko zipiący właściciele. Wiedział, że skoro jest tu Dragon, lada chwila na horyzoncie powinien pojawić się Łukasz, ja, ewentualnie oboje. Rozejrzał się zatem dookoła, szukając nieszczęśnika, któremu przypadły w udziale gonitwy za zwariowanym psem.

Pewnie w normalnych okolicznościach wyłoniłabym się zza krzaków, za którymi stałam i przywitała się z przyjacielem, jednak tym razem okoliczności były dalekie od normalności. Na wszelki wypadek cofnęłam się nieco, dzięki czemu stałam się zupełnie niewidoczna dla Darka i Sabinki. Wiedziałam, że nie ma potrzeby natychmiast zabierać Dragona, bo Darek samego go w

parku nie zostawi. Zależało mi za to, by zaobserwować, jaki rodzaj relacji łączy mojego przyjaciela z Sabinką. A przede wszystkim pozorować zmęczenie pościgiem, kolkę, cokolwiek, co powstrzymałoby przed wparowaniem na plac Beatkę, która właśnie sygnalizowała głośnym dyszeniem, że zdołała mnie wreszcie doścignąć.

— Gdzie ta cholera? — wysapała, zatrzymując się obok mnie z prawdziwą ulgą. — Nie mów, że go zgubiłaś! Nie przebiegnę już ani stu metrów, umrę!

Cholera jasna i co ja mam jej powiedzieć?

— Nie umrzesz — wymamrotałam bez przekonania. Nie było wprawdzie już potrzeby gonić Dragona, jednak nie miałam żadnej gwarancji, czy Beatki nie trafi szlag na widok Darka i Sabinki. — Położył się przy siłowni i gryzie tego buta. Daj mi chwilę, on nie zwieje. Też się zmęczył. Chyba...

Ale Beatkę wizja kolejnych szaleńczych galopów w pogoni za psem pozbawiła zaufania. Spojrzała na mnie nieufnie i zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku siłowni, gotowa w razie potrzeby nawet usiąść na psie, byle udaremnić mu dalszą ucieczkę.

O nie, do tego nie wolno było dopuścić! Rozpaczliwie szarpnęłam się ku niej i złapałam ją za ramię.

O ułamek sekundy za późno.

Udało mi się wprawdzie nie dopuścić do tego, by moja przyjaciółka ruszyła z nagłym zapasem sił w kierunku Darka, Sabiny i piesa, żądając wyjaśnień, jednak samego widoku nie zdołałam jej oszczędzić. Z rozpaczą pociągnęłam ją z powrotem w krzaki, zanim zdążyła zareagować na widok męża w nieznanym, damskim towarzystwie.

Beatka niemal natychmiast wyszarpnęła się z moich rąk.

— Oszalałaś? — syknęła. — Przecież tam jest Daruś! Z jakąś babą! Ja chcę natychmiast wiedzieć, co to znaczy!

— A ja to niby nie chcę! — prychnęłam zdenerwowana. — Czekaaj, błagam, pomyślmy logicznie! Dowiesz się czegoś, jak tam wlecisz i jej przylutujesz?

— Kto tu mówi o lutowaniu? Zapytam, co to wszystko ma znaczyć!

— A oni akurat ci powiedzą! Siedzmy cicho, może coś zobaczymy!

— Co zobaczymy?

— Prawdę — westchnęłam ciężko i aż mi się słabo zrobiło. Sama też bardzo chciałam poznać tę prawdę. Nie po to swatałam Darka i Beatkę, nie po to wyprawiałam im ślub i osobiście odprowadzałam ich do ołtarza, by teraz widzieć, jak mój najlepszy przyjaciel łamie zdradą serce mojej najlepszej przyjaciółce. Z drugiej jednak strony nikomu, a już najmniej Beacie, nie życzyłam oszukiwania przez drugą połówkę. Tkwiłam zatem w krzakach, przekonując Beatkę, że to najlepsza metoda, by ustalić charakter relacji pomiędzy Darkiem a moją nową sąsiadką.

Tymczasem za dużo do obserwowania nam nie zostało. Darek przedstawił Sabinie psa, przez chwilę pobawił się z nim trampkiem i doszedł do słusznego wniosku, że skoro nikogo z opiekunów nie widać na horyzoncie, Dragon zapewne skutecznie nam zwiął i należy go odprowadzić do domu. Byłam ciekawa, czy razem z nim ruszy Sabinka, jednak wszystko wskazywało na to, że zamierzają się rozstać. Po chwili Darek z Dragonem powędrowali w kierunku bloków, zaś moja sąsiadka rączym klusem pobiegła główną alejką parku.

My zaś jak głupie zostałyśmy w krzaczkach z głowami nabitymi mnóstwem domysłów, zaprawionych rozpaczą.

Pierwsza odzyskała głos Beatka.

— Właśnie dlatego chciałam się spotkać bez facetów — powiedziała ponuro. — Żeby pogadać. O mnie i o Darku. Chyba mamy problem.

Tyle mogłam domyślić się sama. Od mniej więcej tygodnia Beatka chodziła z nosem na

kwintę, całą sobą sygnalizując, że schowała swój zwykły spokój ducha głęboko w kieszeń i chwilowo wyciągać go nie zamierza. Aż to tej chwili byłam skłonna przypuszczać, że być może kiepski nastrój spowodowany jest zawirowaniami kadrowymi w banku, w którym pracowała, i obawą o stanowisko pracy. Ale nerwowa reakcja na widok Darka i Sabinki i pomysł natychmiastowego zażądania wyjaśnień dały mi nieco do myślenia. W swym zwyczajnym stanie ducha Beatka zapewne wzruszyłaby ramionami i zbagatelizowała sytuację, twierdząc, że ludzi chodzi po świecie tyłu, że od czasu do czasu się na siebie napatoczą i nie ma się co czepiać przypadkowej konwersacji. Bo może ona zwyczajnie pytała o drogę. Bo może udzielali sobie porad w kwestiach sportowych. Bo może najzwyczajniej w świecie ona jest jego podopieczną z klubu i postanowili powiedzieć sobie „cześć”. Albo i milion innych „może”, których ja, przy swoim zaborczym charakterze, w życiu nie wzięłabym pod uwagę.

Ale Beatka sapiąca ze złości, żądająca wyjaśnień — to było zjawisko, z którym do czynienia jeszcze nigdy nie miałam. Ba! Nie podejrzewałam nawet możliwości jego zaistnienia, choćby w teorii! Co więc, do diaska, się stało?

Darek z Dragonem i Sabinka oddalili się już wystarczająco, byśmy mogły bez obaw wyleźć z krzaczków. Beatka ze złości doznała nagłego przypływu sił i czym prędzej ruszyła w kierunku siłowni. Zainstalowała się na orbitreku i zawzięcie pedałowiała.

Coraz bardziej oszołomiona wlażłam na sąsiedni orbitrek i czekałam na ciąg dalszy.

Beatkę dusiło już chyba dość mocno, bo zwierzenia ułały się jej bez dodatkowej zachęty.

— Czy ty mi możesz powiedzieć, co mu odwaliło? — wykrzyknęła z pretensją. — Pewnie nie możesz, bo od mniej więcej dwóch tygodni kontakt z tym facetem jest niemożliwy!

Od dwóch tygodni? Na moje oko normalny kontakt Dareczka z rzeczywistością był niemożliwy znacznie dłużej. Mniej więcej od zawsze.

— Niby tak — sarknęła Beatka, gdy nieśmiało jej o tym przypomniałam. — Ale przynajmniej fizycznie był i udawał, że rozumie, co do niego mówisz. A teraz? Znika na całe dni. Leci do pracy, wraca na pięć sekund i wylatuje gdzieś znowu. Wraca o Bóg wie której godzinie i nawet nie umie sensownie wyjaśnić, gdzie był! A tu proszę! Już wyjaśniać nie musi, sama sobie wyjaśniłam!

W innych okolicznościach sięgnęłabym do bogatego repertuaru Beatki i przytoczyłabym jej wszystkie prawdopodobne okoliczności spotkania Darka i Sabinki w parku. Ale informacja o wiecznej nieobecności w domu mocno mi podpadła. Dareczek poza domem? Ten Dareczek, który nade wszystko cenił spokojne wieczory w towarzystwie Beatki, ewentualnie wśród rodziny i najbliższych przyjaciół, których grono od ponad dziesięciu lat prawie się nie zmieniło? Oj, coś tu przestawało pasować...

Tymczasem Beatka nadal wylewała żale na nieobecność męża i jego jeszcze większą niż zwykle dezorientację w rzeczywistym świecie.

— Przecież on nawet nie pamięta, że za tydzień Wielkanoc! — wykrzyknęła oburzona. — A jak mu przypomniałam, że w pierwsze święto jesteśmy zaproszeni do jego rodziców, wpadł niemal w panikę! Nie pojmuję, zawsze się cieszył na wszystkie możliwe święta! I teraz jeszcze ta blondi! Czuję to po prostu, ma romans, jak nic!

Patrzyłam na pedałowującą zawzięcie Beatkę, która złością usiłowała przyhamować zbierające się w kącikach oczu łzy. Nie miałam pojęcia, co jej powiedzieć. Była zbyt rozgoryczona, by dać się nabrać na zapewnienia, że na pewno nie dzieje się nic złego, ot taki kolejny objaw Dareczkowego szaleństwa, które uzewnętrzniało się w najmniej oczekiwanych chwilach i przyjmowało różne, idiotyczne postacie. Po tym, co usłyszałam, nawet nie byłabym w stanie skutecznie jej czegoś takiego wmówić. Ale milczące potwierdzenie wcale nie wydawało się lepsze.

— Spokojnie — zaczęłam, w panice szukając w głowie sensownego rozwiązania. — To znaczy, nie wiem, czy spokojnie, bo też mi się to nie podoba, ale Dareczek jest nieskomplikowany. Jeżeli cokolwiek mataczy, łatwo się da złapać. Wybadam, o co mu chodzi. A jak naprawdę będzie powód, osobiście zdefasonuję mu szczękę. Przysięgam.

Lojalność przyjaciółki w obliczu zdrady może nie była największą pociechą, ale w Beatkę wstąpiła otucha.

— Dowiesz się czegoś? — spytała z nadzieją. — A potem, jakby co, pomożesz mi go zabić?

— I nawet pozbyć się ciała — obiecałam solennie, bo nic innego mi chyba nie pozostało.

Pozostały do świąt wielkanocnych tydzień spędziłam zatem w sposób bardzo, jak na kobietę, niestandardowy. Pierwszy raz w życiu machnęłam ręką na mycie okien i nawet nie spojrzałam na dietetyczne, acz zachęcające przepisy, jakie wszystkim w klubie w ramach prezentu przesłała nasza Agnieszka. Zupełnie odłogiem ich nie zostawiłam, to z czystym sumieniem przyznaję, ale czym prędzej przesłałam Beatce, której kulinarne papranie sprawiało ogromną frajdę. Bardzo liczyłam, że dostosowanie receptur do tradycyjnych potraw, jakich żądali na święta mężczy przedstawiciele rodziny Nawrockich, zajmie ją na tyle, by choć na moment oderwała się od małżeńskich zawirowań i pozwoliła mi spokojnie podziałać na tym polu. Metoda zadziałała. Beatka dostała maila z przepisami i rozpoczęła natychmiastowe konsultacje z panią Elizą i naszą klubową dietetyczką. W przerwach pomiędzy kulinarnym szaleństwem pucowała zawzięcie mieszkanie, zaś z wdzięczności za obietnicę zamordowania potencjalnie niewiernego małżonka rzetelnie zajęła się również moimi oknami. Wiedziałam wprawdzie, że taka forma odreagowania służy jej najlepiej, jednak kiedy postanowiła opuścić moje lokum z firanami pod pachą, zaprotestowałam rozpaczliwie. Naszych firan było za dużo, były zbyt wymyślnie poupinane, a wyprasowanie ich stanowiło mordęgę, wobec której mogłyby polec nawet siły znerwicowanej Beatki. Zdopingowana argumentami, że czyste okna i brudne firany są bardzo źle dobraną kompozycją, poświęciłam noc z czwartku na piątek, by zrobić z tym porządek. Następnego dnia lśniące bielą firanki prezentowały się z wypucowanymi szybami rewelacyjnie. Nawet te w kolorze starego złota w salonie, którym z rozpędu dosypałam do prania wybielacza, przetrwały napad moich wyrzutów sumienia i dały się całkiem sprawnie wyprasować.

Żadnego z tych napadów nie przetrwał za to Łukasz, który na wszelki wypadek zabarykadował się pod pretekstem pracy nad ważnym artykułem w swoim gabineciku i kategorycznie odmówił wydania firan do prania.

— Nie ma mowy — zakomunikował stanowczo podczas czwartkowej scysji, kiedy napędzana szałem Beatki wpadłam do gabineciku i zaczęłam włązić na wąski parapet. — Nieważne, ile tu jest kurzu. Razem z kurzem na tych firankach osadzają się wszystkie moje dobre pomysły. Jak je wypierzesz, nie ma mowy, żebym skończył artykuł przed świętami. Bardzo się cieszę, że lubisz dbać o porządek, ale ja tu pracuję, Behemot usiłuje spać, a Dragon też gdzieś musi odpocząć. Szalejcie sobie z Betty, gdzie chcecie, ale ten ostatni bastion męskiego spokoju proszę mi zostawić w stanie nienaruszonym.

Przez chwilę pomamrotałam pod nosem, że mój szal w tym roku i tak ma wyjątkowo ograniczony zasięg, ale argument terminu oddania artykułu był nie do podważenia. Rozumiałam, że Łukasz pracuje przede wszystkim w domu i że remontowy obłęd nowych sąsiadów i tak już skutecznie utrudnił mu wypełnianie zobowiązań zawodowych. Wycofałam się zatem z ostatniego bastionu męskiego spokoju pokonana, obiecując sobie dorwać się do firanek przy najbliższej możliwej okazji. Opuścić byłoby głupio, bo Beatka wykorzystała wyjazd służbowy Łukasza na początku tygodnia i wtargnęła ze ścierką nawet do gabineciku.

Na widok miotanej negatywnymi emocjami przyjaciółki, popędzana wyrzutami sumienia,

zajęłam się wreszcie realizacją złożonej obietnicy, zastanawiając się jedynie, czy nie byłoby łatwiej i skuteczniej pominąć pierwszy etap akcji rozpracowywania Dareczka i przejść od razu do mordowania. Rezultaty pracy śledczej bowiem wcale mi się nie podobały i aż byłam zniesmaczona własną skutecznością w tym zakresie. Doprawdy, wolałabym nie oglądać tego, co sobie pooglądałam, i nie szukać wymówek, którymi dałoby się zbyć niespokojną Beatkę.

Z drugiej jednak strony nie dostrzegłam niczego, co ostatecznie potwierdziłoby teorię o romansowaniu i szukaniu szczęścia poza małżeńskim stadłem. Sytuacja prezentowała się doprawdy idiotycznie i choć nie miałam dowodów winy Dareczka, gotowa byłam rozszarpać go choćby za sam fakt, że zdołał do tego stopnia sprawę zamotać.

A sytuacja przedstawiała się następująco.

Spotkanie mojego przyjaciela i nowej sąsiadki w parku najwyraźniej nie było dziełem przypadku, bo wtedy musiałabym założyć, że te przypadki mnożą się w tempie przerastającym nawet możliwości królików. Urozmaiciłam sobie trasę treningów w taki sposób, by w obrębie pętli wokół parku znalazły się trzy strategiczne punkty: blok, w którym mieszkali Beatka i Darek, mój własny blok i siłownia na świeżym powietrzu, którą, jak okazało się niedługo potem, Daruś i Sabinka upodobałi sobie jako miejsce spotkań. A spotkania te miały miejsce codziennie. Jeżeli nie spotykałam ich podczas biegania, widywałam oboje, gdy spacerowałam po parku z Dragonem. Czasami biegli kawałek razem, znikając mi potem z oczu, czasami tkwili na przyrządach siłowni, więcej czasu poświęcając na rozmowy niż na ćwiczenia. Innymi słowy, codziennie spędzali we dwójkę trochę czasu.

Ale żadnemu z nich przyłać za to nie mogłam, bo wcale się z tymi wspólnymi wypadami nie kryli. Raz czy dwa zdarzyło się nawet, że dostrzegłszy mnie z piesem, Sabinka machała na powitanie. Darek nie machał, bo, jak znałam życie, nawet mnie nie zauważał. To akurat nie było żadne niezwykle zjawisko.

I co tu z tym fantem zrobić?

Skoro już nagadałam Beatce o nieskomplikowaniu Dareczka i jego braku umiejętności łągania, sama też postanowiłam podejść do sprawy bez zbędnego kręcenia. W piątek pod wieczór okazja nadarzyła się sama.

Biegłam właśnie czwartą rundę wokół parku, tym razem sama, gdyż Łukasz od rana wybył służbowo i zabrał ze sobą Dragona, który oprócz niezwykłych talentów lekkoatletycznych, dysponował niezwykłą aparycją i urokiem osobistym. Uwielbiał też samochody i, co ważne, świetnie prezentował się na ich tle. Wystarczyło jedno czy dwa spotkania z szefem pisma motoryzacyjnego, dla którego pracował Łukasz, by Dragon został gwiazdą sesji zdjęciowych i reklamował najnowsze modele aut. Dziś również pojechał z panem służbowo, więc byłam zmuszona samodzielnie odpracować trening. Ostatecznie mój maraton to jedno, ale sesja zdjęciowa z najnowszym modelem BMW nie zdarzała się codziennie.

Machnęłam ręką na piesa celebrytę i wyruszyłam na trasę sama. Przebiegłam spokojnym tempem cztery rundy, po czym tuż na początku piątej pulsometr zapikał kilkakrotnie, sygnalizując nadmierny skok tętna. Taki sam, jakiego doznawałam za każdym razem, widząc Dareczka z Sabinką.

Tymczasem Dareczek i jego towarzyska z mojego przyspieszonego pulsu niewiele sobie robili. Zajęli oba orbitreki i pedałowali powolutku, rozprawiając o czymś zawzięcie. Oboje wyglądali na bardzo zadowolonych z życia i pewnie dlatego złe we mnie wstąpiło. Zamiast pobiec dalej niezauważona przez roześmiane towarzystwo, skręciłam w stronę siłowni i z wdziękiem wyhamowałam tuż przed nosem Darka.

Jeżeli oczekiwałam nagłego zmieszania, widoku spłonionych ze wstydu twarzy i nerwowego poszukiwania sensownych wymówek, straszliwie się pomyliłam. Oboje winowajcy

rozpromienili się na mój widok i jeszcze bardziej spowolnili tempo pedałowania.

— Dzień dobry, sąsiadko — zawołała Sabinka. — Tak nam nie po drodze z tym wspólnym bieganiem, to może na siłowni się czasem spotkamy! Darek, nie masz nic przeciwko? Moja sąsiadka, Ola, opowiadała ci o niej. Wyobraź sobie, też biega!

— Nie muszę sobie wyobrażać. — Dareczek uśmiechnął się, nieco tylko strapiiony. — Wiem, bo to narzeczona mojego brata. Mają tego wielkiego psa, co w niedzielę przyleciał do nas w parku. Cześć Ola, gdzie masz Dragona? Znowu zwiął?

— Tym razem obowiązki służbowe — wyjaśniłam lakonicznie. Darek wiedział, że mamy psa celebrytę, a Sabinka niech się domyśla, o co mogło mi chodzić. — No cóż, przyjemnie tak się spotkać. Wy tak, zdaje się, często?

— Oj, bez przesady. — Darek nie wyczuł subtelnej szczypty ironii, jaką przyprawiłam pytanie. — Poznaliśmy się podczas treningu, Sabina dużo biega. Startuje w tym samym półmaratonie, ale ma większe doświadczenie. Nie to, co my, debiutanci — westchnął.

— I, jak rozumiem, korzystasz z doświadczenia zaprawionej w bojach koleżanki?

— A owszem. I wreszcie się dowiedziałam, dlaczego tak okrutnie bolą mnie stopy. Po prostu kupiłem buty jak ostatni idiota!

— Było wybrać się po buty razem ze mną i Marcinem — rzuciłam cierpko. — On też doświadczony maratończyk i jakoś z wyborem butów dla mnie sobie świetnie poradził. Żaden problem się spotkać, codziennie widzicie się w pracy.

Darek natychmiast poczuł się zobowiązany wyjaśnić Sabine:

— Kolega z klubu, też wasz sąsiad. Mieszka obok Oli i Łukasza. Pewnie go już widziałaś. Taki duży facet z rudym afro.

Choć charakterystyczny i bardzo trafnie opisany, Marcin najwyraźniej jeszcze nie napatoczył się Sabine.

— Chyba muszę zrobić parapatówkę — postanowiła. — Tylu znajomych do biegania i to tak blisko! Najlepsza okolica, w jakiej mieszkałam!

— Niezła — mruknęłam, coraz bardziej zde gustowana. O co tu chodzi? Czy ona się wygłupia, czy ta znajomość to naprawdę jedynie próba wpasowania się w sportowe towarzystwo z parku? A że nawinął się akurat Darek...

— No cóż, czekam w takim razie na zaproszenie — chrząknęłam. — A teraz się pożegnaj, obiecałam w drodze powrotnej podrzucić Beacie klucze, zostawiła u mnie wczoraj. Chyba że ty weźmiesz? — spojrzałam na Darka.

Na wspomnienie żony Dareczek strapił się nieco bardziej. Idealna okazja dla mnie. Skoro już się tak ochoczo sobie przedstawiamy...

— Beatka to żona Darka, moja najlepsza przyjaciółka. — Uśmiechnęłam się słodko i przewrotnie. — Osobiście świadkowałam na ślubie. Nie biega, ale bardzo lubi rower i chodzi na zajęcia jogi. Mam nadzieję, że tych niebiegających też zaprosisz na parapatówkę?

Nie wiem, z jakimi intencjami Sabinka zawarła znajomość z Dareczkiem, jednak gdyby najmniejsza nawet myśl o romansowaniu powstała w jej głowie, po udzielonych przeze mnie informacjach pojęła, że powinna sprawę solidnie przemyśleć.

— Nie, no jasne — wydukała zbita z pantafyku moją bezczelnością. — Oczywiście, osoby towarzyszące też są mile widziane. Zwłaszcza jeśli lubią sport — roześmiała się nieco sztucznie. — No nic, w takim razie lecę kończyć szorowanie podłóg, nie zamierzam tej imprezy odwlekać w nieskończoność. Pa!

— Pa, pa — pomachałam z satysfakcją, patrząc, jak delikatnym truchtem oddala się w kierunku bloków.

Po czym całą satysfakcję szlag mi trafił.

— Sympatyczna dziewczyna — oznajmił Darek, zerkając za znikającą łanią. — A tak narzekałaś, że masz jakichś strasznie narwanych tych nowych sąsiadów.

— Bo mam — warknęłam, ruszając alejką. — To ta od wiercenia w środku nocy, bądź łaskaw sobie przypomnieć.

— No, trochę nietaktownie — zgodził się Darek. — Ale każdy ma prawo do jakichś tam błędów i wypaczeń. Pójdziemy na tę parapetówkę?

Pik, pik, kolejny niebezpieczny skok tętna. Stanęłam jak wryta i wytrzeszczyłam na Dareczka oczy, z trudem hamując mordercze chęci.

— Czy ty możesz mi w ogóle powiedzieć, co ty wyprawiasz? — syknęłam, wbijając Darkowi w dłoń paznokcie i ściskając odrobinę za mocno. Dareczek wrzasnął, więc na wszelki wypadek wzmocniłam uścisk. — W domu cię prawie nie ma, Beata się martwi, a tu proszę! Latamy po sklepach z nową koleżanką! A potem latamy z nią dookoła parku! Latamy na siłownię! Że ci nogi się w dupsko nie wkręcą od tego latania!

Teraz to Darek z głupią miną wytrzeszczył na mnie oczy.

— Aleksandro, ja nie wiem, o co ci chodzi — zasapał. — Zaczepiła mnie któregoś dnia, bo zauważyła, że źle stawiam jedną nogę. Pogadałem z nią, wytłumaczyła mi, co robię nie tak i udzieliła fachowej porady. A że jest nowa na osiedlu i szukała towarzystwa do biegania wieczorem, to co? Przecież i tak biegam!

— I jak ostatni osioł dajesz się podrywać!

— O, wypraszam sobie — zatchnął się Darek. — Żadnego podrywania. Tylko bieganie. Aleksandro, stanowczo przesadzasz.

— No dobra, nawet jeśli nie podryw w obie strony, to przynajmniej w jedną — prychnęłam, bo święte oburzenie w głosie Darka dało mi nieco do myślenia. — Ona cię podrywa. Przeliterować?

— Nie musisz — burknął Darek, do którego wreszcie dotarł sens mojej wypowiedzi. — Może i podrywa, ale to nie znaczy, że ja się temu podrywaniu poddaję. To blondynka. Brzydsza od Beaty. I biust ma jakiś taki nienaturalny. Zresztą, chyba zwariowałem! — wrzasnął nagle poirytowany. — Z czego ja ci się tłumaczę?! Jestem, do cholery, żonaty! I żonę kocham!

— Żonie to powiedz — wymamrotałam strapiona. Wyglądało na to, że podryw był naprawdę jednostronny, a Dareczek, jak to Dareczek, nie ogarnął tego, co się działo dookoła. Że jest podrywany, również nie. Mogłam zatem założyć, że jest na podryw odporny. Zwłaszcza, jeżeli chodzi o blondynki. Darek bowiem odziedziczył po ojcu wyjątkowe upodobanie do kobiet o rudych włosach.

Tymczasem Darek jeszcze kilkoma gniewnymi sapaniami dał mi do zrozumienia, co sobie myśli o moich spiskowych teoriach.

— Nic nie poradzę — oznajmił w końcu. — Jak mam ten maraton biec, to muszę trenować. Myślałem, że Betty to rozumie.

— Betty najpierw musiałaby to wiedzieć. Powiedziałaś jej chociaż, że to treningi aż tak cię absorbują?

— No jak to? — znieruchomiał Darek. — A ty jej nie powiedziałaś?

— A skąd ja mogłam wiedzieć, że ty jej nie powiesz? — załamalam rękę. — Ja w domu melduję za każdym razem, że idę biegać i o której zamierzam wrócić. Łukasz inaczej mnie nie wypuści, bo twierdzi, że musi wiedzieć, o której zacząć szukać moich zwłok, gdybym zechciała jednak paść na zawał!

— O kurde — jęknął Darek. — O tym nie pomyślałem. O tych zwłokach! Olka, leczę! Gdzie tu jakaś kwiaciarnia jest?

Machnęłam beznadziejnie ręką we właściwym kierunku i zdołałam jeszcze wcisnąć

Darkowi do kieszeni zapomniane klucze i dziesięć złotych na ładną różyczkę.

Dopiero później przypomniało mi się, że taka różyczka może zostać zinterpretowana jako oznaka wyrzutów sumienia i przyznanie się do winy.

„Trudno”, pomyślałam. Najwyżej Beata zadzwoni za jakąś godzinkę i będzie trzeba pomyśleć o stosownym miejscu ukrycia zwłok.

* * *

Tymczasem w sobotę wieczorem Dareczek nadal żył, co stwierdziłam z ulgą, wracając z Łukaszem z wizyty u moich rodziców. Wczesnym rankiem w niedzielę wyruszyli w góry do ciotki, która na okres wielkanocny zamykała swój pensjonat w Karpaczu dla gości i otwierała dla spragnionych rzeńskiego, górskiego powietrza członków rodziny. Pensjonat przeżywał prawdziwy najazd, gdyż rozsiana po całym kraju familia zbierała się u ciotki, najczęściej przedłużając pobyt do kolejnego weekendu po świętach. Zgodnie z tradycją ciotka razem z moimi rodzicami planowała zaimportować i mnie, w razie potrzeby również z osobą i zwierzętami towarzyszącymi, jednak z kilku powodów wycieczka do Karpacza w tym roku mi nie odpowiadała. Po pierwsze, nie zamierzałam zostawiać Beatki z jej małżeńskimi rozterkami. Należało również pilnować Dareczka, by kolejnymi gafami nie pogłębił kryzysu, jak widać chwilowo zażegnane dzięki kwiatkowi zakupionemu za pożyczoną ode mnie dychę. Nie miałam również ochoty na wielki rodzinny spęd, podczas którego udaje się wielką miłość do widywanych raz na sto lat członków rodziny. No i pozostawał problem zwierząt. O ile Dragona zdołalibyśmy bez problemu przekonać do wycieczki w góry, Behemot zafundowałby nam istne piekło już przy próbie przewiezienia do rodziców Łukasza lub do Beatki i Darka. Ta druga opcja odpadała również ze względu na hodowane przez Dareczka od lat rybki akwariowe. Rok temu jedną z nich na moich oczach pożarł Dragon. Wolałam nie myśleć, jakiej masakry mógł się dopuścić młody, zwinny i pełen energii łowieckiej kot. Byłam niechętna także ciągnięciu do Karpacza piesa. I to bynajmniej nie dlatego, że mogłby przynależnością do potencjalnie groźnej rasy wystraszyć członków szacownej rodziny. Obawiałam się raczej, że niektórzy z członków rodziny (a właściwie całkiem spora grupa) przybędą z dziećmi w wieku od niemowlęcego do gimnazjalnego, nadmiernie skłonni do nawiązywania kontaktów z towarzyskim, wesołym zwierzakiem. Wydać Dragona na pastwę tej radosnej gromadki — to nie wchodziło w ogóle w grę.

Wszystko to w miarę możliwości dyplomatycznie wytłumaczyłam rodzicom podczas sobotniej wizyty i ostatecznie odmówiłam leczenia na złamanie karku do domu, by się spakować i tuż po czwartej nad ranem wyruszyć w trasę do Karpacza. Bóg mi świadkiem, z ciężkim sercem rezygnowałam z górskiego powietrza i spacerów ulubionymi szlakami, jednak świadomość, że wśród rodzinnej kołomyi i tak bym sobie z Łukaszem sam na sam za dużo nie powędrowała, bardzo ułatwiła mi podjęcie decyzji. Do ciotki obiecałam zadzwonić i odwiedzić ją w bardziej sprzyjającym okresie — kiedy w pensjonacie przestanie się kłębić tłum znanej tylko z fotografii rodziny. Na przykład w długi majowy weekend.

— Przyda mi się zaprawa w górach przed maratonem. Treningi wysoko w górach bardzo podnoszą wydolność — oświadczyłam Łukaszowi, gdy zmierzaliśmy do domu, dyskutując o możliwości spędzenia u ciotki urlopu.

Łukasz góry również lubił i chętnie przystał na pomysł wspólnego podnoszenia wydolności.

— O zobacz, Daro też podnosi wydolność — zachichotał, podjeżdżając na parking, gdy w

prowadzącej ku parkowi alejce zamajaczyła znajoma sylwetka.

Natychmiast nerwowo wyteżyłam wzrok, rozglądając się po parkingu. Cóż, wyglądało na to, że Darek tym razem pracował nad swoją wydolnością sam. Przemknęło mi przez myśl, że może jednak powinien potrenować pomaganie Beacie w kuchni, jednak szybko machnęłam ręką. Pomysł był głupi. Płatanie się pod nogami jednostek niekompetentnych w kuchni nie było w przypadku Beatki mile widziane. Zadowolona, że choć tym razem nie bruździ mi Sabinka, wysiadłam z auta i pomogłam Łukaszowi wypakować świąteczne wypieki, którymi hojnie obdarowała nas mama.

— A ty możesz jeść te takie? — zainteresował się Łukasz, usiłując za jednym zamachem zabrać wszystkie siatki z jedzeniem.

— Te takie tak, tych tamtych nie — udzieliłam enigmatycznej odpowiedzi, bo chwilowo zaprzętałam mi głowę inny problem. Pięć toreb z jedzeniem bylibyśmy w stanie zabrać na raz, gdyby nie konieczność niesienia ich bardzo ostrożnie. Z braku plastikowych pojemniczków, które wyjeżdżały razem z rodzicami, mama upchała prowiant dla nas w dość łatwe do potrzaskania przez nieuwagę naczynia. Optymalnym rozwiązaniem było wnieść cztery i wrócić później po piątą.

— Dobra. I tak muszę wynieść śmieci — westchnął zrezygnowany Łukasz. — Bierzemy to, potem wrócę po resztę sam.

Noszenie ciężkich toreb przez mężczyznę było mi bardzo na rękę, choć przy swojej kondycji spokojnie poradziłabym sobie i z większym ciężarem. Gdy dotarliśmy na górę, zajęłam się wypakowaniem toreb i nakarmieniem zwierzaków, z przyjemnością obserwując, jak Łukasz sam z siebie mobilizuje się do wyniesienia śmieci. Rzadko zdarzało się, by zechciał to uczynić bez przypominania i gorzkich wyrzutów, choć od kiedy zlikwidowałam zawieszony nad kubłem odświeżacze do samochodu, częstotliwość wyrzucania w męskim wykonaniu znacząco wzrosła.

Zwierzyzna, zajęta zawartością misek, dała spokój przytarganym siatkom, więc mogłam swobodnie kręcić się po kuchni, rozpakowując świąteczne przysmaki i upychając je w lodówce i zamrażalniku. Uporałam się z zadaniem dość szybko, po czym, korzystając z nieobecności Łukasza, krótko poinformowałam Beatkę o wynikach akcji śledczej. Nie wiem, jak dalece uspokoiły ją uzyskane informacje, jednak bardzo wątpiłam, by w zupełności odzyskała spokój ducha. Fakt podrywania męża przez atrakcyjną blondynkę zawsze jest wysoce niepokojący, nawet jeżeli mąż tkwi w błogiej nieświadomości i ignoruje podrywającą go jednostkę. Miałam nadzieję, że uświadomiony przeze mnie dość brutalnie Darek jednak zdecydował się zniechęcić Sabinę i powrócić do samotnego uskuteczniania galopów wokół parku. Tak przynajmniej wyglądało to dzisiaj wieczorem.

„I bardzo dobrze, niech sobie Sabinka innych wyczynowców podrywa”, pomyślałam z satysfakcją i dopiero zakończywszy wątek niedoszłego romansu Darka i mojej sąsiadki, zerknęłam na zegar.

Zaraz, zaraz. Rozpakowałam jedzenie. Rozmawiałam z Beatką. Medytowałam nad powodem, dla którego Dareczek biegł dzisiaj sam.

A Łukasz przez ten cały czas wynosił śmieci. Na miły Bóg, toż to chyba do śmietnika pod blokiem Dareczka poleciał, nasz oddalony był od domu o dwie minuty!

Nerwowym krokiem ruszyłam do okna. Może coś z tą ostatnią siatką? Potrzaskał salaterkę z sałatką i upaprał tapicerkę w aucie? Zgubił kluczyki do samochodu? Nie, o tak ułańską fantazję podejrzewałabym Dareczka. Ale grzebanie przy aucie nie było znów takie nieprawdopodobne... Zaraz, z balkonu widać parking, zostawiliśmy samochód gdzieś blisko...

Zgodnie z przewidywaniami widok na parking, hondę Łukasza i śmietnik miałam z balkonu doskonały.

Podobnie jak na Łukasza, który właśnie utknął w połowie drogi do domu.

Razem z cholerną Sabinką.

Najwyraźniej Sabinka dysponowała bogatym arsenałem kobiecych metod na podryw i interesowali ją nie tylko faceci w typie sportowych zapaleńców.

Nie wyskoczyłam przez balkon tylko z powodu kota Behemota, który właśnie skończył jedzenie i uznał za stosowne wleźć mi na plecy, by trochę się poprzytulać. Teoretycznie mogłabym z kotem skutecznie przyczepionym do karku wyruszyć w bój o ukochanego, jednak wyprawa zakończyłaby się klęską już przy pierwszej próbie wyjścia za drzwi. Wydrapane oczy, lejąca się z czoła oraz policzków krew i wrzeszczący wniebogłosy, wczepiony we mnie pazurami kocur... Nie, takich atrakcji mi nie trzeba, atrakcje już mi zdążyła zafundować taka jedna i to w nadmiarze! Wybrałam zatem opcję polegającą na przejściu do przedpokoju, usadowieniu się na szafce z butami i bardzo spokojnym oczekiwaniu, aż wyprawa Łukasza do śmietnika dobiegnie końca.

Bardzo spokojne czekanie przerywane było od czasu do czasu zgrzytaniem zębów, bo wyglądało na to, że operacja „śmieci” potrwa przynajmniej w nieskończoność, jeżeli nie dłużej. Kiedy więc wreszcie zamek w drzwiach szczęknął, przedpokój wypełniały opary mojego spokoju, który uleciał bezpowrotnie i unosił się w tej chwili gdzieś w okolicy sufitu.

Tymczasem Łukasz żadnych oparów nie zauważył. Zadowolony wszedł do mieszkania i wręczył mi ostatnią siatkę.

— Co tu tak siedzisz? — zainteresował się.

— Martwię się o sos do tej sałatki — oznajmiłam cierpko. — I o rybę, która zdążyła się już chyba totalnie rozmrozić.

— Oj tam, przez tę chwilę w samochodzie nic się jej nie stało. — Łukasza los mrożonego łososia na poniedziałkowy obiad mało chwilowo obchodził. — Włóżysz po prostu do lodówki, rozmrozi się do końca i zabierzemy do rodziców. Będzie na kolację. To chyba raczej ty potrzebujesz rozmrożenia — mrugnął filuternie. — Aż tak cię zmroziło na myśl o rozmrożonej rybce? Ola, przecież to drobiazg...

Normalnie powitałabym delikatny masaż karku z zadowolonym pomrukiem, jednak gdy teraz Łukasz podszedł, układając dłonie na moich ramionach, rozgrzała mnie raczej złość.

— Na przyszłość nie życzę sobie ponosić strat materialnych ani moralnych na rzecz obcej baby, z którą tkwiłeś pod klatką pół godziny! — fuknęłam. — Nawet jeżeli chodzi tylko o rybę!

Choć bracia Nawroczy rodzonymi braćmi nie byli, rodzinnego podobieństwa żaden nie byłby w stanie się wyprzeć. Na obliczu Łukasza zagościł ten sam wyraz zbarania, który obserwowałam u Dareczka na wieść o skutecznianych przez Sabinę podrywach.

— Ale to żadna obca baba — wymamrotał wreszcie zdumiony. — To nasza sąsiadka od remontów, zakładam, że skoro u niej byłaś, to ją znasz. Zresztą mówiła, że zdążyłyście się zaprzyjaźnić. Ale słuchaj, lepszy numer! To jest moja koleżanka z pracy! Jeszcze ze Stanów!

O, no proszę! Może jeszcze pierwsza miłość! Potężne zgrzytnięcie wydobyło się spomiędzy moich zębów, zanim zdążyłam o nim choćby pomyśleć. Drugie wyprodukowałam już świadomie na myśl, co też Sabinka naopowiadała Łukaszowi o tej naszej przyjaźni.

— Koleżanka z pracy — sarknęłam. — To cię niby usprawiedliwia?

— Że co? Że spotkałam ją na parkingu i chwilę pogadaliśmy?

— Czterdzieści pięć minut!

— Chryste, no i co? Zaprasza nas na parapetówkę za dwa tygodnie i bardzo się cieszy, że ma już znajomych w nowym miejscu. Daj spokój, to sympatyczna dziewczyna i bardzo wysportowana, powinnaś się z nią szybko dogadać. Nie pojmuję, co to za foch!

— Ano taki, że rozmroziłeś przez nią rybę — nadąsałam się. — I w ogóle nie lubię, jak

faceci trzymają się za blisko swoich koleżanek. Już raz się na takiej przyjaźni przejechałam, doskonale o tym wiesz!

— Ale Oleńka! Czy ja ją do domu podwożę codziennie? Latam z nią na zakupy i jestem na każde gwizdnięcie? Wszystko wiem, pamiętam, jakie miałaś przeboje z Krzychem, ale tylko z nią chwilę pogadałam pod blokiem! Dziewczyno, czego to niby dowodzi twoim zdaniem?

— Że świat jest stanowczo za mały — wymamrotałam i postanowiłam w imieniu swoim i rozmrożonej przedwcześnie ryby obrazić się do końca wieczora.

* * *

— O, zdecydowanie. Za mały. Cholernie, paskudnie, obrzydliwie za mały — poświadczyła następnego dnia rano Beatka, zawzięcie mieszając posoloną wodę, w której za chwilę miały wylądować jajka do ugotowania.

Patrzyłam na jej poczynania z powątpiewaniem, niepewna, czy merdanie łyżką gorącej, lekko osolonej wody przyspieszy proces gotowania jajek. Sama, bez względu na informacje podawane w przepisach i przez bardziej kompetentne osoby, z uporem trzymałam je we wrzącej kąpeli przynajmniej przez piętnaście minut. W przeciwnym razie po obraniu ze skorupki okazywały się miękkie i niezdatne do dekorowania lub wykorzystania w sałatkach.

Z tym większym niepokojem patrzyłam na ręce Beatce, która wrzuciwszy pięć jajek do wrzącej wody, usiłowała wydobyć je po kilku sekundach.

— Chyba jeszcze je zostaw — zauważyłam delikatnie. — W takim tempie nie ścięłyby się nawet na patelni.

— Tylko mieszam — wyjaśniła z uporem Beatka. — Mieszać mi nie wolno? Znam takich, którym gorsze mieszanie uchodzi na sucho. Och, przepraszam. Nie takich. Takie — poprawiła z naciskiem.

Przygotowanie świątecznego śniadania chwilowo bardziej przypominało naradę wojenną. Prowadzoną wprawdzie ukradkiem, bo na inną nie bardzo mogłyśmy sobie pozwolić. Zgodnie z umową, o ósmej rano przyjechałam po Beatkę i razem ruszyłyśmy do domu państwa Nawrockich, pomóc pani Elizie w kuchni. Trochę do zrobienia nam jeszcze pozostało, poza ugotowaniem nieszczęsnych jaj i wyłożeniem jedzenia na ozdobną zastawę należało doprawić zupę chrzanową i dokończyć deser. W międzyczasie mogłyśmy zająć się utyskiwaniem na mieszanie i mącenie w głowach naszym mężczyznom. I na mężczyzn, którzy jak ostatnie barany pozwalali na to mącenie...

Tymczasem mężczyźni tkwili w błogiej nieświadomości co do naszych bojowych nastrojów. Obaj byli świadomi, że jesteśmy lekko niezadowolone. A przynajmniej Łukasz, któremu po wieczornej scysji ostentacyjnie powiedziałam dobranoc i zamiast tradycyjnie poczekać, aż też zacznie szykować się do snu, położyłam się tuż po dziesiątej. Dla nieobeznanych z naszymi zwyczajami być może taka manifestacja focha wyglądałaby na niegroźną. Cóż bowiem za problem, gdy kobieta kładzie się wcześniej spać? Żaden, przynajmniej przez kilka sekund, których potrzebowały nasze zwierzaki, by zorientować się, że czas do łóżka. Pierwszy zazwyczaj przyłaził Behemot, który z upodobaniem mościł tyłek na wolnym kawałku poduszki, a w razie prób przesunięcia wbijał pazury w pościel, miaucząc i prychnąc w świętym oburzeniu. Następnie na horyzoncie zjawiał się Dragon i zajmował pozostałą przestrzeń. Zatem jeśli położyliśmy się jednocześnie, istniała szansa, że uda się całkiem wygodnie ułożyć. Biada natomiast temu, kto kładł się spać ostatni. Zastawał w sypialni słodki obraz, w który jednak nijak nie dawało się samemu wkomponować. Idąc do łóżka dużo wcześniej niż Łukasz, miałam

mściwą satysfakcję, że pozostanie mu gimnastykować się w przedziwnych pozycjach, by wcisnąć się na posłanie, albo skapitulować od razu i przenieść się na sofę.

„Tak jak na przykład tym razem”, pokiwałam głową, budząc się rano w otoczeniu chrapiących błogo kota i psa. Inne, głośniejsze i znacznie mniej rozkoszne chrapanie dobiegało z salonu i znamionowało bardzo ciężką noc. Zwłaszcza że Łukasz został zmuszony spać bez poduszki i pod kocem, własnej pościeli bowiem nie zdołał wydobyć spod upartych zwierzaków.

„No trudno”, wzruszyłam ramionami, nadal jeszcze mocno zła o wczorajsze pogawędki z Sabinką. Przeszło mi przynajmniej na tyle, że byłam skłonna nie zwlekać Łukasza z sofy godzinę przed budzikiem. O siódmej musiałam wstać ja, by razem z Beatką zająć się przygotowywaniem wielkanocnego stołu.

Gdy więc tuż przed dziesiątą Darek i Łukasz dotarli do domu rodziców, byliśmy w połowie zabawy z dekoracją jedzenia i miałyśmy aż nadto czasu, by snuć wojenne plany. W kuchni siedziałyśmy same, gdyż Nawrocscy szykowali się, by, jak w każde święta, rozpocząć dzień od wizyty na cmentarzu, na którym pochowano siostrę pana Antoniego i zarazem matkę Łukasza, Alicję. Pani Eliza, bardzo związana ze szwagierką, oraz Darek, który przez lata przywykł traktować Łukasza bardziej jak brata niż kuzyna, również brali udział w świątecznych wizytach na grobie Alicji. Wolałyśmy z Beatką na ochotnika zgłosić się na kuchenny dyżur, niż uziemić panią Elizę w kuchni i uniemożliwić jej wyjazd na cmentarz. W rezultacie miałyśmy jeszcze mniej więcej godzinę czasu na dokończenie roboty w kuchni, przebranie się i wymyślenie, jak usunąć z męskiego pola widzenia blond włosy i obfity biust Sabinki.

Wypadało również wymyślić, jak w międzyczasie ubić śmietanę na biszkopt, którego panowie bez względu na nasze dietetyczne pomysły odpuścić nie zamierzali.

— Ja nie biegnę żadnych maratonów, ja muszę mieć siłę, żeby kibicować — oznajmił stanowczo pan Antoni, gdy nieśmiało zaproponowałam rezygnację z kolejnej bomby kalorycznej, na myśl o której żołądek samoistnie owijał mi się wokół kręgosłupa i zawiązywał na pętelkę.

— Ja na co dzień ograniczam puste kalorie — pouczył mnie Daruś. — Są święta, można podciągnąć pod *cheat day*.

— A ja jestem ogólnie wysoki, chudy i mi wolno. — Łukasz uśmiechnął się bezczelnie, utwierdzając mnie w przekonaniu, że faceci są beznadziejni i słusznie wykopałam go przy pomocy zwierzaków z łóżka.

Nie pozostało nic innego, jak przygotować dla nich cholerny biszkopt i jak najdalej odwlec chwilę ciężkiej próby, jaką było dla mnie zrobienie kremu. W całym bowiem tortowym wariactwie o samo ciasto chodziło mi najmniej. Stanowiło tylko zbędny dodatek do kremów, polew i cukrowych perełek, kuszących delikatnym smakiem. Z rozpaczą przyjąłam do wiadomości, że i tym razem zostanę wystawiona na najgorszą z możliwych pokus, zwłaszcza że ciasta z kremem na bitej śmietanie potrafiłam zrobić tylko ja. I nikt nie zamierzał mnie wyręczać. Pani Eliza, po nieudanych eksperymentach zakończonych wylaniem dziesięciu kubeczków różnego rodzaju śmietan, kategorycznie odmówiła zmarnowania kolejnej. Beatka, dla której bita śmietana stanowiła od zawsze istny dopust boży, zaoferowała się zrobić całą resztę.

— Mogę spróbować. — Wzruszyła ramionami, szykując mikser. — Ale się boję. Nigdy mi śmietana nie wyszła. Najwyżej zrobię awaryjny krem. No chyba że ty ubijesz. Ty umiesz.

„Umiem”, sarknęłam w duchu, „dwa razy w życiu robiłam i przez przypadek mi wyszło”. Nikt nie powiedział, że fart zadziała i tym razem. Z ciężkim sercem przelałam śmietanę do wysokiego naczynia i odstawiłam jeszcze na chwilę do lodówki.

Ponieważ wygłupy ze śmietaną zamierzałyśmy skutecznie jeszcze w roboczych ciuchach, a stół czekał już właściwie nakryty, nie pozostawało nic, co dałoby radę oderwać nas od ponurych rozważań.

— Myślisz, że to da radę? — spytała po chwili Beatka, pociągając smętnie nosem.

— Co? — mruknęłam gniewnie, bo zarówno sytuacja w naszych związkach, jak i wystawienie na kremową pokusę doprowadzało mnie powoli do szału. — Ubić śmietanę?

— Ubić tę cholerną Sabinkę...

— Myślisz, że to trzeba od razu aż tak drastycznie?

— Wolę morderstwo niż rozwód.

— W sumie...

Sama chyba również byłam bardziej skłonna popełnić morderstwo i żyć potem u boku ukochanego mężczyzny długo i szczęśliwie. Pytanie brzmiało, czy byłibyśmy w stanie tak popełnić zbrodnię, by to długo i szczęśliwie nie upłynęło nam za kratkami.

Na rozważanie sposobów popełnienia zbrodni doskonałej zabrakło nam jednak czasu, gdyż hałas przed domem obwieścił powrót Nawrockich z cmentarza.

— Zostawmy na razie Sabinkę — zaproponowałam niechętnie. — Nie chcę zmuszać pani Elizy, żeby musiała potem kłamać przed sądem. Bierzemy się do roboty.

— Głupia jesteś, od razu zakładasz, że nas złapią...

— To po cholereż zakładasz, że będziemy musiały mordować?

— Bo coś z tym trzeba będzie w końcu zrobić — oświadczyła stanowczo Beatka i wyciągnęła z lodówki wymagającą doprawienia utartym własnoręcznie chrzanem zupę.

— A z czym zrobić? — zainteresował się natychmiast Darek, który wsadził głowę do kuchni i chyba czekał na ciepłe powitanie.

Ale zamiast czule powitać męża, Beatka zabalgotowała gniewnie i z impetem wytrząsnęła do zupy całą zawartość słoiczka z chrzanem.

Łukasz jeszcze nie zdążył pojawić się na horyzoncie, więc sama jako tako trzymałam nerwy na wodzy.

— Nie tyle, on jest ostry jak piorun — rzuciłam niespokojnie w kierunku Beatki, która z ponurą miną mieszała teraz jednocześnie w dwóch garnkach, przy czym tylko mieszanie w garnku z zupą było uzasadnione. Jajek mieszać już chyba nie było potrzeby, wypadało je natomiast w miarę szybko wyjąć, bo przez pół godziny zdążyły się ugotować nie tylko na twardo, ale i na kamień.

Powierzenie przyprawiania czegokolwiek wścieklej kobiecie nie było dobrym pomysłem, stwierdziłam, bo pozbawiona garnka z jajkami Beatka całą energię skupiła na chrzanie. Właśnie otwierała drugi słoiczek z zamiarem dorzucenia zawartości do nieszczęsnej zupy.

— Betty, spróbuj najpierw i porządnie wymieszaj — ostrzegłam przyjaciółkę. — Przechrzanisz i nawet litr śmietany tego nie uratuje.

— Tej bitej? — wtrącił się Darek, który nadal tkwił w przejściu między kuchnią a przedpokojem, czując, że kwiatek jednak nie załatwił sprawy i Beatka nadal jest mocno niezadowolona.

Głupie pytanie Dareczka przyniosło ten efekt, że przypomniałam sobie o czekającej w lodówce śmietanie. Wyciągnęłam z szafki mikser, podłączyłam do gniazdka i sięgnęłam po przygotowane produkty. Śmietan-fix dwa razy, dwie łyżki cukru pudru, jeszcze tylko śmietana...

Tymczasem Dareczek moje poczynania zrozumiał bardzo opacznie.

— Dziewczyno, ja nie wiem — mruknął, patrząc, jak wydjmuję z lodówki śmietanę — ale taka słodka do chrzanu to tak za bardzo nie pasuje... Może najpierw wymieszaj bez tej śmietany... Bo będzie do chrzanu — zachichotał, zadowolony z dowcipu.

Marudzenie męża w niełasce to było więcej, niż mogła znieść zazwyczaj spokojna i łagodna Beatka. Rzuciła Darkowi mordercze spojrzenie.

— Do chrzanu to są tylko faceci! — wrzasnęła i zanim zdołałam ją powstrzymać,

chwyciła przygotowany przeze mnie mikser...

Chóralny wrzask rozdarł powietrze, gdy chrzanowa fontanna trysnęła w górę, zalewając pół kuchni, łącznie z sufitem i znajdującymi się w pomieszczeniu ludźmi.

— O rany boskie — jęknęłam, wyrываяc Beacie z rąk narzędzie zniszczenia i w popłochu rozejrzałam się dookoła. — O rany boskie...

Wymieszana mikserem na najwyższych obrotach zupa chrzanowa była dosłownie wszędzie. Ściekała ze ścian i własnoręcznie wyszorowanych przez Beatkę okien. Upstrzyła malowniczymi plamami białe firanki i zasłonki w kolorze groszkowym, które pani Eliza miała zwyczaj wieszac, gdy na dworze robiło się ciepło, a pierwsnoski w ogródku zwiastowały koniec zimowej pluchy. Twierdziła, że delikatne, lekkie, drapowane zielone zasłonki wnoszą powiew świeżości do znajdującej się po północnej stronie budynku i dość ciemnej kuchni. Potężne kichnięcie Darka świadczyło o tym, że dziś wniosły także powiew znakomicie oczyszczającego zatoki świeżego chrzanu.

— No, Betty, zdaje się, że trochę schrzaniałaś to nabożeństwo — wymamrotał Darek, rozglądając się po pomieszczeniu. — Matko Boska, ja tu nie wchodzę... Wszędzie chrzanowe kałuże, potem będzie na mnie, że wlałem i rozniosłem po całym domu...

Zrozpaczona próbowałam oszacować rozmiar zniszczeń i liczbę osób potrzebnych do ogarnięcia tego bałaganu. Należało jak najszybciej zetrzeć chrzanowe plamy ze ścian i sufitu, umyć podłogę i zmotywować Beatkę do przygotowania awaryjnego kremu do ciasta. Ubijać śmietany nie było sensu, stwierdziłam, zaglądając do naczynia, w którym we właściwym składniku pływały kłaczki chrzanu.

— Ani kroku dalej! — syknęłam, widząc manewry Dareczka zmierzające do wycofania się cichaczem z kuchni. — Stój! Masz tu papierowe ręczniki, zabezpiecz wejście do kuchni i wytrzyj podłogę! A potem ją umyj! I pilnuj, na miłość boską, żeby nikt nie zobaczył tej apokalipsy!

O to ostatnie było najłatwiej, gdyż, jak wyjaśnił Darek, państwo Nawrockcy z Łukaszem pojechali po seniorów rodu. Wsadzenie ich do samochodu i przyjazd zazwyczaj zabierały sporo czasu, gdyż babcia Janeczka, pomimo reumatyzmu i kategorycznych zakazów lekarza, nie zamierzała rezygnować ze szpilek. Przynajmniej w święta.

— Trzy rzeczy robiłam przez całe życie i robić do śmierci będę — upierała się. — Malować brwi, palić papierosy i chodzić na szpilkach. Proszę mnie pochować również w tej wersji.

Rychły pogrzeb wprowadzie tej krzepkiej, upartej staruszce póki co nie groził, jednak włożenie szpilek na opuchnięte nogi, zejście z półpiętra i dotarcie do samochodu wymagały czasu. Podobnie zresztą jak wypalenie papierosa, gdyż w domu Nawrockich palenie było bardzo niemile widziane. Nie chcąc robić synowej kłopotu, babcia wypalała satysfakcjonującą ilość tytoniu na ławeczce przed domem, celebując ukochany nałóg i beztrąsko lekceważąc młodsze pokolenie, które trenowało cierpliwość, ukradkiem zezując na zegarki.

Cała ceremonia przyjazdu seniorów trochę trwała i choć normalnie burczelibyśmy już, że jesteśmy głodni i chcemy jeść, tym razem zgodnie zmówiliśmy modlitwę dziękczynną do niebios, które litościwie zesłały babcine nałogi.

Posprzątanie kuchni wzięłam na siebie, angażując do pomocy opierającego się Darka, Beatkę zaś wysłałam czym prędzej do łazienki, gdyż znajdując się bezpośrednio w polu rażenia, miała chrzan we włosach, na twarzy i całej, roboczej na szczęście odzieży. Gruntowny prysznic był koniecznością, zwłaszcza że chrzanowa katastrofa pokazała mi wystarczająco, w jaki stopień zidiocenia może popaść nawet tak inteligentna i opanowana osoba, gdy jej szczęśliwe dotąd małżeństwo przechodzi niespodziewany kryzys. Postanowiłam trzymać przyjaciółkę jak najdalej

od kuchni, przynajmniej do chwili, gdy sytuacja zostanie opanowana i będę mogła osobiście nadzorować ucieranie awaryjnego kremu.

Wystraszony morderczym błyskiem w moich oczach i nagłą furią kochanej, spokojnej żony, Daro zrozumiał, że nie czas na manifestacje męskiej nieudolności w zakresie sprzątanania. Sprawnie wytarł podłogę i zabrał się za mycie ścian, od czasu do czasu zerkając na podjazd.

— Ja nie wiem, co oni robią tyle czasu, ale chwala im za to — sapnął. — Aleksandro, co z tym oknem?

Bez słowa rzuciłam mu resztkę ręczników papierowych i płyn do mycia szyb.

— Delikatnie — warknęłam. — I do połysku. Szlag, nieważne, co robią, firanek i zasłon przez ten czas nie wypiorę! Najlepiej niech przyjadą dopiero na obiad!

— Ojoj — zmartwił się Darek, bo z podjazdu wyraźnie usłyszeliśmy pomruk silnika. — Za późno...

W panice rzuciłam okiem na kuchnię. Gdyby nie plamy, którymi były upstrzone firanki i zasłony oraz drażniący zapach chrzanu, który za diabła nie chciał wywietrzeć, nie wyglądałoby tu nawet tak najgorzej.

— Dobra, dawaj tę szmatę — wyrwałam Darkowi z rąk ścierkę. — Resztę zrobię sama. Leć do Beaty, niech się szykuje!

— A ty?

— Ja do szykowania za dużo nie mam — powiedziałam stanowczo, gratulując sobie w duchu, że przewidująco zrobiłam makijaż i fryzurę przed wyjściem z domu. Teraz wystarczyło zmienić dres na elegancką kieckę. — Zjeżdżaj mi stąd!

Ogarnięta desperackim szalem na tle doprowadzenia kuchni do porządku, musiałam wyglądać naprawdę groźnie, bo Dareczek zrezygnował z dyskusji. Czym prędzej udał się w kierunku przedpokoju, chcąc jak najszybciej ulotnić się z mojego pola widzenia. Nie wziął jedynie poprawki na ręczniki papierowe, którymi usłana była kuchnia, a w szczególności umyta podłoga, którą za wszelką cenę chciałam uchronić przed kolejnymi plamami. Metoda skuteczna, choć nie gwarantowała utrzymania się na nogach nawet w przypadku ostrożnego stawiania stóp. Wziąwszy zatem rozpęd, Darek pojechał na pierwszym lepszym ręczniczku niczym na deskorolce. Tyle że w sposób niekontrolowany. I zakończony dość dramatycznie, bo chcąc odzyskać równowagę, złapał się pierwszej rzeczy, jaka mu się nawinęła. Czyli zasłonki, która natychmiast zsunęła się malowniczo z karnisza, w żaden sposób nie hamując pędu Dareczka ku glebie. Szczęśliwie nie była skutecznie przypięta i oszczędziła nam dodatkowych atrakcji.

— O rany... — jęknęłam, dopadając Dara, który z impetem usiadł na podłodze, klnąc i usiłując wyplątać się ze zwojów materiału, które spadły mu na głowę. — Wybacz, nie mamy czasu na obdukcję. Jeżeli coś sobie połamałeś, musisz wytrzymać do wieczora! A teraz wio! Wpuść do domu rodzinę, ogarnij Beatkę i sprawdź, na miłość boską, co się tam znowu dzieje! — zażądałam, gdyż z przedpokoju wraz z głosami Nawrockich dobiegały podejrzenie niepokojące dźwięki.

Jeszcze bardziej zaniepokoił mnie fakt, że dźwięki te brzmiały podejrzenie znajomo...

Zamiast ratować to, co było jeszcze do uratowania i chociaż zacząć ucieranie awaryjnego kremu, zastygłam ze szmatką w jednej i zasłonkami w drugiej ręce. Na miłość boską, co tutaj miauczy?

Radosny okrzyk Darka i szamotanina w przedpokoju wytrąciły mnie z chwilowego stuporu, w jaki popadłam, słysząc wydzierającego się wniebogłosy kota. Jeszcze przed sekundą byłam w stanie przypuszczać, że być może gdzieś po drodze napatoczyło się nieszczęsne, porzucone, bezdomne zwierzę, które Nawrocky w ramach dobrego uczynku postanowili ocalić. Ten kot jednakże wrzeszczał w sposób wyrażający raczej wściekłość niż wdzięczność za

uratowanie. Okrutną wściekłość. Piekielną. Taką, jaką miał zwyczaj wyrażać Behemot wpakowany wbrew swej woli do transportera.

Z jękiem wyprysła z kuchni, akurat w momencie, gdy czarna, wściekła błyskawica z najeżonym dla lepszego efektu futrem wystrzeliła z trzymanego przez Łukasza transportera, po czym zniknęła gdzieś w salonie.

Stojący obok Dragon okazał lepsze maniery i zadreptał wesoło w miejscu, chcąc się przywitać.

— Na miłość boską! — wrzasnęłam do Łukasza, który stał zmaltretowany z męczeńską miną na środku przedpokoju. — Czyś ty do reszty zwariował?

— Ja nie — westchnął Łukasz, stawiając wreszcie transporter gdzieś w kącie i ocierając pot z czoła. — To, za przeproszeniem, babcia oszalała. Kazała mi spakować zwierzyńiec i przywieźć na śniadanie.

Babcia Janeczka za posądzenie o szaleństwo nie zamierzała się obrażać.

— Święta to święta — pouczyła nas. — Impreza z definicji rodzinna. A wy na każdym kroku podkreślacie, że kot i pies należą do rodziny. No to jak to tak zostawić je same w święta?

— Czy ja mam rozumieć, że powinienem jechać po rybki? — wymamrotał osłupiały Darek. — Też zwierzątka... Znaczy się, rodzina... Jak mama pozwoli je wpuścić do wanny...

Z nie mniejszym osłupieniem popatrzyłam na pana Antoniego i panią Elizę, którzy nie zamierzali poświęcać zbyt dużo uwagi naszym dylematom.

— Oleńka, spokojnie. Sprawdź tylko, czy okno na taras jest zamknięte. Żeby Behemot nie był uprzejmy opuścić nas jeszcze przed śniadaniem.

— Behemot nie raczy nas zaszczycić swoją obecnością, bo wciśnie się w najmniej dostępny kąt mieszkania — mruknął Łukasz. — Pryśnięcie gdzieś poza dom nie wchodzi w grę. Co nie znaczy, że uda się go zlokalizować.

— Synu, czym ty się martwisz? Masz psa — roześmiał się pan Antoni.

Optymizm rodziców byłam w stanie jakoś pojąć, ostatecznie rzadko miewali do czynienia z czarnym pociskiem, składającym się z futra i skumulowanej furii, jednak jakim cudem Łukasz przystał na przytarganie tu Behemota, nie mieściło mi się w głowie. Spojrzałam na niego, ukradkiem stukając się wymownie w czoło.

— No co? — syknął Łukasz, przewracając dla odmiany oczami. — To nie ja...

Tyle wiedziałam sama. Licytowanie się, kto będzie bardziej winny, jeżeli spędzimy święta, czołgając się na kolanach i usiłując wydłubać kota na przykład zza lodówki, teraz nie miało już sensu. Z ciężkim westchnieniem machnęłam ręką i skierowałam się do pokoju gościnnego, gdzie na regale wisiała moja sukienka. Beatce, która nareszcie wyszła z łazienki, szepnęłam na ucho, że teraz jej kolej spróbować opanować resztę kuchennego kataklizmu. Wyglądało na to, że zdążyła ochłonąć i raczej poświęci się czynnościom bardziej konstruktywnym niż dalsze szerzenie chaosu.

Jakoś przeżyjemy, usiłowałam sobie wmówić, szczerząc się z udawanym optymizmem do lustra. Babcia Janeczka zajmie wszystkich recenzją przeczytanych ostatnio kryminałów, dziadek i pan Antoni będą domagać się nowinek ze świata motoryzacji, w których ze względu na pracę i zamiłowanie specjalizował się Łukasz, Dareczek uraczy nas kolejną porcją anegdotek zaimportowanych z fitness klubu, a my z Beatką postaramy się pozostać blisko pani Elizy, która dzięki promieniującej z niej radości i równowagi samą obecnością leczyła wszelkie smuteczki. Dodatkowo pocieszał mnie luz w okolicy talii i bioder, sugerujący, że takiej totalnej abstynencji nie muszę się dziś poddawać. No co, trener fitness też człowiek, wzruszyłam ramionami i wywaliłam język w kierunku wszystkich maniaków restrykcyjnych diet eliminacyjnych, zakazujących nabiału, węglowodanów prostych, glutenu i niezdrowego w ostatnich czasach

powietrza. Sama kilkakrotnie usiłowałam takich diet przestrzegać, bardziej z poczucia winy po przeczytaniu szalenie motywujących wpisów na blogach promujących ortodoksyjny fitness, niż z rzeczywistej potrzeby. Każdy z takich eksperymentów kończył się straszliwym atakiem tak zwanej potocznie kurwicy i napadem głodu, w wyniku którego z przyjemnością rzucałam się na wszystko, co zawiera eliminowany produkt. I wtedy faktycznie zaczynał istnieć problem, gdyż po okresie abstynencji i nagłym, nadmiernym obciążeniu dostawałam wysypki i szeroko pojętej alergii pokarmowej. Wniosek ze wszystkich tych eksperymentów wyciągnęłam jeden: restrykcyjne diety eliminacyjne szczęścia nie dają. Ani na dłuższą metę efektów. I śmiało mogłam powiedzieć, że wszystkie moje klientki oddychały z ulgą, kiedy wbijałam im do głów, że dieta rzecz indywidualna i nawet ten wstrętny gluten może co poniektórym wyjść na zdrowie.

Sama do glutenu nigdy szczególnego wstrętu nie czułam, więc myśl o nim nie groziła mi utratą apetytu. Nieco inna sprawa, owszem...

Jednak myślenie przy świątecznym śniadaniu o morderstwach wydawało mi się zbyt niestosowne i na kilka godzin postanowiłam odpuścić nawet Sabinie i naszym mężczyznom. Bardzo możliwe, że była to raczej zasługa roześmianej, dowcipkującej z Łukaszem i babcią Janeczką pani Elizy. „Chciałabym po pięćdziesiątce wyglądać choć w połowie tak dobrze”, westchnęłam smętnie w duchu, przyglądając się wysokiej, rudowłosej piękności, której nikt wprawdzie nie dałby trzydziestu lat, jednak promiennego uśmiechu i blasku w oczach mogłaby pozazdrościć jej niejedna dwudziestka. I cery. Może już zmienionej przez przyczajone u nasady nosa, w kącikach oczu i ust zmarszczki, ale zawsze pokrytej zdrowym rumieńcem o idealnym, lekko różowym odcieniu. Było jednak jasne, że wszystkich tych dobrodziejstw nie zawdzięczała tonom kosmetyków, wklepywanych z upodobaniem przez kobiety rano i wieczorem, każdego dnia na wieki wieków, amen. Pani Eliza za najskuteczniejsze kosmetyki uznawała bowiem naturalne olejki i dużą ilość świeżego powietrza, zaprawione pogodą ducha i radością z drobiazgów. Bo przeleciał motylek. Bo wzorek z ozdobnej zastawy był uprzejmy się nie sprać, choć Daruś w swym zwykłym roztargnieniu wsadził ją do zmywarki. Bo kwiatki w ogródku zakwitły na zupełnie inne kolory i sprawiły tym sympatyczną niespodziankę. Dla artystycznej duszy pani Elizy każdy powód był dobry, by się z niego cieszyć, choć czasami trzeba było pokopać dość głęboko, by tę radość wydłubać. Grunt, że jakoś zawsze wydłubać się dała.

„No, chociaż ktoś znajdzie pozytywy, jeżeli naprawdę w akcie ciężkiej desperacji popełnimy z Beatką zbrodnię”, pomyślałam, wchodząc do kuchni, gdzie nadal optymistycznie nastrojona pani Eliza wydzieriała Betty z rąk składniki awaryjnego kremu, tłumacząc, że biszkopt się nie zmarnuje, bo panowie zjedzą go i tak, a ze względu na brak kremu nie będzie zabierał miejsca w lodówce. Przebrana w zielonkawą sukienkę z koronki, Beata z ulgą porzuciła kuchenny bałagan. Wyglądało na to, że mogliśmy usiąść do stołu.

— No, moi drodzy, najlepszego — mrugnęła pani Eliza, gdy ostatecznie udało się jej wypchnąć gnębioną wyrzutami sumienia Beatkę z kuchni. — Wymieńmy się tą pozytywną energią, której na imię miłość.

— Ja chętnie wymienilibym się czymś jadalnym — mruknął Dareczek. — Mamo, gdzie święcone?

— Tam, gdzie postawiłeś.

— A potem ty przestawiłaś sto razy, bo trzeba było przepchnąć stół...

— O, to przepraszam, przepychał ojciec. Antułań?

Pan Antoni najwyraźniej wiedział, jakiej informacji oczekuje od niego żona, jednak zakłopotaną miną obwieścił światu, że tej akurat informacji nie jest w stanie udzielić. Jego zdumiony wzrok, skierowany na niski stoliczek między fotelami, odpowiedział nam, gdzie powinniśmy znaleźć stosowny koszyczek.

I że go tam wcale nie znajdziemy.

— Co to ma znaczyć? — Babcia Janeczka pierwsza ocknęła się z zagapienia na pusty stół. — Antoni, na sklerozę jesteś stanowczo za młody!

— To co ma powiedzieć Daro? — zachichotał Łukasz, po czym umilkł, czując na bucie jedną z wysokich szpilek pani Elizy.

Ale tym razem Dareczek miał do powiedzenia coś całkiem sensownego. Cierpiał wprawdzie na chroniczne roztargnienie i zaawansowaną sklerozę młodzieńczą, jednak refleksu i dobrego wzroku trudno mu było odmówić.

— Nie mam pojęcia kto, ale ktoś ten koszyczek po prostu zwałił — mruknął, nachylając się za fotel. — I splądrował. Bez dzielenia się pozytywną energią. Przyznać się, kto tu jest taki gbur bez wychowania?!

Jako najmniejsza i najchudsza w towarzystwie, nie czekałam na zachętę. Wlazłam między fotele i stół, i przystąpiłam do wyciągania splądrowanego koszyczka.

— Została babeczka i przyprawy, nieco rozsypane... Zwłaszcza sól...

— Oj, będzie awantura — zmartwiła się babcia.

— I nawet wiem, komu ją zrobię — westchnęłam, zerkając na nią z wyrzutem. — Kandydatów widzę dwóch. Kielbasy brak. Jajek też. Została babeczka i mocno naruszony baranek z masła. Z widocznym odciskiem palców podejrzanego.

— Oj — zmartwił się Łukasz, gdy zaprezentowałam rodzinie odcisniętą w masle kocią łapę. — Przez babci pomysły straciliśmy święconkę!

— Obyśmy nie zyskali świętecznej wizyty na weterynaryjnym ostrym dyżurze — stwierdziłam ponuro. — On to pożarł. Kielbasę. Plus jajko. Plus masło. I chyba trochę zielonego pieprzu — dodałam, przyglądając się krytycznie barankowi bez oka. — Nie ma siły. Trzeba poszukać Behemota, zanim postanowi puścić pawia gdzieś za meblościankę.

Hasło „paw” zmobilizowało wreszcie towarzystwo, które rozpierzchnęło się w panice, poszukując kota. Znajdąc talenty Behemota i jego wrażliwy układ trawienny, wiedzieliśmy, że można spodziewać się wszystkiego, tylko nie łatwego do posprzątania miejsca. Behemot bowiem zwykł chorować trawiennie w najdziwniejszych miejscach. Na przykład z wysokości dwumetrowego drapak wprost na świeżo pomalowaną ścianę w salonie. Na najnowszy artykuł, nad którym Łukasz spędził kilka bezsennych nocy. Z parapetu wprost na kaloryfer. Wybór ciasnej przestrzeni za meblościanką wcale by mnie nie zdziwił...

— On gdzieś tu musi być — mamrotał niespokojnie Łukasz, usiłując wcisnąć się za zasugerowaną przeze mnie meblościankę. — Nie, Olka, chomika mógłbym tu szukać, ale to kot! Wielki kot!

— Głupoty gadasz! — zdenerwowałam się, pełzając w kiece po podłodze i dziękując Bogu, że mam na sobie mini i że było za ciepło na włożenie rajstop. — Jeśli kot wciśnie gdzieś łeb, wciśnie i całą resztę! A już zwłaszcza Behemot! Tyle razy mówiłam, że koty nie mają obojczyków!

— Ale niektóre miewają wiszący brzuch, zwłaszcza po kastracji — mruknął zgryźliwie pan Antoni. — I się pewnie biedny gdzieś zaklinował. Tak wystarczyłoby pomachać kolejnym kawałkiem kielbasy. Sam by przyleciał.

— Jezus, a jeżeli on się naprawdę rozchorował? — wystraszyła się pani Eliza, która w przeciwieństwie do mnie miała na sobie długą, wąską spódnicę, w której wyczyniała przedziwne sztuki, wchodząc na krzesła i szukając Behemota na szafkach. — I nie ma siły, żeby przyjść po ten kolejny kawałek? Czego tak stoisz, rusz się! — krzyknęła do Darka, który z większym zainteresowaniem szukał okazji, by zwędzić coś ze stołu, niż kota.

— O rany, przesadzacie — zasapał gniewnie Dareczek, ale posłusznie opuścił salon i

poszedł poszukać na piętrze.

Jedynie babcia Janeczka nie reagowała na wezwania do poszukiwań zaginionego i być może odchorowującego obżarstwo kota.

— A ja tak myślę — zaczęła, przypatrując się naszemu szaleństwu z dezaprobatą. — Że jesteście bandą gamoni... Kto widział tak sobie życie utrudniać?

— A mama nam je ułatwi? — zapytał z oburzeniem pan Antoni. — Mama chciała kota tu przytargać! Razem z psem!

— No właśnie — powiedziała dobitnie babcia. — Z psem.

Zamarliśmy, czując niejasno, do czego zmierzają aluzje pod adresem naszym i psa. Pomysł sam w sobie głupi nie był, ostatecznie obdarzony doskonałym węchem Dragon byłby w stanie poinformować nas o miejscu pobytu Behemota, nawet gdyby kot zechciał jednak opuścić nas przez okno i wrócić w domowe pielesze.

Pozostawał jeden drobny problem.

— A jak ja mam mu to wytłumaczyć? — Łukasz bezradnie rozłożył ręce. — Przy całym wysiłku włożonym w tresurę tego piesa naprawdę nie przyszło mi na myśl uczyć go szukania kotów. Wręcz przeciwnie. Chciałem, żeby koty zostawiał w spokoju. Będzie ktoś łaskaw mi powiedzieć, jakiej komendy mam użyć?

Ale i na to babcia Janeczka znalazła radę.

— Żadnej — mruknęła. — Kielbasę na stole znalazł i bez twoich komend. — Wskazała na krzesło, na którym Dragon kontemlował półmiski z mięsiwem. Żadnego kawałka nie zdążył zwędzić, zapewne z braku pomysłu, którym zająć się na przystawkę.

— No, jest jeszcze głodny — zasugerowała z naciskiem babcia. — Korzystajcie, póki nie uznał, że tym na stole mogą częstować się wszyscy...

To mogło się udać.

Pięć par oczu obserwowało z napięciem, jak Łukasz nakłania Dragona do opuszczenia strategicznego miejsca na krzesle. W szóstej, psiej parze mignęło rozdarcie. Z jednej strony tuż obok, na wyciągnięcie łapy, bogato zastawiony stół i całe mnóstwo misek, nęcących wonią, lecz zdaje się, nieprzeznaczonych dla psa. Z drugiej pan z kawałkiem kielbasy w ręku. Kawałek wprawdzie mniejszy, jednak postawa pana sugerowała, że możliwy do zdobycia całkiem legalnie. Co tu robić?

Psia lojalność przez dłuższą chwilę walczyła ze złodziejskimi skłonnościami. Tu żarcie i tu żarcie, jedno przyniesie satysfakcję i pełny żołądek, drugie nagrodę i uznanie w oczach pana. A pan w psim przekonaniu cieszył się niepodważalnym autorytetem. Był konsekwentny i jasno określał granice. Ale i nigdy nie zapominał nagrodzić psa za ich respektowanie... W przeciwnym razie żadne okrutne kary nie spadały wprawdzie na psi tyłek, ale i nagród było jakby mniej. No i ten pełen rozczarowania wzrok... Tak, rozczarowany pan to było coś doprawdy okropnego. Mniej pieścizot. Mniej smakołyków. Skarpetki lepiej zabezpieczone przed kradzieżą.

Argument skarpetek zwyciężył. Dragon przytruchtał do Łukasza i usiadł przed nim z wyczekującą miną.

Łukasz z rozpaczą potoczył dookoła błędnym wzrokiem.

— Naprawdę tego chcecie? — wymamrotał. — Jak raz go nauczę szukać kielbasy, będzie jej szukał za wszelką cenę. Splądruje mi w nocy lodówkę.

Ale nikt nie wykazał zainteresowania konsekwencjami nauki szukania kielbas. W tej chwili liczyło się tu i teraz, a tu i teraz trzeba było znaleźć kota. Pełne napięcia spojrzenia pozostałych członków rodziny ponaglały Łukasza do działania.

— No dobra — westchnął zrezygnowany i pomachał Dragonowi kielbasą przed nosem. — Szukaj! Szukaj kielbasy! Tfu, tego, kota! A właściwie to wszystko jedno. — Machnął ręką, bo

Dragon błyskawicznie wyczuł, o co chodzi i zaczął węszyć w poszukiwaniu właściwej woni. Takiej woni mógł szukać do upojenia, zwłaszcza jeżeli na końcu drogi znajdowało się to, co sugerował zapach...

Ale na końcu drogi czekało póki co rozczarowanie. Smakowita woń urywała się bowiem tuż za drzwiczkami nisko usytuowanej szafki w meblościance, których psia łapa nijak nie mogła otworzyć.

Ponieważ państwo nadal gapili się wyczekująco, pies krótko zaszczekał.

— Interesujące — mruknął pan Antoni. — Wszystko bym zrozumiał, ale te drzwiczki są zamknięte. I to od dłuższego czasu. Nie przypominam sobie, żeby Eliza w tym tygodniu zmieniała ręczniki. Olencja, masz jakąś teorię o kocim przenikaniu przez drewno?

Wzruszyłam bezradnie ramionami. Różne na pozór idiotyczne teorie na temat kocich talentów przychodziły mi do głowy, jednak żadna z przenikaniem nie miała nic wspólnego. Owszem, istniało twierdzenie, że kot w najmniejszym i najbardziej ogołoconym ze sprzętów mieszkaniu zakamufluje się tak, że go żadna siła nie znajdzie, ale jej szczegóły nic nie wspominały o przenikaniu niczym kamfora.

A jednak Dragon siedział przy drzwiczkach, patrząc na nas z łagodną cierpliwością, niezbędną w obcowaniu z totalnymi kretynami.

Łukasz poczuł to aż nazbyt wyraźnie.

— Nie stójmy jak takie głupki. Pies pokazuje, że tu. To trzeba sprawdzić. Gdzie to ma jakiś uchwyt?

Pani Eliza bez słowa przyklękła przy szafce i pociągnęła za zakamuflowaną w ozdobnych rzeźbieniach gałkę.

Zapach kielbasy zmieszany z aromatem świeżo wypranych ręczników buchnął z otwartej szafki.

— Matko, moje ręczniki! — zdążyła jęknąć pani Eliza, gdy Łukasz rzucił się na kolanach ku szafce i po krótkim gmeraniu między ręcznikami wyciągnął kłęb czegoś czarnego, co ewidentnie na ręcznik, pomimo bycia czymś puchatym, nie wyglądało.

Zaskoczony w kryjówce Behemot nie zdążył dobrze otworzyć oczu. Odruchowo wbił pazury w leżący pod tyłkiem kąpielowy ręcznik. Tuż za nim z szafki wykulał się solidnie nadgryziony kawałek skradzionej kielbasy.

Do kota dotarło wreszcie, co się stało. Niechętnie pozwolił wypłatać ręcznik spomiędzy pazurów i wyrwał się Łukaszowi z rąk, by czym prędzej odzyskać kielbasiany łup. Pozwoliliśmy mu na to bez zbędnych protestów. Ostatecznie nikt pomimo miłości do Behemota nie miał ochoty dzielić się zmasakrowaną przez kota święconą kielbasą.

Dalsze poszukiwania ujawniły w ręcznikach resztki jajek na twardo. Brakowało jedynie wyjaśnienia, jakim cudem kot razem ze święconymi pokarmami znalazł się w tak skutecznie zamkniętym miejscu.

— Chyba jednak nieskutecznie — wyznała skruszona Beatka. — Podczas szykowania śniadania trochę mi się wszystko... pochrzało... Musiałam wziąć nowy ręcznik i ścierkę do naczyń. Widocznie nie domknęłam szafki...

— I wszystko jasne. — Darek wzruszył ramionami. — Bo ja ją potem domknęłam. Widocznie już z kotem w środku.

— A Dragon kielbasę znalazł? Znalazł — triumfowała babcia Janeczka.

— Pomysł był niezły — mruknął pan Antoni. — Nie pomyśleliśmy. Skąd mama ma takie pomysły?

— Za mało czytacie dobrej literatury sensacyjnej. — Babcia uśmiechnęła się z wyższością. — Żadna poezja tak nie chroni przed demencją. Aż boję się myśleć, jak wy

będziecie funkcjonować w moim wieku...

Póki co ogólnie mieliśmy kiepskie widoki na jakiegokolwiek funkcjonowanie. Śledztwo w sprawie kielbasy i kocich ekscesów opóźniło bowiem śniadanie o dobre półtorej godziny. Sugestia pani Elizy, by pozwolić zwierzętom na legalne posilenie się świątecznymi smakołykami, a następnie też wreszcie usiąść do stołu, została przyjęta z dużym entuzjazmem.

Zmęczone i głodne po stresującym poranku, zajęłyśmy z Beatką miejsce u boku naszych mężczyzn, chwilowo zapominając o przyczynie kwasów i niesnasek. Widząc nas w dobrych nastrojach, mężczyźni również odetchnęli z ulgą.

Świąteczna niedziela miała szansę stać się naprawdę rodzinnym i przyjemnym spotkaniem. Zwłaszcza że i usatysfakcjonowane jedzeniem zwierzęta nie wykazywały ochoty na kolejne ekscesy. Pozostało mi martwić się jedynie faktem, że nieco przedobrzyłam, uzupełniając kalorie po porannym stresie. Jutro rano solidny trening, postanowiłam. A i wieczorem można wspólnie potrenować małe co nieco. Ostatecznie, kiedy przyczyna dąsów znikła choć chwilowo z horyzontu, mogłam z czystym sumieniem zrezygnować z dyplomatycznej migreny, która gnębiła mnie od chwili spotkania Łukasza i Sabinki na parkingu i przeciągnąć przyjemny dzień w całkiem miły wieczór.

* * *

— No i o co nam tak naprawdę chodziło? — wysapała Beatka, wypacając na rowerze pochłonięte wczoraj kalorie. — Oni chyba jednak aż tak nie zwariowali na jej punkcie. Co myślisz? Może odpuśćmy sobie to całe ubijanie?

Po przyjemnym dniu i miłym wieczorze, który przeciągnął się do późnych godzin nocnych, byłam w pogodnym nastroju, skłonna zweryfikować swoje podejście do Sabiny. Ona sobie podrywa, no dobrze. I niech sobie podrywa do uśmiechniętej śmierci, skoro nasi panowie okazali się na podrywanie odporni. Ochłodzenia uczuć względem partnerki nie wykazywał żaden, co osobiście stwierdziłam w przypadku Łukasza. Podobne odczucia miała Beatka. Czy istniał zatem powód, by martwić się jakąś tam blondynką, której nieskuteczne umizgi zapewne niedługo się znudzą? Albo znajdzie inne obiekty, bardziej zainteresowane. W zasięgu ręki był przecież Marcin, atrakcyjny, wysportowany i co najważniejsze, aktualnie samotny. Pozostawała wprawdzie kwestia, czy tak wypada rzucać kolegę na żer zachłannej na męski podziw pannie, jednak liczyłam na to, że znalazłszy wzajemność, Sabinka odpuści płci przeciwnej na dłużej. A może i nawet na zawsze?

Póki co nie miałam chęci psuć sobie optymistycznych przemyśleń ewentualnym spotkaniem z przyczyną naszej frustracji. Bez problemu namówiłam Beatkę na aktywny poranek, zwłaszcza że popołudnie u Nawrockich zakładało wspólny obiad, którego nie dałybyśmy rady spalić podczas planowanego zamiast podwieczorku spaceru w WPN-ie. Nadażyć za mną biegiem Beata nie miałaby szans, jechała zatem obok na rowerze, pocąc się może nieco mniej, ale systematycznie, co w przypadku jej mało ruchliwego trybu życia i tak było sporym osiągnięciem. Beatka uznawała przede wszystkim aktywność fizyczną, przynoszącą wymierne rezultaty w postaci umytych okien, przekopanych grządek w ogródku i tańca przy rurze od odkurzacza. Siłowo ćwiczyła mniej więcej raz w tygodniu, przestawiając meble i usiłując zdecydować, jakie ustawienie najbardziej jej odpowiada, bowiem po latach spędzonych w domku jednorodzinny, w mieszkaniu Dareczka wciąż dokwierała jej lekka klaustrofobia i poczucie, że z tej przestrzeni da się wycisnąć więcej miejsca, należy tylko odpowiednio poprzestawiać meble. Argumentu, że najwięcej przestrzeni zabierają jej prywatne, porozstawiane wszędzie kwiatki, przyjęła do

wiadomości nie chciała. Spory balkon również nie umywał się do ogródka w rodzinnym domu, zatem Beatka konsekwentnie przekształcała mieszkanie w coś na kształt miniaturowej dżungli. Poprzestawianie całego tego roślinnego bogactwa, gruntowna zmiana sposobu ustawienia mebli i ogarnięcie śladów po tym pandemium mogło w zupełności zastąpić porządny wycisk na siłowni. Nikt z osób znających zamiłowania Beatki nie dziwił się zatem, że pomimo siedzącej pracy i braku chęci do uprawiania sportu, Beata była szczupłą kobietką o wyraźnie zarysowanych mięśniach ramion.

Nieco gorzej przedstawiała się sprawa kondycji, gdyż przemęczać się sportowo i wytrzymałościowo jakoś nie lubiła. Rekreacyjna jazda na rowerze, w niezbyt szybkim tempie i nie dłużej niż przez dwie godziny, to była jedyna aktywność fizyczna, na jaką poza długimi spacerami Beatka była w stanie przystać. Prędkość i czas mojego truchtania doskonale jej odpowiadały. Sama też czuła lekki przesynt po wczorajszym obżarstwie, a wyrzuty sumienia uwierały ją równie nieznośnie, jak przyciasnawy w obliczu napchanego żołądka pasek od sukienki. Zgodziła się zatem na wspólne, poranne spalanie kalorii bez zbędnych dyskusji i gdy kilka minut po dziewiątej podbiegłam pod jej blok, czekała oparta o rower, gotowa nieco się rozruszać i przy okazji przemyśleć zbrodnicze plany, które tak żywo zaprzętały nam głowę.

Celowo wybrałyśmy inną trasę niż standardowe rundy wokół parku łączącego oba osiedla. Choć pod wpływem przyjemnie spędzonego wieczoru poziom agresji wobec seksownych blond biegaczek nieco opadł, w głębi ducha musiałyśmy przyznać, że na widok głównego obiektu naszej złości mogłybyśmy przystąpić do realizacji przestępczych zamierzeń nieco zbyt pochopnie. Należało Sabiny unikać, przynajmniej do czasu, gdy uda nam się przemyśleć sprawę i ostatecznie podjąć decyzję, co my właściwie o tym wszystkim sądzimy. Ewentualnie zaplanować zbrodnię na tyle sprytnie, by nikt nie zdołał nam nic udowodnić. Wobec piętrzących się komplikacji w tym drugim wariantcie, przyznając szczerze, wołałyśmy pozostać przy pierwszej opcji, przynajmniej do czasu doksztalcenia się w zakresie kryminalnym dzięki lekturze pożyczonych od babci Janeczki książek. A najlepiej to w ogóle obyć się bez mordowania i zacierania śladów, które wydawało nam się straszliwie skomplikowane i chyba tak naprawdę do szczęścia zupełnie niepotrzebne.

Alternatywna trasa nie wymagała szczególnego planowania. Znałam ją bardzo dobrze, gdyż przebiegała obok domku, gdzie mieszkała pani Halinka, z którą od kilku miesięcy raz w tygodniu spotykałam się tutaj na wspólny trening. Dziesięć kilometrów w jedną, dziesięć w drugą stronę wzdłuż ścieżki rowerowej i może jeszcze kilka dodatkowych na Cytadeli miało tę zaletę, że umożliwiało przyjemne wygrzanie się w promieniach słońca, które jeszcze słabo przenikało przez korony drzew, rosnących gęsto przy parkowych alejkach. Sama, patrząc w lustro, coraz boleśniej dostrzegałam niedostatki związane z niedoborami witaminy D. Tym bardziej byłam drażliwa na punkcie Sabinki, która wróciła do Polski wprost z Florydy i promieniała słonecznym blaskiem, wpędzając mnie w kompleksy na tle bladawej cery.

Normalnie pewnie bym jakoś przetrzymała skąpo okraszone ciepłymi promieniami przedwiośnie, czekając cierpliwie na pierwsze oznaki opalenizny i redukcję zimowych cieni pod oczami, jednak w tej sytuacji należało ten proces przyspieszyć. Nie byłam wprawdzie tak zdesperowana jak Beatka, która wyznała nieśmiało, że ma w planach wizytę w solarium, bo księżycowa bladość w zestawieniu ze słonecznym *glamour* Sabinki i ją okrutnie przygnębiała, jednak nie zważając na temperaturę sięgającą rano ośmiu stopni, wciągnęłam na tyłek krótkie spodnie, choć zazwyczaj przy takiej pogodzie biegałam w spodniach trzy czwarte. Wyjście z domu w koszulce bez rękawków wyperswadował mi Łukasz, za co przez cały trening byłam mu głęboko wdzięczna. Głupoty robić to jedno, ale zaważyć cały okres przygotowań do maratonu przez spowodowaną kompleksami grypę? Tego nie umiałabym sobie wybaczyć. Najpiękniej

opalone nogi nie zrekompensowałyby mi widoku Sabinki umykającej gdzieś w czołówce, podczas gdy sama charczę i padam gdzieś na poboczu, nie dając sobie szansy zmierzenia się z głupim trzydziestym kilometrem.

Co do opalenizny może i nie byliśmy z Beatką zupełnie zgodne, jednak w drugiej nurtującej nas kwestii szybko osiągnęliśmy porozumienie.

— A zatem nie mordujemy — wysapała wspaniałomyślnie Beatka, zanim dotarliśmy do połowy trasy. — Szukamy samotnego przystojniaka i zabieramy na tę jej parapetówkę. Jest całkiem ładna, więc facet powinien się zgodzić bez jakichś drastycznych środków przymusu.

— Nie mordujemy — zgodziłam się, coraz bardziej zdecydowana wciągnąć w tę podstępna aferę Marcina. — Kandydata mam. I mogę im potem nawet odśpiewać „Sto lat”. Niech żyją długo i szczęśliwie.

— Amen — zaintonowała skwapliwie Beatka. — I chwała Bogu, bo będę mogła się po południu skupić na czymś ważniejszym. Przez tę cholerną Sabinkę pożarłam wczoraj pół sernika. Nie mówiąc o pasztecie. Te wasze dietetyczne przepisy też całkiem niezłe, ale najeść się tym nie da. A już na pewno nie odstresować.

— Odstresowujesz się teraz — zwróciłam jej uwagę, choć z potrzebą dosłodzenia po ciężkim stresie sama postanowiłam walczyć dopiero, gdy w kiece zrobiło się przyciasno. — Dziś już się nie stresujemy. I nie żremy. To znaczy żremy to zdrowe.

— Sernika już i tak dużo nie zostało...

— Potem jeszcze spacerki i po kaloriach...

— O matko — jęknęłam przerażona własnym brakiem profesjonalizmu, który gdzieś mi się po drodze w tej całej nerwówce zagubił. Przez lata łagodnie, acz stanowczo strofowałam klientki, tłumaczące napady apetytu na wszystkie jadalne produkty zawierające czekoladę stresem, kompleksami, niepowodzeniami i każdym możliwym rodzajem napięcia przedmiesiączkowego, pomiesiączkowego, międzymiesiączkowego... A teraz brawo. Sama kombinuję jak łysy pod górkę, rozgrzeszając się z braku silnej woli i nagłej amnezji w dziedzinie zdrowego odżywiania. Ech, trudno. „Babą się urodziłam i babą umrę”, pomyślałam zniechęcona i postanowiłam nie zawracać sobie za bardzo głowy chwilowym światopoglądowym kryzysem. Najgłupsze, co mogłam zrobić, to paść na kolana i głośno ślubować, że nigdy więcej nie spojrzę na niezdrowe żarcie, sypiąc głowę popiołem i biadając nad tym okrutnym światem, który przeszkadza mi się zdrowo odżywiać. A i aplikowanie sobie wielogodzinne wycisku, byle wypocić wyrzuty sumienia, do czego skłonność wykazywały moje podopieczne, nie należało do najrozsądniejszych rozwiązań. Doprowadzanie do ruiny stawów i przeciążanie mięśni w imię pozbycia się natychmiast odrobiny nadprogramowych, pustych kalorii było jeszcze większym grzechem niż pochłonięcie owych kalorii. Opuśćmy zatem historię na tle odstępstw dietetycznych i pozbadźmy się bogobojnej wiary w siłę bezwzględnej wstrzemięźliwości od glutenu, nabiału i zapaskudzonego smogiem powietrza. Przynajmniej na tyle, by nie zwariować i nie strzelić sobie w łeb od razu po stwierdzeniu obecności śladowych nawet ilości niezdrowego paskudztwa w przyniesionych do domu zakupach.

„Zdrowe, rozsądne podejście podstawą równowagi i szczęścia w życiu”, odetchnęłam głęboko, lekkim krokiem przemierzając kolejne kilometry. Także Beatka rażno zmierzała na swoim rowerze ku wyciszeniu przykrych emocji i odzyskaniu zwykłego spokoju ducha.

— Wiesz co? To mordowanie to nie na moje nerwy — wyznała, gdy zatrzymałyśmy się pod jej blokiem. — Wyswatajmy ją i niech już będzie z tym spokój. Przynajmniej uniknę wyrzutów sumienia. Przecież ja nawet nie wiem, jak się do takiego mordowania zabrać.

Opuściłam sobie tłumaczenie jej, że mordowanie w afekcie zwykle przychodzi łatwo i człowiek nagle doznaje wyjątkowego przyływu inwencji twórczej zupełnie nie wiadomo skąd. Umówiliśmy się na czternastą u Nawrockich i lekkim truchtem ruszyłam w stronę swojej części osiedla.

Po czym natychmiast przetestowałam na sobie teorię o przyływie kreatywności w przypadku morderstwa w afekcie. Nie byłabym bowiem w stanie wymienić wszystkich sposobów ukatrupienia Sabinki, jakie przeleciały przez moją głowę, gdy zobaczyłam swą potencjalną ofiarę tuż przed klatką schodową w towarzystwie Łukasza.

Inwencja twórcza póki co znalazła ujście w potężnym zgrzytnięciu zębami, bo grzotnąc Sabinę ciężkim kamieniem na oczach Łukasza to byłaby lekka przesada. Kamyczek wprawdzie

odpowiedni leżał nawet w zasięgu wzroku, jednak musiałabym się gęsto tłumaczyć, nie mówiąc już o tym, że ukochany raczej nie byłby skłonny pomóc mi w pozbyciu się dowodów rzeczowych. Dużo głupot Łukasz chętnie by mi wybaczył, jednak tak idiotyczne morderstwo nie mieściło się w ich zakresie. Pozostało mi jeszcze przez chwilę pozgrzytać zębami i dyskretnie, choć zdecydowanie przerwać im radosną konwersację.

— Oj, będę miała wyrzuty sumienia — roześmiała się Sabina, widząc, jak rączym kłusem dopadam do klatki schodowej. — Kurczę, przez ten cały remont i święta od dwóch dni ani razu nie udało mi się wyrwać z domu. Cóż, trzymajcie za mnie kciuki. Ostatnia partia mebli przyjeżdża we wtorek. Potem kończę hałasy, walenie młotkiem i wiercenie. A dalej, to liczę, że pohałasujemy wspólnie — mrugnęła wesoło. — I przysięgam, dorobię sobie własny klucz do śmietnika. Zdrowych, wesołych, pa!

Patrzyłam nieufnie, jak oddaje Łukaszowi komplet naszych gospodarczych kluczy, jak nazywaliśmy zestaw do śmietnika, zaworów ciepłej i zimnej wody, i szafki z bezpiecznikami, po czym rączymi susami biegnie na górę. Następnie przeniosłam wzrok na Łukasza, który na widok mojej miny westchnął ciężko i unióśł ręce w obronnym geście.

— Tylko klucze pożyczają. Miała cały stos kartonów do wywalenia, pomogłem.

— Tłumacz się winni — sarknęłam i wyszarpnęłam z kieszeni klucze do mieszkania.

— Albo tacy, co się boją, że dasz im w łeb za niewinność... Chryste, co ty masz do tej dziewczyny... Mam udawać, że nagle jej nie znam?

— Może to i niegłupi pomysł! Mógłbyś przynajmniej udawać, że nie widzisz tych jej umizgów!

— Jakich umizgów? — wytrzeszczył oczy Łukasz i przez chwilę miałam wrażenie, że wcale nie musi udawać zdziwienia. — Pożyczanie kluczy albo krótka rozmowa na parkingu to już umizgi? Według jakiej definicji? Jak Marcin przyjdzie pożyczyć młotek, to mam go tym młotkiem wałnąć? Bo niby umizgi? Ola, litości...

— O, jak ty zamierzasz Marcina walić w łeb młotkiem, to sama też już nie mam wyjścia — prychnęłam gniewnie.

— Jakiego znowu wyjścia?!

— Muszę zamordować Sabinę — oświadczyłam z godnością i nie czekając na osłupiałego Łukasza, ruszyłam na nasze piętro.

Głupio palnęłam o tym morderstwie i chyba odrobinę przeholowałam, bo przez całe popołudnie u Nawrockich Łukasz przyglądał mi się dziwnym wzrokiem, najwyraźniej poszukując objawów wścieklizny lub innego schorzenia prowadzącego do pełnego agresji obłędu. Zła, że samodzielnie spałam przyjemną atmosferę, którą oboje pracownicy budowaliśmy ostatniej nocy, wymamrotałam przeprosiny, nie doprecyzowując jednak, za co przepraszam, by broń Boże, nie wyrwało mi się ani słóweczko na temat uchybień względem Sabinki.

Łukasz moją obsesję na punkcie koleżanek z pracy rozumiał całkiem nieźle. Sam był świadkiem rozpadu mojego poprzedniego związku, do którego rękę przyłożyła właśnie dobra koleżanka z pracy mojego byłego, Krzysztofa. Druga prawda, że omal nie podpisała wyroku i na obecny związek, i to w nieco bardziej dosłownym sensie. Po wszystkich tych nieprzyjemnościach denerwowałam się niewymownie, być może naprawdę przesadzając i niepotrzebnie snując spiskowe teorie na temat nieoczekiwanego powrotu Sabiny do Polski niespełna rok po wyemigrowaniu Łukasza ze Stanów. Jakim cudem wylądowała akurat na naszym osiedlu, w naszym bloku — ta kwestia również nie dawała mi spokoju. Łukasz ze świętą cierpliwością tłumaczył mi raz za razem, że poza relacjami służbowymi i sąsiedzkimi nigdy nie łączyło ich nic, a Sabina zdecydowała się na powrót z obczyzny tylko dlatego, że rozstała się z poprzednim

partnerem, który długo ją nękał i zwyczajnie się go bała. W Poznaniu, gdzie miała rodzinę, czuła się bezpiecznie i zaczęła wątpić, czy warto kontynuować karierę zawodową za granicą, bo tam w sytuacjach wymagających wsparcia była kompletnie sama. Wszystkie te argumenty świetnie rozumiałam i pewnie byłabym nawet skłonna dziewczynie współczuć, gdyby nie jej nagła potrzeba nadrabiania zaległości w kontaktach damsko-męskich pozbawionych cech patologii. Resztki zdrowego rozsądku mamrotały mi coś o ukrywaniu się i potajemnych schadzkach, by uniknąć awantur ze strony kantowanego partnera, tymczasem ani Sabina, ani Łukasz ze swoją znajomością wcale się nie kryli. Brak oznak zmieszania, gdy spotkałam ich przy nieszczęsnym śmietniku, i naturalna, szczerza serdeczność nowej sąsiadki w stosunku do mnie sugerowały, że o żadnym kantowaniu nie ma tu mowy i tuż po zakończeniu przez Sabinkę remontowych ekscesów będę z powrotem spać spokojnie.

Tymczasem sytuacja poirytowała mnie jeszcze bardziej, gdy przemyślałam ją na chłodno i wyciągnęłam prosty i logiczny wniosek. To nie Sabina jest źródłem konfliktu. Źródłem konfliktu jestem ja. I, jak łatwo się domyślić, cholernie mi się ten wniosek nie spodobał. Która baba przyzna się dobrowolnie, że robi z igły widły i czepia się potencjalnej rywalki zupełnie bezpodstawnie? Nie znałam takiej! Większość nie przyznałaby się, nawet stojąc przed całym plutonem egzekucyjnym. Sama nie byłam wyjątkiem, a swoje wydumane teorie opierałam na jedynym słusznym założeniu, że raz skrzywdzona przez romansującego w pracy mężczyznę, mam prawo paść nieufnością do wszystkich koleżanek, nieco zbyt poufale traktujących męskich współpracowników. Nawet, jeżeli są już byli. A zresztą, cholera wie, może takie relacje sąsiedzkie są jeszcze gorsze?

Czując instynktownie, że bronię na siłę terytorium, które całkiem nieźle broni się samo, a i nie bardzo ma przed kim, bo realnego wroga na horyzoncie brak, na wszelki wypadek uznałam, że przede wszystkim należy nie robić z siebie jawnie idiotki. Ani w oczach Łukasza, ani cholerniej Sabinki. Dystansu niezbędnego do zachowania poprawności politycznej we wzajemnych kontaktach nadal mi brakowało, całkiem słuszenie obrałam zatem metodę polegającą na unikaniu sąsiadki jak ognia, bo nie byłam w stanie sobie obiecać, czy przez radosny uśmiech i sąsiedzką konwersację nie przedrze się przez przypadek straszliwe zgrzytanie zębów. Specjalistką od przyśrubowanych do twarzy uśmiechów imitujących naturalną radość nigdy nie byłam. Koniec końców uznałam, że najlepiej zrobię urozmaicając sobie trasę treningów i zamiast latać do znudzenia wokół parku, polatam w okolicy, gdzie trenowała pani Halinka, sprawdzając przy okazji jej postępy.

Pani Halinka postępy czyniła i chwaliła się nimi bardzo chętnie. Od czasu, gdy po raz pierwszy stanęła na bieżni w fitness klubie i z trudem przemaszerowała piętnaście minut, upłynęło ponad pół roku. Te pół roku wystarczyło, by dzielna czterdziestolatka uporządkowała wreszcie bałagan w swoim sercu, pozbyła się resztek złudzeń i zaczęła od nowa. Mąż zdrajca, szczęśliwie wystawiony z mieszkania, puszczony z torbami na okoliczność rozwodu z orzeczeniem jego wyłącznej winy i zobowiązany do płacenia alimentów na dorastającego syna, przestał wreszcie stać jej na drodze do realizowania siebie. Nieskromnie powiem, że sama się do tego trochę przyczyniłam, a to w ramach kompleksowej opieki nad klientką klubu. Nie tylko podniosłam panią Halinkę na duchu i zmusiłam do dbania o kondycję, ale i załatwiłam jej — za śmieszne pieniądze — prawniczkę specjalizującą się w sprawach rozwodowych, dzięki której problem obdarzonego wyjątkowo paskudnym charakterem małżonka został rozwiązany szybko i sprawnie. Pani Halince nie pozostało zatem nic innego, jak zacząć troszczyć się o nową siebie i realizować swoje marzenia, do tej pory upychane gdzieś po kątach i porzucane na rzecz dbania o święte domowe ognisko.

— Nauczkę mam do końca życia — wysapała któregoś dnia, gdy umówiliśmy się na

trening poza klubem. — Każdy mężczyzna ma dwie rączki i powinien umieć z nich korzystać. Nawet mój syn, jak się okazuje, potrafi całkiem sprawnie przygotować sobie kanapki do szkoły, odgrzać obiad i włączyć zmywarkę. I jest z siebie całkiem dumny!

Wiedząc, że uczuć pod adresem niewiernego pani Halinka nie żywi już żadnych, zapytałam o stosunki między byłymi małżonkami.

— Jakie tam stosunki! — prychnęła z pogardą moja podopieczna. — Raz na dwa tygodnie zabiera Mateusza na weekend i systematycznie przelewa pieniądze na konto. Kontaktujemy się wyłącznie za pośrednictwem banku. Opowiadałam pani, że jest z tą jakąś tam dziewczyną, co ją wtedy na zawodach poznał. Ale chyba nie jest za bardzo szczęśliwy, bo mu się standard życia obniżył. Chyba ciasnawo mu w bloku po tylu latach w willi. Mateusz mówi, że przeklina do dzisiaj tę panią adwokat.

Zachichotałam złośliwie. Maria była fachowcem od zadań specjalnych. Nie na próżno Agnieszka, nasza dietetyczka z klubu, poprosiła o pomoc dla pani Halinki swoją partnerkę. Dzięki zaangażowaniu Maryśki i jej wyjątkowemu wstępowi do wiarołomców, panią Halinkę było w tej chwili stać nie tylko na utrzymanie willi i kupno nowego auta, ale i gruntowną metamorfozę. Kto wie, być może były małżonek pluł sobie w brodę nie tylko na okoliczność strat finansowych? Szczupła, emanująca pewnością siebie Halinka miała szansę niejednemu mężczyźnie zawrócić teraz w głowie.

— Oko mu zbiegło, jak mnie zobaczył na rozprawie — pochwaliła się, dzwoniąc tego samego wieczora. — I nawet słówka nie pisnął, że źle wyglądam w tym rudym. Całe życie zawracał mi głowę, że mam farbować włosy na blond, chociaż wcale mi w blondzie nie do twarzy! Ta jego nowa panna też blondynka. Niby ładna, ale na moje — kompletnie bez wyrazu!

Byłam bardzo ciekawa, jak też wygląda nowa miłość byłego mojej podopiecznej, ale i bez jej oglądania wierzyłam święcie, że pani Halinki wizualnie przebić nie może. Wymarzony, ognisty rudy idealnie pasował do bladej, nieco piegowatej buzi o zaokrąglonym kształcie, a wycieniowana krótka fryzurka zapowiadała kobietę energiczną, pewną siebie i radosną, która już nigdy nie pozwoli nikomu bezkarnie się deptać. Nawet kosmetyki, którym pani Halinka do tej pory nie poświęcała zbyt wiele uwagi, teraz były dobrane starannie, przy pomocy zaimportowanej do klubu na Dzień Kobiet stylistki. Doprawdy, byłam gotowa założyć się o grube pieniądze, że mina byłego męża na widok dawniej tłamszonej, zaniedbanej żony, musiała być bardzo głupia.

Począwszy nadrabiać lata zaniedbań, pani Halinka nie zamierzała odpuszczać. Nadal pilnie pracowała nad figurą, ale i inne aspekty wyglądu stały się dla niej ważne. Nie czyniłam jej zatem wyrzutów, gdy dzwoniąc z propozycją wspólnego biegania, usłyszałam, że dziś nie za bardzo, bo właśnie wychodzi do kosmetyczki. Pomysł treningu nieco później nie wchodził w grę. Nie zamierzałam namawiać jej, by niemal natychmiast wypociła wszystkie dobroczynne substancje nałożone na twarz chwilę wcześniej.

Jako że wtorek miałam akurat zgodnie z grafiką wolny, mogłam pozwolić sobie na długie wybieganie. Pełen energii Dragon, którego po świątecznym obżarstwie wręcz roznosiło, również wymagał nieco większego zmęczenia, niż zwykle. Potrzeba dbania nie tylko o własną formę skłaniała mnie jednak do poszukania jeszcze jednego kompana. Darek i Marcin od rana byli w pracy, Łukasz również był zmuszony zaraz po świętach wrócić do obowiązków zawodowych, zresztą ilekroć towarzyszył mi na rowerze, byłam w stanie utrzymać jego tempo przez maksymalnie pół godziny. Do dyspozycji miałam zatem Beatkę, która po przetrwaniu ciężkiego okresu w pracy, jeszcze przed Wielkanocą wypisała kartkę z prośbą o urlop do końca tygodnia. I bardzo dobrze. Gdzieś tam po cichu liczyłam, że wdrożenie w systematyczny ruch na świeżym powietrzu przez tydzień sprawi, że Betty nieco chętniej zacznie się wyłaniać z domowej

dżungli i zamieni jazdę na odkurzaczu na rower, a może i nawet delikatne truchtanie.

Póki co jednak myśl o truchtaniu była Beatce wstrętna i należało pozostać przy wersji rowerowej.

— Dwóch biegających wariatów wystarczy — oznajmiła. — Dla mnie rower jest bardzo dobry na kondycję. Jestem w stanie jechać z tobą przez dwie i pół godziny, czasem nawet pod górkę, i mogę swobodnie rozmawiać. Kiedyś nie do pomyslenia.

„Dobre i to”, pokiwałam głową i postanowiłam nie pastwić się na siłę nad przyjaciółką, która i tak wykazywała o wiele więcej dobrej woli, niż byłabym skłonna ją posądzać. Nawet techniczny przystanek w drodze powrotnej, o który poprosił uprzejmie pies, uznała za zbędną zwłokę.

— Pospieszmy się może — mruknęła, krążąc w tę i z powrotem na rowerze. — Zaraz zaczyna się park. Tutaj ta blond zołza biega.

Odetchnęłam z ulgą. Najwyraźniej nie tylko ja czułam dyskomfort na myśl o szczerzeniu się i udawaniu sympatii do sąsiadki. Wprawdzie godzina była dość wczesna, więc zakładałam, że Sabina albo jest w pracy, albo czeka na przywiezienie tych zamówionych na dzisiaj mebli. Prawdopodobieństwo spotkania było znikome, jednak Beata wykazywała na tym tle podobne do mojego przeczulenie.

— Daj spokój, nie o tej godzinie. — Machnęłam ręką. — Nic nie poradzę, Dragon też ma swoje potrzeby. On tu rzadko bywa, znalazł nowe krzaczki i musi obwąchać.

Namiętność Dragona do krzaczków, zwłaszcza takich, wokół których leżały duże kamienie, dorównywała namiętności do trampek wszelakiej maści. Byliśmy wprawdzie niedaleko domu, jednak ta część parku nie zahaczała o standardową trasę spacerowo-biegową i wymagała gruntownego zbadania. Po raz kolejny podziękowałam w duchu Łukaszowi za zmuszenie mnie do ubrania ciepłej bluzy, bo nogi w krótkich spodenkach zaczynały pokrywać się gęsią skórą, a wszystko wskazywało na to, że Dragon dorwał nader interesującą kępę krzaków i zbadanie jej zajmie mu jeszcze trochę czasu. Trochę zazdrościłam Beacie, która dla rozgrzewki jeździła w tę i z powrotem wzdłuż alejki. Sama chętnie poszłabym w jej ślady, truchtając w kółko, jednak obawy przed spuszczeniem piesa ze smyczy w mało znanym zakątku parku sprawiły, że wołałam drobić w miejscu i marznąć. Nie chodziło mi nawet o to, że Dragon mógłby się zgubić lub wytropić jakieś fascynujące obuwie do podwędzenia. Wołałam raczej mieć go gdzieś blisko na wypadek, gdyby pusta w porannych godzinach, mało uczęszczana część parku okazała się niezbyt przyjazna dla dwóch kobiet pozbawionych męskiej opieki. Nie musiałam bynajmniej bać się, że pies zostawi nas na pastwę ewentualnego napastnika. Problemem było raczej to, że zaskoczony, wezwany na pomoc panicznym wrzaskiem, wyprysnie z krzaków i postanowi zrobić porządek z zagrożeniem aż nazbyt skutecznie. W chwilach wymagających interwencji pies-bies bowiem nie uznawał półśrodków. Dopóki miałam go na smyczy, byłam w stanie powstrzymać go przed przegryzieniem tętnic potencjalnym zbirom. Puszczony luzem, pozwalał się opanować jedynie Łukaszowi.

Póki co zbirów na horyzoncie nie było widać, choć puste, wąskie alejki, gęsto obsadzone krzewami i zachmurzone niebo stanowiły scenerię, która lekko podkopała moją pewność siebie. Gdzieś w oddali zamajaczyła męska sylwetka, tę jednak uznałam za niegroźną. Bardzo wątpiłam, by groźny mógł okazać się facet, wyprowadzający na spacer psa rozmiarów ratlerka. „Ale bandziory kryją się chyba po krzakach”, pomyślałam z niepokojem, gotowa w razie konieczności rzucić się szczupakiem w krzaki zaanektowane przez Dragona. W krzakach, w których buszuje wielki, groźny amstaff chyba żadne bandziory nie siedzą?

Jednak sąsiedztwo jakichkolwiek krzaków żadnej z nas nie napawało entuzjazmem.

— Olka, on tak jeszcze długo? — spytała niespokojnie Beata, podjeżdżając bliżej. —

Powiedz mu, że po powrocie się wykąpię i potem zabiorę go na całodzienne łażenie po krzakach w naszej części parku. I niech się w nich tarza do upojenia.

— Ale tamte krzaki to już nie taka atrakcja — mruknełam, bo psia motywacja była dla mnie zrozumiała. — Czekaj jeszcze sekundę, też bym chciała już iść. Dragon, noga! — zawołałam w kierunku poruszającej się roślinności. — Te krzaki fe! Poszukamy innych!

Ale znalezione krzaki w psim przekonaniu wcale nie były fe, bo Dragon na chwilę wyłonił z nich mordę i niemal natychmiast zanurkował z powrotem.

— Coś jesteś mało przekonująca — zniecierpliwiała się Beatka. — Nie wiem, co on tam znalazł, ale chyba interesujące. Idę sprawdzić. Mam nadzieję, że póki co jest za zimno na kleszcze...

Bardzo chętnie przystałam na propozycję przeszukania krzaków przez Beatkę i wytarganie opornego piesa. Myśl o wspomnianych przed chwilą żyjątkach napawała mnie jeszcze większą paniką, niż siedzące w krzakach bandziory. W przeciwieństwie do bandziorów, każdy kleszcz ucieszyłby się z poszczucia psem. O naszego psa byłam wprawdzie spokojna, gdyż sprowadzane specjalnie dla Dragona z Niemiec repelenty do tej pory załatwiały problem pasażerów na gapę bardzo skutecznie. Sama nie wlaźłabym w krzaki za żadne skarby świata bez wylania na siebie przynajmniej połowy opakowania stosownego środka. Dziś procedurę antykleszczową zaniedbałam, nie śmierdziałam na kilometr żadnym „Sio!” ani innym „Rajdem”, więc całkiem chętnie zgodziłam się, by to Beatka pchała się za Dragonem w krzaki.

Przystanęłam oparta o rower Beaty i rozglądałam się czujnie, ze szczególną uwagą obserwując wszystkie inne krzaki. Tym bardziej omal nie doznałam ciężkiego zawału serca, słysząc przeraźliwy wrzask z krzaków tuż obok.

Zmartwiła patrzyłam, jak krzaki chwilę po wydaniu z siebie wrzasku nieruchomieją, po czym zaczynają się gwałtownie poruszać. Potem z kolejnym wrzaskiem wyprysła z nich Beatka, ciągnąc za sobą za obrozę opierającego się Dragona.

— Zabieraj psa! — wydyszała między jednym krzykiem a drugim. — Bierz to oporne bydło i spadajmy! I żadnych więcej krzaczków po drodze!!!

Co czaiło się tuż obok w niewinnie wyglądającej zieleni, nie miałam pojęcia, jednak musiało być naprawdę przerażające, gdyż w Beatkę wstąpiły nadludzkie siły. Wyrwała mi z ręki smycz i pognąła przed siebie z zawrotną prędkością. Zdumiony szaleńczo zawsze spokojnej i opanowanej Beatki, Dragon posłusznie pobiegł za nią. Czym prędzej wsiałam na rower i nie przejmując się, że z powodu różnicy wzrostu ledwie sięgam nogami do pedałów, ruszyłam za Beatą i piesem.

Zwariowany pościg trwał około dziesięciu minut i zakończył się, gdy tuż obok siłowni nad jeziorkiem Beacie nagle zabrakło sił.

— O Jezus Maria — wydyszała, zatrzymując się przy orbitreku i opadając nań bezwładnie. — Już nigdy więcej! Żadnych parków... Żadnych krzaków cholernych... Żadnych... żadnych porozwlekanych trupów!!!

Na wieść o porozwlekanych trupach przyhamowałam gwałtownie i omal nie przeleciałam przez kierownicę. Jakie znowu trupy mogła mieć na myśli Bóg na myśli Beatka?! Ledwo złapałam równowagę, rzuciłam się do przyjaciółki.

— Zwariowałaś chyba, co tam było?

Beata spojrzała na mnie, jak na idiotkę.

— Trup! Przecież mówię po polsku! — wrzasnęła. — Mam przeliterować? Takie coś nieżywe! Nieboszczyk! Zwłoki! Umarlak! Nie wiem, jak to tam się jeszcze nazywa!

— Denat — uzupełniłam z rozpędu i wreszcie do mnie dotarło. — Szlag! Beata, a ty jesteś pewna? Że denat, trup, nieboszczyk i cała reszta?

— A niby co? — warknęła Beatka. — Leżało, nie ruszało się, nie chciało oddychać!

— Sprawdziłaś? Może po prostu osobnik pod wpływem?

— Sama jesteś pod wpływem! Osobnik pod wpływem by zareagował, bo mu wlałam na rękę! Zresztą, to nawet nie był osobnik, tylko osobniczka. Buty miała takie sportowe... Zakładam, że facet by różowych nie nosił.

— O matko — jęknęłam, teraz już zupełnie przerażona. — Beata! A jak ktoś ją zaatakował? Zrobił jej kuku, a kobita jeszcze trochę żyje? Nie można jej tak zostawić!

— Oczywiście! Nie zostawimy, a potem same wylądujemy w krzaczkach obok niej! — sarknęła Beatka. — Ten ktoś, kto zrobił jej kuku, może być całkiem blisko!

Cholera, faktycznie... Tylko że gdyby w okolicy kręciły się podejrzane jednostki, Dragon nie latałby po krzaczkach tak niefrasobliwie. A szansa, że znaleziona przez Beatkę kobieta była do uratowania, nie pozwoliłaby mi tak po prostu zmyć się i zapomnieć o sprawie.

Co tu robić?

— Dzwon po policję — zdecydowała Betty, do której również dotarło, że nie można zostawić ofiary napaści własnemu losowi. — Zaczekamy tutaj i zaprowadzimy ich. Ja tam nie wracam bez gliniarzy. Nawet z obronnym psem!

Sama nie miałam ochoty wracać, nawet z całym stadem obronnych piesów. Trzęsącymi się dłońmi wydłubałam z kieszeni telefon i nagle zmartwiałam.

— Beata — jęknęłam. — A jak powiedzą, że to my? Pamiętasz, co mówi babcia Janeczka? Ten, kto znalazł, jest pierwszy podejrzany! Ja nie chcę!

W mądrości kryminalne babci Janeczki wierzyłyśmy ślepo. Zawsze pokrywały się z tym, co widziałyśmy na filmach sensacyjnych i nie było najmniejszego powodu ich kwestionować.

Ale znajdując się w większym oddaleniu od trupa w sportowych, różowych butach, Beatka odzyskała zdrowy rozsądek.

— No zwariowałaś! Dwie baby z psem na spacerze — tylko idiota by nas mógł podejrzewać! Może o utłuczenie niewiernego faceta... Zresztą kobiety są podejrzane w sprawach o otrucie!

— A skąd wiesz, czy tej tu nikt nie otrul?

— A potem przytargał na plecach? Która z nas miałaby tyle siły? Przestań histeryzować, dzwoni! Albo czekaj! Dzwoni do tego swojego znajomego! Niech tu jakiś normalny, zaufany gliniarz przyjedzie! Mniej stresu dla wszystkich!

Normalny, zaufany gliniarz, posterunkowy Nowakowski, który zeszłej jesieni pomógł wyjaśnić nader nieprzyjemną sprawę nękania mnie przez tajemniczego wandalę, był osobą, do której mogłyśmy się zwrócić bez obaw, że zostaniemy natychmiast wsadzone za kratki. Uszczęśliwiona pomysłem Beatki, natychmiast wybrałam właściwy numer.

Posterunkowy odebrał bardzo szybko. Ucieszył się z mojego telefonu i uważnie wysłuchał, czym tym razem zawracam mu głowę. Potem radość mu przeszła.

— Jezusie, pani Olu, natychmiast dzwonić pod 112 — zawyrokował. — Zgłoszenia o zwłokach nikt nie zlekceważy.

— O ile to zwłoki — zakwiliłam boleśnie. — Na pierwszy rzut oka bardzo nieżywe, ale w panice uciekłyśmy i nie sprawdziłyśmy!

— Jak koleżanka wlała denatce na rękę i nie wystąpiła żadna reakcja, to raczej bardzo, bardzo nieżywe. Pani Olu, 112 i niech się tam panie same nie płaczą. Zostać na miejscu, poczekać na policję i wskazać, gdzie znalazłyście denatkę. Niczego nie ruszać, bo zatrzecie ślady. Chociaż pewnie pies i pani Beata już swoje zrobili... Trudno. Niech pani potem zadzwoni.

Nie tego oczekiwałam po tym telefonie.

— Na miłość boską, panie Pawle — wyszeptałam. — A pan? Pan by nie przyjechał?

— Pani Olu, dla pani wszystko, ale nie da rady... Do takich spraw musi prokurator... A ja chwilowo jestem na urlopie w Bieszczadach.

Masz ci los!

* * *

Nie pozostało nam nic innego, jak zadzwonić pod 112, zgłosić znalezienie trupa w krzaczkach i w umówionym miejscu zaczekać na policję. Tak jak powiedział posterunkowy Nowakowski, trup zmotywował do bardzo szybkiego przyjazdu dwa radiowozy i karetkę pogotowia.

Czując się nieco pewniej w towarzystwie policyjnej eskorty, zaprowadziłyśmy gliniarzy do właściwych krzaczków. Z trafieniem do tych z nietypową zawartością nie było problemu, gdyż Dragon rozemocjonowanym popiskiwaniami natychmiast potwierdził, że jesteśmy we właściwym miejscu.

— Że niby to tutaj? — upewnił się gliniarz, który usiłował wydobyć z nas w miarę składne informacje. — Jakoś głęboko?

Błada z przejścia Beatka zaszczękała zębami.

— Tak do końca nie jestem pewna. Kawalek musiałam wejść. Tam jest dosyć gęsto, nie widziałam, na co wchodzę. Potknęłam się o coś, czy nadepnęłam, i dopiero spojrzałam w dół. No i spod tych krzaków wystawała ręka... I trochę dalej noga... A czy była cała reszta, to niech mnie pan zabije, nie mam pojęcia, bo zwałam.

— Dzięki — mruknął policjant, założył rękawiczki i uzbroiwszy się w leżący nieopodal długi kij, rozchylił nim wskazaną przez Beatkę roślinność.

— Nie chce być inaczej. Mamy denata. Marek, podejdź! Kobieta, na moje oko, zeszła w ciągu ostatniej doby. Panie przepuszczą lekarza.

— A nie koronera? — zainteresowała się Beatka, ale nie to był nasz największy problem. Chwilowo należało wsiąść do wskazanego radiowozu i wytłumaczyć się ze zniszczenia całej masy dowodów, dokonanego przez Beatkę i Dragona.

Złożone naprędce wyjaśnienia zdołały przekonać śledczych, że nie ma potrzeby aresztować nas tak od razu i bynajmniej nie próbowałyśmy wzywaniem policji odwrócić uwagi od popełnionego chwilę wcześniej morderstwa. Ale na rychłe zakończenie naszego udziału w sprawie też nie należało liczyć.

— Panie mieszkają w okolicy i, jak się zorientowałem, w parku bywają często. Proszę się zastanowić, może coś sobie panie przypomną.

— W sensie podejrzane typy, awantury... — zaszczękała zębami Beatka. — Raczej wątpię. Gdybym tu coś takiego przyuważyła, moja noga by w tym miejscu więcej nie powstała. I ma pan gwarancję, że od dziś będę omijała szerokim łukiem nie tylko tę część parku, ale i wszystkie krzaki świata!

— Wie pan, zakładałyśmy, że jest bezpiecznie — mruknęłam. — W ciągu dnia całe pielgrzymki zakochanych, matek z dziećmi, psów. Ludzie biegają, kobiety w pojedynkę też. Nigdy nie było żadnego morderstwa ani napadu... Ale może ja jestem taka odważna, bo mam psa.

— Na wszelki wypadek proszę z tym bieganiem uważać — westchnął policjant. — I uważać w ogóle. Sama pani widzi, że w dzień powszedni od rana to aż takiego ruchu tu nie ma. Może to jednostkowa sprawa, ale nie mamy gwarancji, czy na tym się skończy. Ludzie tak mówią, „spokojna okolica”, i proszę! Jak to się mówi, zawsze musi być ten pierwszy raz.

— To mnie pan, cholera, pocieszył — jęknęła rozpaczliwie Beatka.

* * *

Kwestię braku koronera wyjaśnił nam Łukasz, gdy ze względu na bliskość miejsca zamieszkania policja odstawiła nas do mojego mieszkania. Wobec sensacyjnych okoliczności, w jakich zakończyło się poświęteczne spalanie kalorii, przerwał pracę i urządził nam przesłuchanie nie gorsze od policyjnego.

— Koniec z tym lataniem bez eskorty — zarządził. — Daro trenuje, pobiegasz sobie z Darem. A jak nie Daro, to Marcina możesz zaangażować. À propos Dara, dzwoniłem, nie wypuszczę cię z domu samej. Odbierze cię po pracy albo odwiozę cię sam — zwrócił się do Beatki.

— Ech, dajże spokój — jęknęłam, bo pomimo popełnionego w pobliżu morderstwa, we własnym domu, w biały dzień i w towarzystwie bojowo nastawionych mężczyzny i psa przestałam aż tak się bać. — Beatkę odprowadzę sama, wezmę rower i przysięgam, że pojedę tam, gdzie jest dużo ludzi. U Beaty zrobimy sobie jakiś koktajl, więc zakładam, że za dwie godzinki maksymalnie będę w domu. I będę co kwadrans dzwonić! — wrzasnęłam, bo Łukasz już otwierał usta, żeby zaprotestować. — Błagam, nie możesz mnie zamknąć w mieszkaniu na wieki wieków! Muszę chodzić do pracy, normalnie funkcjonować, a przecież ty się z roboty nie zwolnisz, żeby mnie pilnować przez cały czas! Znowu mam się do twoich rodziców wyprowadzać? Tam też ktoś może kiedyś wpaść na głupi pomysł i kogoś ukatrupić! Zakazu nie ma!

Mina Łukasza poinformowała mnie, że wszystko to cholernie mu się nie podoba, ale znalezienie kontrargumentów też nie było łatwe.

— Chryste... Dobra. Dzwonisz co kwadrans z zegarkiem w rękę. Maksymalnie za dwie godziny w domu. I widzę przez okno, jak jedziecie główną alejką — wymamrotał.

— Boczny się nie da, wszystkie zapchane policją... — próbowałam dowcipkować, ale ciężkie spojrzenie Łukasza natychmiast stępiło mój cięty dowcip.

— I jeszcze jedno. Ola, wiem, że nie cierpisz Sabiny, ale może powinnaś ze względów bezpieczeństwa ostrzec ją, że park zrobił się niezbyt bezpieczny? Pomyśl, każdej z was mogło się to przytrafić! Diabli wiedzą, na jakim tle tę kobietę ukatrupiono...

Z niechęcią przyznałam Łukaszowi rację i obiecałam pogadać z Sabiną jeszcze dziś po południu. Potem, po udzieleniu licznych przestróg, przypomnieniu zakazów i nakazów oraz skontrolowaniu poziomu naładowania baterii w telefonie, zostałyśmy wypuszczone z mieszkania.

* * *

Tak jak obiecałyśmy, grzecznie pomachałyśmy spod klatki schodowej stojącemu z zatroskaną miną w oknie Łukaszowi i ruszyłyśmy na rowerach główną alejką parku.

Ponieważ upiornie mglisty, ponury poranek tuż przed jedenastą zaczęły rozjaśniać nieśmiało promienie słońca, na ścieżkach zaczęli pojawiać się ludzie, w przeważającej części płci żeńskiej, w licznym otoczeniu dzieci i psów. To ostatecznie pozwoliło nam nieco się odprężyć i spokojnym tempem zmierzać w obranym kierunku.

— Raczej nie przypuszczam, żeby ta pani w różowym sweterku i w różowych adidaskach miała wyciągnąć z wózka maczetę. Różową — mruknęła Beatka. — Albo inne śmiercionośne

coś.

— Dla mnie już ten róż jest zabójczy — skrzywiłam się, zerkając ukradkiem w stronę różowej pani. Różowa maczeta ukryta w różowym wózku wydawała mi się nieprawdopodobna, jednak byłam gotowa założyć się o każde pieniądze, że śpiące w wózku dziecię zdążyło od wszechobecnej różowości ulec totalnemu przebarwieniu. — Przypominam ci, że pani denatka miała różowe buty. Może ten morderca ma obsesję na punkcie kolorów?

— Nie wystraszysz mnie — Beatka pokręciła z uporem głową. — W parku roi się od bardzo niebieskich policjantów. To powinno zneutralizować mordercze zapędy. Zresztą zaraz będziemy w domu i sama przebiorę się w niebieski dres. Olka, a ty gdzie, do cholery? — wrzasnęła, bo przez kolorowe dywagacje nawet się nie zorientowała, że zjeżdżamy z głównej alejki i zmierzamy ku bocznej, pełnej krzaków dróżce. — Tu są krzaki, dopiero co ślubowałam trzymać się z daleka od wszystkich krzaków świata!

— Nikt ci nie każe włączyć w krzaki — mruknęłam. — Zresztą w tych krzakach buszuje policja. Więc bądź uprzejma siedzieć cicho.

Z ust przeraźliwie kulturalnej i opanowanej Beatki popłynął potok niecenzuralnych słów, gdy zeskoczyłam z roweru i po cichutku podeszłam do niewielkiej kępy krzaczków, zza których, same będąc niewidoczne, miałyśmy doskonały widok na pracującą na miejscu zbrodni ekipę śledczą.

Nadal siarczyście, choć po cichu klnąc, Beatka włączyła za mną na trawnik i zajęła miejsce obok.

— Odjęło ci rozum? — syknęła. — Po co my tutaj? Dopiero nas stąd odstawili! Jak nas złapią, to pojedziemy w trochę inne miejsce!

— Jak się nie zamkniesz, to złapią — warknęłam zniecierpliwiona. — Uspokój się, są gliny, bezpiecznie! Myślisz, że na przesłuchaniu coś ci powiedzą? A ja chcę wiedzieć, co tu jest grane!

— A po co ci ta wiedza, na miłość boską? Wystarczy wiedzieć, że trzeba trzymać się z daleka od zarośniętych krzakami parkowych alejek!

— A ja wolę wiedzieć, kogo i czego konkretnie mam się bać — powiedziałam stanowczo. — Bo od bania się wszystkiego i wszystkich to można zwariować!

— Od przebywania z tobą też — zawyrokowała złowieszczo Beatka, ale posłusznie przykucnęła ze mną w krzakach.

Za dużo do oglądania póki co nie było, bo policjanci zdążyli otoczyć taśmą całkiem spory kawałek alejki wraz z przyległościami. W pobliżu od czasu do czasu zatrzymywali się pojedynczy gapie, jednak szybko znikali, skutecznie zniechęceni przez gliniarzy. Największe atrakcje miały miejsce w znalezionych rano przez Dragona krzakach. Bujna kępa ruszała się intensywnie, co rusz wyłaniał się z niej lub w niej zanurzał jakiś członek ekipy śledczej. Roślinność musiała solidnie utrudniać im zadanie, gdyż każdy z wyłaniających się miał minę, jakby sam za chwilę zamierzał popełnić wyjątkowo brutalne morderstwo.

Osobnikiem, który najczęściej płątał się wśród roślinności, był niewysoki, szczupły facet z czarnym wąsikiem. Nerwowym krokiem biegał po zabezpieczonym terenie, nadzorując pracę techników i usiłując wszystko zrobić za nich samodzielnie. Że nie do końca był zadowolony z ich pracy, domyśliłyśmy się z zamaszystej gestykulacji, częstego łapania się za głowę i wrywania im z rąk tego, co akurat trzymali. Możliwe również, że irytowało go trudne dojście do spoczywających w krzakach zwłok, gdyż roznosząca go energia stała w rażącej sprzeczności z cierpliwością, delikatnymi ruchami i opanowaniem, wymaganymi przy manipulowaniu pośród bujnej roślinności w taki sposób, by nie zniszczyć dowodów.

— Co to za wariat? — spytała nieufnie Beatka, przyglądając się nerwusowi. —

Prokurator?

— A skąd wiesz, że prokurator?

— Łukasz coś tak mówił. — Beatka wzruszyła ramionami. — Że całym tym cyrkiem dowodzi prokurator. Spisuje, co trzeba i nadzoruje. Ten tu wygląda na takiego od nadzorowania...

— Jak dla mnie to raczej od przeszkadzania — burknęłam. — Co ty myślisz, że on tak energicznie nadzoruje?

— Nie mam pojęcia. Nie wiem też, jak odróżnić policjanta od prokuratora. Kiedyś, zdaje się, leciał całkiem pouczający serial na ten temat...

— Tyle że ten tutaj nie pasuje do żadnego modelu — westchnęłam zniechęcona. — Ani gruby i łysy, ani wysportowany i przystojny.

Problem tożsamości roznoszonego przez nadmiar własnej energii osobnika chwilowo jednak odsunął się na dalszy plan, gdyż błyski fleszy aparatów pomiędzy listowia przestały być widoczne. Kępa poruszyła się nieco gwałtowniej i powoli zaczęli wyłaniać się z niej członkowie ekipy śledczej wraz z wezwanym lekarzem, ostrożnie niosąc coś ciężkiego.

Odruchowo chwyciłam Beatkę za rękę i pochyliłam się do przodu, kompletnie ignorując fakt, że lada moment sama wylecę z za maskującej naszą obecność roślinności. Znając moje zapędy i niezdrową ciekawość, Beatka na wszelki wypadek zapała się nogami, ciągnąc mnie ku sobie.

— Mnie już wystarczy tych atrakcji — jęknęła. — Nie muszę oglądać, jak trupa wynoszą! Ja już go widziałam! I to, do cholery, z bliska!

— Ale w kawałkach — syknęłam, próbując pomimo szarpania przez przyjaciółkę zachować równowagę i dobrą widoczność. — Pomyśl, może to ktoś z osiedla? Może codziennie ją spotykałyśmy, rozmawiałyśmy? Trzeba się upewnić, czy nie żadna życzliwa dusza! Jak byś się czuła, wiedząc, że wlażłaś na rękę swojej koleżance nieboszczce?

— Od takiej ewentualności uchowaj nas, Panie — jęknęła Beatka i wreszcie dała spokój szarpaninie.

Obie wlepiłyśmy oczy w nosze, które powoli wyłaniały się z krzaków.

Przykrywając transportowane do karetki zwłoki, lekarz i policjanci bardzo się postarali, by tożsamość ofiary pozostała owiana tajemnicą dla czających się tu i ówdzie gapiów, jednak zdradziecki trawniczek nie ułatwił im zadania. Skutecznie zamaskował niewysoki krawężnik, oddzielający piaszczystą alejkę od porastającej pobocza trawy. O ten właśnie krawężnik potknął się jeden z facetów niosących nosze. Skupiony na niesionych zwłokach i wpatrzony w zarys ciała pod przykryciem z nabożnym wręcz szacunkiem, zahaczył nogą o wystającą przeszkodę i z przerażonym okrzykiem zatoczył się w tył. Zdołał wprawdzie utrzymać równowagę, jednak wstrząs wywołany potknięciem nie posłużył stabilizacji ciała na noszach.

Beatka jęknęła głośno, gdy spod przykrycia wysunęła się szczupła ręka w czarnej bluzie, z odblaskową opaską przytrzymującą pulsometr na ramieniu.

Jęknęłam również, bo sama miałam identyczną.

I wiedziałam, kto jeszcze miał.

Wiedziałam też, że tej osoby o tej akurat godzinie dziś nie powinno być w parku.

* * *

Po dokonaniu sensacyjnego odkrycia i wysnuciu teorii na temat tożsamości zwłok, odczekałam z Betty, aż karetka z denatką odjedzie i postanowiłyśmy dać spokój ekipie śledczej, która przeczesywała teren, niebezpiecznie zbliżając się do naszego punktu obserwacyjnego.

— Ten wariat zaraz tu przyleci i ściągnie za sobą resztę — szepnęła niespokojnie Beatka, obserwując coraz szerszy zasięg truchtów z osobliwym wymachiwaniem rękoma, jakie skutecznie niezidentyfikowany przez nas dowódca akcji. — Wolałabym, żeby nas nie nakryli, chciałabym przed wizytą na komendzie chociaż zjeść obiad. I pojechać tam w charakterze świadka, a nie głównej podejrzanej, na miłość boską!

Bardzo wątpiłam, czy za samo gapienie grozi nam od razu zakucie w kajdanki, jednak wyprodukowane naprędce wnioski z obejranej akcji i mnie odebrały chęć do nadprogramowych kontaktów z policją. Bez protestów porzuciłam zatem ekipę śledczą oraz miejsce zbrodni, cichutko wycofaliśmy się z krzaków i pojechaliśmy do domów.

Świadomość, że być może i bez policyjnego śledztwa znam tożsamość znalezionych przez Dragona damskich zwłok, uwierała mnie nieznośnie tym bardziej, że największą z możliwych głupot byłoby w tej chwili zarażenie histerią bliskich mi osób, które w razie potwierdzenia moich ponurych przypuszczeń, automatycznie zostałyby wmieszane w tę nieprzyjemną sprawę. Trzymałam zatem język za zębami, nikomu, nawet Beacie, nie przyznając się do swoich podejrzeń. Zgodnie z życzeniem prowadzących śledztwo, tuż przed piętnastą stawiałam się wraz z przyjaciółką na komendzie, eskortowana przez Łukasza i piesa-biesa. Morderstwo popełnione w naszym parku wybitnie obniżyło koncentrację u mojego mężczyzny, któremu nagle odechciało się pracować i uznał, że wałęsanie się pod komendą z Dragonem przez niemal całe popołudnie będzie bardziej interesującą formą spędzenia czasu, pierwotnie zaplanowanego na pisanie. Dragonowi pomysł zwiedzenia nowej okolicy również przypadł do gustu. Brakowało jedynie wepchniętego do transportera kota.

— Oszalałeś, po co ta cała wycieczka? — jęknęłam, bo nie na rękę mi była cała wielka świta. Spodziewając się sporej dawki nieprzyjemnych wiadomości, nie byłam pewna, czy nie wolałabym wrócić z przesłuchania na piechotę, w spokoju konsultując z Beatką swoje przemyślenia. Potem szanse na to mogły być niewielkie, gdyż znając przewrażliwienie Łukasza na punkcie mojego bezpieczeństwa, mogłam spodziewać się, że w razie potrzeby zamontuje mi GPS w skarpetkach i pluskwę w biustonoszu. — Kota też zabieramy? Przy jego zdolnościach produkowania broni biologicznej masowego rażenia będę główną podejrzaną, zanim zdążę tam wejść!

— Behemot zostaje, ktoś domu musi pilnować — oświadczył Łukasz z kamienną miną. — I byłoby dobrze, żeby ktoś jednak napisał ten artykuł. Z niestandardowych talentów produkcji broni biologicznej masowego rażenia skorzystamy kiedy indziej. Zbieraj się, podjedziemy jeszcze po Beatę.

Dyskusje większego sensu w przypadku tego faceta nigdy nie miały. Posłusznie dałam się wpakować do hondy Łukasza i zawieźć na przesłuchanie.

Siedząc na komendzie i czekając na wezwanie do gabinetu prowadzącego śledztwo starszego aspiranta Cichosza, miałam w głowie coraz czarniejsze scenariusze. Szczególnie że sama miałam coraz mniejsze widoki na ograniczenie swojego udziału w przesłuchaniach do minimum. Powiedzmy to sobie szczerze. Siedzenie w krzaczkach, podglądanie ekipy śledczej i dywagowanie na temat bliżej niezidentyfikowanego ciała w różowych sportowych butach to było jedno. Potwierdzenie palniętego głupio przypuszczenia, że ofiara była nam dobrze znana, nadawało sprawie zupełnie inny wymiar. Sama już nie wiedziałam, czy bardziej wolałabym, żeby zwłoki znalazł ktoś inny, a mi pozwolił żyć dzięki temu w błogiej nieświadomości, czy też, by nigdy, przenigdy do głowy nie wpadło mi idiotyczne skojarzenie pulsometru zamordowanej kobiety z pulsometrem innej, znanej mi osoby.

Siedząc na umiarkowanie wygodnym, uwierającym w tyłek krześle, samotnie toczyłam batalię z własną paranoją. Gdyby nawet przyszło mi do głowy jednak zdradzić Beatce swoje

przemyslenia, sprawa w tej chwili była niewykonalna. Beatka tkwiła bowiem w gabinecie starszego aspiranta Cichosza, a i podczas ewentualnej przerwy między jednym przesłuchaniem a drugim porozumiewanie się i prowadzenie dysput na temat denatki w różowym obuwiu było wysoce niewskazane. Mogłabym wprawdzie podyskutować sobie z Dragonem, zwierzęciem bardzo dyskretnym, w tej chwili jednak pies-bies hasał radośnie z Łukaszem w niewielkim lasku, oddalonym o dwa kilometry od komendy. Latanie dookoła budynku po betonowym parkingu szybko znudziło się obu panom, a wejście do środka ze zwierzęciem nie wzbudziło entuzjazmu stanowczej, antypatycznej kobiety w dyżurce. Wroga postawa zawziętej baby zrodziła za to głupie pomysły w umyśle Łukasza.

— To był jednak błąd — zawyrokował, gdy zdecydowałam się wysłać go z psem na dłuższy spacer do lasu. — Było zabrać kota. Tu broń biologiczna znalazłaby szybko zastosowanie.

Uśmiechnęłam się niemrawo, obiecałam zadzwonić zaraz po przesłuchaniu i powlokłam się w kierunku niewygodnego krzesła, na którym siedziałam do teraz, kontemplując kolejne teorie na temat morderstwa, a w przerwach klnąc na krzesło za bolący coraz bardziej od twardego siedziska tyłek.

Tym bardziej wystraszyłam się, gdy tuż obok przemknął rosty, czarnowłosy mężczyzna i wpadł do gabinetu, w którym od ponad godziny wyciągano informacje ze znękaney, przestraszonej samą obecnością na komendzie Beatki. Czyżby kat? Przemknęła mi przez głowę idiotyczna myśl, bo tortura siedzenia na paskudnym krześle coraz bardziej nasuwała mi skojarzenia z tradycyjnymi sposobami przesłuchań stosowanymi wobec kobiet, w szczególności takich podejrzanych o czary. My wprawdzie póki co o nic nie byłyśmy oskarżone, a facet, który wszedł do gabinetu, trzymał w rękach jakieś papiery i telefon, ale ponura atmosfera i ścierpięte pośladki coraz bardziej rzutowały na stan mojego umysłu. „Trzeba rozprostować kości”, zdecydowałam, zaniepokojona postępującym od mniej więcej pół godziny własnym zidioceniem, i krzywiąc się boleśnie, podniosłam się z miejsca.

Daleko jednak nie zdążyłam ujść, gdy drzwi gabinetu otwały się z impetem, ukazując mi Beatkę w stanie niewiele lepszym, niż może prezentować czarownica podczas procesu. Przynajmniej psychicznie. Fizycznie dolegała jej jedynie jakaś okrutna słabość, utrudniająca utrzymanie się na nogach o własnych siłach. Pewnie dlatego troskliwie podtrzymywał ją wysoki mężczyzna, który chwilę wcześniej wystraszył mnie na korytarzu.

— Pani Beato, bardzo proszę tędy. Napije się pani jeszcze wody i poczeka na koleżankę. Ale porozmawiać panie później, w tej chwili jest to niewskazane. A panią — zwrócił się do mnie — zapraszam do gabinetu. Aspirant Cichosz czeka.

Na dźwięk nazwiska „Cichosz”, Beatka doznała nagłego przyływu sił. Pouczona, że kontakt werbalny z innymi świadkami podczas przesłuchania jest mocno niewskazany, gwałtownym machaniem usiłowała coś mi przekazać. Wzruszyłam gniewnie ramionami, bo, jak dla mnie, mogła sobie tak machać do uśmiechniętego końca świata, a i to bez większych widoków, że cokolwiek z tej bezładnej gestykulacji zrozumie.

Widać i takie formy kontaktu nie były mile widziane, bo trzymający Beatkę pod rękę facet na chwilę wypuścił jej ramię, otworzył drzwi do gabinetu i stanowczym gestem zaprosił mnie do środka.

— Bardzo proszę. Wymienicie się panie wrażeniami później.

Widok kipiącej od emocji Beatki sprawił, że kolana się pode mną ugięły. Nie byłam wprawdzie zdolna rozpoznać charakteru buchających z niej uczuć, jednak od samego ich nadmiaru mogło się człowiekowi zrobić gorąco. Szczególnie człowiekowi znającemu Beatkę i jej wyważone podejście do świata. Chociaż od czasu przygody z chrzanem spokój ducha mojej

przyjaciółki został tyle razy wystawiony na próbę, że i on w końcu uległ poważnemu zachwianiu.

„Ciekawe, jak z moim własnym narwanym charakterem sprostam próbie czekającej mnie za drzwiami”, pomyślałam rozpaczliwie i wreszcie zdobyłam się na wejście do środka.

Po czym dotarł do mnie sens machania Beatki.

— Pani usiądzie, przygotowuje dowód osobisty — usłyszałam donośny głos, jednak jego źródła nie udało mi się od razu zlokalizować. Źródło bowiem sprawiało wrażenie przemieszczającego się w niezbyt uporządkowany sposób, a ponieważ gabinet był dosyć przestronny, miało spore możliwości manewru. — Starszy aspirant Marek Cichosz, prowadzę sprawę morderstwa, zgłoszonego przez panią w dniu dzisiejszym w godzinach porannych. Pani Aleksandra Lenczyk, zgadza się?

Zgadzało się w pełni, co potwierdziłam słabym skinieniem głowy, bo źródło nagle zatrzymało się przede mną, wydarło mi z rąk dokumenty i wreszcie raczyło ujawnić swoją tożsamość.

Tuż przede mną stał niski facet z zabójczym wąsikiem, który rano na miejscu zbrodni prezentował przerażającą hiperaktywność i którego funkcji, poza przeszkadzaniem technikom, nie potrafiłyśmy z Beatką ustalić.

„Czyli jednak nie prokurator?”, pomyślałam głupio, bo była to najmniej ważna sprawa w tej chwili. Istotne było to, że po dwóch godzinach spędzonych w gabinecie z tym facetem, przy własnym umiłowaniu uporządkowania, miałam duże szanse zostać wyniesiona na noszach z ciężkim zawałem serca. A już na pewno z nieodwracalnym skołowaceniem.

Tym głośniejszy okrzyk ulgi wyrwał mi się z gardła, gdy drzwi do gabinetu ponownie się otwały i w środku pojawił się wysoki facet, który chwilę wcześniej zaopiekował się znerwicowaną Beatką.

Pojawił się, podszedł do okna, oparł się o parapet i zastygł z opuszczoną głową, czekając na rozwój wydarzeń.

Tymczasem aspirant Cichosz podjął wędrówkę po gabinecie, choć tym razem w znacznie wolniejszym tempie, bo wymagało tego uważne studiowanie moich dokumentów.

— Taaa — mruknął wreszcie. — Co pani wiadomo w sprawie?

— Niewiele — wykrztusiłam, usiłując skupić wzrok na trasie gabinetowych peregrynacji Cichosza, po czym powtórzyłam informacje, udzielone policji na miejscu zdarzenia.

— A zatem o denatce nic nam pani nie powie? — cmoknął z niezadowoleniem Cichosz.

— Na pewno mniej niż koleżanka, bo to ona wlała w te krzaki i ona deptała po zwłokach. Niechcący, rzecz jasna. A i Beata chyba za dużo nie wiedziała, bo gdyby wiedziała, natychmiast by się ze mną tą wiedzą podzieliła. Przykro mi.

— A nazwisko Sobecka coś pani mówi?

Samo nazwisko nie mówiło mi za cholerę nic. Poinformowałam o tym aspiranta w nieco złagodzonej formie.

— Nie zna pani nikogo o tym nazwisku z osiedla? Proszę się zastanowić. Sobecka.

Mogłam się zastanawiać do końca świata i nie przyniosłoby to większego rezultatu. Mnóstwo osób na tym osiedlu znałam jedynie z imienia, albo i nawet nie. Tym spotykanym często, chociażby rano w piekarni, mówiłam „dzień dobry” bez wnikania w personalia.

— Sabina. Sabina Sobecka — zlitował się wreszcie facet pod oknem, o którego obecności zdążyłam już zapomnieć. — Mieszka na pani osiedlu. Chyba nawet dość blisko. Nadal nic?

Szlag... Oczywiście, że nie! To zupełnie zmieniało postać rzeczy! Tylko co cholerna Sabinka miała wspólnego z popełnioną na naszym osiedlu zbrodnią? Dobry Boże i anieli święci, sprawcie, żeby moje kretyńskie pomysły nie okazały się autentycznym przebłyskiem jasnowidzenia!

Facet dostrzegł na moim obliczu, że jednak wyżej wymieniona tak do końca obca mi nie była.

— Może zdjęcie pokazać? — zasugerował. — Przypomni sobie pani lepiej?

Żadnych zdjęć nie potrzebowałam. Machnęłam ręką w beznadziejnym geście.

— Dzięki, ale nie trzeba. Blondynka po trzydziestce, długie włosy, mojego wzrostu i postury, tylko z wydatniejszym biustem. Jeżeli to o nią chodzi, zdjęć nie potrzebuję i przestaję wypierać się znajomości.

— A! Czyli jednak! — rzucił z przekąsem Cichosz, który wobec uzyskanych informacji nagle wrósł w podłogę obok biurka, przy którym powinien raczej siedzieć, a nie latać dookoła niczym wariat.

— Jednak! I co z tego? — rozzłościłam się, bo wrośnięty w podłogę aspirant patrzył na mnie, jakbym za jednym zamachem przyznała się nie tylko do znajomości, ale i do utrupienia nieszczęsnej ofiary. — Nazwisko mi było nieznane, imię, a i owszem. No więc znam. I co?

— I nic. Poproszę o szczegóły tej znajomości — zażądał Cichosz, nic sobie z mojej irytacji nie robiąc i na nowo podjął wędrówkę.

— Za dużo to tych szczegółów nie ma — warknęłam, bo coraz bardziej czułam, że znajomość z Sabinką z automatu czyni mnie podejrzaną. — Wprowadziła się piętro wyżej jakieś dwa tygodnie temu, więc sam pan rozumie, że to mało czasu na jakąś wielką zażyłość. Poza tym, od początku wzbudziła w sąsiadach raczej, hm, irytację. Zaraz po przeprowadzce zaczęła robić remont i miała spory problem z respektowaniem ciszy nocnej. Wiercenie i walenie młotkiem o pierwszej w nocy... Rozumieją panowie, że początki naszej znajomości nie były zbyt obiecujące... Przepraszam, czy ja mogę się dowiedzieć, dlaczego tak szczegółowo omawiamy życiorys Sabiny? Przedobrzyła i z rozpędu rąbnęła młotkiem tę babeczkę w krzakach?

— To się potem wyjaśni — odparł uprzejmie, acz stanowczo facet spod okna, któremu znudziło się stanie i przysiadł na parapecie. — Coś jeszcze na temat pani Sobeckiej? Poza konfliktem na tle remontowym?

— Właściwie niewiele — mruknęłam, automatycznie zwracając się do niego, zamiast do latającego po gabinecie Cichosza, który przeszkadzał mi się skupić i sprawiał wrażenie szukającego w każdym moim słowie kręcenia i matactw. — Widuję ją czasem, jak biega. Zamieniłyśmy kilka słów, chciała jakoś w najbliższym czasie urządzić parapetówkę i zaprosić mnie w ramach przeprosin na te nocne hałasy. To znaczy tak przypuszczam, że w najbliższym czasie — uściśliłam. — Wspominała, że dziś rano mieli jej przywieźć ostatnią partię mebli, a potem definitywnie kończy remonty.

— OK, to bieganie to często? — Mężczyzna otwarł notes i zapisywał coś niedbale na kolanie.

— Dość regularnie. Mijamy się czasem na treningach. Sabina biega przeważnie wieczorem, około osiemnastej, czasem trochę później. Jak często, dokładnie nie wiem, bo zdarza się, że sama biegam o różnych porach, zależy, jak mam ułożony grafik w pracy.

— O, to pani też wysportowana. I same tak panie po tym parku biegacie?

— Różnie — przyznałam zgodnie z prawdą. — Ja mam dużego psa, więc się nie boję. Bywa, że umawiam się z koleżankami albo z kolegą, który układa mi plan treningów pod maraton. Sabinę najczęściej widuję samą, choć bywa, że i w towarzystwie...

Towarzystwo Sabiny żywo faceta zainteresowało.

— Jakież konkretne to towarzystwo?

I tu zaczęłam mieć problem. Towarzystwo bardzo konkretne, tylko po co mieszać w to wszystko Dareczka? Wcale nie byłam pewna, w jakim charakterze Sabina tak bardzo interesuje śledczych. Czyżby naprawdę rąbnęła dziewczynę w krzakach? Czy też, nie daj Boże, moje

przypuszczenia okazały się słuszne i to Sabinkę znalazł dziś rano Dragon? O rany boskie, przecież miała siedzieć w domu i czekać na te swoje cholerne meble? Nie, niemożliwe. Może po prostu sprawdzają ją jako świadka? Wszystko było lepsze niż śmierć Sabinki, którą dopiero co z Beatką tak beztrząsco wyprorokowałyśmy...

— Przeważnie męskie towarzystwo — mruknęłam w końcu. — Przeróżne i raczej, że tak powiem, zmienne. Nikt konkretny, kogo dałoby się zdefiniować jako element stałego związku. Ale na sto procent nic nie wiem. Nie chcę wprowadzić panów w błąd swoimi domysłami.

— Takie domysły bywają pomocne — pokiwał głową facet z parapetu i zamilkł, bazgrołąc zamasyżycie w notatniku.

Przez chwilę gapiłam się na niego, usiłując dostrzec coś więcej niż pochyloną nad notesem głowę i opadające na czoło długie, czarne włosy. Coś w wyglądzie tego faceta uderzyło mnie już na korytarzu, jednak zaaferowana przesłuchaniem i tym, jakie wrażenie zrobiło na Beatce spotkanie ze śledczymi, szybko skupiłam się na wszystkim innym, tylko nie na intrygującej fizjonomii mężczyzny. Bo że była intrygująca, byłam skłonna założyć się o każde pieniądze. Dlaczego — tego już wyjaśnić nie umiałam.

W tej chwili światło również padało pod wyjątkowo idiotycznym kątem, przeszkadzając mi przyjrzeć się lepiej mężczyźnie. Z ciężkim westchnieniem porzuciłam próby dyskretnego zezwania w jego kierunku, by przez nachalne gapienie nie stać się jeszcze bardziej podejrzana.

— OK. — Facet skończył pisać i z trząskiem zamknął notatnik, wyrывая mnie ze stanu głębokiego zamyślenia nad jego urodą i nad tym, jak się jej bliżej przyjrzeć. — Opowiedziała nam pani o znalezieniu ciała, wiemy też coś więcej na temat pani Sobeckiej. Marek, masz jeszcze pytania?

Wędrujący po gabinecie z wzrokiem posępnie wbitym w podłogę aspirant Cichosz wyhamował w okolicy parapetu.

— Pani relacje z panią Sobecką były niezbyt przyjacielskie? — zapytał dosadnie, wykonując gwałtowny zwrot w moją stronę i przyprawiając mnie o palpację serca.

Podskoczyłam na krześle, bo spokojny, rzeczowy ton rozmowy, jaką prowadziłam jeszcze przed chwilą z kolegą po fachu aspiranta Cichosza, sprawił, że na chwilę obecność latającego po gabinecie narwańca gdzieś mi umknęła. Szczególnie że narwaniec do rozmowy przesadnie się nie wtrącał, słuchał uważnie i próbował z lekka okiełznać swoją hiperaktywność, zupełnie jakby spokój i koncentracja drugiego ze śledczych i na niego wywarły pozytywny wpływ. Po czym gdy już się odezwał, natychmiast spaskudził moje dobre nastawienie i chęć współpracy.

— Już powiedziałam — burknęłam. — Przede wszystkim były dalekie od zażyłości. A co do reszty, to trudno się dziwić. Panu by się podobały hałasy dzień w dzień i noc w noc dwadzieścia cztery na dobę? Nic nie mówię, na pierwszy rzut oka dziewczyna sympatyczna, towarzyska, ale proszę ode mnie nie wymagać, żebym od razu ją pokochała jako nową sąsiadkę!

— A ja mam wrażenie, że istnieje trochę więcej powodów pani niechęci! Szczególnie że nie pani jedna się do tej niechęci przyznała!

— Bo nie ja jedna widziałam, że pani Sobecka najchętniej udziela się w męskim towarzystwie! Nawiazuje kontakty w sąsiedztwie, ze szczególnym uwzględnieniem dalszych i bliższych sąsiadów! I jakoś nie wygląda, żeby najpierw pytała o ich stan cywilny!

— Interesujące. — Cichosz przyjrzał mi się złośliwie. — Ale bardzo spójne z zeznaniami pani Nawrockiej. Czyli mam rozumieć, że pani Sobecka zdążyła wyrobić sobie wśród nowych sąsiadek opinię...

— Puszczalskiej! — wrzasnęłam zirytowana. — Szlag, nie to miałam na myśli! Ale na pewno flirciary, kokietki i jak to się jeszcze nazywa! Wystarczyło, żeby wyszła wyrzucić śmieci, już miała koło siebie towarzystwo! Proszę pokazać mi kobietę, która do takiej zapała czymś

innym niż nieufnością i lekką niechęcią! Przysięgam, gdyby ktoś utłukł kiedyś tę cholerną Sabinę, miałby pan podejrżane całe osiedle, bo oprócz bab są jeszcze zazdrośni o siebie nawzajem faceci!

— O, widzę, że pani się bardzo nieżyczliwie wyraża o denatce! — Aspirant Cichosz ze złośliwym uśmiechem wycelował we mnie palec.

— A lada moment zacznę się nieżyczliwie wyrażać o pokazywaniu na mnie paluchem! — sarknęłam w świętym oburzeniu i bardzo chciałam dla potwierdzenia dodać kilka inwektyw, gdy dotarł do mnie sens słów złośliwego gliniarza. — Rany boskie, pan chyba żartuje... Więc jednak Sabinę... znalazłyśmy dziś w tych krzakach...

— Cholerną Sabinę, jak była pani uprzejma się wyrazić. — Cichosz znacząco uniósł brew, ale na szczęście w nasz barwny dialog po raz kolejny wtrącił się facet spod okna. Wstał z parapetu i niespiesznym krokiem zbliżył się do biurka.

— OK, spokojnie, proszę państwa. Pani Olu, owszem. Znalazłyście panią Sobecką. I nie ukrywam, nie jestem zbyt szczęśliwy, jeżeli rzeczywiście mamy do przesłuchania całe wasze osiedle.

— Dwuczęściowe — wypaliłam odruchowo. — Ja mieszkam w nowej części, Beata w tej starszej. Park wspólny, technicy pewnie się zorientowali...

— Jeszcze lepiej... Więc gdyby sobie pani przypomniała coś, co nam zawęzi grono podejrżanych, będę bardzo zobowiązany. Detektyw Ireneusz Gos, moja wizytówka. Dzwonić proszę do mnie lub bezpośrednio do aspiranta Cichosza. Na razie bardzo pani dziękujemy.

Niepewnym ruchem wzięłam podaną wizytówkę i wymamrotałam coś o deklaracji intensywnego przemyślenia sprawy w celu ułatwienia śledczym życia dodatkowymi informacjami, o ile będę w stanie takowe z siebie wydusić. Pożegnałam się wymianą mało uprzejmych spojrzeń z aspirantem Cichoszem i znacznie grzeczniej z detektywem, który uściśnił mi dłoń i szarmancko otworzył przede mną drzwi na korytarz.

— Dziękuję, zadzwonię, jak tylko coś sobie przypomnę — wykrztusiłam i odwzajemniając silny, zdecydowany uścisk dłoni, wreszcie wykorzystałam okazję, by przyjrzeć się detektywowi Gosowi nieco uważniej.

Ujrzałam przystojną, nieco melancholijną twarz o prostych, mocno zarysowanych brwiach, nieco zbyt wydatnych kościach policzkowych i nieprzeniknionym spojrzeniu szarych oczu, która miałaby szansę powalać na kolana i skłaniać do wyznania najgłębiej skrywanych informacji lub grzeszków każdego świadka lub przestępcę płci żeńskiej. Przeszkadzały jej w tym natomiast blizny i przebarwienia, szpecące policzki oraz czoło. Mocno podsinione oczy sugerowały nadmiar pracy i/lub (niepotrzebne skreślić) notorycznie zarywane noce.

Trudno było oderwać wzrok od tego człowieka, który swą fizjonomią zarówno przyciągał, jak i odpychał, lecz na pewno nie pozwalał na obojętność. Nie chcąc gapić się zbyt natrętnie, przyjrzałam się wizytówce, jeszcze raz zadeklarowałam chęć współpracy i z niepewną miną wycofałam się z gabinetu, kompletnie skołowana zarówno uzyskaną wiedzą co do tożsamości denatki, jak i dwoma skrajnie różnymi osobowościami, jakie prezentowali przesłuchujący mnie śledczy.

Świeże powietrze zdążyło orzeźwić nieco Beatkę, która przestała się słać na nogach i odzyskawszy wigor, latała nerwowo dookoła parkingu, od czasu do czasu uskakując spod kół podjeżdżających samochodów.

— O rany boskie! — jęknęła na mój widok. — Czy ty to słyszałaś? To jest koniec! Ja naprawdę nie chciałam jej rąbnąć!

Nawet najbardziej otumaniona spotkaniem ze śledczymi, otrzeźwiałam natychmiast.

— Ciszej, kretynko! — warknęłam, chwytając Beatę za rękę i wlokąc ją w najbardziej

ustronny zakamarek parkingu. — Przecież jej nie rąbnęłaś!

— Ale chciałam — załkała Beatka. — Obie chciałyśmy! I teraz ona naprawdę nie żyje!

Z jękiem rozpaczy złapałam się za głowę.

— Mam tylko nadzieję, że byłaś uprzejma przemilczeć ten fakt przed śledczymi! I tak, zdaje się, nie wyglądamy najlepiej w ich oczach... Ty też się podobno nie kryłaś z niechęcią do denatki.

— A co się miałam kryć — obruszyła się Beatka. — Na filmach wszyscy zawsze każdą ofiarom i potem wychodzi, że zabił ten najbardziej słodko pierdzący! Nie mam zamiaru wyjść na pierwszą podejrzaną! Zwłaszcza że napuściłam ich na prawie połowę osiedla.

Zatem i w tym punkcie nasze zeznania w pełni się zgadzały. Miałam wprawdzie wątpliwości co do skuteczności obranej przez Beatkę taktyki, jednak pozostawały istotniejsze kwestie do ustalenia.

— I co teraz? Powiedziałaś im o znajomości Sabinki z Darkiem?

Beatka na samo wspomnienie owej znajomości łypnęła na mnie spode łba.

— Oczywiście, że nie. A ty mówiłaś, że Sabinka i Łukasz znali się z pracy w Stanach i prowadzili dyskusje okołomietnikowe?

Tym razem moje spojrzenie miało barwę i wagę ołowiu.

— Oszalałaś. Nie mam potrzeby awansować na pierwszą podejrzaną. Ani tym bardziej wrobić w to chłopaków. Ich też mogą podejrzewać. O takie, na przykład, morderstwo z zazdrości...

Beatka spojrzała na mnie nieufnym wzrokiem.

— To chyba nie ją powinni utrupić, tylko zorganizować pojedynek i pozabijać się nawzajem. Nie, do bani te nasze pomysły. — Machnęła ręką ze zniechęceniem. — Trzeba udawać, że nie mamy z tym nic wspólnego. Gdzie Łukasz? Nie miał przypadkiem czekać na nas pod komendą?

Wyjaśniłam, że sam z siebie może by i poczekał, jednak niewystarczająco wybiegany na okoliczność porannych atrakcji z trupem Sabinki w roli głównej Dragon nie był skłonny siedzieć w miejscu.

— Sama czuję się niewystarczająco wybiegana — poskarżyłam się.

— Ja się za to czuję niedotleniona. Niedotleniona, spocona jak dziki wieprz i umęczona pod Ponckim Piłatem.

Obie zaś nade wszystko czułyśmy się nieszczęśliwe. Nie dość, że byłyśmy wystawione na permanentny stres na okoliczność podrywania naszych mężczyzn przez cholerną Sabinkę, to teraz mógł nam też grozić dożywotni pobyt w mamrze, bo plany mordercze snułyśmy i nie było możliwości się ich wyprzeć. Teoretycznie za samo planowanie zbrodni bez przejścia do czynów dożywocia nikt jeszcze nie dostał, jednak wspomnienie pełnych zapału dyskusji na zbrodnicze tematy zasiało w nas ziarno wątpliwości. Kto wie, do czego zdolna jest targana emocjami, wzburzona i pałająca świętym gniewem kobieca dusza? W ściągnięcie na Sabinę nieszczęścia za pomocą telepatii lub innych paranormalnych mocy nie chciało nam się wierzyć, ale już takie na przykład lunatykowanie? Do mieszkania Sabiny daleko nie miałam, jak nie przez drzwi, to i przez balkon. Nie od dziś wiadomo, że najbardziej fajtlapowate jednostki pod wpływem stanu zwanego snem lunatycznym latały po powierzchniach pionowych, skośnych albo i do góry nogami, niczego później nie pamiętając. Nie przypomiinałam sobie wprawdzie, bym kiedykolwiek ocknęła się rano, tuląc do piersi mordercze, ociekające krwią narzędzie, jednak zdarzało się, że miska marudzącego o piątej nad ranem Behemota napełniała się jakimś cudem, choć ani Łukasz, ani ja nie chcieliśmy się do karmienia kota o świcie przyznać. Nie istniała możliwość, by wzruszony kocim miauczeniem Dragon wyjął z lodówki stosowną puszkę, otworzył

i posługując się widelcem, napełnił miskę. Którś z nas posiadało zatem szczególne umiejętności, tyle że oboje zgodnie się ich wypieraliśmy.

Podobnie idiotyczne teorie snuła Beata, której dotlenienie wcale nie rzutowało pozytywnie na stan umysłu. Uparła się jednak, że świeże powietrze jest jej do szczęścia bezwzględnie potrzebne. Sama byłam podobnego zdania. W rezultacie zamiast zadzwonić do Łukasza i poprosić o zabranie nas spod komendy, postanowiłyśmy udać się do lasu, w którym Dragon pod opieką pana nadrabiał braki w spacerowaniu.

W przeciwieństwie do dwóch smętnych, posępnych istot płci żeńskiej, które z powodzeniem mogłyby robić za niezycliwie nastawione do rodzaju ludzkiego upiory, Łukasz i pies-bies byli w doskonałych nastrojach.

— O, to już? — zdziwił się Łukasz, zerkając na zegarek. — O rany, prawie trzy i pół godziny! Nawet nie zauważyłem, całkiem przyjemnie tutaj... Oj, wam chyba trochę mniej przyjemnie? — Stropił się na widok naszych min.

— Nam ani trochę nie jest przyjemnie — wymamrotałam. — Magiel na okoliczność znalezionej osobiście denatki i łażenie po trupach korzystnie nie wpływają na nastrój. Ani na cerę — zachichotałam ponuro. — Błagam, wracajmy już. Chcę się powiesić.

— Chryste, Beata, ty też? — Łukasz wystraszył się na widok posępnego skinienia głową. — Dobrze, że Daro już w domu, bo samej bym cię nie zostawił za żadne skarby. Dziewczyny, spokojnie, prysznic, masaż pleców, gorąca herbata z uspokajającym dodatkiem i będzie w porządku. Nie ma powodu tak się denerwować. Przecież to nie wy trzasnęłyście tę świętej pamięci nieboszczkę!

Popatrzyłyśmy na niego i niemal natychmiast wymieniliśmy mroczne spojrzenia.

Nie my.

Otóż żadna z nas nie była tego taka pewna...

* * *

Noc, spędzona na nerwowym przewracaniu się w łóżku i wyczekiwaniu na choć kilka minut spokojnego snu, przyniosła sen, a i owszem, jednak w postaci licznych koszmarów, w których krew lała się obficie, a pomysłowość morderczyni przechodziła ludzkie pojęcie. Byłam skłonna nawet poobserwować efekty inwencji twórczej kobiety opętanej morderczym szaleń — przynajmniej do czasu, gdy nareszcie zidentyfikowałam ofiarę. Rozjechana walcem drogowym, wystrzelona wraz z rakietą w kosmos, poszatkowana, rzucona rekinom na pożarcie — w roli głównej za każdym razem występowałam ja. Mocno zde gustowana i coraz bardziej przestraszona, postanowiłam przyjrzeć się jednostce zdolnej do tak wyrafinowanych form sadyzmu i włos mi się zjeżył na głowie, gdyż w kolejnym śnie ujrzałam wyraźnie Sabinę, która tym razem zbliżała do mojej głowy wiertło włączonej wiertarki udarowej — zapewne tej samej, za pomocą której torturowała mnie do tej pory na jawie. Tego było za wiele. Święcie przekonana, że to duch Sabinę mści się za maczanie palców w usunięciu jej z tego padolu, i sparaliżowana widokiem wprawionego w ruch wiertła, zaczerpnęłam ostatni, porządny haust powietrza i wrzasnęłam...

Po czym zwiększyłam głośność wrzasku i jego natężenie o sto procent, gdy ciepła, mokra substancja chlusnęła mi prosto w oczy. „Nie ma siły, tym razem naprawdę umieram”, przemknęła mi przez głowę przeraźliwa myśl. Ostatnim rozpaczliwym zrywem otarłam spływającą obficie po czole krew i machnęłam ramionami, by odepchnąć mściwą zjawę...

— Aleksandra, uspokój się, do cholery! — wrzasnęła zjawa i potrzęsnęła mną niczym

workiem kartofli, nic sobie nie robiąc z mojego odpychania. — Chryste, nos mi rozwalisz, kobieto, oprzytomniej!

Wrzask urwał się gwałtownie, a i z machania w samoobronie zrezygnowałam, nie rozumiejąc osobliwego zjawiska. Dlaczego mściwa zjawa Sabinki darła się na mnie męskim głosem? I po cholere kazala mi się uspokoić? Łeb miałam już solidnie nawiercony, uspokoiłabym się na wieki wieków amen, dość szybko... Otumaniona dziwacznym finałem szeroko otwierałam zalane czerwoną posoką oczy...

Tymczasem siedzącego naprzeciwko mnie w łóżku Łukasza dostrzegłam bardzo wyraźnie, bo żadna posoka widzenia mi nie przesłaniała. Twarz, owszem, miałam mokrą, jednak wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na ciecz w niczym nieprzypominającą mojej krwi serdecznej. Ki diabeł?

— No wreszcie — sapnął zdenerwowany Łukasz, ocierając pot z czoła. — Lepiej ci? Czy mam w ciebie wlać całą zawartość barku, żebyś normalnie zasnęła?

— Spałam całkiem normalnie... — wyszemrałam, nadal gapiąc się na niego bezmyślnie. — Tylko mnie mordowali... O matko, naprawdę mnie mordowali! Krew mam na całej twarzy! — wrzasnęłam histerycznie, bo ze wspomnieniem koszmaru z wiertarką wróciła świadomość, że coś jednak mi spływa po twarzy. — Jakim cudem ja jeszcze żyję!?

— Takim, że to woda — westchnął ciężko Łukasz. — Przestań histeryzować, przyniosę ci ręcznik i nawet lusterko, zobaczysz, że żadnej krwi nigdzie nie ma.

— To co...?

— Nic! Wrzeszczałaś, nie mogłem cię dobudzić, więc polałem cię wodą! A potem zrobiło się jeszcze gorzej...

Woda. No tak, to nawet miało sens.

Uspokojona w kwestii mordowania i tortur, zrobiłam kolejne podejście do zaśnięcia, mamrocząc niewyraźnie na użytek Łukasza, że znaleziony w parku trup wpłynął na moją kondycję psychiczną gorzej, niż się spodziewałam. Psychologiczny bełkot o zmagazynowanym w przestronnych czeluściach podświadomości strachu o własny żywot i bezpieczeństwo został przyjęty bez dyskusji, z względnym zrozumieniem, gdyż niezależnie od wybryków mojej podświadomości, Łukasz następnego dnia miał dość napięty plan zajęć i zależało mu, żeby się wyspać.

— Na całe szczęście jutro od rana jedziesz do pracy — mruknął, przytulając mnie ciasno w pozycji uniemożliwiającej nadmierne wierzganie w razie dalszych koszmarów. — Jest szansa, że nic głupiego ci się nie przytrafi.

Szansa może i była, tylko że los z niej nie skorzystał. Gdybym wiedziała, jakie pandemonium rozpęta się nazajutrz w pracy, wzięłabym urlop przynajmniej na dwa tygodnie. Biorąc zaś pod uwagę konsekwencje — najbliższym możliwym samolotem oddaliłabym się w kierunku Hawajów, daleko od trupów, śledczych i intryg, dzięki którym Sabine udało się skłócić pośmiertnie całe mnóstwo osób. Osiągnięcie doprawdy imponujące...

* * *

— Wracam około osiemnastej. Nie rób głupot. Nie lataj nigdzie sama. Nie ruszaj się z domu bez piesa — lista zakazów i nakazów, jaką Łukasz od siódmej rano wykrzykiwał z łazienki, ciągnęła się w nieskończoność i ze wstydem niejakim wyznaję, że w którymś momencie po prostu się wyłączyłam. Uruchomiłam słuch dopiero przy ostatnim.

— Do pracy też mam Dragona zabrać? — zainteresowałam się, bo pomysł miał szansę

znaleźć zastosowanie. Aplikacja spaceru z psem dla wyjątkowo opornych podopiecznych, którzy oszukiwali przy ćwiczeniach? Czy raczej groźba podgryzania tyłka w przypadku obijania się na sprzęcie cardio? Ale zanim mój mózg zdołał wygenerować wszystkie debilne pomysły zastosowania Dragona w klubie, Łukasz pełnym potępienia spojrzeniem sprowadził mnie na ziemię.

— Aleksandra. Raz kiedyś. Spróbuj być ostrożna.

Raz kiedyś — tyle mogłam wspaniałomyślnie obiecać. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Cierpiąc całe życie na chroniczny niedobór męskiej troski i opiekuńczości, w tej chwili otrzymywałam dawkę mogącą zrekompensować mi lata niedoborów. I przy okazji doprowadzić do obłądzenia. Bez względu na ogromną wdzięczność, jaką czułam, ilekroć silne ramię osłaniało mnie wreszcie przed burzami i zawieruchą życia codziennego, szlag ciężki mnie trafiał od tego ciągłego pilnowania, czy aby znów nie przytrafia mi się żaden idiotyzm. Ot, taka babska konsekwencja. I tym razem nie umiałam ugryźć się w język. Jeszcze wychodząc z domu, przedrzeźniałam pod nosem nadopiekuńczego mężczyznę, którego sama osobiście sobie wymarzyłam.

— Niech zgadnę, ktoś cię od rana wkurzył — uśmiechnął się życzliwie Marcin, którego omal nie staranowałam drzwiami wejściowymi na klatce schodowej. — Sąsiedzi remont skończyli. Obstawiam zatem Dara. To znaczy, nie wiem, jak tam z tym remontem. Hałasy ucichły... — urwał niepewnie, bo na wieść o remontach, sąsiadach i zakończeniu hałasów gruchnęłam ponurym, dalekim od szczęścia chichotem. — Ty dobrze się czujesz, tak w ogóle?

— Doskonale — wycedziłam, opanowawszy dość upiorny rechot. — W przeciwieństwie do sąsiadki od remontów.

— O — powiedział Marcin, totalnie skołowany. — No proszę. Rozumiem, że zdążyłaś się z nią zaprzyjaźnić, skoro jesteś aż tak na bieżąco. Ja do tej pory nie miałem nawet okazji się przedstawić.

— I już nie będziesz jej miał — poinformowałam go. — Nie żyje. Ktoś nie wytrzymał psychicznie remontów.

Szokująca wieść o morderstwie na naszym spokojnym, idyllicznym osiedlu zbiła Marcina z tropu na dłuższą chwilę. Przez kilka minut patrzył na mnie z osłupieniem na twarzy, usiłując przetrwać sensacyjne informacje, po czym zawrócił do klatki schodowej.

— Zaczekaj na mnie! — wrzasnął przez ramię. — Odstawiam rower i jadę do roboty z tobą! Pierdziu, morderstwo, tu, u nas! I to tuż pod nosem! Tego jeszcze nie było!

„I nieprędko będzie”, pomyślałam na wspomnienie policjantów, którzy stadami zaczęli patrolować park, kompletnie nie dbając o dyskrecję i możliwość spłoszenia seryjnego mordercy, który być może planował zacząć się w kolejnych krzaczkach. Również w tej chwili, gdy powolnym krokiem zmierzałam na parking, dwóch mundurowych przedfilowało mi przed nosem. Pokręciłam głową z dezaprobatą. Wprawdzie sama osobiście miałam interes w usunięciu potencjalnego psychopaty z osiedla, jednak miałam nadzieję, że zostanie usunięty przez stróżów prawa w kajdankach. Opcja, że na widok patroli usunie się dobrowolnie i odpasuje sobie kolejny park, nie podobała mi się ani trochę, choćby z tego powodu, że w innych parkach trenowali zgodnie z moimi zaleceniami podopieczni z fitness klubu. Żadnego z nich nie chciałabym mieć na sumieniu, choćby pośrednio. Wystarczyły mi wyrzuty sumienia, od jakich nie mogłam się opędzić po wyprorokowanej, zesłanej, sprowokowanej (niepotrzebne skreślić) śmierci Sabiny.

Refleksje dotyczące skuteczności podejmowanych przez stróżów prawa działań przerwał mi Marcin, który odstawił już rower do skrytki i teraz pędził ku mnie, płonąącym od emocji obliczem domagając się szczegółów na temat zejścia nowej sąsiadki.

Liczbą szczegółów mogłam go uszczęśliwić. Zakorkowana do granic możliwości trasa do

pracy bez opcji sensownego objazdu dała nam wystarczająco dużo czasu, by zaspokoić ciekawość Marcina. Bez oporów poinformowałam go, kto i w jakich okolicznościach znalazł zwłoki, i że z powodu nazbyt bliskich kontaktów z nieboszczką oraz wizyty na komendzie jestem odrobinę znerwicowana. Marcin słuchał rewelacji ze zbyt chciwym, jak na mój gust, zainteresowaniem.

— No i popatrz! — wykrzyknął, gdy skończyłam relację. — Nie znałem świętej pamięci sąsiadki, świeć Panie i pokój jej duszy... No żal mi kobiety, ale i żal kobiet pozostałych przy życiu! Gdybym był babką, za żadne skarby świata nie wyszedłbym teraz z domu bez tłuczka do mięsa. Nie rozmawiałaś przypadkiem z Łukaszem o pozwoleniu na broń?

— Łukasz co najwyżej udzieli mi pozwolenia na poszczucie psem — parsknęłam. — I na wychodzenie z domu wyłącznie pod opieką. Byłoby w związku z tym miło, gdybyś zechciał zaopiekować się mną od czasu do czasu podczas treningów. Nie mam ochoty zawalić półrocznych przygotowań do maratonu na okoliczność jednego psychopaty.

— A skąd ty wiesz, że jednego? — zainteresował się Marcin. — Zaopiekować się mogę.

Interesujące... Fakt, nie miałam żadnej gwarancji, że był tylko jeden...

Urodzaj na psychopatów tymczasem objawił się już w chwili, gdy wjeżdżając na parking przed klubem, dojrzeliśmy miotającego się wściekle, wysokiego faceta, którego najwyraźniej doprowadzały do furii zamknięte drzwi wejściowe. Szarpał je, kopał, w przerwach usiłując gmerać w zamku.

— Zobacz, co kretyn wyprawia! Wzywamy ochronę? — spytałam niepewnie, bo na konfrontację z furiatem od rana nie miałam najmniejszej ochoty. Nawet w towarzystwie silnego, wysportowanego kolegi z czarnym pasem karate.

— Ktoś już powinien być w środku, nie rozumiem, dlaczego nie reagują. — Marcin uważnie przyglądał się wariatowi. — Ale czego ten facet chce? Godziny otwarcia są wyraźnie wymalowane. Jeszcze pół godziny.

Pół godziny czy kilka minut, czy nawet cała wieczność — nic nie mogło stanąć na przeszkodzie amatorowi porannego treningu, do którego dotarło wreszcie, że jest zamknięte i musi poczekać. Usiadł zatem na schodkach pod drzwiami, potupując gniewnie nogą i miotając na zmianę to przekleństwa, to kamyczki, którymi wysypyany był podjazd.

— To jakiś stały klient? — spytał Marcin, obserwując faceta, gdy ja usiłowałam zaparkować, co w stanie permanentnego stresu, nasilonego dziwnym zachowaniem wariata, szło mi wyjątkowo opornie. — Kojarzę sylwetkę, ale czy to ktoś z podopiecznych? Zerknij no!

Odruchowo zerknęłam w lusterko, omal nie wbijając się w bok granatowej astry. Na diabła mi zresztą to zerknięcie było. Jako jednostka z wadą wzroku miałam na rozpoznanie faceta z takiej odległości jeszcze mniejsze szanse, niż Marcin.

— A widzisz, broń by się przydała — pouczył mnie Marcin, gdy wreszcie udało mi się opanować manewry kierownicą i wysiedliśmy z samochodu.

Ryzyko oberwania kamyczkiem z podjazdu w łeb od narwańca, domagającego się treningu przed siódmą rano, nie martwiło mnie zbyt, jednak towarzystwo psychopatów w nadmiernej liczbie podobało mi się coraz mniej. Trzymając się blisko Marcina, ruszyłam w stronę wejścia do klubu, żałując, że patrol z osiedla ograniczył działalność do terenu parku. Facet siedział wprawdzie spokojnie, jednak coś w jego ruchach i sylwetce pozwalało przypuszczać, że nie pogodził się z zastaną sytuacją i jest pełen pretensji do świata, gotowy w każdej chwili eksplodować, pochłaniając w niszczycielskim chaosie każdego, kto się napatoczy. Z jednym takim wariatem użerałam się od lat już szczęśliwie kilkunastu i choć na tego znalazłam skuteczny patent, kolejnego nie życzyłam sobie pod żadnym pozorem.

Istniał jeszcze jeden problem.

— Jeżeli to klient, to trzeba będzie mu jakoś wyperswadować dalsze członkostwo w klubie — szepnęłam do Marcina. — Szef każe takich agresywnych wywalić... Tylko delikatnie, ale nie wiem, czy z tym tu się da...

— Spokojnie — chrząknął Marcin, który w obliczu zagrożenia reagował prawidłowo, wykazując chęć chronienia towarzyszącej mu kobiety. Wyprostował się i pewnym siebie, stanowczym krokiem zmierzał ku zatarasowanemu wejściu.

Słyszając chrzęst żwiru na podjeździe, furiał poderwał głowę, wlepiając w nas złowieszcze zapewne spojrzenie, po czym skoczył na równe nogi i ruszył ku nam żwawym krokiem.

Zrobiło mi się gorąco...

Przynajmniej do czasu, gdy usłyszałam zirytowany głos:

— Cholery dostać można, czy tu nikt nie raczy tyłka ruszyć do roboty na czas? — zasapał Daro, dolatując do nas, niczym rozjuszony byk do rannego torreadora. — Pół godziny próbuję się dostać do środka! A tu nikogo! Nie rechocz mi tu, Aleksandro, miałaś być w pracy o szóstej piętnaście! — wrzasnął do mnie, bo salwa głupawego chichotu wyrwała się z mego jestestwa odrobinę zbyt gwałtownie. W życiu bym nie pomyślała, że tak dobrze odgadłam tożsamość psychopaty!

— Rozumiem, że jako szef przybyłeś punktualnie. — Marcin poklepał Darka po ramieniu ze współczuciem, które wywołało serię prychnięć jeszcze lepiej dowodzących Dareczkowego zezwierżenia niż mój atak radości. — Tylko nie pojmuję, dlaczego nie jesteś w środku i nie uskuteczniasz próby włamania. Droga przez drzwi prawidłowa, ale całej reszty kompletnie nie rozumiem.

— Idiota — zasapał Darek, łypiąc na niego gniewnie. — Tego, że klucze mi się zdematerializowały też nie rozumiesz? Miałem w kieszeni bluzy, była zapięta na zamek i nie mam w niej żadnej dziury! Więc może zamiast śmiać się z cudzego nieszczęścia, będziesz uprzejma mi wyjaśnić, jaką drogą były uprzejmie opuścić samowolnie kieszeń? — wrzasnął, bo ledwie opanowana wesołość szarpnęła mnie nowym paroksyzmem. Nie pierwszy raz klucze, dokumenty, portfel i inne niezbędne rzeczy w tajemniczych okolicznościach opuszczały Dareczka, wykazując wyjątkowy talent do znikania.

Ale tego rozjuszonemu Darkowi nie należało przypominać. Bez słowa machnęłam ręką i wydłubałam ze sportowej torby własny komplet kluczy.

— Masz całą armię gliniarzy na osiedlu — przypomniałam życzliwie. — Poproś któregoś o wyjaśnienie sprawy. I przestań szaleć, mamy jeszcze pół godziny.

— Boże, ty masz rację — jęknął Darek, rzucając torbę na ladę recepcji i rozmasowując sobie skronie. — Za nerwowy się ostatnio zrobiłem. Te awantury z Beatką nie wpływają korzystnie na moją psychikę.

— Na twoją psychikę mało co korzystnie wpływa — mruknął Marcin, ale nie zdążył zainkasować ciosu w żadną z wrażliwych okolic, gdyż czujnik przy drzwiach zapiszczał krótko, sygnalizując przybycie kolejnej osoby.

— Bardzo przepraszam, jeszcze zamknięte — wrzasnął Marcin w kierunku wchodzących, którzy najwyraźniej nie należeli do ekipy pracowników. — Otwieramy za pół godziny, będą panowie uprzejmi poczekać.

Ale panowie uprzejmi nie byli. Tak przynajmniej wywnioskowałam, słysząc dochodzący mnie szmer rozmów. — Co za natrętni ludzie, wyraźnie napisane, że otwarte od siódmej do dwudziestej trzeciej — sarknęłam pod nosem, pozostawiając niepokój o załatwienie sprawy chłopakom. Sama zdążyłam już bowiem zanurkować w damskiej części trenerskiej szatni i nie uśmiechało mi się wyskakiwać w staniku i dopasowanych sportowych spodenkach. W dodatku na bosy.

A jednak moja obecność okazała się niezbędna. Tak przynajmniej wywnioskowałam z pokrzykiwań chłopaków, dochodzących gdzieś z okolic recepcji.

— Zaraz — odwrzasnęłam i mamrocząc gniewnie pod nosem, wciągnęłam z powrotem bluzę.

I całe szczęście, gdyż w tej samej chwili w drzwiach pojawiła się mocno pobladła twarz Darka.

Pisnęłam pro forma, choć stałam już kompletnie odziana, wciągając naprędce służbowe adidasy, a do podobnych nietaktów ze strony Darka byłam od lat przyzwyczajona. Nauczony traktować mnie po bratersku, a zatem bez czci należnej mojej płci niewieściej, Daruś włożył do szatni, ilekroć miał do mnie jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę i niezmiennie irytował się, gdy obrywał w łeb skarpetką lub inną częścią garderoby. Ciekawym zjawiskiem był fakt, że nigdy przez pomyłkę nie wpakował się do środka, ilekroć w szatni był ktokolwiek poza mną. Gdyby nie to, że znałam Darka od wieków, zapewne popadłabym w paranoję na tle prześladowania o charakterze seksualnym w miejscu pracy. W rzeczywistości byłam jedynie ofiarą wyjątkowej upierdliwości Dareczka, co było nawet bardziej uciążliwe, bo nie podlegało żadnym sankcjom. Walczyć z irytującymi nawykami przyjaciela nie było sensu. Poddałam się i tym razem, zwłaszcza że sinawy odcień Dareczkowego oblicza był lekko niepokojący.

— Czego? — warknęłam. — Już idę. Tylko nie wiem, po co. We dwóch nie poradzicie sobie z tymi natrętami?

— Kiedy ci natręci domagają się rozmowy z tobą — wymamrotał Darek. — Więc bądź uprzejma się ruszyć. Wywalanie z klubu policji, pomimo godziny, byłoby chyba źle widziane...

Na hasło „policja” aż podskoczyłam, jakby piorun strzelił. Aż tak się za mną od wczoraj stęsknili? Czy po prostu usłyszeli wydawane niebacznie pod oknami komendy, okrzyki i samooskarżenia autorstwa Beatki? Diabli zresztą niech wezmą powody, konfrontacja z policją o tej godzinie, zupełnie z zaskoczenia, była doprawdy nazbyt wyrafinowaną torturą, zwłaszcza że zgodnie z poleceniem naszej dietetyczki posiadanie czekolady i innych niezdrowych źródeł cukru było zabronione pod groźbą uczestnictwa w wielogodzinnej pogadance na temat szkodliwości słodyczy dla zdrowia i wiarygodności w oczach klubowych podopiecznych. W tej chwili byłam gotowa bez chwili namysłu poświęcić i zdrowie, i wiarygodność! Szczególnie teraz, gdy zza ściany dobiegł znany mi głos starszego aspiranta Cichosza...

„Tylko nie on”, jęknęło we mnie chórem wszystko, co jęczeć umiało, tajemniczym sposobem wyzwalając uczucie dziwnej słabości w okolicy kolan, które nijak nie chciały ruszyć się z miejsca. Przez kilka sekund usiłowałam i im, i mojej głowie wyperswadować pomysł zamknięcia się w szafce od środka i udawania nieobecnej. Ostatecznie jako świadek i potencjalna ofiara szalejącego na osiedlu psychopaty powinnam spodziewać się częstych kontaktów z przedstawicielami prawa, którzy zresztą z góry mnie o takiej ewentualności poinformowali. Dlaczego więc pocę się jak szczur i zerkam w panice ku okienku tuż pod sufitem, choć mam świadomość, że nie przecisnę się przez nie nawet z moim szczątkowym rozmiarem biustu?

„To tylko niewyspanie i zła kondycja psychiczna”, pomyślałam odetchnąwszy głęboko, bo wezwania dochodzące zza ściany rozlegały się coraz natarczywiej. Sny o Sabinkach, mordowaniu i ogólnie dość krwawej tematyce nie służą zdrowemu wypoczynkowi, to fakt, który psychologowie stwierdzili już dawno temu. Podobnie jak nie służy mu konieczność rozmowy na ociekające krwią tematy z narwanym gliniarzem, który stylem pracy i sposobem bycia ani odrobinę nie przypominał życzliwego, gotowego nieść pomoc posterunkowego Nowakowskiego, darzonego przeze mnie dużą sympatią. W chwili obecnej również zalałaby mnie fala czułych myśli pod adresem wyżej wspomnianego, gdyby nie wyjątkowo niefortunny termin urlopu, spędzanego w odległych, bieszczadzkich ostępach. Tak, z posterunkowym Nowakowskim

pogawędziłabym szczerze na każdy temat, przyznając się chyba nawet do morderczych zamiarów wobec ukatrupionej przez kogoś innego sąsiadki. Doprawdy, nic nie mogłam poradzić, że czekający na mnie przy recepcji irytujący i podnoszący poziom stresu znacznie powyżej normy gliniarz musiałby precyzyjnie mnie przez prasę, a powstałą miazgę dokładnie odcedzić, by uzyskać dobre chęci i zgodę na otwartą, uczciwą rozmowę.

Ale posterunkowy hasał chwilowo na połoninach, ja zaś tkwiłam w samym oku wywołanego przez tajemniczego mordercę cyklonu, którego uspokojenie leżało również w moim prywatnym interesie. Odzyskawszy władzę w wyjątkowo opornych kolanach, wzięłam głęboki wdech i zmówiłam jeszcze krótką, improwizowaną modlitwę błagalną. — Dajcie, wszyscy przenajświętsi, detektywa Gosa — wymamrotałam pod adresem niebios i wreszcie zdecydowałam się wychylić z szatni.

— Przepraszam, przebierałam się — chrząknęłam, nie mając pewności, czy taka wymówka usprawiedliwi trwające w nieskończoność guzdranie się w szatni. Ktoś, kto miał doświadczenie z piękną płcią niewieścią, nie powinien mieć problemu z zaakceptowaniem faktu, że pod pojęciem „przebieranie” kryje się cały bogaty repertuar zmiany odzienia, podrasowania makijażu i spięcia włosów w sposób imitujący artystyczny nieład. Aspirantowi Cichoszowi jednak takie doświadczenie było widać obce, bo z niecierpliwością zacmokał i wygenerował nerwowe bębnienie palcami w ladę.

Na taki wstęp już miałam poddać się kolejnemu atakowi fanaberii ze strony znerwicowanych kolan, gdy na ratunek przybył wymodlony wysłannik niebios, który stał oparty niedbale o ladę recepcji, bawiąc się czymś zapakowanym w woreczek foliowy i, w przeciwieństwie do Cichosza, nie specjalizował się we wprowadzaniu nerwowej atmosfery.

— Dzień dobry pani Olu — przywitał mnie uprzejmie. — Zdaję sobie sprawę, że możemy przeszkadzać, zaraz zaczyna pani pracę...

— Jednakże zastanawiało nas, czy będzie pani w stanie się do tej pracy dostać — aspirantowi Cichoszowi rano było z kurtuazją jeszcze bardziej nie po drodze niż po południu. — Dobrze, że koledzy przyjechali nieco wcześniej. — Uśmiechnął się złośliwie. — Niczego pani nie brakuje w torbie?

Waleriany! Kropli trzeźwiących! Relanium w dużej dawce! Pomysłów, co powinnam w tej chwili koniecznie posiadać, natychmiast wyświetliła mi się przed oczami cała lista. Tylko czy aby na pewno o takie deficyty chodziło Cichoszowi?

— Mam portfel, kartę płatniczą, dokumenty od samochodu, telefon, nawet z ładowarką, chusteczki do nosa, tampony, jeżeli jest pan aż tak bardzo zainteresowany, i rzeczy na przebranie potrzebne w pracy. Plus ręcznik, klapki, kosmetyki pod prysznic. I klucze — wyliczyłam sumiennie.

Poczerwieniały gwałtownie przy wyznaniu dotyczącym szczególnych kilku dni w kobiecym cyklu hormonalnym, aspirant Cichosz odzyskał rezon gdzieś w okolicach ostatniej pozycji.

— O właśnie, klucze! — podchwycił żywo. — Wszystkie?

— Wszystkie — potwierdziłam skonsternowana. Czegóż ten człowiek mógł chcieć od moich prywatnych kluczy? — Te od mieszkania. Swojego i awaryjnie od mieszkania rodziców. Awaryjnie też od mieszkania przyjaciół, wszystkie mam na stałe przypięte do breloczka. No i od samochodu, bo mimo szczerych chęci siłą woli odpalić nie umiem...

— Bardzo pani dowcipna. Na pewno żadnego kompletu pani nie brakuje?

— Jezusie, nic nie wiem, żebym jakieś zgubiła — zaniepokoiłam się nie na żarty, gotowa opuścić towarzystwo i natychmiast popędzić z powrotem do szatni w celu zrewidowania posiadanych kompletów kluczy. Czegóż on się tak do tych kluczy doczepił?

— A te? — zabawa w kotka i myszkę najwyraźniej zniecierpliwiała Gosa, który w przeciwieństwie do kolegi po fachu albo zwyczajnie był bardziej konkretny, albo nie czuł potrzeby znęcania się psychicznie nad świadkami.

Zerknęłam na komplet kluczy, zapakowany w przezroczysty woreczek, który detektyw przesunął ku mnie wzdłuż lady recepcji, i zdębiałam. Tak, oczywiście, znałam te klucze, sama od lat posługiwałam się podobnym kompletem!

— Klucze od klubu — powiedziałam, przyglądając się zawiniątku. — Rozumiem, że nie powinnam łapą dotykać? Wszystko się zgadza, tyle że ja mam swoje. Mogę pokazać, zostawiłam w zamku mojej szafki w szatni. Mam takie same, tylko z innym breloczkiem... A skąd w ogóle pomysł, że to mogą być moje?

— Bo to z panią wczoraj rozmawialiśmy i to pani przyznała się do pracy w fitness klubie — odświeżył mi pamięć aspirant Cichosz z ciężkim westchnieniem. — Klucze zostały znalezione w parku, sprawdziliśmy logo i doprawdy, bylibyśmy idiotami, gdybyśmy nie skojarzyli ich z panią. Bo przecież bywa pani w parku dość często?

Ostatnie, pozornie banalne pytanie zabrzmiało niczym oskarżenie. Przełknęłam podchodzącą do gardła gulę złożoną z dużej ilości stresu, posklejanego wyjątkowo lepką odmianą paniki i dopiero uruchomiłam myślenie.

— Bardzo dziękuję, ale sam pan widzi, że nie moje. Moimi otwierałam nawet dzisiaj klub, bo szef swoje gdzie zapodział...

No właśnie, czyżbym wyprorokowała? Czyżby to Dareczkowe klucze znajdowały się w foliowym woreczku, wbrew wszystkim jego gorącym deklaracjom, że żadnych kluczy tym razem nie posiadał i nie ma pojęcia, jak ulotniły się z jego kieszeni? Palnęłam, że znajdzie policja, to znalazła...

— Sekundę — przeprosiłam gliniarzy i czym prędzej popędziłam do Darka i Marcina, którzy na wyraźne polecenie śledczych ulotnili się z zasięgu widzenia i wykukiwali na zmianę z kantorka, który służył nam za magazynek, kuchnię i salę konferencyjną w jednym. — Darecki, pozwól na moment! Wygląda na to, że znaleźli twoje klucze. Nie mam pojęcia, jakim cudem, ale ja bym tam cudu nie lekceważyła...

Dareczek również nie zamierzał. Na wieść o odnalezionej zgubie wypadł z kantorka i rzucił się ku śledczym ze szczęściem na obliczu.

— Coś takiego! — wykrzyknął, z trudem hamując tuż obok lady. — Oczywiście, że moje! Jak to skąd wiem, wiem, bo zgubiłem! Breloczek z rybką, na pewno te! Olka słusznie twierdziła, że obecność policji dodatnie wpłynie na życie naszego osiedla! Będą panowie uprzejmi powiedzieć mi, gdzie posiałem?

Zbyt późno dostrzegłam złośliwy błysk w oczach Cichosza, by dyskretnym kopnięciem ostrzec Darka. Dareczek, jednostka bezpośrednia, rozpływająca się we własnym szczęściu na widok znalezionych kluczy i gotowa zaprosić śledczych na wzniesienie toastu popijanym z rzadka i tylko na szczególne okazje piwem, nie wyczuł ostrza, które lada moment miało przedziurawić pancierz jego optymizmu i zyczliwości.

— A i owszem — wyszczerzył się Cichosz, szybkim ruchem usuwając woreczek z zasięgu Dareczkowych rąk. — Będziemy uprzejmi. O ile pan nam później powie, dlaczego posiał je pan akurat w miejscu zbrodni?

O szlag! Wszystkiego mogłam się spodziewać, ale nie tego! Wlepiłam przerażone spojrzenie w Darka, który nagle zapomniał o wszystkich kluczach świata i w osłupieniu zagapił się na Cichosza.

— Zbrodni? — wykrztusił wreszcie, otrząsnąwszy się z pierwszego szoku. — To znaczy, gdzie? Bo wyznam szczerze, że coś o zbrodni na naszym osiedlu słyszałem od żony, ale nawet

nie umiałbym zlokalizować...

Nikt się jednak nie kwapił, by objaśniać mu topografię parku i umiejscowić punkt znalezienia ofiary morderstwa.

— Proszę dokumenty — zaszemrał słodko Cichosz i stanowczym gestem wyciągnął rękę ku Dareczkowi.

— O rany boskie — jęknął Darek i powędrował do kantorka, skąd wrócił po chwili z dowodem osobistym. — Prawo jazdy też?

— Niekoniecznie... Dariusz Nawrocki! Ach, to tłumaczy pana mgliste pojęcie na temat sytuacji — wymruczał upiorny stróż prawa. — Spokrewniony z Beatą Nawrocką?

— Nawet bardzo. Jesteśmy małżeństwem...

— Och, to pewnie martwi się pan o żonę. Nie dość, że rano znalazła zwłoki, to jeszcze tak blisko miejsca zamieszkania... Wie pan, park na ten moment jest niezbyt bezpiecznym miejscem. No, przyjmijmy, że państwa osiedle w ogóle. Jak czuje się pani Beata? Wczoraj wydawała się bardzo wstrząśnięta tragiczną śmiercią swojej znajomej...

Cała ta przemowa uczyniła na Dareczku jeszcze większe wrażenie, niż znalezione i osobiście dostarczone przez śledczych zagubione w zwykłym ataku demencji młodzieńczej klucze. Zarówno zmarszczone w skupieniu czoło, jak i wytrzeszczone na Cichosza oczy sygnalizowały jedno ogromne zdziwienie.

— Nie do końca pana rozumiem — wymamrotał wreszcie skonfundowany. — Beatka, owszem, znerwicowana, każdy by był znerwicowany po takim finale wycieczki rowerowej na łono natury. Ale, na miły Bóg, słowem nie wspomniała, że to o znajomą chodzi... Chyba nie znałem, bo gdyby wspólna koleżanka, to by coś powiedziała... I pan powiada, że to gdzieś w okolicy moich kluczy?

— Całkiem blisko. A nawet dokładnie w tym miejscu. Ciekawy zbieg okoliczności. Te klucze to często pan tak porzuca w miejscu zbrodni?

— Ależ ja nigdy nie porzucam! — obruszył się Darek i wreszcie do niego dotarło. — Ależ co pan! Przecież i tych nie porzuciłem celowo!

— W to akurat nie wątpię — stwierdził sucho aspirant Cichosz, bezpowrotnie porzucając symulowaną słodycz w głosie. — Mordercy ogólnie rzadko porzucają celowo cokolwiek poza zwłokami. Nie wnikam w pana motywacje co do kluczy, interesuje mnie miejsce. Kiedy i w jakim celu był pan ostatnio w parku?

Sens wypowiedzi Cichosza uderzył Dareczka z pełną siłą. Skonfrontowany z podejrzeniem o dokonanie kaźni na nieznaną sobie ofierze niemal pod własnym domem, poczerwieniał gwałtownie i ciężko zasapał.

— Bywam codziennie — poinformował Cichosza dobitnie. — Nie da rady inaczej, jeżeli chcę się wydostać z osiedla. Bywam również w celach rekreacyjnych, trenuję do maratonu. Nie latam natomiast po krzakach z nożem, żeby mordować Bogu ducha winne kobiety! Zwyczajnie już mi na to sił ani czasu nie starcza! Skąd mam wiedzieć, o jaki kawałek parku mnie pytacie? I kogo niby waszym zdaniem zamordowałem? O rany boskie, poza tym, że nie zamordowałem nikogo! Ani z tą zbrodnią, ani z ofiarą nie mam nic wspólnego! Jak zamordują Aleksandrę, to proszę bardzo, podejrzewajcie mnie w pierwszej kolejności, bo to żołą, jakich mało! Ale do mordowania innych przyznawać się nie zamierzam!

— Czyli, jak rozumiem, rzecz dotyczy prywatnej znajomej pana małżonki — stwierdził z przekąsem aspirant Cichosz.

— Absolutnie prywatnej! To znaczy, nie wiem, na Boga, bo nie wiem, o kogo wam chodzi!

— Ale że o zbrodnię dokonaną za pomocą noża, to jakoś tak pan sam zgadł? Chodzi nam

o Sabinę Sobecką — wyrąbał wreszcie Cichosz i zamarł, utkwivszy w Dareczku śmiercionośne spojrzenie. — Z Sabiną Sobecką nie ma pan nic wspólnego?

Tymczasem z Dareczkiem stało się coś dziwnego. Rozjuszony podejrzeniami i pałający świętym gniewem o niesłuszne oskarżenia mąż nagle dramatycznie oklapł, jakby sflaczał, po czym wychrypiał mało męskim głosem:

— O kurwa... Pan tak poważnie?

Nie wiem, jaką odpowiedź wyczytał z miotających oskarżenia oczu aspiranta Cichosza, który wlepił w niego surowe spojrzenie, jednak do skomentowania jej był niezdolny. Na chwilę zapadła martwa cisza, przerwana rytmicznym bębnieniem palcami o ladę recepcji. Hamując się przed bezpośrednim stwierdzeniem, że ma do czynienia z wyjątkowym okazem zidiocenia, aspirant Cichosz wybrał manualną formę zakomunikowania Dariuszowi, co myśli o jego głupich pytaniach i o nim samym.

Ponieważ żaden nie wydawał się skłonny do przerwania milczenia, detektyw Gos po raz kolejny wziął na siebie ciężar popchnięcia akcji.

— Wie pan, my tak całkiem poważnie od chwili, gdy tu weszliśmy — chrząknął. — Pani Ola może poświadczyć. Co pan wie na temat pani Sobeckiej? To dosyć ważne informacje i nie chciałbym czekać z ich uzyskaniem do czasu odstawienia pana na komendę w charakterze podejrzanego.

Taka sugestia dokonała cudu przemiany słupa soli, w jaki chwilowo przedzierzgnął się Dareczek, z powrotem w jednostkę rodzaju ludzkiego.

— Przepraszam — wymamrotał wreszcie. — No to chyba jednak wspólna znajoma. Chociaż cholera wie, może nawet bardziej moja niż Beaty... Poznałem ją podczas bieganina. Wie pan, ona trenowała na wysokim poziomie, ja dopiero zaczynałem biegać długie dystanse... Udzieliła mi paru dobrych rad, kilka razy przebiegliśmy wspólny odcinek, bo nam się trasy pokrywały... Ostatnio rzadziej, dziewczyna remont mieszkania kończyła. Na parapetówkę chciała nas zaprosić...

— Nas? — niewinny zaimek zaintrygował detektywa Gosa, w ręku którego zdążył zmaterializować się znany mi już notes.

— Nas, o rany... Mnie. Aleksandrę. O osobach towarzyszących też wspominała, więc pewnie Łukasza i Betty także. Łukasz to mój brat, narzeczony Olki. Nawet myśleliśmy, czy nie zmontować osiedlowej grupy biegowej, chociaż na ten maraton na początek. Bo wie pan, taka wesola, towarzyska dziewczyna to była...

Ulegając impulsom emitowanym przez kwitnący w cieniu mych licznych zalet egoizm, aż do tego momentu stałam sobie cichutko, skłonna nie wtrącać się do pogawędki i nie zwracać na siebie zbyt wiele uwagi. Skoro bowiem śledczy znaleźli sobie inną ofiarę, moje prywatne kolana mogły się nieco zrelaksować i od dłuższej chwili nie zgłaszały objawów przeciążenia stresem. Uspokojona takim stanem rzeczy przysłuchiwałam się rozmowie, poprzysięgając sobie stanowczo nie przerywać, nie wtrącać się i czekać, co z tego wszystkiego wyniknie.

Aż do chwili, gdy rzewny ton i treść zeznań Dareczka sprawiły, że krew niebezpiecznie zabulgotała mi w żyłach.

— Zaraz, zaraz — warknęłam. — Pierwsze słyszę. Grupę biegową chcieliście zakładać? A niby z kim? Bo przy mnie jakoś żadne z was się słowem nie zająknęło! Póki co to grupę treningową mieliście dwuosobową! A jak te treningi z perspektywy osoby postronnej wyglądały, to już też zdążyłam ci wytłumaczyć!

Maglowanie przez upartych przedstawicieli prawa i przyniesione przez nich hiobowe wieści sprawiły, że cierpliwość Dareczka się skończyła. Na moje zrzęczenie już jej nie wystarczyło, bo ledwie skończyłam, uzyskałam komentarz krótki, acz bardzo treściwy. Gdybym

wiedziała, jakie będą jego skutki, osobiście zakneblowałabym Dareckiemu paszczę dowolnym przedmiotem, a słowa wtoczyła z powrotem do gardła. Przede wszystkim zaś nigdy nie sprowokowałabym go do wyrzucenia z siebie oświadczenia, które ściągnęło mi na głowę całe stado późniejszych kłopotów.

— Ależ Aleksandro! — zasapał Dariusz, patrząc na mnie z wyrzutem. — Jak mieliśmy wspomnieć o grupie biegowej przy tobie, owładniętej obsesją na punkcie naszego rzekomego romansu i mojej rzekomej niewierności? Sama w obawie o moje szczęście małżeńskie potępiłaś wszelkie formy integracji! Gdybym coś takiego zaproponował, zatłukłabyś tę biedną dziewczynę bez litości, podejrzewając knucie przeciwko Beacie! Wiesz co? Przy tej całej waszej teorii antymałżeńskiego spisku nie zdziwiłbym się, gdybyś osobiście zechciała wyręczyć mordercę!

— O! — wrzasnęłam, zraniona ciężko takim oskarżeniem.

— O! — identyczny dźwięk, wyartykułowany przez aspiranta Cichosza, znamionował raczej z trudem hamowany zachwyt.

Jedynie detektyw Gos powstrzymał się od efektownych okrzyków, odnotował szybko coś w swych tajemniczych zapiskach i zamknął z trzaskiem notes.

— O — mruknął, zerkając na zegarek. — Zdaje się, że za dziesięć minut musicie rozpocząć pracę. Komplikowanie państwu życia zawodowego nie jest naszym celem, ale pewne sprawy wymagają wyjaśnień. Zapraszam w godzinach popołudniowych na komendę. Panu to będzie na rękę, bo od wyniku naszego spotkania zależy, kiedy odbierze pan klucze. Do zobaczenia.

Patrzyliśmy osłupiali i przerażeni efektami wyprodukowanych przez nas niebacznie zeznań, jak obaj śledczy opuszczają klub, mijając w drzwiach zaintrygowaną Małgosię z recepcji.

— O matko, co to za fanatycy! Ale za dużo chyba nie poćwiczyli?

Raz uruchomiony tryb zeznań funkcjonował u Dareckiego bez zarzutu.

— Poćwiczyli, ale nas — mruknął. — Gliny to były.

Na wieść o glinach Małgosia pobladła.

— O matko. Tak, przyznaję, zaparkowałam na zakazie i utopiłam w kiblu mandat bez płacenia. Przysięgam, zgłoszę się sama i już nigdy, przenigdy nie złamię przepisów!

— Twój mandat to oni mieli w poważaniu. Tu o coś gorszego idzie — oznajmił Darek ponuro i zanim zdołałam wcisnąć mu w otwór gębowy najbardziej śmierdzącą skarpetkę, dokończył sensacyjne wyznanie: — Aleksandra popełniła morderstwo.

* * *

Radosna wieść o urozmaiceniu sobie monotonnego życia codziennego przez trenerkę klubu fitness, która w akcie desperacji wobec wszechogarniającej nudy postanowiła rozerwać towarzystwo popełnianymi przez siebie zbrodniami, dotarła do naszego kantorka z prędkością światła. Przekazywane z ust do ust rewelacje łańcuszkiem obiegiły wszystkich moich współpracowników, wywołując zgrozę pomieszaną z niezdrowym, jak na mój gust, zachwytem. Sama, głęboko zniesmaczona unoszącymi się pod sufitem oparami sensacji, machnęłam ręką na próby dementowania plotek.

— A w samochodzie to nic nie powiedziałaś, że to ty — szturchnął mnie Marcin w przelocie pomiędzy jednym katowanym na macie klientem a drugim. — Mogłaś poczekać chociaż do tej parapetowy. A tak nawet nie wiem, czy mam żałować, że nie zdążyłem poznać kobiety. Myślałem, że jakoś tak bardziej zależy ci na moim szczęściu...

— Zależy mi jak cholera — warknęłam. — I chociaż nie wydebisz ze mnie wyznania

winy, uwierz, ze względu na troskę o twoje szczęście i to, co wiem o charakterze naszej świętej pamięci sąsiadki, jakoś nie żałuję, że jej nie poznałeś.

— Daro poznał i wyrażał się bardziej życzliwie niż ty. Coś kręcisz, Aleksandro...

Liczba posądzeń o kręcenie, jakie słyszałam od rana, już od jakiegoś czasu zbliżała się do poziomu zdolnego wywołać eksplozję, zaś Marcin swoim marudzeniem tylko przyspieszył ten proces. Za późno przypomniałam sobie o tak banalnych metodach panowania nad stresem, jak policzenie do tysiąca, nadęcie się niby balon dzięki głębokim wdechom i skorzystanie z wiszącego na drugim końcu siłowni worka bokserskiego.

— Szlag by was trafił z tym waszym życzliwym wyrażaniem! Ja się zaraz mało życzliwie wyrażę o męskich motywacjach! — ryknęłam. — A już na pewno o pomykających niczym na koksach, podrywających każdy egzemplarz faceta blondynkach z hipnotyzującym biustem! Bo tak mniej więcej mogłabym opisać ci tę cholerną Sabinke! Już się domyślasz, dlaczego ktoś ją utłukł?! Błagam, nie mów mi, że faceci aż tak dyskryminują brunetki i rude!

W tej chwili było jednak trudno ocenić, co zamierzał powiedzieć mi Marcin, bo na wieść o imieniu i rysopisie ofiary padł na najbliższą bieżnię, niczym rażony piorunem, nie zważając nawet, że przypadkowo ją uruchomił.

— O Jezus Maria — wyszeptał pobladłymi nagle wargami. — O Jezus Maria...

— Amen — przerwałam mu dosyć brutalnie, przepychając go na tyle, by dostać się do guzika z napisem „STOP”. Nacisnąwszy go, potrząsnęłam pogrążonym z nagłą w bóleści Marcinem. — Wyjawisz mi powód tego omdlewania?

— A ty wyjawisz mi nazwisko tej biegającej Sabiny z blond włosami i biustem?

Jakby to największy problem w tej chwili był!

— Sobecka — wycodziłam przez zaciśnięte babską zazdrością zęby. Nawet i zamordowana działa na facetów niczym paraliżująca mieszanka seksapilu i środków otumaniających!

Który z tych czynników bardziej działał na Marcina, nie miałam pojęcia, jednak samo nazwisko wystarczyło, by zakwilił raz jeszcze i zległ na bieżni.

— Opamiętaj się! — syknęłam rozzłoszczona i lekko wystraszona tym atakiem niemocy. — Będę musiała cię reanimować! Na oczach szefa, o rany!

Szczęśliwie szef miał coś pilnego do załatwienia, gdyż przemknął przez siłownię ku recepcji, za którą krzątała się niewzruszona najbardziej brutalną zbrodnią świata Małgosia. Zerknęłam ku niej z niekłamaną zazdrością. Małgosi brew by nawet nie zadrgała, gdyby z jakichś niejasnych przyczyn komuś zaświtał perwersyjny pomysł wymordowania całej załogi naszego klubu. Przy pomocy swego do bólu analitycznego i beznamiętnego sposobu rozumowania bez pudła wskazałaby sprawcę. Albo... sama sprawcą by się okazała. I wówczas, gotowa byłam założyć się o każde pieniądze i wszystkie wyroby jubilerskie tego świata, byłaby to zbrodnia doskonała, zaplanowana w najdrobniejszych szczegółach i niemożliwa do wykrycia. Oj, brakowało mi tego małgosinego opanowania. Posiadając choć nędzny ochłap jej charakteru, miałabym szansę powściągnąć coraz bardziej krwiożercze zapędy skierowane pod adresem Dareczka, Marcina, a przede wszystkim aspiranta Cichosza.

Póki co jednak nie miałam czasu na rozważanie wad mojego charakteru i wynikających z nich bolesnych konsekwencji, gdyż szef wprawdzie zdążył już zniknąć z pola widzenia, ale leżącym i jęczącym Marcinem interesowało się coraz więcej przechodzących osób. W tej chwili na przykład zmierzała ku nam pani Halinka, która właśnie wyłoniła się z szatni i czujnym okiem wyłowiła dwójkę swoich trenerów, spędzających czas w pracy nader nietypowo.

— Dzień dobry, co się stało? To ból głowy? — zatroskała się, przykucając obok Marcina.

— Raczej coś bardziej ogólnego. Dolegliwości psychosomatyczne — syknęłam

zirowsana coraz bardziej cyrkiem, którym z każdą chwilą interesowało się coraz więcej osób. — Weltschmerz. Czy jakaś tam inna odmiana depresji.

Kierowana wrodzoną dyskrecją, a może moją odbiegającą od zwykłej życzliwości miną, pani Halinka postanowiła nie drażnić tematu dzisiejszej niedyspozycji Marcina.

— To ja pójdę się rozgrzać na bieżni — mruknęła dyplomatycznie. — Rozumiem, że wspólnie poćwiczmy potem.

„Tak daj Bóg wszechmogący i anieli święci”, jęknęłam w duchu, posyłając jej nerwowy uśmiech i zastanawiając się naprędce, jaki rodzaj długiej, prostej w wykonaniu rozgrzewki zaaplikować podopiecznej. Nadzieja, że uda się w ciągu kilku minut postawić Marcina do pionu, jeszcze nie opuściła mnie tak do końca i kazała planować wykonanie założonego na dziś treningu razem z panią Halinką. W najgorszym wypadku postanowiłam upchnąć Marcina za ladą recepcji, gdzie leżeć i jęczeć będzie mógł do woli, nie szkodząc nikomu, poza Małgosią, którą w obliczu takiego stanu rzeczy być może jednak uda się wytrącić z równowagi.

— Zaraz przyjdę, pani Halinko — wykrztusiłam i przystąpiłam do realizacji podstępного planu, klnąc rozbudowane mięśnie kolegi, który sam z siebie jakby zapomniał, w jaki sposób należy ich używać i niemym bezwładem odmówił współpracy, gdy usiłowałam ściągnąć go z bieżni.

Sama z ulgą stwierdziłam, że choć dyskopatię po całej tej akcji mam zagwarantowaną, jestem w stanie dotargać Marcina do upatrzonego miejsca i aż do popołudnia udawać, że spędzam kolejny, zupełnie zwyczajny, spokojny dzień w pracy. Właśnie zamierzałam dyskretnie podrzucić niezupełnie żywe szczątki doczesne przyjaciela Małgośce, gdy drogę zastąpił mi sam Dareczek.

— Matko, ale narobiłaś. — Złapał się za głowę na widok ślaniającego się niczym zwiędnięta lilija i nadal pojękującego potępieńczo Marcina. — To twoja następna ofiara? Aleksandro, zalecam ograniczenie prędkości. Przy takim tempie w ciągu miesiąca wymordujesz całe osiedle!

— Nikogo nie zamordowałam — warknęłam rozjuszona oskarżeniem. — Jeszcze. A potem w planach mam tylko ciebie. Siedźże cicho, zaraz wszyscy się tu zlecą, żeby posłuchać o moich rzekomych zbrodniczych wyczynach!

— To by była niezła reklama dla klubu, ludzie lubią subtelną nutkę sensacji...

— A za tobą ciągnie się subtelna nutka debilizmu! Nikogo nie zabiłam, przestań mnie wreszcie szkalować!

— Ja cię nie szkaluję — obraził się Dariusz za subtelne nutki mojej kiepskiej o nim opinii. — Oszkalować to cię dopiero mogę. Za pół godziny chcą nas widzieć na komendzie. Coś tam podobno znaleźli.

— O! To może akurat znaleźli coś, co uwolni mnie raz na zawsze od twojego szkalowania. I ja sobie dla odmiany poszkaluję ciebie!

Wzajemne szkalowanie i obelgi nie miały dalszego ciągu jedynie dlatego, że przedstawivszy niecodzienne okoliczności, zdołaliśmy uzyskać od szefa zgodę na natychmiastowe wyjście z pracy. Zważywszy poziom agresji, który na parkingu osiągnął wartość krytyczną, oboje uznaliśmy za stosowne udać się na komendę każde własnym autem. Nawet nie dlatego, że obawialiśmy się o zagrożone naszym niezdrowym nastawieniem bezpieczeństwo uczestników ruchu drogowego w mieście. Zwyczajnie szlag by nas trafił, gdyby okazało się, że przyjdzie nam podsumować ten cudownie rozpoczęty dzień mandatem.

Pomysł dowiezienia własnych czterech liter w osobnych autach okazał się zbawienny, gdyż rozrywki, jakie zaplanowała policja, ostatecznie wytrąciły nas z i tak mocno zachwianej równowagi. Upchnięci razem w jednym samochodzie mieliśmy dużą szansę pozabijać się

nawzajem, oszczędzając wszystkim kłopotów, ze śledczymi na czele. Jedynie tłukące się bezładnie w otumanionych głowach resztki instynktu samozachowawczego uratowały nas przed taką ewentualnością. W rezultacie do pracy na swoją zmianę już nie zdążyliśmy, do domów zaś dotarliśmy cało w zaplanowanym z góry czasie, ale za to w stanie sugerującym konieczność użycia kaftanów bezpieczeństwa. Zwłaszcza że nasi życiowi partnerzy wkrótce również zakończyli obowiązki służbowe i należało dokonać subtelnego przemycenia informacji na temat głównych newsów dnia.

— Co takiego?! — zakrzuszył się Łukasz, którego wbrew wszelkim staraniom nie zdołałam utrzymać z daleka od produktów jadalnych, przynajmniej na czas rozmowy o zamierzeniach naszych ukochanych śledczych. — Chyba oszaleli! Morderstwo twojej koleżanki, wy z Beatką znajdujecie zwłoki, a oni awansują was na główne podejrzane? Co za idiotyzm!

— Też tak sądzę. Wieczorem spróbuję skonsultować to z babcią Janeczką — wymamrotałam, zastanawiając się naprędce, jak ukryć przed Łukaszem tożsamość ofiary. Ewentualnie, jak wytłumaczyć to niedomówienie. Sprawa w końcu wyleje się niechybnie.

Wylała się nawet szybciej, niż się spodziewałam, gdyż anemiczny dzwonek do drzwi przerwał nam próby przełknięcia obiadu. Łukasz nadal dławił się domysłami śledczych i ich negatywnym wpływem na nasze spokojne dotąd, zorganizowane życie. Ja najadłam się za to strachu za wszystkie czasy i apetyt w związku z tym straciłam totalnie. Z ulgą oderwałam się od talerza i skubanego bez przekonania posiłku, żeby otworzyć drzwi.

Na korytarzu stał Marcin i choć nadal wyglądał nieco słabo, a blada zieleń na jego obliczu nabrała odcienia szarości, przytrzymując się ściany trzymał się na nogach samodzielnie. Na jego widok straciłam apetyt jeszcze bardziej, bo przypomniało mi się, że rano jechaliśmy do pracy razem, a potem, pod wpływem niekorzystnego biegu zdarzeń, wróciłam do domu już bez pasażera. Ciężko znerwicowana, nie zadzwoniłam nawet sprawdzić, jak dotarł do mieszkania i czy opanował już to intrygujące coś, co jeszcze kilka godzin temu kazało mu rozpaczliwie jęczeć. Teraz, purpurowa ze wstydu za ten cholerny egoizm, który żył własnym życiem i kompletnie nie pozwalał się kontrolować, wciągnęłam Marcina do mieszkania, posadziłam w kuchni razem z Łukaszem i czym prędzej zabrałam się za szykowanie orzeźwiającego napoju.

Orzeźwienie było Marciniowi niezbędne do szczęścia i normalnego funkcjonowania, bo póki co toczył dookoła błędnym wzrokiem, który zatrzymał wreszcie w okolicy mojego prawie nietkniętego obiadu i sięgnął po widelec. Machnęłam ręką na własny żołądek i szybko podsunęłam mu czyste sztućce. Ze swojej porcji zdołałam przełknąć jedynie brukselkę, której resztki wyłowiałam teraz z garnka i uzupełniłam posiłek dla kolegi, z nadzieją, że odzyska choć odrobinę przytomności w spojrzeniu albo przynajmniej normalne kolory.

Jednak trawiący Marcina problem, choć nie przeszkadzał mu w spożywaniu posiłku, utrudniał znacząco powrót do normalnego stanu. „Było wyciągnąć piwo”, pomyślałam przerażona, bo Marcin siedział z nami w kuchni od ładnych kilku minut i jeszcze ani razu nie otwarł ust w celu innym niż konsumpcja. W zwyczajnych okolicznościach było to nie do pomyślenia. Zazwyczaj rozgadany, czasem wesoło, czasem smutno, ale bezwarunkowo przejawiający nadmierne zainteresowanie życiem prywatnym wszystkich jednostek ludzkich w promieniu stu kilometrów, w tej chwili doprowadzał mnie do stanu ślepej paniki. Takiego Marcina nigdy nie widziałam. I jeżeli moje zdanie w tej kwestii choć trochę się liczy, nigdy nie chciałam go takiego widzieć.

W końcu do zjedzenia nie zostało już nic, poza samym talerzem, jednak przed taką ewentualnością uchroniłam nas wszystkich, szybko zwijając puste naczynie do zlewu. Marcin pustym wzrokiem odprowadził ręce, w których niosłam źródło ukojenia, wypił resztę napoju i westchnąwszy kilka razy, wreszcie zdecydował się przemówić.

— Sabina Sobecka, powiadasz?

To był ostatni temat, na który miałam ochotę rozmawiać po dniu obfitującym we wrażenia powodujące szczękościsk i nieskoordynowane ruchy serca, które było uprzejme kompletnie zatracić swój stały, miarowy rytm. Teraz również zamarło na kilka sekund, by po chwili ruszyć z kopyta i bez ostrzeżenia przyspieszyć do miliarda uderzeń na minutę. Z trudem pohamowałam chęć wywalenia Marcina za drzwi i wzięłam kilka głębokich wdechów, by chociaż udawać jednostkę normalnie funkcjonującą pomimo wyraźnego zagrożenia zawałem.

Ryzyko zawału wydatnie wzrosło, bo na dźwięk nazwiska Sabinki Łukasz gwałtownie zainteresował się tematem i zapragnął aktywnie uczestniczyć w dyskusji.

— Co Sabina? — zapytał z taką uprzejmością, na jaką pozwalał mu bezczelny czarny kocur, który właśnie zasiadł na pańskich kolanach i usiłował zajrzeć Łukaszowi między zęby w poszukiwaniu czegoś jadalnego. Pan zwykle byle czego nie jadał, z kotem zwykł się dzielić, w przeciwnym razie bowiem kot częstował się sam, sięgając łapą do ust człowieka i usiłując wydłubać z nich choć kąsek.

— Oła, czy ty wiesz, kim była Sabina? — wyszeptał rozdzierająco Marcin, nie zwracając najmniejszej uwagi na zmagania pana i kota.

— Oprócz tego, że moją najbardziej irytującą sąsiadką ever? Nie. Nie mam pojęcia. — Buntowniczo skrzyżowałam ręce na piersiach. — O czymś nie wiem? A powinnam?

— Chyba tylko o tym, że to była ta Sabina...

— Jaka Sabina?

— TA!!! — jęknął Marcin i wreszcie do mnie dotarło.

Wszystko wskazywało na to, że tajemniczą ofiarą tajemniczego zabójcy biegaczek w różowych adidasach, była ostatnia niespełniona miłość Marcina. Wszystkiego mogłam się spodziewać. TO mnie przerosło.

— No proszę — bąknęłam. — I pomyśleć, że chciałam was swatać...

Marcin wybuchnął gorzkim śmiechem.

Tymczasem Łukasz, którego temat żywo interesował, zwiększył wysiłki zmierzające do uwolnienia się od upierdliwego kocura.

— Olka, co ty tu za swaty robisz? — zapytał podejrzliwie, spychając rozzłoszczonego Behemota z kolan i na wszelki wypadek przyjmując pozycję stojącą. — Romans sąsiedzki tu jakiś knułaś?

Serce przyspieszyło jeszcze bardziej, zbliżając się powoli do prędkości światła.

— Jak widać, głupi pomysł to nie był — prychnęłam. — Ale o tym to już się nie przekonamy. Sorry. Taki life.

— A co stoi na przeszkodzie realizacji tego niegłupiego pomysłu? — Łukasz przyczepił się do tematu, niczym pijawka. — Mieliby wspólne hobby, a zresztą Sabinka całkiem atrakcyjna.

Serce podskoczyło, dążąc do przekroczenia wszystkich znanych fizyce rodzajów prędkości, ale stawało się jasne, że ciągnie ostatkiem sił. Podobnie jak moja psychika. Pewnie dlatego definitywnie zrezygnowałam z subtelności.

— Atrakcyjna, ta — parsknęłam. — Tyle że nieżywa.

Na wielką żalność po Sabince odporna okazałam się tylko ja. I jeszcze Behemot, którego diabelskiej duszy obce były wywołane empatią podrygi. Wbrew twierdzeniom o męskiej niewrażliwości, obaj panowie na dźwięk moich słów gwałtownie się zakrtusili, pozielenieli i przybrali wygląd takich, którzy lada moment będą wymagali radykalnej reanimacji.

— Chryste, co ty mówisz? — wykrztusił Łukasz, złapawszy nędzną namiastkę oddechu. — Skąd wiesz, że Sabina nie żyje? Co to za żarty jakież?

Na wydobycie z siebie artykułowanych dźwięków Marcinowi sił chwilowo zabrakło, a

wspomnienie świętej pamięci ukochanej wydarło z jego wnętrza żalosne kwilenie.

„A to podobno ja mam stan przedzawałowy”, jęknęłam w duchu i choć miałam diabelną ochotę opuścić kuchnię i zostawić chłopaków sam na sam z rzewnymi wspomnieniami cholernej Sabinki, podjęłam próbę przywołania obu do porządku.

— Sabina nie żyje i to nie są żarty — zwróciłam się cierpko do Łukasza, który wyglądał, jakby i na jego życie dokonano zamachu, tyle że nieudanego. — Wiem na pewno, bo to jej zwłoki znalazłyśmy z Beatą. Rozumiem, że obaj ją znaliście, lubiliście, ale ten cyrk to lekka przesada. Zachowujesz się, jakby to mnie ktoś rąbnął — poskarżyłam się. — A ciebie, o ile pamiętam, wystawiła na okoliczność jakiegoś palanta i nawet nie wyjaśniła, dlaczego wybiera akurat jego — przeniosłam wzrok na Marcina. — A tu proszę. Zaraz zaczniecie drzwi mieszkań czarnym sukniem obijać. Komuś tu chyba za bardzo odbiło, bynajmniej nie mnie.

Panowie przyglądali mi się bez przekonania.

— Ola, nie rozumiesz powagi sytuacji — wymamrotał wreszcie Marcin. — Znałem Sabinę krótko, ale serce nie sługa. To, że dała mi kosza, nic nie znaczy wobec faktu, że ktoś ją zamordował. Nie oczekuj, że będę się cieszył.

Tymczasem Łukasza dręczył brak wiary w tożsamość znalezionych przez nas zwłok.

— A ty w ogóle jesteś pewna? Że to Sabinę znalazłyście? Mówiłaś, że nie widziałaś twarzy.

— Bo nie widziałam — przyznałam, choć krew się we mnie zagotowała. — Widziałam rękę i zarys sylwetki. I te cholerne różowe buty. Przez chwilę nawet myślałam, że to pani Halinka z klubu. Ona też ma takie buty i podobny pulsometr. Ale policja chyba by mnie nie wkręcała? I mnie, i Beacie, i nawet Darkowi powiedzieli wprost, że to była Sobecka.

— No nie wiem — mruknął nadal nieprzekonany Łukasz. — Może was podpuszczają. Może myślą, że wydebnią od was w ten sposób informacje, które normalnie próbowalibyście zataić. Może...

Słuchałam tej listy spiskowych teorii z narastającym osłupieniem. O co tutaj chodziło? Aż tak nie chciał uwierzyć w śmierć tej całej Sabinki? Aż tak mu było żal, że zbyt krótko była naszą sąsiadką? Na miły Bóg, kiedy ten racjonalnie myślący, mający poukładane na swoim miejscu priorytety mężczyzna zapałał miłością do kosmicznych teorii rodem z *Archiwum X*?

— A może obaj idźcie do psychiatry — przerwałam te idiotyczne dywagacje. — Jak tak bardzo wam źle z powodu Sobeckiej, sami spytajcie gliniarzy, podrzucę wam nawet wizytówki. Powodzenia.

— Aleksandra, daj spokój, po prostu nie chce mi się wierzyć, że znalazłyście w tych krzakach Sabinę. To tak niewiarygodne, że aż głupie.

— Głupie to jest to, że martwisz się byłą, nieżywą koleżanką, a nie ukochaną kobietą, którą wszyscy idiotycznie podejrzewają o to morderstwo — warknęłam i wściekła wyszłam z kuchni, pozostawiając Łukasza i Marcina, by spróbowali odzłować jakże niepowetowaną stratę beze mnie.

* * *

Na nic zdały się wieczorne tłumaczenia, kajanie i perswazje. Obrażona na cały męski świat z Łukaszem na czele za słabość do biuściastych kokietek o blond włosach, ostentacyjnie na resztę dnia zamknęłam się w łazience pod pozorem konieczności ukojenia skołatanych nerwów za pomocą zabiegów upiększających. Dwie godziny później odmówiłam wspólnej terapii winem i ostentacyjnie zaległam na macie, skutecznie ćwiczenia oddechowe i ofukując

proponującego masaż ukochanego. W tej sytuacji zdruzgotany zarówno informacjami o śmierci Sabiny, jak i moim totalnym brakiem zrozumienia, Łukasz wypił wino sam i bez zbędnych dyskusji oraz wyścigów zainstalował się z własnej inicjatywy na kanapie. Była to słuszna decyzja, bo urażona kobieca duma domagała się satysfakcji, stosując wyjątkowo wyrafinowaną odmianę focha. Nie odzywałam się. Ignorowałam próby zawarcia rozejmu. Odmawiałam przyjęcia pokornych pokłonów i przebłagalnych ofiar. Zagłuszałam premierę telewizyjną wysokobudżetowego thrillera, który Łukasz koniecznie chciał obejrzeć, za pomocą rzewnego pitolenia słowika nad szemrzącym potoczkiem, czyli tak zwanej muzyki relaksacyjnej. Na zawieszenie broni nie było szans. Łukasz zatem tuż przed północą podjął jedyną sensowną decyzję i wyniósł się spać do salonu.

Ja zaś ułożyłam się w łóżku w towarzystwie dwóch rozpieszczonych zwierzaków, które tym razem nie zdołały ukoić męczących mnie po dzisiejszym dniu przemyśleń.

Dlaczego Łukasz tak strasznie upierał się, że to niemożliwe, byśmy właśnie Sabinę znalazły w tej cholernej roślinności? I to chyba nawet bardziej, niż przy niewierze w śmierć Sabinki w ogóle...

„No przecież sam jej chyba nie zabił”, przemknęło mi przez głowę, zanim sen ostatecznie przerwał mi dywagacje na temat powiązań mojego mężczyzny z Sabina.

* * *

Niewyspana jednostka, mająca za sobą wyjątkowo ciężką noc, a wcześniej wyjątkowo ciężki dzień, w dodatku zaś czująca się skandalicznie opuszczona przez ukochanych bliskich, którzy powinni zapewnić jej wsparcie, a nie puste łóżko, ma prawo od rana być w podłym nastroju i oczekiwać, że nowy dzień przyniesie choć odrobinę poprawy. Albo przynajmniej nie przyniesie nowych katastrof, skutkujących załamaniem nerwowym. Z takiego właśnie założenia wychodziłam, płatając się po mieszkaniu od rana, symulując szykowanie do pracy i modląc o brak porozwlekanych po krzaczkach trupów, zbolących mężczyzn, a przede wszystkim wyjątkowo złośliwych śledczych, owładniętych obsesją rozwiązania zagadki i podejrzewających wszystkiego i wszystkich.

Brakiem zbolących mężczyzn na mej drodze życie postanowiło mnie porozpieszczać, szybko jednak doszłam do wniosku, że takie rozwiązanie wcale mnie nie satysfakcjonuje, gdyż zamiast zbolącego, po mieszkaniu w ślad za mną wędrował mężczyzna niespokojny, poirytowany i przedziwnie milczący. Nie wiem, czy łożenie miało coś wspólnego z próbą dogadania się po wczorajszej sprzeczce, gdyż wyglądało z pozoru na próby wstania z łóżka, ogarnięcia nie do końca dobudzonego jestestwa i rozpoczęcia kolejnego dnia pracy. W praktyce oboje płataliśmy się sobie nawzajem pod nogami, nie mogąc ani zdecydować się na wyjaśnienie nieporozumienia, ani zmobilizować do większej koordynacji porannych działań.

Wiedząc, że Łukasz pracuje dziś stacjonarnie i zajmie się wyprowadzeniem Dragona na spacer, mogłam odpuścić sobie pośpiech, co uczyniłam z ogromną ulgą. Klub otwierali dziś Małgosia z Darkiem i Kubusiem Puchatkiem, sama jechałam do pracy dopiero na dziewiątą. Znalazłszy zatem lukę pomiędzy kąpiącym w kuwecie Behemotem a biorącym prysznic Łukaszem, wlażłam do łazienki i bez przekonania międlłam w buzi szczoteczkę do zębów. Na nic więcej nie było mnie stać, mamrotałam tylko w duchu nieskładne, czołobitne hymny pod adresem bliżej nieznanego geniusza, który wymyślił elektryczne szczoteczki. Wymamrotałam również coś do Łukasza, któremu przypomniało się, że chciał się jeszcze ogolić i to najlepiej przed wyjściem na spacer z psem.

— Zamierzasz kogoś po drodze podrywać? — zainteresowałam się złośliwie, ale mając w pamięci dyskomfort spania bez mężczyzny u boku, postarałam się, by Łukasz mnie nie usłyszał. Co nie przeszkadzało mi się nieco powymądrzać...

— Było pamiętać wcześniej! — wybulgotałam, tocząc pianę, wyjątkowo nie z wściekłości. — Czy ja się myję na raty?

— Ty krem do twarzy wklepujesz na raty — padła cięta riposta i piana natychmiast zwiększyła swoją objętość, zmieniając również nieco charakter. — Dalej Olka, Dragon się zleje i wtedy przyblokuje ci łazienkę na dłużej!

Było to wredne oszczerstwo względem Dragona, który miał rozmaite głupie pomysły i wiele rzeczy przerobił na żalosne strzepy, ale nigdy nie zdarzyło mu się załatwić w niedozwolonym miejscu. W chwilach wyjątkowej desperacji, gdy państwo błakali się zbyt długo gdzieś poza domem, decydował się skorzystać z wyjścia awaryjnego, czyli wleźć do kocięj kuwety. Miało to jednak miejsce raz czy dwa, gdyż zazwyczaj udawało nam się tak rozplanować dzień, by pies nie czuł przymusu przetwarzania żwirku w kuwecie na płynne bajoro. Argument był zatem wyjątkowo nietrafiony, o czym poinformowałam Łukasza, usunąwszy uprzednio nadmiar spienienia z wnętrza jamy ustnej.

— Kochanie, zlituj się, wiesz, że w każdej chwili mogą mnie gdzieś wysłać. Nie będę miał czasu się ogolić!

— A ja muszę kremy powklepywać! Pod oczy, na twarz i na szyję! Jak przez ciebie jakiegoś zapomnę, zmarszczki mi się zrobią!

— Tak! Zwłaszcza te wczorajsze od marszczenia czoła! Złość szkodzi na urodę gorzej niż brak kremów!

— Od wczoraj najgorzej na urodę szkodzą mi dyskusje z tobą — jęknęłam, bo nadmiar wzajemnych złośliwości zaczynał przekraczać normy, na wyrobienie których zazwyczaj potrzebowaliśmy około miesiąca. Czyżby pierwszy kryzys zapukał do drzwi naszego szczęśliwego, okraszonego jedynie drobnymi uszczypliwościami światka?

Drgnęłam przerażona, gdyż w tej samej chwili do drzwi zaczął się ktoś dobijać. Rzeczony kryzys nie dość, że zamiast pukać, skorzystał z dzwonka, to jeszcze dzwonił jak na alarm, mając w głębokim poważaniu fakt, że stresowanie i tak już znerwicowanych ludzi od rana jest wyjątkowym nietaktem.

— Chryste, kto się jeszcze zwała na głowę o tej godzinie? — wymamrotał Łukasz i odpuściwszy na chwilę łazienkową bitwę, powędrował w kierunku drzwi.

Niepewnie wychynęłam za nim, zbyt przerażona wizją pukającego do drzwi kryzysu, by zostać w łazience i pozbawić się możliwości wykopania intruza. Nie zważając, że nadal trzymam w paszczy szczoteczkę i mam na sobie piżamę w wersji koronkowej, zakrytą kusym, jedwabnym szlafrocikiem, poszłam za Łukaszem.

Po czym galopem zawróciłam do łazienki, zastanawiając się, czy używane dość oszczędnie kosmetyki do makijażu i solidny stosik tych pielęgnacyjnych wystarczą do zabarykadowania się — przynajmniej do chwili, gdy kryzys będzie uprzejmy sobie pójść. Do bezpośredniego starcia przestałam się palić, gdyż intruz przybrał najgorszą z możliwych postaci.

Tymczasem kryzysowi bardzo zależało na konfrontacji, bo zanim zdołałam przemyśleć konstrukcję niemożliwej do sforsowania barykady, do łazienki zapukał Łukasz.

— Ola, możesz wyjść? Policja, zdaje się, w sprawie śmierci Sabiny. Jesteś potrzebna.

— Do czego? Do zakucia w kajdanki? — wymamrotałam, usiłując odpędzić wizję samej siebie wlezionej na szafot za dokonanie egzekucji na zniechęconej sąsiadce i porzucenie jej w parkowej roślinności. Fakt, że nie popełniłam tego haniebnego czynu, nijak nie uciszał wrzasków żadnej krwi tłuszczy, która wpatrywała się pożądliwie w ostrze gilotyny czy innego narzędzia

mordu. Sekundy dzieliły mnie od utraty tego nędznego, lecz jakże kochanego żywota... Wiedząc, że lada moment wyobraźnia zaprezentuje mi moją własną, oddzieloną od reszty i szarpaną przez kata głowę, skłęłam Sabinę gorzej niż kiedykolwiek.

Na szczęście wyobraźnia nie zdążyła zaprezentować mi krwawego finału, gdyż wołanie z przedpokoju zabrzmiało ponownie.

— Już, już, tylko się ubiorę! — wrzasnęłam w panice, bo dotarło do mnie, w co jestem odziana. W popłochu wciągnęłam na piżamę portki od dresu i wyprysłam z łazienki, odrobinę za późno przypominając sobie, że biust mam nadal dość umownie przykryty. Rozpaczliwie okręciłam się jedwabnym szlafrocikiem i stanęłam przed przedstawicielami prawa.

— Dzień dobry. — Aspirant Cichosz uśmiechnął się złośliwie, jakby właśnie udało mu się powiedzieć doskonały żart. Rzeczywiście, wizyta bladym świtem upiornego stróża prawa była wybournym dowcipem, zwłaszcza że pojawił się w asyście. Rozejrzałam się gorączkowo wśród stłoczonej w przedpokoju ekipy. Matko, aż tylu na mnie jedną? Czyżby wiedzieli, że będę podczas aresztowania stawiała opór? Zwłaszcza po łazienkowej wizji z gilotyną i katem... Czy jest tu jakaś życzliwa dusza?

W jakim stopniu detektyw Gos naprawdę był mi życzliwy i nie pałał pragnieniem zapuszkowania pierwszej lepszej osoby, było sprawą dyskusyjną, jednak nie ulegało wątpliwości, że daleko mu było do gończego szału, jakim owładnięty był Cichosz, i zamiłowania do dręczenia świadków w najbardziej wyrafinowany, sadystyczny sposób. Jeżeli miałam z kimś dyskutować o własnej niewinności o siódmej rano, odziana w portki od dresu, koronkową koszulkę i jedwabny szlafrocik, z obliczem umazanym kremami i resztką pasty do zębów, o niebo wołałam zrównoważonego, sympatycznego detektywa o przystojnym, choć zeszpeconym bliznami obliczu. W tym większą panikę wpadłam, gdy wśród ekipy śledczej nie dostrzegłam Gosa. Wyglądało na to, że mój los jest przesądzony i należy zacząć się modlić.

Skuteczność mamrotanych naprędce zdrowasiek trudno ocenić, gdyż aspirant Cichosz nie wyciągnął bynajmniej z kieszeni kajdanek. Wyciągnął za to jakiś papier i, Bóg mi świadkiem, uczynił to z taką miną, że natychmiast wystraszyłam się jeszcze bardziej. W czym papier mógł być gorszy, nie wiedziałam, ale zrobiło mi się słabo, gdy Cichosz zamaszystym gestem wręczył dokument stojącemu bliżej Łukaszowi.

Łukasz z ogłupiałą miną wbił wzrok w kartkę, z każdym słowem coraz bardziej wytrzeszczając oczy. Zawisłam mu na ramieniu, usiłując odczytać straszliwy wyrok. Chyba jednocześnie odnaleźliśmy kluczowe słowo, bo w jednej chwili wydarł nam się z gardła pełen niedowierzania okrzyk:

— Co takiego? Rewizja?!

Takiej właśnie reakcji oczekiwał aspirant Cichosz.

— Ano rewizja — wyjaśnił uprzejmie, radosnym gestem zacierając ręce. — Nakaz jest, więc mam nadzieję, że i współpraca z państwa strony będzie. Państwo będą uprzejmi pozostać na miejscu pod nadzorem młodszego aspiranta Bieniuka i nie wchodzić w paradę ekipie. Przecież wszystkim nam zależy, by załatwić to szybko i sprawnie.

W tej chwili zależało mi jedynie na szybkim i sprawnym zamordowaniu Cichosza.

— Ja bardzo przepraszam, ale dlaczego ta poranna kawka to u nas? — zjeżyłam się. — Nie macie żadnych innych podejrzanych? I czy to w ogóle nie można w bardziej ludzkich godzinach?

— Ależ to bardzo ludzkie godziny. Akurat takie, żebyście państwo mieli nas z głowy. A i my dzięki temu szybciej zyskamy materiał do badań.

— O ile w ogóle coś tu znajdziecie — oprzytomniał Łukasz, któremu wreszcie udało się oderwać wzrok od upiornej kartki. — Czego pan zamierza szukać w naszym mieszkaniu?

Brak współpracy zniecierpliwiał Cichosza.

— Powiązań z morderstwem — wycedził i nie zawracając sobie głowy naszymi protestami, dziarskim krokiem ruszył do kuchni. — Państwo będą uprzejmi zabrać psa! — dobiegł nas po chwili wrzask, bo ekipa śledcza przerwała śniadanie Dragonowi, który w takich newralgicznych momentach miał w zwyczaju przybierać groźny wyraz pyska.

— Teraz ci się przypomniało — wymamrotał Łukasz, wołając psa i na wszelki wypadek zabierając ze sobą miskę z karmą. — Olka, weź kota i żarcie. Cholernie czujne zwierzęta... Mogliby nas wynieść razem z całym dobytkiem, byle nikt nie próbował tknąć miski...

Dragon, niewiele sobie robiąc z wyrzutów pana, ponownie przystąpił do ostentacyjnego lekceważenia hordy płaczącej się po domu policji, przynajmniej na czas spożywania posiłku. Istniało spore prawdopodobieństwo, że gdy w misce ujrzy wreszcie dno, zechce zainteresować się bliżej stadem obcych, panoszących się we wszystkich pomieszczeniach ludzi i zdecyduje się okazać im swą dezaprobatę.

— Jeszcze tego brakuje, żeby kogoś ze śledczych użarł w tyłek — mruknął Łukasz niespokojnie. — Przepraszam, czy ze względów bezpieczeństwa możemy poczekać ze zwierzyną w łazience? Nie gwarantuję, czy pies nie zechce zaprotestować wobec rewizji kojca...

Uzyskawszy wymuszone groźnym wyglądem i rozmiarami piesa pozwolenie, wpakowaliśmy się do łazienki, zajmując niewielką przestrzeń i usiłując umościć się choć w miarę wygodnie. Najlepiej poradził sobie Behemot, pakując się do szafki pod umywalką, gdzie w koszyczku trzymałam wyprane ścierki. Dragon przepychał się przez chwilę z Łukaszem w śmiertelnym boju o dywanik, którym ostatecznie zgodzili się podzielić. Sama z ciężkim westchnieniem wlałam do brodzika i usiadłam po turecku, nie bacząc, że pomoczę sobie tyłek.

Pod drzwiami na straży naszego dobrowolnego aresztu stanął młodszy aspirant Bieniuk.

— Chryste, czego oni tam ryją? — jęknął Łukasz, bo z kuchni dobiegały odgłosy, jakby pomieszczenie zostało opanowane przez całe stado głodnych Behemotów. — Na cholerę im nasza zastawa? Czego oni właściwie szukają?

— A skąd mnie wiedzieć? — Machnęłam zrezygnowana ręką. — Zadzwon do babci Janeczki, ona ci powie, czego policja może szukać podczas rewizji. Nie wiem, noża! Sztyletu! Obosiecznego miecza! Nie mam pojęcia, czym zadźgali tę cholerną Sabinę! Noży ci u nas dostatek, nie daj Boże jeszcze coś sobie naprawdę wybiorą... Hej, wszystko w porządku? — Zaniepokoiłam się, bo na wzmiankę o zadźganiu i nożach Łukasz gwałtownie przybladł.

— Nic, nic... Chryste... Nie, naprawdę nic — wydukał pełnym paniki głosem. — Jesteś pewna, że noże? Mieczu nie posiadamy, choć wolałbym, hm, mieć czym pokroić chleb jutro rano...

— To chyba nie jest najważniejszy problem — powiedziałam powoli, przyglądając się Łukaszowi uważnie. Czyżbym w pobladłym obliczu i nagłym uporze, by patrzeć mi prosto w oczy, dostrzegła subtelną nutkę kręactwa? Rzadko miałam z nią do czynienia i zupełnie nie podobał mi się fakt, że ujawniła się właśnie w tej chwili. — Masz jakiś interesujący nóż pod poduszką?

Wizja interesujących ostrych przedmiotów zrobiła na Łukaszu jeszcze bardziej piorunujące wrażenie, bo nie dość, że zbladł, to zrobiło się go o jakieś dziesięć kilo mniej. Gdybym się dobrze przyjrzała, z pewnością dostrzegłabym w czarnych, falujących włosach pierwsze oznaki siwienia.

— Ależ tak — wymamrotał. — Całą kolekcję. Obowiązkowo zakrwawionych. Pod tą cholerną poduszką.

Z trudem powstrzymałam irracjonalną chęć natychmiastowego wystartowania w kierunku sypialni i przekopania pościeli. Po pierwsze, gdyby coś tam było, śledczy znaleźliby to szybciej niż ja.

Po drugie, co za idiotyzm, oczywiście, że ja znalazłabym pierwsza, bo w życiu nie przespałabym nocy, czując, że coś ostrego kłuje mnie w tyłek.

Po trzecie, noży naprawdę był ci u nas dostatek i z braku miejsca w kuchni chowaliśmy je w najbardziej debilnych miejscach — szczególnie te duże, do zadań specjalnych, które, wyznając niechętnie, kusily mnie blaskiem stali i perfekcyjną linią ostrza, kupowałam je zatem namiętnie i zupełnie niepotrzebnie, gdyż znając moją namiętność, znajomi chętnie dostarczali mi ukochane sztucce w prezencie, ja zaś, poza napawaniem oczu ich pięknem i szlachetnym kształtem, nie użytkowałam ich w żaden sposób. Dwa czy trzy komplety tkwiły nawet nierozpakowane w komodzie wraz z obrusami i nie było szans, by śledczy dorwali na nich najmniejszy choć krwawy ślad. Mogli się co najwyżej zdziwić, ale to raczej nie było karalne. Skoro bowiem noże lśniły nieskalaną czystością i były zapakowane fabrycznie, cóż innego, poza zdziwieniem ich obfitością, mogło wpaść policji do głowy?

„A jednak chyba wpadło”, pomyślałam z goryczą, gdy gdzieś z okolic salonu dobiegł nas triumfalny okrzyk szalejącego po mieszkaniu Cichosza.

Łukasz również drgnął nerwowo na dochodzące z pokoju ożywione głosy.

— Pani Lenczyk, zapraszam! — nagłący okrzyk przebił się przez pozostałe odgłosy akurat w chwili, gdy Dragon był uprzejmy skończyć śniadanie. Poderwaliśmy się całą trójką — ja, bo akurat wywołano mnie do odpowiedzi, Łukasz, bo ogólnie był mocno zestresowany, co wносиłam z zielonkawej barwy oblicza, jakiej zdążył nabrać, zaś pies przypomniał sobie wreszcie, że rewizja może obejmować również jego ukochane miski i cichym warknięciem wyraził dezaprobatę. Jeden Behemot, dopóki miał miętko pod tyłkiem i spał odizolowany od źródła zamieszania drzwiczkami szafki, nie wykazywał zainteresowania niecodziennym zbiegowiskiem.

Spojrzałam z wyrzutem na szafkę, usiłując dosięgnąć piorunującym spojrzeniem śpiącego błogo kota, po czym z wdzięcznością na Dragona, który chętnie wyszedłby z łazienki razem ze mną i wytłumaczył obecnym, co myśli o policyjnym nalocie, i to w dodatku jeszcze przed spacerem. Przyznaję, sama również z przyjemnością stanęłabym do konfrontacji ze śledczymi, mając przy sobie wsparcie w postaci solidnego psiego uzębienia. Z ciężkim westchnieniem wypchnęłam się przez szparę między ścianą a minimalnie uchylonymi drzwiami i stawiałam się na wezwanie w kuchni.

Zgodnie z moimi przewidywaniami śledczy zgromadzili na stole pokaźną kolekcję kuchennych noży — zarówno tych używanych, jak i służących do napawania się ich pięknem bez korzystania z ich walorów praktycznych. Wywlekli je ze wszystkich chyba możliwych pomieszczeń, razem z ozdobnym nożykiem do papieru, który przywieźli mi rodzice jako pamiątkę ze swych licznych wojaży. Potoczyłam po kuchni dość błędnym wzrokiem, gdyż widok całego tego arsenału zgromadzonego w jednym miejscu przyprawił mnie o lekki zawrót głowy.

— O rany — westchnęłam z podziwem.

— Imponująca kolekcja — przyświadczył aspirant Cichosz. — Czy zechce pani wyjaśnić

mi, po co państwu całe to bogactwo?

Nie miałam weny, żeby kłamać i wymyślać historyjki o krewnych, którzy z okazji zaręczyn kupili nam takie same prezenty. Dość szczerze nakreśliłam obraz swoich niecodziennych zamiłowań i wyjaśniłam powody, dla których posiadam tyle kompletów.

— Oczywiście, że nie używam wszystkich. Nie byłabym w stanie, nawet gdybym miała rozplanowane po jednym na każdy dzień. Szczerze mówiąc, to nie wiedziałam nawet, że tyle ich jest. Ani że ten jest podwójny. Sam pan widzi, połowy nawet nie rozpakowałam.

— A pani partner?

— Nigdy w życiu! Uważa tę kolekcję za wynik nieszkodliwej obsesji, a noży używa tylko tych, co są w kuchni w szufladzie. Po co w ogóle panom te noże? Któryś jest podejrzany?

Choć wygłosiłam ostatnią kwestię, by rozładować nieco napięcie, które powoli odcinało mi krążenie poniżej kolan, błysnięcie dowcipem okazało się wyjątkowo idiotycznym pomysłem. Aspirant Cichosz zajaśniał własnym światłem, bynajmniej nie dlatego, że docenił moje poczucie humoru.

— Owszem, owszem... A szczególnie ten nieobecny.

Skonsternowana wytrzeszczyłam na niego oczy. Nieobecny? Który z moich noży był nieobecny? Nieobecności żadnego nie zauważyłam, niemożliwe, żeby ulotnił się bez poinformowania mnie o tym fakcie!

— Widać nie jest pani na bieżąco — mruknął jeden ze śledczych, podtykając mi pod nos duży, ciężki komplet, jeden z tych, które posiadałam w dwóch egzemplarzach.

Zerknęłam na przezroczystą pokrywę i szpetnie zakląłam.

Z zestawu czterech dużych noży przeznaczonych do zadań specjalnych, jeden ulotnił się cichaczem, nie raczywszy mnie poinformować. Brakowało tego z ostrym końcem o ząbkowanym ostrzu.

— No przecież niemożliwe — wymamrotałam ze zgrozą. — Drugi taki jest w szufladzie. To znaczy, zazwyczaj jest — dodałam, patrząc znacząco na wywleczone na stół luzem sztuce. — Używam tego z szuflady. Przynajmniej, dopóki zupełnie się nie stępi. Czyli raczej nieprędko.

— To gdzie jest nieużywany?

— To może pan mi powie — zirytowałam się, bo brak jednej z zabawek wytrącił mnie z równowagi. — Robiliście rewizję w całym mieszkaniu! Nie znalazł się nigdzie luzem?

Chyba jednak za dużo oczekiwałam po ekipie śledczej. Aspirant Cichosz zacmokał z przyganą.

— Rewizję, pani Lencyk, rewizję. Nie generalne porządki. Ale jeżeli tu nie ma noża, to znaczy, że nie ma nigdzie w mieszkaniu. Chciałbym wiedzieć, co się z nim stało.

— Ja też! — prychnęłam, bo zdekompletowany skład noży coraz bardziej działał mi na nerwy. Do licha ciężkiego, nigdy w życiu niczego nie zgubiłam, utrzymywałam nienaganny porządek, nigdy nie miałam problemu ze znalezieniem poszukiwanej rzeczy! No, przynajmniej do czasu, gdy zamieszkałam z Łukaszem... A i wtedy nie moja skromna osoba odpowiadała za zostawianie przedmiotów nie na swoim miejscu.

Przepraszam, pomyłka. Jedynym członkiem rodziny, który miał problem z zaakceptowaniem faktu, że wszystko w domu na swoje miejsce, był Behemot. Tyle że akurat o wywleczenie z zamkniętego w szufladzie komody jednego z cięższych noży zupełnie po cichu i bez pozostawienia odcisków łap nie byłam w stanie podejrzewać kota. Kot wywlekał rachunki. Kot wywlekał szaliki i niewielkie części garderoby. Kot miał w zwyczaju kraść wszystko, co dało się przerobić na dość miękkie siedzisko. Również pieniądze w postaci papierowej, jeżeli udało mu się takowe dorwać. W winę Behemota uwierzyłabym, gdyby zginęła wyściółka z pudełka na noże. Same noże — nigdy.

— Ja nie wiem. — Rozłożyłam ręce zirytowanym gestem. — Może pan szukać do uśmiechniętego końca świata. Chętnie poczekam, a nawet pomogę. Pierwszy raz w życiu coś mi zginęło i nie mam pojęcia, jak do tego doszło.

Aspirant Cichosz pokręcił bez przekonania głową.

— A pani partner?

— Też nie ma w zwyczaju gubienia wszystkiego jak leci.

— No cóż. Zobaczymy, co sam ma do powiedzenia. Mariusz, odprowadź panią do łazienki i zwołaj Nawrockiego.

Nie na rękę mi było wsadzanie mnie do improwizowanego na czas rewizji aresztu, zwłaszcza że nie dano mi szans na zamienienie choć słowa z Łukaszem. Sama chciałam równie mocno jak śledczy dowiedzieć się, gdzie zapodział się nóż. Czyżby zwiął sam przed aspirantem Cichoszem? Tyle że jeżeli zwiął, mógł być winny...

Szybka zmiana warty przy trzymaniu palącego się do składania zeznań Dragona i Łukasz znalazł się po drugiej stronie drzwi, zanim zdążyliśmy wymienić cokolwiek poza spłoszonymi spojrzeniami.

„I co teraz, do cholery”, zastanawiałam się gorączkowo, sama już nie wiedząc, czym bardziej się w tej chwili przejmować. Dziwnym zachowaniem Łukasza? Samą rewizją? Czy raczej faktem, że jeden z moich noży wymknął się niepostrzeżenie i dokonał zbrodni? Jeżeli tak, nie było szans na uznanie mnie za niewinną. Cholerny nóż musiałby mieć współnika i w tym momencie wszystko wskazuje na Aleksandrę L. Motyw? Był. Okazja? A i owszem. Narzędzie zbrodni? Zbiegło z miejsca przestępstwa, cha cha! Ja sama też przecież zbiegłam...

„Jakiej zbrodni, idiotko”, wyrznęłam się ze złością w czoło i wreszcie zdecydowałam się włączyć logiczne myślenie. Nie ja nóż posiałam, może jednak Łukasz coś wie na ten temat. Już pal piorun sam nóż, ale może wie o czymś, co wyjaśni, dlaczego narzędzie kuchenne samowolnie oddaliło się z miejsca pobytu. A tym samym oczyści je z podejrzeń... Tylko jak to ustalić?

Sprawa była prosta. Przyklejenie ucha do drzwi niewiele by mi dało, odległość była zbyt duża, bym zdołała cokolwiek wyraźnie usłyszeć. Ale taki już na przykład przewód wentylacyjny, połączony bezpośrednio z kuchnią? Zdarzało mi się podczas kąpieli słyszeć całkiem wyraźnie, jak Łukasz rozmawia w kuchni przez telefon, zwłaszcza że przez telefon miał zwyczaj wrzeszczeć. Tym razem o głośnej rozmowie nie było mowy, musiałabym spróbować bliżej kratki wentylatora. Genialne!

Genialny w swej prostocie pomysł w praktyce zaprezentował coś zgoła od prostoty dalekiego. Wylot przewodu znajdował się bowiem nad wiszącą szafką, zamaskowany doniczką z rozrastającym się obficie bluszczem. Gdybym dysponowała jakimkolwiek stołeczkiem, problem właściwie uznałabym za nieistniejący.

Tyle że stołeczka nie miałam.

Szybkie spojrzenie dookoła wystarczyło na dokonanie przeglądu możliwych opcji. Z przepychania pralki pod przeciwległą ścianę zrezygnowałam na wstępie. Wysokość i wielkość miały idealną, by zrealizować moje zamierzenia, jednak upchnięta między ścianą a prysznicem wymagałaby uprzedniego wyszarpania z zajmowanego miejsca, a to mogło przekraczać moje siły. Szafki spod umywalki przesunąć się w ogóle nie dało, gdyż była zamontowana na stałe. Zmuszać Dragona, by powstał w charakterze podpórki byłoby bestialstwem. Z ciężkim westchnieniem zdecydowałam się na najgłupszą z możliwych opcji i przystąpiłam do włożenia na umywalkę.

Jakie to było mądre oprzeć umywalkę na stabilnej, dużej szafce, dla której utrzymanie pięćdziesięciu kilogramów wścibskiego babska nie stanowiło żadnego problemu! Wprawdzie Łukasz, kupując i urządzając mieszkanie, dostosował wysokość mebli do swojego wzrostu

koszykarza NBA i najwyraźniej zapomniał wziąć pod uwagę, że może zakochać się w kobiecie ledwie dorastającej do metra sześćdziesiąt, a i to przy lekkim podskoku. Umywalka była zatem zainstalowana na tyle wysoko, że aby oprzeć się kolanami o wystającą z prawej i lewej strony szafkę, musiałam stanąć na krawędzi brodzika. Dla wysportowanej jednostki nie stanowiło to żadnego wielkiego wyczynu, więc nie minęły dwie minuty, a już tkwiłam z nogami w umywalce, przytykając ucho do przewodu wentylacyjnego.

„No proszę, pomysł głupi nie był”, pogratiulowałam sobie, odpychając jedynie doniczkę z bluszczem, który nieco ograniczał mi możliwość przytrzymania się wiszącej szafki, na której stał. Słyszałam prawie wszystko i klęłam cenne sekundy stracone na zastanawianie się, jak tu wleźć. Rozmowa toczyła się bowiem już na etapie dość zaawansowanym i nie bardzo byłam w stanie zorientować się, czego dotyczy.

— Przecież mówię, byłem na spacerze z psem — tłumaczył cierpliwie Łukasz. — Codziennie około dwudziestej drugiej robię z Dragonem ostatnią rundkę dookoła bloku. Na długi spacer idziemy w ciągu dnia, a potem Ola zabiera psa na bieganie. Więc te wieczorne wyjścia są raczej krótkie. Ale gwarancji nie ma, bo sąsiedzi ze zwierzakami też się jeszcze kręcą. Zdarza się, że chcemy zamienić słówko. Ludzie albo zwierzęta. I wtedy sprawa przeciąga się nawet ponad pół godziny. Bo normalnie taki spacer to dwadzieścia minut.

— A wtedy? Czy zwierzęta również odczuwały potrzebę pogawędki? — Aspiranta Cichosza najwyraźniej zafascynowała nasza skłonność do personifikowania osiedlowych psów.

— Chryste, nie pamiętam... Pewnie tak, bo sąsiedzi wracali z wyjazdów wielkanocnych. Dużo osób kręciło się po parkingu. Nawet jeżeli nie ucieliśmy sobie pogawędki, ktoś mnie na pewno widział. W towarzystwie Dragona, a nie wielkiego noża.

— O! A skąd pan wie, że o nóż chodzi?

— Bo nie jestem idiotą — w uprzejmej wypowiedzi Łukasza wychwyciłam pierwszą nutkę irytacji. — Widzę, co panowie wywlekli. Cała kolekcja mojej narzeczonej. Kretyn by się domyślił, że chodzi o nóż.

— A zatem towarzystwo noża było panu obce?

— Proszę spytać psa.

— Chyba najpierw porozmawiam z sąsiadami — zachichotał Cichosz, którego pogawędka z Łukaszem wydawała się bawić coraz bardziej. — No dobrze. Czyli żadnego noża pan nie wynosił. Kto zatem wyniósł ten brakujący?

Cisza.

— A którego, przepraszam, brakuje? — chrząknął Łukasz i w tym momencie pilniej nadstawiłam ucha. Ten temat interesował mnie osobiście, a ton głosu narzeczonego sugerował, że posiada w tej kwestii pilnie strzeżone informacje. Ktoś, kto go nie znał, może dałby się okpić, ale nie kobieta po prawie rocznym okresie wspólnego mieszkania.

Nie wiem, jakich argumentów zdecydowali się użyć śledczy, jednak cisza trwała stosunkowo krótko i przerwało ją ciężkie westchnienie Łukasza.

— A ten... Chryste... Naprawdę muszę się przyznawać?

— Jak się pan nie przyzna, będzie dość nieciekawie wyglądało.

— A jak się przyznam, Ola mnie zabije. No trudno. Takie noże były dwa. Jeden w komplecie, drugi w szufladzie, do codziennego użytku. Olka bardzo o nie dba i nie pozwala na niestandardowe używanie. Na przykład podczas remontu. Złamałem zakaz i... no cóż... Nóż poległ podczas podważania kafelków, bo sam odkuwałem. Wyrzuciłem, podłożyłem drugi i zacząłem się modlić, żeby nie zauważyła. Wszystko w temacie. Tylko jakby co, nic pan nie wie, bo mogę nie przeżyć.

Z zapartym tchem słuchałam tych szokujących wyznań. Ach tak! Mój nóż poległ i

spoczął gdzieś w śmietniku ponad trzy miesiące temu, a ja nic nie wiedziałam! Nie wspominając, że z zeznań Łukasza czepliwa bestia, jaką był Cichosz, natychmiast wychwyciła interesującą dla siebie informację.

— Czy twierdzi pan, że pani Lenczyk bywa nerwowa? Agresywna?

— Jak to wkurzona kobieta — palnął Łukasz bez zastanowienia.

No dzięki!

— Zdolna do morderstwa?

— Nie, no skądże. Chyba że się wyleje z tym nożem... Mogę zginąć marnie.

Zgiń, przepadnij, czarcie! „A przedtem się przymknij”, pomstowałam rozpaczliwie, całkiem autentycznie rozważając morderstwo. Wszystkie te aluzje na temat mojego narwanego charakteru Łukasz wygłaszał okraszone bogato ironią, jednak aspirant Cichosz ironię interpretował po swojemu i kompletnie na niekorzyść świadków... Zaraz gotów mnie zakuć w kajdanki, bo Łukaszowi zachciało się dowcipkowania! Zaraz, zaraz, co oni tam mamrocą?

Do rozmowy wtrącił się ktoś jeszcze, obdarzony wyjątkowo zachrypniętym głosem i paskudną dykcją. Szanse na usłyszenie dalszego ciągu dyskusji zaczęły mi umykać. W panice przyglądałam bliżej do ściany. Cholerny badył, jak ja mam się oprzeć?

Nerwowym ruchem przesunęłam doniczkę jeszcze kawałek, bo w kuchni wychwyciłam imię zamordowanej sąsiadki i na chwilę zapomniałam o nożu. Nóż pal licho, miałam awaryjnie drugi, a drugiej szansy na podsłuchanie zeznań Łukasza na temat jego relacji z Sabiną życie mogłoby mi poskąpić. Przycisnęłam głowę do kratki wentylacyjnej, chwilowo mając w nosie fakt, że ostatni raz myłam ją dwa miesiące temu.

Łukasz był na etapie spowiadania się z kontaktów z Sabiną w Stanach i początków ich znajomości. Tyle wiedziałam sama i odetchnęłam z ulgą, bo wersja, którą wcześniej słyszałam, pokrywała się z wersją dla policji. To, co działo się na osiedlu, interesowało mnie dużo bardziej, bo tu miałam spore wątpliwości co do szczerości w męskim wykonaniu.

„No dobra, dobra, sama wiem, że się spotykali”, zazgrzytałam zębami, gdy Łukasz opowiadał ckliwe, niewinne historyjki na temat przypadkowych spotkań przy śmietniku, absolutnie pozbawionego podtekstów wnoszenia zakupów i udzielenia kilku porad w kwestii samochodu, gdyż sąsiadka wspominała o zmianie auta w najbliższym czasie i bardzo zależało jej na opinii kogoś, kto się zna. O, proszę, o samochodzie ani słowa nie powiedział, czyli jednak nie zawsze spotykali się tak zupełnie przypadkowo!

Kolejne pytanie i odpowiedź potwierdziły moje przypuszczenia.

— Czyli utrzymywał pan kontakt z panią Sobecką?

— Tak, lubiłem Sabinę. W Stanach byliśmy jedynymi Polakami w redakcji, zaprzyjaźniliśmy się. Skoro została naszą sąsiadką, nie widziałem powodu, żeby wypierać się nagle przyjaźni. Liczyłem, że z Olą też się dogada.

— I dogadała się?

— Chyba nie bardzo. Wie pan, jak to dziewczyny... Rzadko która lubi koleżanki partnera, zwłaszcza jak ma już jakieś przykre doświadczenia. Więc, szczerze mówiąc, nawet nie wspominałem, że chcę pomóc Sabinie z tym samochodem. Sprawa była pilna, trzeba to było szybko załatwić, bo ten jej seat zwyczajnie więcej się psuł, niż jeździł. Kilka razy dzwoniła, żebym pomógł jej odpalić albo odholować do warsztatu.

Gdyby nie fakt, że otwór wentylacyjny pomieściłby mnie jedynie w bardzo małych kawałkach, najpewniej już tkwiłabym w środku i pełzła w kierunku kuchni, przepelniona żądzą mordy tak wielką, że zlekceważyłabym obecność śledczych. Samochód odpalić, odholować, podwieźć! Już raz takie podwożenia za plecami przerabiałam i co z tego wyszło? A teraz co, proszę państwa, powtórka z rozrywki?! Szlag niech to wszystko trafi!

W ciężkim wzburzeniu przyrosłam wręcz do ściany, starając się z nią stopić, przeniknąć mentalnie, wysłać przewodem swoje ciało astralne, czy jak to się tam zwało, cokolwiek, byle natychmiast przywalić Łukaszowi w zęby i zażądać wyjaśnień bardziej kategorycznie niż aspirant Cichosz. Cholerna szafka, na której się opierałam, uniemożliwiała paranormalne manewry, rozpraszając mnie niewymownie. Co ja mam niby zrobić, położyć się na niej? Jak tu się zbliżyć do ściany, zwłaszcza że teraz padło to tak strasznie ważne dla mnie pytanie?

— Kiedy i w jakich okolicznościach ostatni raz widział się pan z Sobecką?

— Wie pan co, sprawdzę datę w komórce. Przysłała mi SMS-a, że coś w seacie się znów rozpieprzyło, a na następny dzień pilnie potrzebuje auto... Zaraz, zaraz, gdzie ja to... O, to było...

Byłam o krok od wyjścia z siebie, byleby tylko usłyszeć odpowiedź...

...która utonęła w potwornym hałasie, z jakim przepychany przeze mnie bluszczyk stracił wreszcie równowagę, runął na ziemię i roztrzaskał się widowiskowo tuż przed nosem Dragona, który do tej pory siedział pod szafką i wpatrywał się z dziką fascynacją w uskuteczniane przeze mnie akrobacje.

„No i szlag”, jęknęło we mnie wszystko, bo rumor wywołał nagłą ciszę w kuchni. Ciszę, a następnie tupot nóg, bo cała ekipa śledcza z Cichoszem i Łukaszem na czele rzuciła się do łazienki. Kilka sekund później dziesięciu facetów wytrzeszczało oczy, gapiąc się na mnie, nadal tkwiącą w umywalce, z której nie zdążyłam zleźć. Pograżony w ciężkim szoku Dragon zezwolił na całą tę inwazję, bo sam jeszcze nie doszedł do siebie po efektownym locie kwiatka, który na centymetry minął się z psim pyskiem.

— A co to miało być? — zapytał w końcu aspirant Cichosz, który jako pierwszy odzyskał przytomność umysłu.

— Jak to co? — warknęłam z wyrzutem, bo żadne sensowne wyjaśnienie nie przychodziło mi do głowy. — Nie widać?

Chyba niezbyt wyraźnie, bo faceci nadal gapili się na mnie zafascynowanym wzrokiem. I oczekiwali jasnej, rzeczowej odpowiedzi.

Z odsieczą przyszła mi niewielka ściereczka, którą niepostrzeżenie zerwałam z kaloryfera.

— Kurze wycieram — prychnęłam. — Zdenerwowałam się całą tą sytuacją nieziemsko! Co pan sobie myśli, że w takim stresie mogłabym tu tak sobie siedzieć i oglądać paznokcie? Jak tylko wyjdziecie, włączcie odkurzacz!

Głupawe pomysły ciężko zestresowanej kobiety dla żadnego ze śledczych widocznie nie były nowością, bo taktownie nie skomentowali sytuacji. Na krótki komentarz zdobył się jedynie aspirant Cichosz, dla którego wizyta w naszym domu stanowiła nieocenione źródło rozrywki.

— Niech sobie pani sprząta. Zważywszy, że w najbliższym czasie będziemy się spotykali chyba dość często, radzę rozłożyć ten proces na raty, żeby nie zabrakło pani zajęcia. Nie bardzo sobie wyobrażam, żeby mogło tu być jeszcze bardziej czysto, ale wierzę w panią.

Pierwszy raz w życiu komplement wywołał we mnie zgrzytnięcie zębów i smugi czarnego dymu, które zapewne ulotniły mi się uszami.

Po kilku minutach dym poczeriał niczym smoła i ulatniał mi się również nosem, możliwe, że buchał przy każdym oddechu, bo w głowie szalał mi pożar wywołany wściekłą furią na wieść, że w najbliższym czasie mamy siedzieć na tyłkach, nie wolno nam oddalać się poza miasto, ja zaś powinnam zacząć intensywnie myśleć nad zastąpieniem ukochanego noża, gdyż zabrano mi nawet egzemplarz podrzucony chyłkiem przez Łukasza. Jego ostrze odpowiadało bowiem na pierwszy rzut oka ostrzu, które pozbawiło Sabinkę żywota. Jeżeli eksperci potwierdziliby tę tezę, jedno z nas zyskałoby niepowtarzalną, jedyną w swoim rodzaju szansę

spędzenia reszty życia w mamrze.

W obliczu apokalipsy, jaka przed chwilą dokonała się w moim życiu i mieszkaniu, nie pozostało mi nic innego, jak zaraz po wyjściu policyjnej ekipy spełnić zapowiedź i wyciągnąć odkurzacz. Szybko okazało się, że razem z nożami śledczy powywlekali z rzadko sprzątanym miejsc straszliwą ilość kurzu, okruszków, a przy okazji kocich oraz psich chrupek, których roznoszenia po całym domu nawet ja nie byłam w stanie powstrzymać. O pójściu do pracy raczej nie było mowy. Szybko wykonałam dwa telefony, które umożliwiły mi wprawdzie pozostanie w domu, ale i przyniosły kolejne niepokojące wieści.

Pierwszy telefon do przyjaciółki z pracy, Oliwki, sprawił, że odetchnęłam z ulgą. Oliwia w ostatnim czasie ze względu na złamaną nogę męża często była nieobecna w pracy, a dzięki drobnym przysługom koleżeńskim i sprawnym żonglowaniu grafikami, większość jej godzin przejęłam ja. Szczęśliwa, że nie musi brać oficjalnie urlopu, Oliwka bez zastanowienia zadeklarowała chęć pomocy, gdybym i ja potrzebowała kiedyś podobnej przysługi. Właśnie potrzebowałam.

Na Oliwię można było liczyć. Chętnie zgodziła się wziąć dziś moje zajęcia. Wystarczyło poinformować o zamianie Darka i Małgosię.

Rozmowa z Dareczkiem i Gosią zniweczyła natychmiast drobny powiew optymizmu, jaki odczułam po telefonie do Oliwki.

— Zapiszę, uprzedzę klientki, dla mnie żaden problem — stwierdziła Małgosia, gdy informowałam ją o zmianie. — Powiedz tylko, czy zmieniać grafik na cały tydzień. A potem zadzwoń do Dara. Jego też dotknęła jakaś ciężka apokalipsa, bo sam zamienił się z Kubusiem. Nie wiem co, nie pytam. Ciebie też nie. Wyjaśnijcie sobie sami.

Bardzo byłam wdzięczna Małgosi za system, który kiedyś ktoś wgrał jej do głównego oprogramowania i który działał bez zarzutu. Małgosia nie pytała o przyczyny i nie dociekała. Małgosia rozwiązywała problem. Małgosia był to chodzący konkret, który wbrew babskiej naturze w nosie miał życie osobiste współpracowników, jeżeli nie zechcieli się sami nim podzielić. A i wtedy udzielała jasnych, klarownych porad, gwarantując przy okazji dyskrecję. Dobrze było wiedzieć, że i teraz nie będę musiała przez pół godziny gimnastykować się z wymyślaniami wymówek, dlaczego nie mogę pojawić się w pracy. Podziękowałam jej za to gorąco i wybrałam numer Darka.

Tu na spokojnie i opanowanie liczyć już nie mogłam. Trzęsącym się ze złości głosem Darek poinformował mnie, że jego prywatna apokalipsa miała identyczny charakter, jak w moim przypadku. Może przebiegała w sposób nieco mniej efektywny i w życzliwszej atmosferze, gdyż rewizję nadzorował opanowany, zrównoważony i pozbawiony sadystycznych odruchów detektyw Gos.

— Co nie zmienia faktu, że wyniósł mi połowę sztucców z domu! — pieklił się Darek. — Bajzel tu taki zostawili, a ja z tym sam!

— Zaraz, a Betty? — zaniepokoiłam się, bo dla delikatnego systemu nerwowego Beatki rewizja mogła okazać się zbyt przykrą niespodzianką. Czyżby wykończona skrajną postacią stresu wylądowała w szpitalu z ciężkim atakiem spazmów?

Szczęśliwie moje czarnowidztwo nie znalazło potwierdzenia w rzeczywistości. Beatka dzień wcześniej wyemigrowała do rodziców, by choć na chwilę oderwać się od szalejącego i pomstującego na mnie i resztę świata Dareczka. Dzięki chwilowej nieobecności uniknęła uczestnictwa w średnich rozmiarów tornadzie, jakie przeszło przez mieszkanie, i znacznie większym, powstałym w wyniku Dareczkowego sprzątanego. Była to niewątpliwa korzyść, jednak informacją o chwilowej separacji zdenerwowałam się niewymownie. Jeżeli system nerwowy Beatki nie wytrzymał miotania się Darka, sprawa przedstawiała się nieciekawie. Po raz kolejny

przekląłam cholerną Sabinę. Czwórka zżytych, gotowych iść za sobą w ogień ludzi, zaczynała się klócić, a trzymające nas razem zaufanie trzeszczało w szwach coraz bardziej. I wszystko to przez jedną biuściastą blond podrywaczkę, która była uprzejma najpierw narobić bałaganu samym swoim pojawieniem się w naszym życiu, a potem dać się zamordować i tym samym wywołać totalny Armagedon. Wyglądało na to, że powoli każde z naszej czwórki zaczyna się wściekać na pozostałych. Beatka uparła się przy chwilowej separacji z mężem, nawet mnie o tym nie informując, choć do tej pory każdy problem omawialiśmy na żywo, przez telefon, pocztą mailową i na czacie. Dareczek od dnia wczorajszego począwszy, klnie mnie na czym świat stoi, winiąc za konflikt z Beatką, wplątanie w morderstwo Sabiny, samo morderstwo Sabiny, a teraz jeszcze i rewizję, i konfiskatę posiadanych sztucców. Łukasz w tym wszystkim awanturuje się może najmniej, ale i od zachwytu całym zamieszaniem jest bardzo daleki, bo przecież uczepliłam się jak rzep psiego ogona nieszczęsnej Sabinki i, co gorsza, wcale nie odczuwam potrzeby zweryfikowania negatywnej opinii o świętej pamięci rozflirtowanej żoźle. A ja? Ja tymczasem zachodzę w głowę, jakież to SMS-y wymieniali Łukasz i Sabina, jakim cudem zaginął ulubiony nóż i dlaczego mój narzeczony łąe lub dostaje nerwowych tików na każde wspomnienie odnalezienia ciała Sabiny.

Tego, że Łukasz skłamał śledczym w kwestii ostatnich chwil życia mojego ukochanego noża, dowiedziałam się bardzo szybko. Uporawszy się z uporządkowaniem mieszkania, postanowiłam z rozpędu rozmrozić lodówkę, jakby rozmrożenie wszystkich lodówek świata mogło ocieplić chłód, jaki towarzyszył mi na każdą myśl o złych przeczuciach co do słów i intencji ukochanego. Nie miałam pojęcia, jak głęboko Łukasz był zamieszany w sprawę morderstwa Sabiny i czy faktycznie miało z tym związek zarzewie romansu, które w połowie roboty w kuchni zdążyłam wbić sobie do głowy na amen. Ale raz nadszarpnięta nić zaufania nie wymagała wielkiej siły, by coraz bardziej osłabiać kolejne włókna. Zaś moja wyobraźnia doskonale dokonywała dzieła zniszczenia, podstępnie szarpiąc je i czyniąc jeszcze bardziej wątlými.

— Zaraz, kocie Behemocie, sekunda — wymamrotałam, odpychając kocura, który zwietrzył zamrożone indycze mięso i postanowił upomnieć się o swoje. Miał do tego pełne prawo, gdyż część indyka podczas porcjowania kroiałam na małe kawałki, pakowałam do niewielkich woreczków i odkładałam na półkę w zamrażarce, przeznaczoną wyłącznie na jedzenie dla zwierząt. Chociaż Behemot większość rewizji przespał w szafce zakopany pod ścierkami, teraz uznał za stosowne przypomnieć mi, że i on został poddany przez śledczych silnemu stresowi i potrzebuje odreagowania.

Bez protestów wykopałam spośród innych porcji mięsa jeden z przeznaczonych dla kota woreczków i odłożyłam do rozmrożenia, po czym wydatnie zwiększyłam tempo mycia zamrażarki. Znając złodziejskie zapędy Behemota, mogłam być pewna, że zanim doczeka się swojej porcji, zechce zwędzić i rozmrozić własnymi sposobami znacznie większy, przeznaczony do spożycia przez ludzi kawałek drobiu. Chwała Bogu, że Łukasz zabrał na spacer Dragona, gdyż obrona dóbr jadalnych przed dwoma żarłokami z piekła rodem mogłaby zakończyć się moją sromotną porażką.

Ściągając z blatu po raz setny płaczącego się niecierpliwie kota, szybkimi ruchami układałam poporcjowany drób z powrotem do szufladek zamrażarki. Kurczak, kurczak, łosoś, to na dół, jeszcze trochę kurczaka... O, czyli indyk został już tylko ten pokrojony dla kota. Właściwie przydałoby się zostawić coś na obiad, skoro jesteśmy oboje w domu i mamy szansę zjeść wspólnie posiłek o jakiejś normalnej godzinie. Dwa kawałki piersi z kurcząt pieczone w ziołach, uporam się z tym raz dwa, zwłaszcza że mięso jest już oczyszczone...

I prawie zupełnie rozmrożone, mogłabym już pokroić i przygotować marynatę.

Odruchowo sięgnęłam do szuflady z dużymi nożami i szpetnie zakłęłam. Pokroić! Bardzo ciekawe, czym? Sarkając gniewnie, wyciągnęłam nóż z jednego z zapasowych, przeznaczonych do oglądania kompletów. Właściwie niewiele różnił się od dwóch skonfiskowanych przez aspiranta Cichosza i jego armię. Miał wykonaną z ciemnego drewna rączkę i był nieco cięższy, ale przy krojeniu niewielkiej ilości mięsa nie robiło mi to wielkiej różnicy. Może nawet pracowało się nim odrobinę lepiej, gdyż w odróżnieniu od mojego ulubionego, ten miał idealnie prosty czubek i nie szarpał mięsa, pozostawiając lekko porozrywane brzegi poszczególnych kawałków. „O, takich, jak na przykład te”, westchnęłam melancholijnie, spoglądając na poszarpane miejsca cięcia, które zostały po porcjowaniu i oczyszczaniu kurzej piersi, kiedy przed świętami przyniosłam ją do domu. Gdybym wiedziała, że niedługo później zostanę pozbawiona ukochanego noża, nie pomstowałabym tak na ten zakrzywiony czubek...

„Zakrzywiony czubek!” — wrzasnęło mi nagle w umyśle. Jeszcze tydzień temu pomstowałam na zakrzywiony czubek noża! Niemożliwe zatem, by Łukasz zniszczył go i wyrzucił podczas remontu zimą! Drugi nóż musiał zostać podrzucony niedawno, bardzo niedawno, i to tłumaczyło, dlaczego nie zorientowałam się w podmianie! Bo od czasu porcjowania mięsa przed Wielkanocą zwyczajnie dużych noży nie używałam!

Zatem...

Z trudem zmusiłam się do przełknięcia gigantycznej kleistej guli uformowanej ze wszystkich możliwych i absurdalnych podejrzeń, które załęły mi się gdzieś w środku rano i teraz rozrastały się w błyskawicznym tempie. Matko, a jeżeli ten nóż wyemigrował akurat w noc śmierci Sabiny? I to bynajmniej nie na własnych nóżkach? Kiedy ten Łukasz ostatni raz widział się z Sabiną?

I co jeżeli oba te terminy zbiegły się w czasie?

— Szlag! — wrzasnęłam, porzucając mięso na pastwę płaczącego się po kuchni Behemota. Było mi wszystko jedno, czy pozre nasz obiad i popije marynatą, nie raz efekty kociego przeżarcia sprzątałam, mogłam posprzątać i teraz! Póki co najważniejsze było dorwać się do komórki Łukasza i uzupełnić brakującą wiedzę!

Zaraz, zaraz, gdzie ten telefon? Zakładałam, że chodzi o prywatny, Łukasz sprawy służbowe bardzo konsekwentnie odgraniczał od prywatnych... Nawet ja wolałam zadzwonić na prywatny i w razie konieczności poczekać, aż Łukasz oddzwoni, zamiast próbować dobijać się na służbowy telefon. Z numeru na służbowy skorzystałam raptem dwa razy, kiedy naprawdę waliło się i paliło, więc nie miałam innego wyjścia.

Ale służbowy za to dawał gwarancję połączenia się z właścicielem, bo Łukasz nie rozstawał się z nim ani na chwilę. Swój własny zdarzało mu się zostawiać, wychodził bowiem z słusznego założenia, że jeden telefon w kieszeni do szczęścia mu wystarczy, szczególnie gdy oddalał się z domu na krótko i niezbyt daleko. Istniała zatem spora szansa, że i tym razem, idąc z piesem na spacer, pozostawił interesującą mnie komórkę w mieszkaniu. Cholera ciężka, tylko gdzie?

Na latanie po domu i szukanie, ewentualnie próby zlokalizowania telefonu metodą dedukcji, miałam stanowczo za mało czasu. Chwyciłam własny, wybrałam numer Łukasza i zaczęłam się modlić, by komórka narzeczonego nie była rozładowana. Jeden sygnał, drugi, gdzieś tam brzęczy, gdzie?

Zlokalizowanie źródła dźwięku wcale nie było takie łatwe. Co z tego, że pomysł dobry, skoro od dziecka w wyniku paskudnego powikłania anginy na prawe ucho słyszałam kiepsko i tylko z bliska. „Już nie miał gdzie wchrzanić tego telefonu”, jęknęłam rozpaczliwie i podjęłam ostatnią próbę, zaklinając zdrowe ucho, by choć ono zechciało współpracować.

Zechciało. Po kilku sekundach sterczenia w przedpokoju z zamkniętymi oczami i

kręcenia się w kółko, wychwyciłam wreszcie kierunek, z którego dobiegał dźwięk! Sypialnia!

Drżącymi z nerwów dłońmi chwyciłam porzucony na parapecie telefon, klnąc na własną głupotę i zaćmienie umysłu. Na cholerę mi była cała ta gimnastyka z dzwonieniem, należało po prostu posprawdzać na dzień dobry wszystkie parapety w mieszkaniu! Nie od wczoraj mieszkaliśmy razem i powinnam wbić sobie do łba już dawno, że jeżeli Łukasz nie ma komórki przy sobie, zapewne odłożył ją na najbliższy parapet.

Dobrze, o swój stan umysłu i postępujące zidiocenie martwić się będę później. Blokada klawiatury na szczęście taka, jak w moim telefonie, teraz wiadomości... Odebrane... Jest!

„I to cała masa”, zgrzytnęłam zębami, przewijając wiadomości. Przez ten niecały miesiąc od przeprowadzki omal nie zapchała mu skrzynki odbiorczej SMS-ami! Lektura zapewne szalenie wciągająca, ale i wymagająca czasu. Poczytam sobie później, skopiujmy to szybko. A oto i ostatni SMS, wysłany w poniedziałek po południu...

Dzięki, uratujesz mi życie! Czekam po treningu, tak jak się umawialiśmy.

„Na krótko to życie uratowane”, przemknęła mi przez myśl paskudnie złośliwa, ale jakże trafna refleksja. Zgodnie z tym, czego się dowiedziałam, Sabina zginęła pomiędzy późnym wieczorem a bardzo wczesnym porankiem w nocy z poniedziałku na wtorek właśnie.

Z zeznań podsłuchanych chwilę przed katastrofą z kwiatkiem wiedziałam, że rzeczony spotkanie miało dotyczyć reanimacji zdychającego coraz bardziej auta Sabiny. Skopiowane SMS-y potwierdzą mi to potem. Sprawdźmy wysłane, gdzie i o której mieli się spotkać?

Kusiło mnie, żeby dobrać się do ostatniej wysłanej do Sabiny wiadomości, ale towarzyszące głupim szczęście w odpowiednim momencie poklepało mnie po ramieniu i wskazało widok za oknem. Szlag, Łukasz z piesem! Zaraz będą na górze, kopiować wysłane też!

Operacja przebiegła sprawnie i gdy Łukasz z Dragonem dotarli do domu, komórka mojego narzeczonego leżała rzucona byle jak na parapecie w sypialni, a ja walczyłam z marynatą i zamrożonym kurczakiem, bo ten rozmrożony znajdował się pod drapakami i był konsumowany przez Behemota. Wyjątkowo nie miałam za złe kotu wykorzystanej okazji, którą sama wepchnęłam mu w łapy. Dręczyło mnie coś innego — obszerna korespondencja, skopiowana naprędce na komórkę, i problem, jak tu się schować, by ze spokojem oddać się lekturze. O ile w tym przypadku można było mówić o spokoju. Instynkt podpowiadał mi bowiem, że zasiadać do takiej lektury bez butelki mocniejszego trunku byłoby błędem i wielką głupotą.

Trunku ostentacyjnie po południu wywlekać z barku nie zamierzałam, bo Łukasz natychmiast zorientowałby się, że coś jest nie w porządku. Musiała mi wystarczyć dłuższa chwila odosobnienia, to zaś było łatwiejsze do zorganizowania.

— Idę zrobić maseczkę, blokuje łazienkę na jakieś czterdzieści pięć minut — zakomunikowałam po obiedzie. — Będę wdzięczna, jeśli pozmywasz.

— Jasne, jasne. — Łukasz na wieść o maseczkach był skłonny zgodzić się na wszystko, bylebym ograniczyła maseczkowe papranie do łazienki i nie plątała się z mazidłem na twarzy niczym upiór po domu. — Będzie bardzo paskudna czy tylko paskudna?

Ależ oczywiście, że najbardziej paskudna, jaką tylko posiadam!

— Żółta glina — palnęłam bez wahania, pomna wyjątkowego wstrętu Łukasza do ciemnożółtej, paprzącej okrutnie papki.

— To ja do łazienki pchać się nie będę. — Łukasz uniósł ręce w obronnym geście. — Strefa kwarantanny, OK, rozumiem. Wystaw tylko kotu kuwetę. Jemu też nie życzę skażenia tym paskudztwem.

Roześmiałam się kurtuazyjnie wobec tak wysublimowanego dowcipu i przystąpiłam do maseczkowego rytuału, choć ręce świerzbiały mnie okrutnie, by natychmiast dorwać się do telefonu. Gryząc wargi niemal do krwi, tupałam nerwowo, czekając, aż zagotuje się woda na

zieloną herbatę, poparzyłam sobie ręce, zalewając nie tylko napój, ale i blat, podłogę i własne kapcie, wreszcie porwałam z sypialni aromatyczną świeczkę o zapachu wanilii i z całym bogactwem akcesoriów zamknęłam się w łazience. Z zapalania świeczki, rzecz jasna, zrezygnowałam, gdyż w tym stanie ducha mogłabym podpalić z rozpędu coś jeszcze i w rezultacie puścić z dymem pół bloku. Maseczkę jednak na wszelki wypadek postanowiłam nałożyć. Miał rację Łukasz, zarzekając się, że nie zamierza pchać się do łazienki, gdyż pokrywając twarz żółtawą breją, zapaskudziłam lustro, umywalkę, drzwi i oba ręczniki. Przy okazji zafundowałam sobie również mycie włosów, bo o takim drobiazgu, jak spięcie ich przed rozpoczęciem paprania, zwyczajnie zapominałam. „Trudno, bierz diabli”, pomyślałam z rozpaczą na widok całego tego bałaganu, miałam ważniejsze zmartwienia na głowie. Czym prędzej włożyłam z komórką do brodzika i wreszcie zabrałam się za czytanie, najpierw biorąc na warsztat ostatniego SMS-a od Łukasza do Sabiny.

Dobrze zrobiłam, zapowiadając okupowanie łazienki przez przynajmniej trzy kwadransy. To było minimum czasu, by oswoić się z tym, co przeczytałam, a i ten wygoszodarowany zdawał się zbyt krótki. Potrzebowałam przynajmniej wieczności, żeby przetrwać uzyskane informacje, i to wieczności bogato zakrapianej alkoholem.

O 22.00 wychodzę z piesem. Spotkamy się pewnie gdzieś na Twojej trasie. W razie „W” ławeczka w alejce obok 24. DZ

Cholera, cholera, cholera...

Czy to miało znaczyć, że Łukasz był ostatnią osobą, która widziała Sabinę żywą?

Taki fakt byłam w stanie jeszcze jakoś przetrwać bez potężnej czkawki, ale cała reszta zdobytych dziś informacji, które pchały się do głowy i domagały połączenia, była w stanie raz na zawsze utrwalić odruchy wymiotne na samą myśl o zaufaniu jakiemukolwiek facetowi. Bo po jednej katastrofie zaufałam, i co?

Wyglądało na to, że mieszkałam, sypiałam, planowałam ślub z bezwzględny, doskonale maskującym się mordercą!

Nie, nie, chwileczkę, jeszcze raz. Co na pewno wiadomo? Przeanalizowanie na spokojnie posiadanych zasobów wiedzy z reguły ujawnia rażące luki w rozumowaniu pod wpływem rozbuchanych emocji. Emocje należy okiełznać i powtórnie przystąpić do analizy faktów, oddzielając je od ich półprawd i podpowiadanych przez wyobraźnię wyolbrzymionych bajek. Emocje won! Prosimy raz jeszcze o suche fakty.

Łukasz z niewiadomych powodów i w niewyjaśnionych okolicznościach w ciągu ostatnich kilku dni pomógł ulotnić się nożowi kuchennemu sporych rozmiarów o ząbkowanym, charakterystycznie wyszczerbionym ostrzu.

Na temat noża łąał w żywe oczy policji i bardzo skrupulatnie dopilnował, żeby jego dematerializacja pozostała niezauważona przeze mnie.

W noc śmierci Sabiny umówił się z nią bardzo późnym wieczorem pod pretekstem naprawy auta. Umówił się, ale nie wiadomo, czy się z nią spotkał. Ta ważna kwestia umknęła mi, zagłuszona przez katastrofę z nieszczęsnym kwiatkiem w roli głównej. Co nie zmieniało faktu, że...

Łukasz plątał się w parku w noc śmierci Sabiny, plątał się w jakiejś alejce i ponad wszelką wątpliwość czasowo doskonale wpasował się w godziny przyjęte przez śledczych jako moment zabójstwa.

„Do ciężkiej cholery, na co mi było uruchamiać całą tę przeklętą logikę”, zawylałam, waląc głową w ściankę kabiny prysznica. Efekty przerosły totalnie moje możliwości percepcji, zmuszając do przyjęcia dwóch okropnych teorii.

Pierwsza mówiła, że to jednak Łukasz zabił Sabinę.

Druga, że uwikłany był w tajemnice, które mogły przyczynić się do morderstwa. A nawet jeżeli nie, znów miał przede mną jakieś sekrety, chociaż doskonale wiedział, że sekretów tolerować więcej nie będę!

Sił starczyło mi tylko na tyle, by wrzasnąć przez zamknięte drzwi, że muszę jeszcze ogolić nogi i pewnie posiedzę w łazience dłużej, niż zakładałam. Żeby uwiarygodnić wersję o nagłej potrzebie poprawiania urody, zmusiłam się do wywleczenia z szafki depilatora i włączyłam cholerstwo, poddając ciało torturom konkurencyjnym do tych, jakim myślenie poddało umysł. „I w porządku”, pomyślałam, przeciągając bez litości maszynką również okolice bikini. Podobno nie ma lepszego klina na głupie pomysły niż jeszcze głupszy pomysł, a pod wpływem bólu trzeźwieje się szybciej niż od czegokolwiek innego.

Żałowałam jedynie, że nie mam z czego trzeźwieć, bo utopienie koszmarnych domysłów w butelce z dużą ilością skoncentrowanych procentów jak nic pomogłoby mi ukoić szalejącą w duszy burzę niepewności.

Albo wręcz przeciwnie. Pewności. Pewności, że znów zaufałam komuś, kogo nigdy nie należało wpuszczać do swojego życia.

* * *

Blady świt zastał mnie przewieszoną przez oparcie fotela, z nogami ledwie sięgającymi odjeżdżającej z wolna pufy, na której siedział wpatrzony badawczo w moje stopy Behemot. Wpatrywał się bynajmniej nie ze współczuciem i zainteresowaniem, jak podszeptła mi w pierwszej chwili po otwarciu oczu naiwność. Głównym problemem kota było raczej, kiedy pufa przesunie się wystarczająco, by moje stopy przestały mu przeszkadzać rozłożyć się wygodnie i zasnąć. Nawet nieszczęsna naiwność musiała zrezygnować z wiary w dobre kocie intencje, gdy czarna, uzbrojona w wyciągnięte pazury łapa postanowiła przyspieszyć proces pozbywania się ludzkich stóp z obranego legowiska.

Przez tępy ból pulsujący gdzieś w okolicach skroni przemknęła pełna pretensji do kota myśl, że nikt w tym życiu totalnie nie liczy się z moimi uczuciami i moim prawem do odnalezienia szczęścia w ramionach szczerzej, kochającej istoty, która nie będzie miała przede mną sekretów i ustrzeże mnie od kłopotów, zamiast pakować w kolejne. Na przykład takie, jakie doprowadziły mnie wczoraj do rezygnacji z zaśnięcia w sypialni w ramionach Łukasza.

Bolesne zabiegi upiększające poprzedniego popołudnia miały ten dobry skutek, że przywołały do porządku galopującą ku koszmarnym bezdrożom wyobraźnię. Zaciskając zęby i pomrukując pod nosem przekleństwa, zdołałam przepłoszyć wizję Łukasza, czającego się późnym wieczorem w krzakach z ogromnym nożem o ząbkowanym ostrzu, które kilka sekund później zatapia się w ciele niczego niepodejrzewającej Sabiny. Różne absurdy na temat tego człowieka mogłam sobie ubzdurać, jednak pozbawienie kogokolwiek życia w okolicznościach innych niż wymagające samoobrony — to było najgłupsze i najbardziej krzywdzące podejrzenie z możliwych. Gotów raczej poświęcić własne życie w obronie bliskich ludzi, o czym zdążyłam się już przekonać, Łukasz był ostatnią osobą, w której zbrodnicze skłonności byłabym w stanie uwierzyć. Ale prawdą było też to, że nie pierwszy raz natknęłam się na mur tajemnic i kłamstw, jaki budował wokół swojej przeszłości. Już kiedyś nabiłam sobie solidnego guza, waląc głową w ten bunkier, w którym mój narzeczony postanowił skrzętnie pochować przykre lub niewygodne fakty ze swojego życia. Raz zdołałam go przebić. Kto wie, czy w jego miejscu nie powstał nowy, wzmocniony zaprawą przemilczanych i ukrytych pod czułym uśmiechem zdarzeń?

Zgnębiona treścią przeczytanych wiadomości, wyszłam z łazienki tuż przed kolacją,

wywlokłam koc i okopałam się w fotelu, tworząc dodatkową fortyfikację z chusteczek do nosa. W charakterze broni masowego rażenia wykorzystałam jeden z najbardziej łzawych dramatów, wyszukanych naprędce w programie telewizyjnym. Przekonany, że zamierzam spędzić wieczór, popłakując nad losami porzuconej przez kochanka cierpiętnicy, która za wszelką cenę postanawia być dzielna, Łukasz odpuścił dociekanie, skąd ten nagły przyływ melancholijnej zadumy. Zaparzył mi herbatę i czym prędzej ulotnił się do sypialni, by przez przypadek nie przyszło mi do głowy zużyć wszystkie posiadane chusteczki i zażądać męskiego ramienia w celu ocierania łez i nosa.

Nie mam pojęcia, nad czym losem zamierzałam łkać i smarkać w celu zapewnienia sobie alibi, mój własny zapewniał mi wystarczająco dużo powodów. Gapiąc się bezmyślnie w ekran i chlapiąc bez opamiętania nawet w trakcie reklam, pozwoliłam przytulić się na dobranoc, obiecałam nie zalać słonym potopem sąsiadów z dołu i wreszcie zostałam sama ze swoim nieszczęściem.

Pławienie się w morzu głupich myśli, dryfujących bezładnie w ciurkających bez opamiętania łzach, trwało dużo dłużej niż rozczulający podobno film, z którego oprócz napisów końcowych tuż przed godziną pierwszą nie zarejestrowałam kompletnie nic. Podobnie jak faktu, że wkrótce później sama dryfowałam w błogiej nieświadomości, którą zesłał mi w końcu litościwy sen. Odplłynęłam, ściskając w dłoni komórkę, a ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam z tego straszliwie wyczerpującego, pełnego okrutnych przemyśleń wieczoru, była próba zmobilizowania się do przeczytania radosnej korespondencji, jaką od kilku tygodni skutecznie Łukasz z Sabiną. I pewnie dobrze się stało, że na samej nieudolnej próbie poprzestałam. Zyskałam kilka godzin może mało komfortowego, ale pozbawionego koszmarów i lęku o przyszłość snu. Przynajmniej tyle, zanim zaczęłam się bać za bardzo, by w ogóle pozwolić sobie na sen.

Tuż przed szóstą w sypialni zapikał budzik. Nie spałam od kwadransa i zdążyłam wykorzystać przedwczesną pobudkę na zjedzenie śniadania i uprzątnięcie łazienki, usłanej przez Behemota żwirkiem z kuwety. Właściwie nic nie stało na przeszkodzie, by jeszcze na chwilę położyć się w sypialni i poudawać, że zaraz po filmie pomaszerowałam grzecznie do łóżka i spędziłam noc u boku ukochanego, zamiast gimnastykować się na fotelu, fundując sobie tym samym nieprzyjemną sztywność kręgosłupa. Wolałam jednak rozpocząć dzień sama i byłam zadowolona, że ograniczające wygodę legowisko z fotela, pufy i koca dało mi szansę na przemyślenie strategii, jak pogodzić narastającą nieufność wobec Łukasza z moim zachowaniem, sugerującym, że po wczorajszym stresie doszłam do siebie i nic nie stoi na przeszkodzie do odzyskania dobrego samopoczucia.

I, na przykład, wspólnego wypicia kawy od rana.

Czasu na tę wspólną kawę za dużo nie było, więc i udawać za bardzo nie musiałam. Oboje spieszyliśmy się, żeby wyjść przed ósmą, zdążyć do tego czasu ogarnąć zwierzyniec i zorganizować dzień tak, by przynajmniej jedno zdołało dotrzeć do domu przed piętnastą, zanim Dragon zechce rozważyć opcję skorzystania z kocięj kuwety. Stało się to koniecznością, gdyż krótko po remoncie nabyliśmy dużą, krytą narożnikową kuwetę, której drzwiczki umożliwiały wielkiemu psisku co najwyżej wciśnięcie do środka łba. Behemot, który z definicji lubił, gdy się z nim dzieleno, ale sam za Boga dzielić się z nikim nie chciał, uznał zakup zapewniającej prywatność toalety za przyzwolenie na lanie psa po pysku przy każdej próbie zbliżenia się do niej. Na drugą, dużą kuwetę na psi użytek miejsca już nie wystarczyło. Miało to ten dobry skutek, że pozbawieni wyjścia awaryjnego, zostaliśmy zmuszeni do systematycznego dostosowywania planów prywatnych oraz zawodowych do psich potrzeb. Trenując codziennie punktualność i gotowość do rozciągania czasu i przestrzeni w najbardziej zwariowany sposób, byliśmy lepiej

wytresowani przez nasze zwierzęta niż one przez nas.

Dziś organizacja popołudnia nie przedstawiała problemu, gdyż Łukasz poza porannym spotkaniem w jednym z salonów samochodowych pracował stacjonarnie w domu, jednak praca od rana wymuszała ostre tempo spaceru z piesem i połknięcie śniadania w dwóch kęsach. Maksymalnie skoncentrowany na obowiązkach służbowych, Łukasz przyswajał niewiele oprócz informacji zawartych w swoich notatkach. Zazwyczaj nie lubiłam takich dni, bo siedząc przy śniadaniu i gapiąc się na pochłoniętego pracą narzeczonego, zastanawiałam się gorączkowo, jak skutecznie przemyścić mu informacje natury prywatnej, które czasami siłą rzeczy wymagały uzgodnienia wczesnym porankiem. Dziś jednak roztargnienie ukochanego było mi bardzo na rękę. Przynajmniej do popołudnia nie musiałam się martwić, jak ukryć kiepski nastrój bez silenia się na kłamstwa. „Potem to się zobaczy”, westchnęłam w duchu i zaczęłam po cichu zbierać się do wyjścia, nie czekając na Łukasza, który przerzucał jeszcze w gabinecie jakieś notatki.

— Pa! — zawołałam i nie czekając na odpowiedź, wyszłam z mieszkania.

Zakluczyłam drzwi i przystanąłam na klatce schodowej, zastanawiając się, czy nie wstąpić do Marcina w celu zaproponowania podwiezienia, gdy drzwi od mieszkania otworzyły się gwałtownie.

— Oleczka, zaczekaj! — zasapany Łukasz wypadł na klatkę schodową, zatraskując z rozmachem drzwi. — Czekaj, masz klucze? Moje zostawiłem w samochodzie, cholera... A i tak muszę już wyjść. Tak, wiem, zostawianie kluczy w schowku w samochodzie to skrajna głupota i proszenie się o kłopoty, ale akurat zadzwonił telefon. Zacząłem gadać i zapomniałem. Nie zabij mnie.

— Ty będziesz wymieniał zamki. — Wzruszyłam ramionami, zirytowana zarówno beztróskim przechowywaniem kluczy do mieszkania w samochodowym schowku, jak i Straszliwie Ważnym Telefonem, którego nie można było nie odebrać. Czyżby duch Sabinki z zaświatów pragnął zakomunikować problemy motoryzacyjne? — Kto cię ścigał?

— Mama — Łukasz odruchowo wrzucił moje klucze do teczki, zaklął, po czym zaczął ją przekopywać, by oddać mi mój komplet. — Chciała, żebym wieczorem podjechał. Kupili z ojcem nowy narożnik i prosiła, żebyśmy z Darem pomogli wnieść i zmontować.

— Nie ma problemu — przeczekaliśmy manipulację z teczką i odebrałam wyłowione z niej wreszcie klucze. — Ja pewnie po pracy też na trochę wyjdę. Podlecę do Beatki, podobno ma kiepski nastrój. Czyli widzimy się dopiero wieczorem.

— No niestety. Ale wolę załatwić ten narożnik dziś. Będziemy mieli więcej czasu w sobotę. Ty nie pracujesz w tę sobotę, prawda?

Tę sobotę faktycznie miałam wolną, chociaż wobec niepokojącego rozwoju ostatnich wydarzeń nie bardzo umiałam sobie wyobrazić wspólną wycieczkę rowerową albo wyjazd za miasto i udawanie, że wszystko jest między nami w porządku. Szczególnie że na takie wypadki umawialiśmy się zwykle z Beatką i Darkiem, a chwilowo nie wyglądało na to, by spędzenie razem weekendu miało przypominać sielankę. Chyba że przez czwartek i piątek jakimś cudem śledczym uda się rozwikłać sprawę zabójstwa Sabinki, morderca zostanie ujęty, zaś my wszyscy odetchniemy z ulgą, oczyszczeni z zarzutów. Przynajmniej z zarzutów morderstwa. Żaden ujęty przez policję zbir nie był bowiem w stanie uspokoić mnie w kwestii relacji łączących Sabinę i Łukasza.

Póki co pomamrotałam coś, że na planowanie weekendu jest jeszcze sporo czasu i że porozmawiam na ten temat z Beatą.

— No to świetnie — ucieszył się Łukasz, do którego dotarła jedynie informacja werbalna, z całkowitym pominięciem mojego tonu głosu i braku entuzjazmu. — Ja pogadam dziś z Darem. Tak myślę, że wszystkim nam się przyda zresetować. Ty też jesteś strasznie przygnębiona przez

tę sprawę z Sabiną.

„Żeby tylko”, westchnęłam w duchu i ruszyłam za Łukaszem w stronę parkingu, słuchając trzy po trzy o porannym spotkaniu, nowym narożniku rodziców i potrzebie odpoczynku na łonie natury.

— Tak, jasne... Dobrze, dokupię chleb... Aha, zaczekam wieczorem... — mruzczałam na chybił trafił, jakimś cudem dopasowując się całkiem zgrabnie do tego, co mówił Łukasz. — OK, nie zostawiać ci obiadu w mikrofalce... Czekaj, czekaj, że co? — informację dotyczącą przerwy w dostawie ciepłej wody należało jednak przyswoić. Byłam wystarczająco nieszczęśliwa, kąpiel w lodowatej wodzie po treningu dobiłaby mnie ostatecznie. — Dzisiaj tę wodę chcą wyłączyć?

Zdenerwowana potrząsnęłam głową, zmuszając się do skupienia na jakże prozaicznym problemie, który przy całym kataklizmie wywołanym przez brutalne morderstwo, wydawał się drobiazgiem, a jednak komplikował i tak wystarczająco już paskudną sytuację. Maksymalna koncentracja na uniknięciu przykrych konsekwencji technicznej przerwy w dostawie wody odłączyła na moment dopływ innych bodźców. Na przykład odgłosu kroków mężczyzny, który zmierzał ku nam z naprzeciwka.

— O rany boskie, przepraszam! — wrzasnęłam spłoszona, bo obecność przemieszczającego się obiektu na mojej drodze dostrzegłam dopiero, gdy ostrzegawczy okrzyk Łukasza ustrzegł mnie przed zderzeniem czołowym. Co nie przeszkodziło mi wleźć facetowi na nogę.

— Ja naprawdę pana nie zauważyłam, strasznie mi przykro. Mam nadzieję, że wszystko w porządku — wyjąkałam beładnie czerwona jak burak i dopiero ośmieliłam się podnieść wzrok na faceta. — O rany, i to jeszcze sąsiada musiałam staranować tak od rana... Pewnie nigdy w życiu mi już pan nie powie dzień dobry...

— Ależ skąd, powiem. — Uśmiechnął się sąsiad, którego bardzo często spotykałam na klatce schodowej, wychodząc z mieszkania. Mijaliśmy się, ilekroć jechałam do pracy na dziewiątą. Tuż przed ósmą ja startowałam w kierunku parkingu, zaś sąsiad ku parkowym alejkom, by wyprowadzić na spacer psa. W przeciwieństwie do mnie oraz Dragona, i pan, i jego szorstkowłosey pupil na krótkich nóżkach preferowali spokojniejsze tempo, więc znajomość nigdy nie wyszła poza poranne „dzień dobry” i życzliwy uśmiech na schodach. Doprawdy, głupio się przyznać, nie wiedziałam nawet, gdzie mieszka ten sympatyczny człowiek, poza tym, że musi to być jedno z wyżej położonych pięter.

— Nic się nie stało — zapewnił mnie raz jeszcze. — Miło się spotkać po dłuższej przerwie, choć właściwie to mam sprawę do pana — zwrócił się do Łukasza, który ochłonął już po niedoszłym zderzeniu i zaczynał niecierpliwie się całą tą demonstracją dobrych manier. — Nie zajmę dużo czasu, mam tylko coś do przekazania.

Potupujący nerwowo Łukasz na wieść o czymś do przekazania nagle znieruchomiał i wytrzeszczył zdumione oczy na sąsiada.

— Pan mnie? — wykrztusił w końcu. — A my się w ogóle znamy? To znaczy, widzę, że zna pan moją narzeczoną, domyślam się, że mieszkamy po sąsiedzku, ale doprawdy nie przypominam sobie...

— A jednak. — Sąsiad uśmiechnął się do Łukasza, lecz był to uśmiech zupełnie inny niż życzliwy, pełen szczerzej sympatii, jakim witał mnie rano. Smutny i pełen wyrzutu, czego kompletnie nie potrafiłam zrozumieć, skoro panowie słabo się znali. Albo, jak twierdził Łukasz, wcale. — Też się zdziwiłem, że to o pana chodzi. A jednak to pan.

Teraz oboje z Łukaszem staliśmy z głupimi minami, gapiąc się, jak grzebie w kieszeni kurtki, po czym wyciąga z niej zmiętą kopertę.

— Proszę. Myślę, że chciałaby, żeby pan to wziął. Nie mam pojęcia, co tam jest, ale tyle

o panu opowiadała, o waszych wspólnych planach... Podpisała waszymi nazwiskami. To było dla niej ważne. Pan też był dla niej bardzo ważny. Myślę, że bardziej niż ja — powiedział z naciskiem, podając Łukaszowi kopertę.

Trwałam wrośnięta w chodnik, przyglądając się tej dziwacznej scenie z zapartym tchem i łapczywie wbijając wzrok w kopertę, którą Łukasz oglądał, sam zapewne nie mając pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Tyle przynajmniej sugerowała jego mina. Do czasu, gdy przeczytał nakreślone wyrazistym, dużym kaligraficznym pismem litery.

Wystarczająco dużym, bym sama zdołała je odczytać.

A potem zatelepało mną gwałtownie.

„S. Sobecka, Ł. Nawrocki”.

Wszystko było jasne. A ja jak ostatnia idiotka łudziłam się, że to tylko pechowy przypadek ściągnął mi cholerną Sabinę na to akurat osiedle, do mieszkania piętro wyżej, skąd na moje nieszczęście miała blisko do dawnego przyjaciela i zapragnęła znajomość odnowić. A tu proszę! Nie dość, że słusznie wietrzyłam romans, to jeszcze zupełnie nieprzypadkowy! Wygląda na to, że ona specjalnie się tu sprowadziła, żeby realizować te ich całe plany na przyszłość! A Łukasz? Teraz niby się dziwi, ale diabli wiedzą, czy nie wymyślił bajeczki o przypadkowym spotkaniu po latach na użytek kantowanej narzeczonej?

Zbyt nachalnie gapiłam się na kopertę w rękach Łukasza, gdyż mierzący go wzrokiem sąsiad wreszcie dostrzegł moje zdenerwowanie.

— Bardzo panią przepraszam, sytuacja, zdaje się, trochę niezręczna. Nie wiedziałem, że państwo razem...

— Razem. Bez względu na to, co jest w tej kopercie, my razem — warknął Łukasz, do którego dotarło wreszcie, że niespodziewany spadek po Sabinie totalnie wyprowadził mnie z równowagi. — Nie wiem, po co mi pan to daje ani skąd w ogóle pan to ma, ale to sprawy stare i domyślałam się, że zawodowe.

— Co do jednego i drugiego mam wątpliwości — mężczyzna potrząsnął głową, rzucając mi pełne współczucia spojrzenie. — Przykro mi, że tak się pani dowiaduje. Krótko byłem z Sabiną, choć miałem nadzieję, że utrzymam ją przy sobie już na zawsze. A teraz, kiedy nie żyje... Myślę... Myślę, że i tak bym ją stracił. I pan wie, dlaczego. Ale to już nieistotne. — Uśmiechnął się smutno. — Zrobiłem, co należało. Co pan z tym zrobi, to już nie moja rzecz. Do widzenia.

Patrzyliśmy bez słowa, jak odwraca się i odchodzi w kierunku klatki schodowej. Gdy ciało odzyskało zdolność ruchu, rzuciłam się za mężczyznę.

— Oła, co robisz, zaczekaj! — silny chwyt za ramię zastopował mój pęd ku wyjaśnieniu sytuacji.

— To chyba jasne — warknęłam, wyrywając rękę Łukaszowi. — Chcę się dowiedzieć, co się tu wyprawia! Od kogoś, kto nie kręci! Chyba ci to na rękę, poczytasz sobie te tam liściki miłosne! I błagam, nie wmawiaj mi, że to nie tak, jak myślę! Jest dokładnie tak, jak myślałam od samego początku!

— Chyba zwariowałaś! Sam nie rozumiem, co to miało być! Nie wiem, jakim cudem facet mnie znalazł ani w ogóle po co! A z Sabiną, przysięgam, nie miałem nic wspólnego poza pracą! Oła, proszę, komu chcesz uwierzyć? Obcemu, nawiedzonemu gościowi czy mnie?

— Póki co, to najbardziej wierzę Sabinie — prychnęłam.

— Chryste! — Łukasz gwałtownym gestem złapał się za głowę. — Sabina nie żyje! Nie wiem, co sobie ubzdurzyła, ale mnie o tym nie zdążyła przed śmiercią poinformować! Nie wiem, co to jest! Nie wiem, czy w ogóle chcę wiedzieć!

— O, ja się za to dowiem bardzo chętnie!

— A proszę cię bardzo! — zawołał Łukasz, ale szybko usunął mi z zasięgu rąk kopertę, gdy chciałam po nią sięgnąć. — Tylko może nie w tej chwili. Teraz to chyba powinniśmy zacząć się spieszyć do pracy. Jeszcze trochę i będę spóźniony, ty zdaje się, też. Chryste, koleś nie miał kiedy z tym całym cyrkiem wyjechać... Ola, błagam. Porozmawiamy później. Chodź już kochanie, naprawdę nie mam czasu...

Wściekła pomyślałam, że sama natychmiast wygospodarowałabym całe mnóstwo czasu, byle dorwać się do choleralnej koperty, zanim Łukasz skutecznie usunie mi ją z pola widzenia, jednak wyklócanie się w tej chwili nie miało najmniejszego sensu. Im bardziej upierałam się przy swoim, tym bardziej Łukasz dołożyłby starań, żeby bezzwłocznie wypchnąć mnie do pracy, a potem zatrzeć wszystkie ślady po istnieniu koperty wraz z jej zawartością. Klnąc w myślach jak szewc, zdecydowałam się na kapitulację.

— Dobra, ale pokażesz mi to potem — burknęłam, ruszając na parking.

— Pokażę, przysięgam. — Łukasz odetchnął głęboko, szczęśliwy, że przynajmniej na moment odwlecze potężną awanturę. — Ale ty mi też coś obiecasz. Nie będziesz grzebać przy tym sama. Mam przykre wrażenie, że nie ufasz mi tak, jak kiedyś. Więc teraz mi zaufaj, że dam ci kopertę do przejrzania. Ja ufam, że zaczekasz z tym na mnie. Masz rację, ktoś wplątał nas razem w tę aferę i razem powinniśmy coś z tym zrobić. Razem — powtórzył z naciskiem.

Ależ nigdy w życiu, wrzasnęło we mnie wszystko potężnym chórem. Poczekać, aż sam sobie obejrzyś, ocenzurujesz i pokażesz mi w wersji light? Z wyjawieniem swoich poglądów musiałam mocno się hamować, jednak rozsądek, który w proteście przeciw polubownemu załatwieniu sprawy nie brał udziału, zakasłał znacząco. Każda forma awantury oznaczała nowe przeszkody na drodze do odkrycia prawdy. Łukasz zapewne zawartość koperty pokaże mi ocenzurowaną, więc i ja mogę co nieco poddać cenzurze i obróbce dyplomatycznej.

— Dobra, już w porządku — uniosłam ręce w geście poddania. — Zaczekam. Masz rację, zostawmy to do wieczora i jedźmy do pracy. A potem niech to wszystko już zacznie być normalnie, zanim zwariuję!

— Będzie. — Uspokojony Łukasz przygarnął mnie szybko i pocałował. — Tylko jedź ostrożnie. I daj znać, jak będziesz na miejscu. Gdybym wiedział, że palant tak cię zdenerwuje, w ogóle nie dopuściłbym do tej całej rozmowy.

— Pa — mruknęłam, odwzajemniając pocałunek i wyplątując się z jego ramion jak najszybciej, bo sama byłam cholernie wdzięczna losowi za spotkanie z sąsiadem. Potwierdzenie przypuszczeń co do charakteru relacji Łukasza i Sabiny zabołało niczym sól, którą właśnie posypano mi kiedyś zabliznione, teraz na nowo rozdrapane, jątrzące się rany nieufności. Ale wolałam ból niż szamotanie się w sieci kłamstw. Z bólem łatwiej było spojrzeć sobie w oczy, wziąć głęboki oddech, otrzepać obity tyłek i ruszyć dalej. To było lepsze od wmawiania sobie, że jest się kochaną, kiedy wszystko dookoła wrzeszczy, że to nieprawda.

Gdyby nie spotkanie, na które teraz Łukasz naprawdę bardzo się spieszył, prawdopodobnie dyskusja pod klatką znacząco by się przedłużyła. Tylko skupiony od rana na pracy, był w stanie przeoczyć fakt, że sama nie tyle spieszę się do klubu, ile do ucieczki od niego samego. Teraz również pozwolił omamić się zdawkowym buziakiem, zwalić irytację na pośpiech i zdenerwowanie po dziwnym spotkaniu z sąsiadem, i z powrotem skoncentrował się na obowiązkach zawodowych.

W porządku, wzięłam głęboki oddech i również pobiegłam do swojego auta, z nadzieją, że zanim klienci dotrą na zajęcia, zdążę unieszkodliwić buzującą w żyłach adrenalinę na bieżni albo spożytkować ją, waląc pięściami w worek treningowy.

* * *

Dzień w pracy obfitował w indywidualne treningi i konsultacje, które wymagały ode mnie maksymalnego skupienia i wzięcia się w garść, zwłaszcza że nie było na horyzoncie nikogo, komu mogłabym podesłać podopiecznych, a sama pochlipać w kąciku, bo emocje nadal telepały mną niczym oszalałe. Nie pomogło boksowanie, bieżnia ani nawet walka z ankietami i formularzami, które szef zwałił nam na głowę, by lepiej rozpoznać potrzeby, cele i możliwości nowych klientów. Przecudna ta papierologia, przyrównana swego czasu przez Marcina do wniosku o kredyt hipoteczny, była w stanie doprowadzić do szału świętego, ale miała i dobre strony. Zmuszała do myślenia. Zaangażowania. Stawiania pytań i żądania logicznych odpowiedzi, które uświadamiały naszym podopiecznym, czego chcą od nas, klubu i od siebie samych. I całkiem skutecznie odrywała myśli od wszystkiego, co było niepowiązane z indywidualnymi planami treningowo-żywniowymi.

Niestety, nie tym razem. Zwłaszcza że dziś papierki nie były mi potrzebne, żeby wyduszać z klientów zeznania o błędach i przestępstwach na tle żywieniowym i sportowym. Dziś należało pomachać im nimi przed nosem w celu zmobilizowania, skonfrontowania z oczekiwaniami i rzeczywistymi postępami, i przymuszenia do większego wysiłku.

Sama miałam problem, by siebie przymusić do działania i włożyć choć odrobinę serca w walkę z kiepską kondycją i nadprogramowymi kilogramami podopiecznych. „Cholera, że też nikt z klientów nie jest psychologiem”, pomyślałam rozżalona, stojąc obok wyciskającej z siebie siódme poty trzydziestolatki, którą po ciąży nadal dręczyły zachcianki w postaci wilczego apetytu na czekoladę zagryzaną kiszoną kapustą. Właściwie z tym problemem najchętniej wysłałabym ją do naszej dietetyczki, Agnieszki, jednak Agnieszka pracowała dziś na popołudniowej zmianie i nie pozostało mi nic innego, jak umówić dziewczynę na inny dzień.

W ogóle w pracy dało się dziś dostrzec dziwne braki kadrowe, wobec których zabarykadowanie się we własnej szafce w szatni i pozwolenie sobie na ciężkie załamanie nerwowe było wykluczone. Marcin, jak dowiedziałam się od Gosi, wziął urlop do końca tygodnia. Przejawiana przez niego nerwowość i dziwna niestabilność emocjonalna przyspieszyły zgodę szefa na udzielenie kilku dni wolnego. Zjeżyłam się, słysząc o nietypowych atakach depresyjno-maniakalnych w wykonaniu kolegi, bo znałam źródło problemu. Skławszy po raz nie wiadomo który niefortunnie Sabinkę, rozejrzałam się w poszukiwaniu Dara, niespokojna, jakie objawy ciężkiej żaloby po świętej pamięci zołzie będzie przejawiał mój najlepszy przyjaciel. Przyjaciel jednak, jak dowiedziałam się po przejrzeniu grafiku, miał dziś planowo wolne i gimnastykował się ze skręcaniem narożnika rodziców. Oliwka przychodziła dopiero na piętnastą, a zatem ze starej ekipy od rana pracowaliśmy tylko ja i Kubuś Puchatek, nie licząc trwającej na szafku recepcji Małgosi. Wobec takiego wyludnienia personelu oboje dwoiliśmy się i troiliśmy, każdą wolną chwilę poświęcając obserwowaniu dwójki młodych, zatrudnionych dopiero przed świętami trenerów, żeby ocenić ich zdatność do pracy i podzielić się swoimi spostrzeżeniami z szefem w kwestii ewentualnego przedłużenia umowy.

Dzięki intensywnemu wysiłkowi w pracy dotrwałam do piętnastej i dopiero w samochodzie zorientowałam się, że koperta podpisana nazwiskami Sabiny i Łukasza jakoś zdołała wywietrzeć mi z głowy. „Bardzo niedobrze”, zgrzytnęłam zębami, choć doskonale wiedziałam, że obsesja na punkcie jej zawartości doprowadziłaby mnie do szaleństwa skutkującego skrajną postacią sadyzmu wobec podopiecznych. Byłam jednak wściekła, że pozostało mi niewiele czasu na odpasowanie miejsc, w których powinnam przeprowadzić w domu szczegółową rewizję. Przeszukanie całego mieszkania nie miało sensu, zwłaszcza że na szukanie miałam trzy, maksymalnie cztery godziny. Później Łukasz wróci do domu i nie będzie

szans na przejrzenie jego papierów, biurka, wszystkich kieszeni i diabli wiedzą, może nawet kociego legowiska. Gdyby nie wczorajsza rewizja w wykonaniu aspiranta Cichosza, dałoby się upozorować generalne porządki, a tak? Po jaką cholere miałabym robić generalne porządki, skoro odpracowałam je rzetelnie dzień wcześniej?

Do domu cudem dojechałam w jednym kawałku, gdyż wobec gigantycznej pracy umysłowej, jakiej wymagało wyselekcjonowanie prawdopodobnych miejsc ukrycia koperty, takie drobiazgi, jak światła, ograniczenia prędkości i znaki drogowe naprawdę były niepotrzebnym zawracaniem głowy. Nawet zaparkować udało mi się za pierwszym razem, choć z niewiadomych przyczyn uparłam się na miejsce najbliższej klatki schodowej, które okazało się absurdalnie wąskie i nawet ode mnie wymagało wciągnięcia brzucha przy wysiadaniu. Po jaką cholere pchałam się akurat tam, nie miałam zielonego pojęcia, być może motywował mnie paniczny lęk przed straceniem choćby ułamka cennych sekund, z których każda mogła zdecydować o powodzeniu lub klęsce akcji poszukiwawczej. Na akcję bowiem byłam już zdecydowana. W nosie miałam opowieści o potrzebie zaufania kochających się ludzi. „Trzeba było najpierw mi zaufać, że przyjmę na klatę wieść o utracie ulubionego noża”, pomyślałam rozeźlona i popędziłam do domu.

Łukasz zdążył wrócić ze spotkania i pojechać do rodziców — tak przynajmniej wywnioskowałam, widząc w gabinecie teczkę i laptopa, odstawionego i podłączonego do zasilania na biurku. W międzyczasie wyszedł z Dragonem i wydał zwierzynie obiad. Zdjął mi zatem z głowy kilka obowiązków, pozostawiając więcej czasu na przetrząśnięcie mieszkania. „I bardzo dobrze”, pomyślałam, kopnięciem zrzucając buty. Sportową torbę ćpnęłam byle jak do łazienki i w bojowym nastroju ruszyłam do ataku.

Agresywną szarżę na tajne akta nieprzyjaciela zakończyłam w tym samym miejscu, w jakim ją rozpoczęłam, może po upływie jednej sekundy. Tyle bowiem wystarczyło mi do uświadomienia sobie przykrego faktu, który skutecznie omijał moją głowę w drodze do domu.

Przecież ja tu, do cholery ciężkiej, niczego nie znajdę!

Nieważne, co Łukasz mówił o zaufaniu, o tym, że ten problem musimy rozwiązać razem, że pozwoli mi wszystko przejrzeć i sprawdzić. Pozwolić i może mi pozwoli, ale nie ma mowy, żeby był aż takim idiotą, by nieszczęsną kopertę zostawić w domu! Zapewne ma ją w kieszeni kurtki, a ja tu mogę przetrząsać całe mieszkanie do uśmiechniętej śmierci i znaleźć tylko jedną, wielką frustrację!

„Do bani”, pomyślałam rozczarowana, pro forma zaglądając jednak do stojącej w gabinecie na najniższej półce regału teczki. Gdyby nawet Łukasz okazał się totalnym idiotą i zostawił kopertę w domu, to skąd niby miałabym wiedzieć, czego szukać? Jeżeli był w domu, na pewno wyciągnął to już z koperty, sprawdził i odłożył w sobie tylko znane miejsce. Może i bym to znalazła, przelożyła i szukała dalej, nieświadoma, że tajemnicza przesyłka trafiła w moje ręce. Bo czego tak naprawdę szukałam? Kilku fotografii? Jakichś dokumentów? Koperta była mała i raczej cienka, niemożliwe, żeby wepchnięto do niej zbyt dużo. Więc co? Co teraz miałam zrobić?

„Powiesić się”, zachichotałam histerycznie, bo niemożność samodzielnego rozwikłania problemu, choć rozwiązanie być może znajdowało się na wyciągnięcie ręki, powoli doprowadzała mnie do szału. Powiesić, utopić, zrobić cokolwiek, żeby wreszcie cholerną Sabinkę zepchnąć z piedestału i sprawić, że Łukasz, Darek i Marcin przestaną dostawać małego rozumu i choć odrobinę znormalnieją. „Ciekawe, czy i na moją okoliczność odstawiłoby takie cyrki”, zastanawiałam się zgryźliwie, choć gdzieś tam, w głębi duszy sumienie niespokojnym wierzeniem usiłowało dać mi do zrozumienia, że sama przejawiam wszelkie oznaki zmałpieńcia i zaczynam być wobec chłopaków paskudnie niesprawiedliwa. Poza tym, zaaranżować własne samobójstwo, żeby wykopać z ich myśli jedną babę, której i tak już nie ma na tym świecie, to

byłaby doprawdy spora przesada. Miałam prawo czuć się oszukana i traktowana nie fair, ale wypełniające mi głowę absurdalne pomysły zaczynały napawać mnie samą lekkim niesmakiem.

„No dobrze, nie mam wyjścia”, pomyślałam, idąc do kuchni i wstawiając wodę na herbatę. Posiedzę, poczekam, może nawet rzeczywiście wpadnę do Beatki albo zabiorę Dragona na dłuższy spacer. A potem zobaczę, co ma mi do pokazania Łukasz i zastanowię się, co dalej z tym fantem zrobić. Awanturowanie się i pretensje kantowanej kobiety postanowiłam zostawić na później w zależności od tego, co jest w cholernej kopercie i czy na moje wyczucie jest to kompletne. Babska intuicja w takich sytuacjach jest nieoceniona. Poza tym, przecież już raz Łukasz skutecznie nieziemskie akrobacje, żeby uchronić mnie przed nadmiarem wiedzy i robił to w najlepszej wierze, by ochronić mnie samą i kiełkujące dopiero między nami uczucie. Może i teraz sprawa wygląda podobnie, a ja niepotrzebnie podnoszę dramat do potęgi n -tej i buduję tragedię na skalę wszechświatową?

Usiadłam w kuchni z herbatą i zamyśliłam się głęboko. Sprawa nie dawała mi spokoju, a poprzednie postanowienia zakładały niezgodne z moją naturą siedzenie na tyłku i czekanie na rozwój zdarzeń. Od której strony to ruszyć, by i zdarzenia zaczęły rozwijać się z satysfakcjonującą dla mnie prędkością?

A może jednak błędem było pozostawienie znajomości z sąsiadem z mieszkania piętro wyżej na etapie życzliwych uśmiechów i życzenia sobie wzajemnie miłego dnia? Tak mi życzył i proszę, co mu z tego życzenia wyszło. Zdaje się, że w najbliższym czasie będę miała w perspektywie dni raczej niemiłe, więc może warto udać się piętro wyżej i poprosić o wyjaśnienia w ramach odwrócenia klątwy rzuconej niechcący wraz z kopertą na moje szczęście?

Pomysł przypadł mi do gustu. Po minie faceta widziałam wyraźnie, że przykro mu było z powodu rewelacji na temat przeszłości Łukasza i Sabiny, którymi i mnie przypadkowo obdarował. Jeżeli Sabinka, tak jak sam wspomniał, gadała o Łukaszu wręcz nałogowo, istniała szansa, że i mnie coś z tej wiedzy przyjdzie. Może wcale nie będę potrzebowała informacji z nieszczęsnej koperty?

Nadzieja na przyspieszenie dokonywania odkryć poderwała mnie z krzesła wraz z herbatą, którą natychmiast skutecznie się oblałam. — Szlag — zakląłam, odstawiłam kubek z resztą napoju i pognałam do sypialni się przebrać. Godzina była taka, że większość normalnych ludzi powinna już wrócić do domu po pracy, możliwe, że sąsiad również. W przelocie chwyciłam komórkę i z bojową pieśnią na ustach ruszyłam do wyjścia.

Po czym natychmiast pożałowałam, że w ogóle tę cholerną komórkę wyciągnęłam z torby. Mogła tam sobie jeszcze poleżeć, zamiast zawracać mi głowę, gdy miałam do załatwienia tak ważną sprawę!

Ale telefon miał w nosie moje problemy, darł się z uporem godnym lepszej sprawy, więc w końcu skapitulowałam.

— Skończyłam pracę o piętnastej i żądam wypłaty nadgodzin za zawracanie głowy w wolnym czasie — poinformowałam kategorycznie Małgosię. — Błagam cię, niech to będzie ważne. Inaczej będę zmuszona cię zabić.

— Zabij sobie Dareckiego — usłyszałam kategoryczny protest. — Za to, że nie odbiera. Ktoś mi musi zatwierdzić grafik na nowy miesiąc. Z uwzględnieniem tych nowych i trzeciego, którego dopiero trzeba zatrudnić. Edyta właśnie położyła L4. Jest w ciąży.

Jak cudownie! Bez względu na całą moją życzliwość dla Edyty i najlepsze życzenia z okazji poczęcia upragnionego potomka, w tej chwili guzik interesowały mnie grafiki, rekrutacja nowej osoby i cała reszta naszego klubowego światka. Podobnie jak fakt, że Darek nie odbierał, bo prawdopodobnie nie bardzo miał jak.

— Gratulacje — rzuciłam bezmyślnie, nie zastanawiając się nad faktem, że gratulować

należy komuś innemu. — Darek ma jakieś sprawy rodzinne dzisiaj, jest poza zasięgiem. Ja też jestem poza zasięgiem!

— To po co odbierasz telefon?

Słuszna uwaga!

— Bo zwariowałam! — jęknęłam. — Dobrze, Gosieńko, zatwierdzą ci wszystkie grafiki świata, byle szybko. Wyślij mi to na maila, sprawdzę, odeślę, a potem niech się cały świat zawali!

Wiedząc, że jeszcze dziś będzie mogła przedstawić szefowi żądane plany, Małgosia uprzejmie wyraziła zgodę na zawalenie się świata i obiecała natychmiast wysłać mi maila. Nie pozostało mi nic innego, jak zawrócić ze ścieżki wojennej, dopaść do laptopa i jak najszybciej załatwić sprawy służbowe.

Zapomniałam jedynie, że na moim laptopie mało co da się załatwić przez internet szybko. Przynajmniej od czasu, gdy Behemot był uprzejmy wysypać na niego pół tony żwirku naniesionego na łapach i futrze po wizycie w łazience. Potraktowany z takim brakiem szacunku komputer z lekka się znarowił. Pracował wprawdzie bez zarzutu, jednak z niewiadomych przyczyn upatrzył sobie akurat pocztę mailową i Facebooka, i systematycznie odmawiał otwierania tych akurat stron w czasie krótszym niż dziesięć, piętnaście minut. A czasami i wcale.

Na przykład teraz. Nieważne, że od dwudziestu minut tupałam nerwowo, sarkając, pomstując i zaklinając nieszczęsną pocztę, by zechciała zadziałać. Działała do momentu wprowadzenia hasła. A potem postanowiła sprawę współpracy przemyśleć. I wyglądało, że będzie tak myśleć do końca świata.

Tyle czasu nie miałam. Że też jak taki ostatni osioł nie włączyłam usługi internetu w komórce! Miałabym teraz jak znalazł, choć jako wróg smartfonów, iPhone'ów i innych wynalazków z dotykowym ekranem, na mojej starej nokii za dużo bym z poczty sobie nie obejrzała. Nic, nie ma innego wyjścia, jak tylko skorzystać z laptopa Łukasza.

„Szczęśliwie chociaż tutaj wszystko działa jak należy”, odetchnęłam z ulgą, błyskawicznie logując się na poczcie. Grafiki od Małgosi? Ależ oczywiście, że są, skoro Gosia wysłała je od razu po naszej rozmowie. Matko, dlaczego tu tego tyle? A, już rozumiem, kilka wariantów, z uwzględnieniem sytuacji, gdyby nie udało się znaleźć nikogo na miejsce Edytki.

Szybko uporałam się z grafikami i w ciągu kwadransa odesłałam Małgosi odpowiedź. Już chciałam wylogować się z poczty i wrócić do planu zakłócenia popołudnia sąsiadowi, gdy tknęło mnie niemiłe przecucie. Cholera wie, ile czasu potrwają fanaberie internetu na moim laptopie. Dostęp do grafików powinnam zaś mieć zawsze nieograniczony, zdanie się na łaskę i niełaskę technologii informacyjno-komunikacyjnej odpadało w przedbiegach. Skoro już mam załączniki pod ręką, warto by je szybko skopiować na swój komputer i mieć w nosie fochy konta.

Jakiś pendrive? Po swoje nie chciało mi się lecieć, zwłaszcza że na biurku Łukasza leżał akurat jeden. Chyba prywatny, gdyż wszystkie służbowe Łukasz miał opisane etykietką „Praca!” i zazwyczaj schowane z uwagi na złodziejskie zapędy kota Behemota. Moimi zresztą również, bo nie raz zdarzało mi się korzystać z przyborów biurowych i nośników narzeczonego. Skoro ten tutaj nie został w żaden sposób zabezpieczony, zakładałam, że mogę go sobie na chwilę pożyczyć. Zadowolona zgrałam potrzebne pliki i pobiegłam skopiować na swojego laptopa.

Dopóki do akcji nie wkraczał internet, komputer działał sprawnie i nie wymagał wrzeszczenia, walenia pięścią ani zaklinania, ewentualnie innych metod stosowanych przed wezwaniem informatyka. Sprawnie wykrył nowy sprzęt USB, grzecznie zapytał, jakie działanie powinien podjąć i bez szemrania wykonał polecenie.

Cała operacja kopiowania przebiegłaby sprawnie, gdyby nie fakt, że oprócz folderu z moimi plikami na nośniku znajdował się jeszcze tylko jeden o intrygującej nazwie „SŁ”. Pewnie

zignorowałabym jego istnienie, jednak sam jeden, nie licząc grafików fitness, ściągał na siebie całą uwagę swą samotnością. Było to mocno podejrzanе, gdyż Łukasz zazwyczaj pedantycznie porządkował dokumenty na swoich nośnikach, ale organizował je w dużo większą liczbę folderów, opisanych w zależności od wagi znajdujących się w nich plików wielkimi lub małymi literami, nie stosując żadnych skrótów ani szyfrów. Zdjęcia z wakacji opisane były nazwą miejscowości i datą wyjazdu. Artykuły znajdowały się pod swoimi roboczymi lub ostatecznymi tytułami. Wszystko jasno, prosto i klarownie. Co miało znaczyć to samotne „SŁ”?

Nastawiona na wywlekanie informacji z sąsiada piętro wyżej i rezygnację ze szczegółowego przeszukiwania mieszkania w pogoni za tajemniczą kopertą, pewnie zostawiłabym w spokoju i ten dziwny folder, usunęła z nośnika swoje pliki i grzecznie odłożyła na miejsce w gabinecie. Jednak dziwne oznakowanie nie dawało mi spokoju, prowokując umysł do szukania skojarzeń. Skróty od nazw marek samochodów? „S” jak seat może jeszcze, ewentualnie suzuki, ale co z tym „Ł”? Poza tym marki samochodów swoją drogą, ale przecież wszystko wskazywało na to, że pendrive był z gatunku prywatnych... Co to jest, do cholery?

Za późno dotarło do mnie właściwe skojarzenie, stanowczo za późno, by przygotować się mentalnie na widok, jaki ukazał się moim oczom, gdy beztróskim ruchem otworzyłam folder. Małe, szybkie kliknięcie wraz z zawartością folderu ujawniło dramat, do którego przez cały dzień usiłowałam bezskutecznie się dokopać.

Wyglądało na to, że znalazłam zawartość koperty.

Wspólne zdjęcia Łukasza i Sabiny z wyjazdów, które miały wyglądać na służbowe, ale po bliższym przyjrzeniu traciły swój oficjalny charakter.

Skopiowana korespondencja mailowa, która również emanowała serdecznością znacznie wykraczającą poza stosunki służbowe.

Plany podróży dookoła świata, która pozwoliłaby pod pretekstem realizacji serii programów motoryzacyjnych realizować wspólne pasje i zacieśnić i tak już wystarczająco zażyłe jak na mój gust relacje.

Po czymś takim nie było mowy, żebym dała sobie wmówić owo NIC, rzekomo łączące Sabinę i Łukasza w Stanach. A może nawet i tutaj.

Nic, które nagle ujawniło swą bardzo realną i znaczącą postać, dobiło mnie ostatecznie. Bardziej kierowana instynktem niż świadomą decyzją, przekopowałam zawartość folderu na swój komputer, odłożyłam pendrive’a na biurko Łukasza, a potem wyprysłam z mieszkania.

* * *

— Pan wiedział, co tam jest! — wyrzuciłam z siebie łamiącym się głosem, gdy sąsiad od życzliwych uśmiechów na dzień dobry, pieska na krótkich łapkach i tajemniczych kopert stanął w drzwiach. — Wszystko pan wiedział!

— Nie wiedziałem tylko, że pani powinna wiedzieć. Ale to już chyba bez znaczenia, bo pani wie. Proszę.

Przestąpiłam próg mieszkania i krew we mnie zawrzała. Jeszcze niedawno do tych samych drzwi waliłam, domagając się świętego spokoju w nocy i zaprzestania przez Sabinę upiornych remontów o trzeciej nad ranem. Dziś domagałam się wyjaśnienia kolejnego, znacznie gorszego bałaganu, jakiego swoją przeprowadzką, remontami i potrzebą zawładnięcia męskimi sercami narobiła mi ta paskudna zołza. „Szlag niech cię trafi”, syknęłam w duchu, wbrew sobie zerkając dookoła, bo oryginalne zestawienia kolorów na ścianach i gustowne umeblowanie świadczyły o świetnym rozeznaniu w trendach architektury wnętrz i smaku właścicielki

mieszkania. Tak przynajmniej zakładałam, wiedząc, jak bardzo Sabina angażowała się w remont i dostosowanie mieszkania do swojego gustu i potrzeb.

Tymczasem gospodarz prowadził mnie do kuchni.

— Kawa? Woda? Coś mocniejszego? Przyznaję, kiedy pierwszy raz obejrzałem sobie te pliki, whisky ocaliła mnie przed obłędem. To było kompletne szaleństwo. Najpierw śmierć Sabiny, a potem to. Rozumiem panią. Pani nadal ma coś do stracenia.

Tak. Doskonale wiedziałam, o czym mówi. I sama z trudem walczyłam z pokusą, by zaproponować przeniesienie próby integracji sąsiedzkiej w okolice barku.

— Poproszę wodę — mruknęłam, siadając przy długim, stylizowanym na czarny marmur blacie. — Przynajmniej na razie. A potem to w zależności, co będzie panu potrzebne, żeby mnie reanimować po tych wszystkich rewelacjach.

Sąsiad roześmiał się gorzko, nalewając wodę do szklanek, po czym usiadł obok.

— Więcej rewelacji nie będzie. Wszystko pani już wie. Oboje wiemy. I pewnie oboje bardzo chcemy cofnąć czas.

Może i racja... Tylko do którego momentu miałabym go cofnąć? I po co? Żeby uniknąć spotkania z Łukaszem? Czy żeby nie dopuścić do jego spotkania po latach z Sabinką? Ani jedno, ani drugie nic by mi nie dało, bo jedno i drugie było nieuniknione. Co niby miałabym zrobić, wiedząc, że Sabina wróci do kraju? Zmusić Łukasza do wyprowadzki z mieszkania, które oboje bardzo lubiliśmy i w którym zaczynaliśmy tworzyć wspólny dom? Czy może wyręczyć mordercę i troszkę wcześniej ulokować zadżgane zwłoki Sabiny w jakichś krzakach?

Sąsiad tymczasem wpatrywał się we mnie ze smutnym uśmiechem, bawiąc się szklanką. Gdzieś z głębi mieszkania dobiegło energiczne dreptanie i łaciaty piesek na krótkich łapkach przysiadł obok wysokiego, barowego stołka o metalowych nogach i skórzanym siedzeniu, patrząc na mnie wyczekująco.

— On też ma dla mnie jakieś dobijające wieści? — spytałam, odruchowo pochylając się, żeby pogłaskać zwierzę.

— Raczej życzliwość i współczucie. Większe niż zdecydowana większość ludzkości. Zdrowie psów!

— I kotów. — Dołączyłam do wznoszonego wodą mineralną toastu za naszych czworonożnych przyjaciół. — Nie wiem, jak się nazywa, ale lubię go o niebo bardziej od Sabiny. Przepraszam.

Cichy śmiech, jakim mężczyzna skwitował moje słowa, sprawił, że i ja mimowolnie się uśmiechnęłam.

— Drops. Ma na imię Drops. A ja Rafał.

— Miło mi, Aleksandra. — Ujęłam wyciągniętą dłoń. — Boże, naprawdę nie dało się wcześniej? W jakichś przyjemniejszych okolicznościach?

— A mówiłem, przydałoby się cofnąć czas — mruknął Rafał. — Spacerzy z psami można nadrobić. Ale chyba nie po to tu przyszłaś.

Ostatnie zdanie przecięło serdeczną atmosferę, która wkradła się niepostrzeżenie do kuchni wraz z Dropsem i przysiadła cichutko z nami, swą subtelną, ledwie wyczuwalną obecnością dodając otuchy w rozpaczliwej sytuacji. No tak. Tę właśnie sytuację przyszedł poroztrzasać. Pogrzebać w brudach, które leżały głęboko zakopane w szufladkach poukładanego, wygładzonego życia, wrzucone przez kogoś byle jak, z nadzieją, że ich smród nie przedostanie się przez różany zapach szczęścia. Przez kogoś, akurat. Przez mężczyznę, z którym chciałam dalej ładnie sobie układać życie w kosteczkę, po wywabieniu ze wspomnień paskudnych plam z poprzedniego związku.

— Przyszedłam zrozumieć. — Wzruszyłam ramionami. — Nie napatrzyłam się za dużo na

to, co tam było, inaczej szlag by mnie trafił. Ale poskładać tego do kupy nie umiem. Kto z kim rozmasował, kto kogo podrywał? Po co to wszystko tak skrzętnie upchnięte pod plany zawodowe? Przecież oboje byli wolni, nikogo nie krzywdzili. Nie to, co teraz.

— Podobno było jednostronne. To znaczy tak wywnioskowałem. Ola, bądźmy szczerzy. Wszystko, co powiem, to moje domysły. Kiedy poznałem Sabinę, to wyglądało na jakiś szaf. Kochała mnie ponoć do szaleństwa. Koniecznie chciała się tu wprowadzić. Przypuszczam, że bardziej dla niego. A potem, kiedy według oficjalnej wersji odkryła, że mieszkają po sąsiedzku, zaczęło się gadanie o tym całym programie z reportażami motoryzacyjnymi. Że chce reanimować ten pomysł, że są możliwości, bo bliskość zamieszkania wszystko ułatwi. Działał mi na nerwy od początku ten twój facet, bo w kółko tylko słuchałem, jaki to idealny przyjaciel i współpracownik był. Ogólnie cudowny. Tak między nami, gdybym wcześniej wiedział, że jesteście razem, to niewykluczone, że powiedziałbym ci o moich podejrzeniach od razu.

— I wzajemnie — powiedziała smętnie. — Bo tu nie tylko przy Łukaszu Sabina się plątała. Ogólnie męskie towarzystwo z osiedla przypadło jej do gustu.

Pokróctce, bez podawania personaliów, wtajemniczyłam Rafała w plany błyskawicznej integracji damsko-męskiej, jakie Sabina realizowała od przeprowadzki. O tym, że wszyscy wplątani weń panowie są blisko ze mną związani i że nasze dobre relacje dzięki Sabinie szlag trafił, nie wspomniałam. Rafał i tak wiedział, że potrafiła niszczyć ludzi. Doświadczył tego na własnej skórze.

— I tyle w temacie tej wielkiej miłości — skrzywił się, kiedy poczęstowałam go relacją z treningowo-samochodowych sposobów na podryw, które jego ukochana testowała na Łukaszu, Marcinie, Darku i diabli wiedzą, kim jeszcze. — Zdrowie wiernych kobiet. Może jednak czymś mocniejszym?

Tym razem bez zastanowienia przyjęłam szklankę, w której pienieło się wyciągnięte z lodówki piwo. Rafał uniósł w geście toastu puszkę i zgodnie przypieczętowaliśmy smutny początek znajomości solidnym łykiem kojącego trunku.

— Czyli moje, niestety. To cholernie nieopłacalny wysiłek — poskarżyłam się rozgoryczona. — Przetestowałam kilkakrotnie. Za każdym razem z takim samym skutkiem. Wyjaśnij mi to? Z męskiego punktu widzenia?

— Ech, czasem ten męski punkt widzenia jest do dupy — westchnął Rafał. — Człowiek nie docenia, co ma, dopóki nie zacznie być kantowany. Sam się rozwiodłem z bardzo wierną kobietą. Każdego dnia pluję sobie w brodę.

Na wieść, że i Rafał nie zawsze był święty w zakresie wierności, nieco zeszytniałam. Kolejny męski palant, a ja tu się nad nim i sobą użalam, jak nad ostatnim bastionem lojalności i tego, że „nie opuszczę cię aż do śmierci”? To była przykra niespodzianka.

— Zdradzałeś? — spytałam ostrożnie, bo niekoniecznie chciałam znać odpowiedź. Jeżeli była twierdząca, musiałabym wyzbyć się sympatii, jaką budził we mnie ten życzliwy człowiek z wesołym łaciatym pieskiem i bagażem trudnych, bolesnych doświadczeń. A wszystko, również dłuższe milczenie Rafała, sugerowało, że takiej właśnie informacji powinnam się spodziewać.

Ale pytanie już zadałam i teraz Rafał zastanawiał się nad odpowiedzią. Chyba wyczuł, że moje nastawienie może ulec diametralnej zmianie, bo zanim się odezwał, wyciągnął z lodówki nowe piwo i dolał do mojej szklanki.

— I tak, i nie — zaczął powoli. — Zależy, jak to zinterpretujesz. Byłem żonaty. Poznałem inną. Nie zdradziłem, ale zdecydowałem się odejść. Jak to się mówi, porzuciłem żonę dla kochanki. Już mnie nie lubisz?

— Zdecydowanie mniej — wyrwała mi się szczerza odpowiedź. — Zwłaszcza że ta kochanka to była Sabina?

— A co mam ci powiedzieć?

— Gdyby nie to, że ktoś ją kropnął, powiedziałabym, że dostałeś za swoje. — Szczerłość pod wpływem piwa rozpędzała się całkiem żwawo. — Jezu, jestem okropna. Nie dolewaj mi więcej, bo zaczynam gadać głupoty.

A jednak głupoty w moim wykonaniu były dla Rafała na tyle interesujące, że wkrótce lodówkę opuściły kolejne dwie puszki, podlewając obficie moją inwencję twórczą i potrzebę podzielenia się refleksjami na tematy damsko-męskich relacji. Słuchał w milczeniu, kiwając głową i wzdychając od czasu do czasu, raczej z poczucia winy niż szowinistycznej pogardy dla babskiego historyczno-idealistycznego podejścia do związków.

— Ech, gadasz zupełnie jak moja żona — mruknął w końcu. — Przysięgam, dzisiaj bym jej posłuchał. Każdego słowa.

— Posłuchaj następnej kobiety — pospieszyłam z dobrą, acz lekko już przesyconą alkoholem radą. — Bo żona rozgrzeszenia ci nie udzieli. Ja chyba też nie. Nawet pijana.

— Jesteś pijana? — zainteresował się Rafał, którego pod wpływem promili brak kobiecego rozgrzeszenia nadal martwił, ale nie wpływał negatywnie na kiełkujące między nimi ziarno przyjaźni. — Nie wyglądasz.

— Może i nie, ale zaraz będziesz musiał ściągnąć mojego psa, bo twój mnie do domu raczej nie odstawi — mruknęłam. — Zdrowie szczerych ludzi, którzy mają dość kantowania. Również w swoim wykonaniu — dodałam bezlitośnie. — I tym optymistycznym akcentem zakończymy dzisiejsze popołudnie. Muszę powoli wracać do siebie. I wytrzeźwieć, żeby zrobić Łukaszowi solidną awanturę.

— Możesz potem wpaść i opowiedzieć o efektach tej awantury — zaproponował Rafał, którego wieść o finale sąsiedzkiej integracji jakoś nie ucieszyła. — Opijemy.

Ciekawe co? To, że tym razem ja popełnię morderstwo i zabiję Łukasza? Czy nieszczęśliwy finał mojego związku zwieńczony wyznaniem wielkiej, nieskończonej miłości Łukasza do Sabinki, wobec której nasze uczucie było niewiele znaczącym, przelotnym romanssem na zagryzienie goryczy po rozstaniu? Jedno i drugie mogłam opijać, dlaczego nie? Pod warunkiem, że czymś mocniejszym...

— Może nie dzisiaj. Jutro wypada na trzeźwo dotrzeć do pracy. Wprawdzie idę na popołudnie, ale mogę nie zdążyć wytrzeźwieć po tym naszym opijaniu. Ale innego dnia możemy. Po sąsiedzku.

— Po sąsiedzku — zgodził się Rafał. — Czy po sąsiedzku mogę cię o coś prosić? Wyjeżdżam na kilka dni, muszę odpocząć. Mogłabyś zerknąć na mieszkanie? Zostawię ci klucze. Wiesz, tak kontrolnie, gdyby coś się działo. Dropsa, rzecz jasna, zabieram.

Tak po sąsiedzku zgodziłam się zaopiekować mieszkaniem i upewniłam się, czy Rafał jest przekonany do swojego pomysłu. Ostatecznie kilka piw razem wypiliśmy, połączeni wspólnym nieszczęściem, jednak wręczanie kluczy nowo poznanej kobiecie pod wpływem alkoholu wydało mi się lekko ryzykowne.

— I ty twierdzisz, że jesteś pijana? Jesteś nieprawdopodobnie trzeźwa — roześmiał się Rafał. Możliwe, że zmieniłby zdanie, gdyby poczuł tę dziwną płynność w kolanach, która kazała im się uginać i balansować w miarę falowania podłogi. Ciekawa rzecz, niby mieszkanie świeżo po remoncie, że też tej podłogi jakoś nie wyprostowali...

— Jestem pijana, ale i przyzwyczajona do zaufania, jakim darzą mnie wszyscy znajomi, namiętnie wpychając mi w ręce klucze na czas swoich wyjazdów. Gdybym zechciała obrobić ich wszystkich, do końca życia żyłabym jak w bajce. Ale jestem naiwną idiotką. Jeszcze nie wykorzystałam szansy. Sabinę może bym obrobiła.

— Ależ proszę cię bardzo! Tylko że wszystkiego już się pozbyłem. Oddałem rodzinie

albo wyrzuciłem... Nie chcę mieć z tym już nic wspólnego. Wszystko tej kobiecie oddałem. Twoja naiwność mojej nie dorasta do pięt.

Trudno było się nie zgodzić. Przyjęłam zatem klucze, wymieniłam się z Rafałem numerami telefonów i po serdecznym pożegnaniu spłynęłam na miękkich nogach na swoje piętro, błogosławiąc fakt, że w stanie obecnego upojenia alkoholowego nie muszę pokonywać tej drogi w górę.

Po czym przekląłam beztroskę, jaka pozwoliła mi popijać dolewane w stanowczo zbyt dużej ilości piwo. Taka ilość z pewnością uniemożliwi mi przeprowadzenie sensownej rozmowy z Łukaszem. Nie mówiąc o awanturze! Kto tu komu zrobi awanturę — oto jest pytanie!

Pytanie zawisło w powietrzu niczym wielki znak zapytania, gdy Łukasz tuż po dziesiątej wrócił od rodziców. Czasu na wytrzeźwienie dużo nie miałam. Po powrocie do mieszkania ze zgrozą zorientowałam się, że przesiedziałam u Rafała prawie trzy godziny. Rany boskie, szczęście całe, że w domu czekały jedynie zwierzaki, po których nie musiałam spodziewać się gorzkich wyrzutów, że latam nie wiadomo gdzie bez słowa wyjaśnienia i wracam w stanie, delikatnie rzecz ujmując, wskazującym. Gdyby Łukasz zjawił się wcześniej, musiałabym się zmotywować do straszliwego wysiłku umysłowego, by sklecić sensowne kłamstwo na temat sposobów spędzania rozrywkowego popołudnia. Do tej pory bowiem alkohol popijałam rzadko, w ilościach mniej niż umiarkowanych, a i to w towarzystwie narzeczonego lub najbliższych przyjaciół. Sama nie pamiętałam już, kiedy ostatni raz zdarzyło mi się samotnie zapijać smuteczki. Samotne zapijanie smuteczków świadczyło, że z moim samopoczuciem i sytuacją życiową jest bardzo źle.

Ale właściwie teraz wszystkie znaki na niebie i ziemi również wskazywały, że jest strasznie, okropnie, paskudnie źle. Narzeczonemu mnie oszukiwał. W dodatku wpadł na ten cudowny pomysł, gdy po ciężkich bojach, dyskusjach, prośbach, groźbach i szantażach wreszcie zgodziłam się przyjąć pierścienek zaręczynowy. Po cholere te całe oświadczyzny były, skoro wiedział, że w jego sercu i głowie tkwi przez cały czas inna? A żeby rzecz jeszcze bardziej zagmatwać, w idiotyczny sposób wplątał się w sprawę zabójstwa byłej ukochanej, wyczyniając przedziwne sztuki z naszym kuchennym nożem i awansując do czołówki podejrzanych o morderstwo. Sama na te podejrzenia machnęłam już ręką. W kłamstwa w wykonaniu Łukasza byłam w stanie uwierzyć. Przyjęcia wersji z morderstwem odmawiałam kategorycznie. Kwestia noża była w tym przypadku niejednoznaczna. Łukasz miewał różne idiotyczne pomysły. Nie dalej jak pół roku wcześniej sam wybił mi kamieniem okno w sypialni, żeby przekonać mnie do tymczasowej przeprowadzki do swoich rodziców, chroniąc w ten sposób przed napastującą mnie psychopatką. Wybite okno, jak twierdził, również mogło być jednym z punktów jej programu zatruwania mi życia. Do własnego udziału w dewastacji mojego mieszkania później się przyznał, nawet pieniądze za wstawienie nowej szyby oddał, dlaczego nie. Wiedząc, do czego jest zdolny, uparłam się nie wierzyć w jego udział w morderstwie — przynajmniej do czasu, gdy policja podetka mi pod nos niepodważalne dowody. Jednocześnie jednak ta wiedza kazała mi przypuszczać, że podejrzenia Rafała w kwestii niezakończonych romansu Łukasza i Sabiny są całkiem słuszne.

Tak, zdecydowanie taki stan rzeczy dawał mi solidne podstawy do zapijania smuteczków. A że zapijałam nie tylko swoje i w towarzystwie — tego już Łukasz nie musiał wiedzieć.

Kłamać nigdy nie potrafiłam, więc trzeba było znaleźć coś albo kogoś, kto nakłamię za mnie. Bez większego żalu wyciągnęłam z lodówki dwie z czterech puszek piwa, które Łukasz dostał od jednego z kolegów z pracy w podziękowaniu za pomoc przy zbieraniu materiałów do artykułu. Pić ich nie zamierzałam, broń mnie ręka boska, bo wtedy samodzielnie zdołałabym już tylko zwalić się na łóżko i zapaść w sen, z którego przebudziłabym się na ciężkim kacu.

Zawartością jednej z nich przepłukałam szklankę, po czym beztrąsko wylałam, pozostawiając puste puszkę na blacie w kuchni. Sama zaś zasiadłam w towarzystwie szklanki przy laptopie i raz jeszcze otwierałam skopiowany folder. Całe szczęście, że znieczulenie wypitym u Rafała piwem nadal działało, chroniąc mnie przed ciężkim atakiem apopleksji na widok wspólnych fotografii Łukasza i Sabiny. Same fotografie właściwie nawet by mnie tak nie poruszyły, gdyby nie kipiąca z nich na każdym kroku zażyłość. Nie musieli trzymać się za ręce ani przytulać, by nawet odurzonym przez alkohol sercem nie szarpnęło poczucie żalu i straszliwej niesprawiedliwości. Co ja robiłam z człowiekiem, który każdym skierowanym na Sabinę spojrzeniem krzyczał, że łączy ich coś wyjątkowego?

W ostatniej chwili zdołałam zamknąć pliki i włączyć internet, gdy nagły tupot psich i kocich łap obwieścił powrót Łukasza. Komitet powitalny, złożony z Dragona i Behemota, zatrzymał go na chwilę w korytarzu, dając mi czas na wyszukanie pierwszej lepszej strony sklepu z odzieżą sportową.

Gapiałam się właśnie na zieloną kurtkę przeciwdeszczową, sprawdzając od niechcenia rozmiar i dostępność, gdy dłonie Łukasza oparły się na moich ramionach i zaczęły delikatnie masować mi kark.

— Jak tam? Relaksujemy się?

„Diabli niech wezmą taki relaks”, pomyślałam gorzko.

— W sumie tak. Ostatecznie wydawanie forsy na ciuchy jest bardzo popularną formą damskiego relaksu. Fajna ta kurtka.

— O, tak. Szczególnie dla kobiet, które uwielbiają łączyć bieganie z taplaniem się w kałużach — roześmiał się cicho Łukasz. — Dobra, już dobra. Po prostu podziwiam hart ducha. Też bym się chętnie zrelaksował. Cztery godziny męczyliśmy się z tym cholernym meblem. Ola, najbardziej do dupy zaprojektowany narożnik, jaki widziałem!

— Ładny przynajmniej?

— Ładny. I nawet wygodny. Ale w życiu nie kupimy żadnego mebla tej firmy. Przy montażu szlag człowieka trafia.

Bezmyślnie pokiwałam głową. Kupowanie mebli do naszego wspólnego mieszkania było ostatnią rzeczą, na jaką miałabym dziś ochotę. Planowanie czegokolwiek innego wspólnie również. Takie rzeczy planuje się z człowiekiem, który kobietę kocha. Na chwilę obecną uważałam ten fundamentalny warunek za niespełniony.

— To idziesz spać, jak rozumiem? — mruknęłam, klikając kolejne strony z oferty sklepu. Powinien zrozumieć, że nie ma na mnie czekać. Jako kobieta z krwi i kości nie byłabym przecież w stanie spokojnie zasnąć, nie dokonawszy wyboru pomiędzy zieloną kurtką przeciwdeszczową a fioletową wiatrówką.

Ale Łukasz miał inne plany.

— Też jeszcze chwilę posiedzę. Muszę się przygotować na jutro. Mam rundę po salonach Nissana. Na szczęście nie tak wcześnie, jak dziś.

„Wypadałoby się zainteresować lub okazać troskę”, szturchnął mnie trzeźwiejący powoli umysł.

— Chyba za dużo siedzisz po nocach — cmoknęłam z przyganą. — Nie przydałoby się trochę zwolnić tempo? Praca, rehabilitacja, i tak właściwie zostaje niewiele czasu na inne sprawy. Na przykład dla nas.

Na przykład na dokładne przedyskutowanie sprawy zawartości koperty, dodałam w duchu, ciekawa, czy Łukasz podejmie temat. Póki co nawet słowem nie zająknął się, że miałam nie majstrować przy tej sprawie sama, bo spróbujemy przepracować ją wspólnie. I pomyśleć, że miałam wyrzuty sumienia, przeglądając pendrive'a od Sabiny!

I teraz Łukasz wołał przemilczeć sprawę, z nadzieją, że zakopana pod dywan gdzieś tam sobie spokojnie poleży, spłaszcy w miarę deptania, a potem najzwyczajniej wsiąknie w podłogę i ślad po niej zaginie. Jeszcze przez chwilę w ciszy masował mi kark i ramiona.

— Pół godziny — wymruczał w końcu, wtulając twarz w moje włosy. — Dla ciebie i dla mnie na te wszystkie pierdoły. A potem wreszcie normalnie położymy się do łóżka. Razem.

„Czyli to jest jedna z tych sytuacji, kiedy kobietę dyplomatycznie zaczyna boleć głowa”, pomyślałam. Od kiedy związałam się z Łukaszem, ten szczególny typ migreny nie dokuczał mi ani razu i już zdążyłam zapomnieć, że w ogóle istnieje. Oto właśnie przypomniał o sobie, rozpoczynając się nietypowo dla bólu głowy, nieprzyjemnym ściskaniem w okolicy żołądka.

— Dobry pomysł — wymamrotałam, zastanawiając się mętnie, czy naprawdę jestem zmuszona uciekać się do ostatecznego migrenowego argumentu, świadczącego o początku końca mojego związku. Zazwyczaj tak to bywało. Kiedy zaczynała mnie boleć głowa, zazwyczaj kończyło się na ciężkim zapaleniu spojówek, wywołanym długotrwałym łkaniem w poduszkę i podrażnieniem kanalików łzowych po kolejnym pożegnaniu. Nie chciałam przyznawać się do migreny. Jeszcze nie.

Póki co pomarudziłam jedynie, że dłużej niż pół godziny chyba przy komputerze nie wytrzymam i pójście spać przed jedenastą jest naprawdę dobrym pomysłem. O ile głośnym pochrapywaniem nie obwieszczę świata, że zasnęłam jeszcze wcześniej i wymagam przetransportowania do łóżka, najlepiej bez opcji przerwania mi snu. Cud boski, że po tak wyczerpującym dniu nie zapadłam jeszcze w podobny do śpiączki letarg, z którego obudzi mnie jedynie pocałunek prawdziwej miłości, ale i to dopiero za jakieś siedem, osiem godzin.

Nie wiem, ile z mojego bredzenia dotarło do Łukasza, który słusznie uznał, że po ludzku się ze mną nie dogada i przynajmniej chwilowo zrezygnował z pierwotnych planów. Powolnym krokiem poszedł do kuchni, skąd dobiegł mnie trzask otwieranej puszkę z piwem. Chwilę później w gabinecie zapaliło się światło.

Ból głowy uderzył niemal natychmiast ze zdwojoną siłą, tym razem całkiem autentyczny i wywołany przez czynniki inne niż chwilowa potrzeba łóżkowej separacji. Co on tam będzie robił? O Boże, idiotyczne pytanie, to chyba jasne, że nie rzuci się w wir pracy! Co będzie robił, mogłam obstawiać w ciemno, pozostawało pytanie, jak zareaguje?

Gorączkowe główkowanie uruchomiło się w tej samej chwili, w której wyobraziłam sobie, jak Łukasz otwiera pliki od Sabiny. Czy już je oglądał? Jakie emocje wywołają wygrzebane z zakurzonych zakamarków pamięci wspomnienia? Choć może należałoby zacząć od tego, czy te wspomnienia faktycznie nadal pokrywa gruba warstwa kurzu? Spotkania pod blokiem zdążyły już chyba co nieco otrzepać... Cholera, że też nie ma żadnej dziury w ścianie, a ja sama nie dysponuję tajemnymi mocami widzenia na odległość, stawania się niewidzialną ani innymi praktycznymi umiejętnościami, wspomagającymi zazdrosną kobietę? Chyba zresztą nawet ta niewidzialność na niewiele się zdała, bo zamknął drzwi od pokoju, stwierdziłam, wykukując dyskretnie z salonu. Nie ma szans, żeby się czegoś dowiedzieć, bo podsłuchiwanie pod drzwiami dałoby mi tak zwany guzik z pętelką. Bardzo wątpiłam, by zza ściany rozległy się rozpaczliwe szlochy, walenie głową w mur albo odgłosy rozdzieranych na znak żałoby szat.

Rozległy się za to szybkie kroki. Ledwie zdołałam dopaść do kanapy i chwycić na kolana laptop, gdy Łukasz stanął w drzwiach pokoju.

— Aleksandra — zaczął niskim, przypominającym pomruk niezadowolonego lwa głosem i w tym momencie już bez żadnych dyplomacji, zupełnie autentycznie rozbolał mnie żołądek. Coś było bardzo, bardzo niedobre.

— No? — wymruczałam, udając pochłoniętą wybieraniem kurtki i modląc się, by głos nie odmówił mi posłuszeństwa. — Zaraz kończę, minuta.

Ale Łukasz był zbyt zdenerwowany, by poczekać tę jedną minutę.

— Aleksandra, proszę, wyjaśnij mi to. Natychmiast.

Udawanie kretynki było coraz trudniejsze. Nie miałam pojęcia, o co dokładnie chodzi, ale po głowie tłukło się nieprzyjemne przecucie. Zorientował się. Z trudem powstrzymałam się od nerwowego oblizania warg, które momentalnie wyschły pod wpływem nerwów. Słodka idiotka, słodka idiotka, przecież ja nie wiem, o co chodzi... Pojęcia nie mam, do cholery!

Tym razem organizm dał się oszukać. Przyspieszające do niebezpiecznego galopu serce odrobinę zwolniło, a z gardła zdołałam wydobyć swój zwykły głos, zamiast wyciśniętego z krtani pisku.

— Co niby mam ci wytłumaczyć?

— To.

Łukasz nerwowym krokiem podszedł do kanapy, zabrał mi laptopa, a na jego miejsce podetknął pod nos swój komputer.

O szlag...

Rumieniec wstydu za własną głupotę rozlał się na twarzy i szyi, po drodze mieszając się z gwałtownym efektem rozszerzenia naczyń krwionośnych, w których w tej chwili wzburzona krew kotłowała się z przerażeniem.

Na ekranie zobaczyłam otwartą zawartość pendrive'a.

Folder „SŁ”.

A tuż obok niego kolejny, opisany jako „Grafiki fit”.

Przepadłam...

Jezu, co teraz? Przyznać się, że grzebałam? Czy iść w zaparte i udawać słodką idiotkę, przerażoną zdenerwowaniem ukochanego, a nie sytuacją, która to zdenerwowanie wywołała?

— O rany, strasznie przepraszam — wyjąkałam z rozpaczliwą nadzieją, że jeżeli nawet zrobię z siebie kretynkę, to przynajmniej ocalę swoją wiarygodność w oczach Łukasza. — Musiałam zgrać coś z maila, wiesz, jak u mnie działa poczta... Chwyciłam pierwszy lepszy pendrive, nie wiedziałam, że to jest twój z pracy... Tych z pracy nie zostawiasz na wierzchu. Mam nadzieję, że nic nie pogrzebałam przez przypadek?

„To teraz już tylko przefarbować się na blond”, odetchnęłam głęboko, bo Łukasz przez chwilę patrzył na mnie nieufnie, po czym nagle zmarszczone czoło i napięte szczęki rozluźniły się odrobinę. Chyba ta idiotka wcale tak źle mi nie wyszła, wygląda na to, że uwierzył!

Na wszelki wypadek postanowiłam pociągnąć swoją oscarową rolę.

— Łukasz? Spieprzyłam coś w tych twoich plikach? Jezu, naprawdę myślałam, że to prywatny pendrive. Tylko kopiowałam, nawet mojego nie otwierałam, dopiero po przegraniu na swojego laptopa... Chyba nawet ja nie byłam w stanie nic tu schrzanić?

Moje zupełnie autentyczne przerażenie Łukasz zinterpretował prawidłowo. To znaczy prawidłowo w moim odczuciu. Uznał, że jako informatyczny głąb naprawdę wystraszyłam się, że coś przez przypadek skasowałam, przeformatowałam, zmieniłam język dokumentu na chiński albo uczyniłam inną podobną głupotę. Z ulgą przeciągnął ręką po włosach i odetchnął głośno.

— Mam nadzieję — mruknął. — Jeszcze nie otwierałam, ale skoro tylko zgrywałam pocztę, to chyba nic się nie stało. Dobra, w porządku, zerknę na to i zaraz idę się położyć. Proszę, ty też już chodź do łóżka. Zdaje się, że mnie też ten dzień wykończył.

Gdyby nawet nie wykończył mnie wcześniej dzień, ostatnie pięć minut wystarczyłoby za całe miesiące permanentnego stresu. Resztę sił wykorzystywałam na skwapliwe pokiwanie głową, wyłączenie laptopa i próbę utrzymania się na nogach, bo kolana straciły już wprawdzie alkoholową płynność, dygotały za to niebezpiecznie, dając jeszcze mniejszą stabilizację. Na uginających się w rytm kołysania przez podłogę i krążące w żyłach promile nogach mogłam

sobie przynajmniej balansować, co doskonale ułatwia utrzymanie równowagi. Trzęsące się i usztywnione, zmieniły kilka metrów pomiędzy salonem a sypialnią w drogę przez mękę, usłaną gwoździami i rozżarzonym węglem. Jaki jest sens ćwiczenia mięśni, wyrabiania giętkości stawów i ogólnej kondycji, skoro organizm i tak sabotuje każdą próbę skoordynowanego poruszania się w najmniej stosownym momencie?

Padłam na łóżko i ledwie zdołałam wczołgać się pod wyszarpaną spod kociego tyłka kołdrę. Obrażony Behemot natychmiast udał się w wyższe rejony i umościł tyłek na moim ramieniu. „A niech ci będzie”, machnęłam ręką, świadoma, że rano kac będzie miał znakomitą konkurencję w postaci kręczu szyi. Ostatkiem odbiegającej świadomości zarejestrowałam, że Łukasz również się kładzie i na wszelki wypadek mocniej zacisnęłam powieki, udając głęboki sen. Zupełnie niepotrzebnie. Ucałował mnie tylko szybko w policzek i odsunął się, kładąc na plecach. Kilka razy dobiegło mnie ciężkie westchnienie i już zupełnie odepchnęłam myśl, że może by jednak odwrócić się i przytulić.

Do kogo? Do faceta, który wzdychał za inną?

* * *

Jestem obrzydliwie niekonsekwentna, stwierdziłam o czwartej nad ranem, zwlekając się z łóżka i nie do końca przytomnym krokiem wędrując do łazienki. Po drodze z trudem pilnowałam się, by nie przydepnąć pochrapującego na dywaniku w sypialni Dragona. Behemot również nie raczył otworzyć oczu o tak niehumanitarnej porze. Gdybym wpadła na pomysł pokutowania jakąś godzinę wcześniej, chętnie towarzyszyłby mi w odbywanej płaczącym się krokiem wędrowce do łazienki, a potem do kuchni. W tej chwili towarzyszyć mi była skłonna jedynie moja własna uczuciowa porażka.

„Szlag by cię trafił”, klęłam, bo potykałam się o świadomość owej porażki na każdym, skacowanym kroku. Miało to ten dobry skutek, że zanim dowlokłam się do kuchni, by zrobić sobie Magiczną Miksturę na Lepsze Samopoczucie, kac sam wyparował pod wpływem złości na ten przeklęty świat, w którym każdy mój związek sypie się prędzej czy później, a widoki na stabilizację oddalają się z beztróskim „Adieu”. Uwierzcie, każdy kac gigant byłby lepszy. Problem w tym, że ogromu mojego nieszczęścia nie byłabym w stanie zalać żadną, największą nawet ilością alkoholu.

Magiczna Mikstura, złożona z wody, soku z cytryny, imbiru i odrobiny miodu również nie zadziałała w pełnym zakresie. Co gorsza, po raz pierwszy stwierdziłam, że jej orzeźwiający, pobudzający działanie przyniosło skutek odwrotny do zamierzonego. Owszem, organizm wreszcie zaskoczył, wyzwalał kop solidnego kopa, ale gdy kop ten dotarł w okolice mózgu, przestałam być zadowolona z rozpierającej ciało po napoju energii. Z przeraźliwą jasnością dostrzegłam bowiem skutki wczorajszego porannego spotkania z sąsiadem i całą, brutalnie obnażoną prawdę na temat mojego naiwnego szczęścia.

I owej nieszczęsnej niekonsekwencji, na wspomnienie której zrobiło mi się niedobrze. Jak to miał się ten wczorajszy wieczór zakończyć? Konfrontacją, tak? Awanturą? Jeszcze lepiej. Kategorycznym domaganiem się odpowiedzi, co kryje cholerna koperta dostarczona Łukaszowi w spadku po Sabinie przez Rafała. Kto tymczasem komu zrobił awanturę? Czego zdołałam się dowiedzieć? Czy udało mi się uzyskać odpowiedź na pytanie, czy Łukasz jeszcze odrobinę mnie kocha? I czy ja sama powinnam kochać jego?

„Brawo ja”, skrzywiłam się, popijając łyk kwaśnego napoju, bo w ferworze czynienia sobie wyrzutów i wypominania głupoty mocno przesadziłam z ilością soku z cytryny. Odrobina

kwaskowatego posmaku była niczym w porównaniu z palącą w klatce piersiowej i przetyku zgałą emocjonalną. Może trzeba było jeszcze tej cytryny dolać. Zapewne od takiej mieszanki wybuchowej puściłabym pawia jak złoto i oczyściła organizm z paskudnych przemyśleń, które zatrwały mnie od wczorajszego poranka.

Ale cytryny w lodówce więcej nie znalazłam. Trzeba było wymyślić inny sposób na uspokojenie telepiącej mną negatywnej energii.

A najlepiej w ogóle stąd wyjść.

Nie, no nie tak na zawsze, bez pożegnania, na wielkim fochu. Ale przynajmniej na godzinkę. Może to nie jest taki najgłupszy pomysł. Przebiec sobie z dziesięć, dwanaście kilometrów i wylać razem z potem wszystko, co niepotrzebnie kotłuje się w głowie i blokuje podejmowanie sensowych decyzji. O siódmej zadzwoni budzik Łukasza. Do tej pory zdążę wrócić z przebieżki, wykapać się i zjeść jakieś zdrowe śniadanie. Może nawet apetyt mi wróci? Ten na jedzenie i ten na życie? Coś nie najlepiej sobie ostatnio bez nich radziłam... A potem można spokojnie, dyplomatycznie i elegancko przeprowadzić rozmowę na tematy zasadnicze. O, sorry, jeden temat. Będąc w lepszej formie, na pewno opanowaniem i spokojem skłonię Łukasza do zeznań w kwestii koperty. Dłużej czekać nie zamierzałam.

Szybko wciągnęłam sportowy strój, na wszelki wypadek narzucając na siebie rozpinaną bluzę z długim rękawem, bo choć przez okno zaglądały jasne promienie słońca, wiatr, który rozganiał chmury, był również sprzymierzeńcem porannego chłodu. Była dopiero piąta. Zanim słońce ogrzeje nieco powietrze, a krew zacznie żwawiej krążyć w żyłach, zimno może nieźle mi dokuczyć.

Czapka? Na wszelki wypadek, ale taka z daszkiem. Szlag, wszystkie w praniu, została tylko czarna. Nie przepadałam za nią, bo dostałam ją w prezencie od dalekiej kuzynki, która wprawdzie kojarzyła coś o moich biegowych zainteresowaniach, ale z rozmiarami była totalnie na bakier. Czapka, bardzo ładna, była jednocześnie za duża i trzymała się na głowie jedynie pod warunkiem upchnięcia pod nią włosów. „Co za problem, włosy i tak będą do mycia dwa razy dzisiaj”, pomyślałam wzruszając ramionami i wciskając niesforne kosmyki pod czapkę. Przy okazji przyjrzałam się w przelocie końcówkom kitki. Przydałoby się podcięcie. Mycie i katowanie gorącym powietrzem suszarki codziennie, czasem nawet po dwa razy, nie wpływało korzystnie na stan mojej czupryny. Nie mówiąc już o tym, że rosnąca samopas grzywka coraz skuteczniej przesłaniała mi widok na świat i groziła nieodwracalnym zezem. Było to niewskazane, krótkowzroczność wystarczała mi w zupełności. Nie potrzebowałam dodatkowo zbieżno-rozbieżnego zezu, w zależności od tego, w którą stronę usiłowałam patrzeć. „Cóż, kłania się fryzjer”, stwierdziłam niezadowolona i postanowiłam przy najbliższej okazji podpytać panią Halinkę, gdzie tak doskonale dbają o jej fryzurę. O moją też ktoś mógłby tak zadbać.

Póki co jednak czas zadbać o swoje zdrowie psychiczne i kondycję, koniecznie pamiętając, by wzmocnić mięśnie nóg, żeby skończyły z tymi podstępными sabotażami, ilekroć jestem zdenerwowana. W pracy nie mam na dziś żadnych treningów indywidualnych, może uda się między zajęciami wydłubać trochę czasu na ćwiczenia wzmacniające z Kubusiem?

Rześkie powietrze owionęło twarz i niemal natychmiast poczułam się lepiej. Dotarło do mnie, jak stęchła atmosfera afery z Sabiną zdołała przesycać powietrze tak przecież zadbanego, wietrzonego systematycznie mieszkania. „Mogłabym przewietrzyć od rana i Dragona”, przemknęło mi przez myśl, jednak chrapiący snem sprawiedliwego psa amstaff nie wyglądał na zainteresowanego bieganiem o świcie, choć od pewnego czasu dawało się odczuć wstawanie tego świtu o coraz wcześniejszej porze. Nie interesowało to jednak Dragona, który nie pozwalał łaskoczącym psi nos promieniom słońca oszukać swego wewnętrznego zegara. Szósta to szósta i rano o szóstej się zaczyna. Ewentualnie może być po piątej, jeżeli pani cierpi na atak nerwowego

kręcenia się przed budzikiem. A i wtedy zaczyna się dzień od śniadania. Biegania na czczo Dragon odmawiał kategorycznie. Wywleczenie go z domu przed piątą czterdzieści pięć było niewykonalne.

Nie zamierzałam znęcać się nad zwierzęciem, które i tak wykazywało niewyczerpane pokłady cierpliwości i wytrzymałości, uskuteczniając ze mną galopy rano, po południu, wieczorem i Bóg wie, kiedy jeszcze przychodziło mi do głowy. Lubił nawet nocne spacery, które swego czasu namiętnie praktykowaliśmy z Łukaszem, gapiąc się na księżyc i marząc w imię trochę zbyt dosłownie pojmowanego romantyzmu. Jednak czas między godziną trzecią a szóstą był czasem, kiedy wewnętrzne źródło psiej energii kategorycznie domagało się odpoczynku i podładowania przed kolejnym aktywnym dniem. Nie wiem, czy zdołałabym wyciągnąć Dragona z sypialni nawet przy pomocy podczepionych do smyczy czołgów. Nie miałam zresztą weny do testowania psiej przyczepności do dywanika w godzinach wypoczynku. Wystarczyła mi świadomość, że była cholernie mocna.

Puste alejki w parku zachęcały do korzystania z ciszy i spokoju, przerywanego nieśmiałym świergotem ptaków. Tylko ja, zielone aleje i szeroka, wysypana ubitym piaskiem droga, na której można było zmierzyć się z gnębiącymi człowieka problemami, prześcignąć je, a potem, na mecie, zagrać im na nosie, bo podczas wyścigu dopływ tlenu do płuc i głowy wzmógł pracę mózgu, dając szansę poszukania upragnionych rozwiązań. Jeżeli biegło się wystarczająco szybko, można było wygrać ten nierówny wyścig z nękającymi każdego dnia problemami. Albo przyspieszyć jeszcze odrobinę i najzwyczajniej przed nimi uciec...

Sama nie wiedziałam, czego chcę od tej spontanicznej, porannej przebieżki. Tyle trudnych spraw udało się w taki sposób przemyśleć, tyle dobrych rozwiązań odnalazłam po drodze, że prawie zdążyłam uwierzyć, że rosną na drzewach wśród liści, spływając strącone delikatnym podmuchem wiatru i podążając razem z wdychanym powietrzem wprost do zmęczonej głowy. Skąd wiedzą, kiedy i w jakim momencie spaść, by trafić na odpowiednią osobę, wyobrazić sobie już nie potrafiłam, jednak podobała mi się myśl, że wszechświat nie zostawia nas samych sobie i własnej głupocie. Może i dziś była szansa trafić pod właściwe drzewo we właściwej chwili. Ale do tego niewskazany był pośpiech.

Ruszyłam więc spokojnym tempem, rezygnując z słuchania muzyki, gotowa wsłuchać się w szept natury i to, co w swej mądrości zechce mi odpowiedzieć. Przynajmniej ona nie wypnie się na mnie, zaspanym gestem stukając w zegarek i dając do zrozumienia, że zawracam głowę stanowczo zbyt wcześnie.

Nie zamierzałam planować trasy. Znałam park wystarczająco dobrze, by wiedzieć, dokąd dotrę, biegnąc poszczególnymi alejkami i jak w razie potrzeby najszybciej wrócić do domu. Docierałam do kolejnych zakrętów i rozwidleń, w ostatniej chwili słuchając podszeptów instynktu, gdzie najlepiej skręcić. Klucząc bez celu, obiegłam jezioro, zrobiłam pętelkę wokół polany z siłownią na świeżym powietrzu, dotarłam do granicy obu części osiedla i w końcu okrężną drogą wróciłam w okolice parkingu. Rześkie powietrze eliminowało zmęczenie, więc zatrzymując się pod klatką schodową, czułam spory niedosyt. Zerknęłam na zegarek. Piąta czterdzieści. Jeszcze mam sporo czasu, jeszcze kawałek mogę pobiec. Może tym razem wybierając inny wariant na rozwidleniach, bo wciąż brakowało mi kojącego uczucia, że odnalazłam właściwe drzewo. To najlepszy znak, że nie czas na koniec treningu.

Przyjemnie tak biec, gdy dookoła nie płaczą się inni ludzie, krzyżące dzieci, szczekające psy, nie słysząc warkotu odjeżdżających i przyjeżdżających aut i całego tego zgiełku, który towarzyszył mi zazwyczaj na popołudniowych treningach. Również późniejsze poranki nie pozwalały na tak idealne wsłuchanie się w siebie i uspokojenie pożerających człowieka od środka emocji. Świat jeszcze spał, zapewne z bandziorami na czele i tym razem bez piesa czułam się

bezpiecznie. Nawet ciemna, zamglona, wąska alejka, w której znalazłyśmy z Beatką Sabinę, nie wyglądała w połowie tak mrocznie i złowieszczo, jak kilka dni wcześniej. Tę jednak zamierzałam stanowczo omijać. Nie obawiałam się, że czai się tam morderca biegaczek w różowych adidasach. Nie miałam ochoty na konfrontację ze złośliwym widmem Sabinki, które i w postaci niematerialnej usiłowało zrujnować moje szczęście.

„Bez egzorcysty tam nie poleżę”, zdecydowałam z niesmakiem, pozwalając sobie na złośliwy, dziecinny gest i wywalając w kierunku pokutującego ducha język. W nosie miałam, co sobie o tym pomyśli, a opinią innych, żywych ludzi o tej godzinie przejmować się nie musiałam. Sama wobec Sabiny nie byłabym w stanie wykrzesać z siebie ani iskierki życzliwych uczuć i z ulgą pomyślałam, że przesłuchania w sprawie jej śmierci w większości mam już za sobą. Już wtedy z trudem hamowałam się, by nie powiedzieć niczego głupiego. Wołałam nie wyobrażać sobie, jak skoczyłyby w górę moje szanse na dożywanie za to morderstwo, gdybym dziś poszła do starszego aspiranta Cichosza i zdradziła się z moimi refleksjami na temat sąsiadki Sobeckiej. Takiej ilości bluzgów mógłby nie wytrzymać nawet spokojny, opanowany detektyw Gos...

Ciekawe, jak w ogóle wyglądają dotychczasowe wyniki śledztwa i czy mojemu kuchennemu nożowi udowodniono winę. Nikt z komendy się nie odzywał, ale nie miałam też pojęcia, ile te ich ekspertyzy mogą trwać. Że się już nie odezwą, nie śmiałam nawet marzyć. Zresztą, ach! Muszą się w końcu odezwać, ja kategorycznie żądam zwrotu mojej własności!

Pochłonięta rozważaniami na tle udziału mojego noża w zabójstwie i współnika, który ewentualnie pomógłby w dokonaniu mrożącej krew w żyłach zbrodni, przestałam rejestrować sygnały płynące z otoczenia. Gdyby nie święte oburzenie na śledczych i guzdranie się z ekspertyzami, pewnie szybciej usłyszałabym, że nie jestem na ścieżce zupełnie sama. Zbliżające się szybko kroki dobiegły mnie o ułamki sekund, zanim ktoś gwałtownym szarpnięciem złapał mnie za obie ręce i wykręcił do tyłu. Zaskoczona wrzasnęłam i kopnęłam na oślep, modląc się, by trafić napastnika w kolano bądź inny czuły punkt. Wściekły okrzyk odpowiedział mi, że chyba się udało. Facet stracił równowagę i runął na ziemię, ciągnąc mnie za sobą. Upadłam i szarpnęłam się, próbując wykorzystać moment zaskoczenia. Szlag, trzymał mocno, ledwie wyswobodziłam jedną rękę, wzmocnił uchwyt na drugiej i chwycił mnie za szyję. Chciałam wykorzystać wolne ramię i zaczęłam młócić na oślep pięścią, jednak coraz silniejszy zacisk na gardle szybko odciął mi dopływ powietrza. Ostatkiem sił chwyciłam za duszące mnie ramię i zaczęłam desperacko orać je paznokciami. Na próżno.

Spadająca z głowy sportowa czapka upadła gdzieś przed moją twarzą, po czym zaczęła rozpyływać się we mgle, zasnuwającej oczy.

* * *

Podobno po śmierci nic już nie boli.

Podobno znikają wszystkie nieprzyjemne bodźce.

To dlaczego, do ciężkiej cholery, coś twardego i mokrego gniotło mnie w plecy i tyłek, a na szyi tkwił niewidzialny supeł, który sprawiał, że zamiast oddechu wydobywał mi się z krtani spazmatyczny świst?

Oczy.

Trzeba otworzyć oczy. A potem sprawdzić, co tu się, do cholery, dzieje...

Z trudem uniosłam pulsujące tęnym bólem powieki.

Leżąca na ziemi czarna sportowa czapeczka... A obok leżałam ja. Jak to się stało?

Pamięć przez otępiały od bólu i braku powietrza umysł z wysiłkiem przesłała do

świadomości obraży. Ramię ściskające szyję. Wściekły wrzask i upadek na ziemię. Szarpanina w walce o każdy głęboki oddech. Ciemność...

Z dzikim wrzaskiem poderwałam się z ziemi, bo dopiero teraz dotarło do mnie, co tak naprawdę się stało. I to, że jakimś cudem nadal żyję.

I że ktoś, kto usiłował mnie zabić, może nadal krążyć w pobliżu, świadom popełnionego błędu.

Kolejny wrzask wydarł mi się z gardła, gdy podrywając się do pozycji stojącej, oparłam się na rękach. Zdołałam wprawdzie podnieść się do pionu i utrzymać równowagę, jednak eksplodujący w stawach ramion, łokci i nadgarstków rwący ból przypomniał mi jeszcze dokładniej brutalny atak. Atak obliczony na morderstwo.

Innej wersji w ogóle nie brałam pod uwagę. Poza urazami powstałymi podczas szarpaniny i próby duszenia, nie zarejestrowałam oznak świadczących o innym celu napadu. Ubranie miałam na swoim miejscu i w całości, trochę poszarpane i brudne, ale nic poza tym. Pulsometr, telefon i klucze do mieszkania również były na swoim miejscu. Jezu, to co tu się tak naprawdę wydarzyło?

Nieważne, teraz naprawdę nieważne! Żyłam, wbrew intencjom mordercy nadal żyłam i miałam świadomość, że w każdej chwili to może się zmienić. Nie miałam pojęcia, dlaczego zadziałał mniej skutecznie niż w przypadku Sabiny, czy ktoś go spłoszył, czy też wyglądałam na wystarczająco martwą, by zostawić mnie w spokoju i porzucić bezwładne ciało. Mógł wrócić. Musiałam uciekać.

Tylko, na miłość boską, gdzie?

Rozejrzałam się w panice dookoła. Alejka jedna z bardziej odludnych, żadnego placu zabaw, żadnego parkingu w pobliżu... Ale sekundę... Tuż za drzewami zamajaczyły mi stare bloki...

Chwilę później, niesiona paniką i adrenaliną, gnałam ku parkingowi przed blokiem, w którym mieszkali Darek i Beatka.

* * *

Nie wiem, co sobie myślałam, szlochając wniebogłosy i waląc pięściami do drzwi mieszkania przyjaciół. Histeryczny strach przed mordercą, który w każdej chwili mógł mnie zaskoczyć i dokończyć dzieła, trzymał mnie w ryzach i kazał biec, dopóki nie stanęłam u celu i nie usłyszałam zza drzwi gniewnego pomrukiwania Dareczka. Odgłos gmerania kluczami w zamku uświadomił mi, że wreszcie, lada chwila, będę mogła się poczuć bezpieczna. Z jękiem walnęłam głową o futrynę i zjechałam po ścianie na podłogę klatki schodowej. W tej pozycji zastał mnie Darek, gdy wreszcie zdołał opanować manipulacje z kluczami, zmierzające do otwarcia drzwi.

— Jezusie, czego? — zasapał w przestrzeń, po czym dopiero moje szlochy kazały mu spojrzeć nieco niżej. — Rany boskie, Aleksandro, co się stało?

To było chwilowo nieważne, tłumaczyć mogłam potem, jak już znajdę się za zamkniętymi na wszystkie zamki drzwiami i dodatkowo wymuszę na Darku zastawienie wejścia komodą. Nie miałam siły, by samodzielnie pozbierać się do bardziej cywilizowanej pozycji, na kolanach wczołgałam się do mieszkania.

— Zamknij! Zamknij te drzwi, do cholery! — wrzasnęłam histerycznie, bo Darek stał i gapił się na mnie ze zdumieniem, kompletnie nie pojmując grozy tego, co mi się przytrafiło. Czy doprawdy tak trudno było pojąć, że rozslochana, zasmarkana i brudna kobieta nie może mieć za sobą radosnego poranka?

Wściekła na stupor, w jaki wpadł Dareczek, zlekceważyłam palący ból w rękach i sama pozamykałam mieszkanie na wszystkie zamki. Dopiero potem usiadłam na podłodze i wdychając ciężko powietrze, spróbowałam zapanować nad rozdygotanym ciałem.

— Nie wiem — wycharczałam w końcu, ocierając nos rękawem bluzy. Niech diabli biorą dobre wychowanie, przynajmniej w takiej chwili! — Nie wiem. Chyba próbował mnie wykończyć. Ten psychol z parku. Ten od Sabiny... Więc bądź łaskaw natychmiast dać mi wódki.

— O Jezus Maria! — jęknął Dareczek i dopiero teraz odzyskał zdolność ruchu. Niczym błyskawica runął do kuchni. — Woda, nie wódka! Zaraz dzwoniemy na policję! Nie, dobra, najpierw do szpitala! Olka, zaczekaj, najpierw do Łukasza...

— Nie! — wrzasnęłam, bo narastająca w środku i domagająca się wysokoprocentowego trunku histeria odruchowo skuliła się i zrezygnowała ze swoich roszczeń. Tak jak to zresztą zazwyczaj bywało, gdy sytuacja przerastała Dareczka, co zmuszało mnie do postawienia siebie do pionu, po to, bym następnie mogła przywołać do porządku spanikowanego przyjaciela. — Przestań latać, uspokój się i daj mi odetchnąć! Dawaj tę wodę, do cholery! I nigdzie na razie nie dzwoń, muszę chwilę pomyśleć...

Opanowanie Aleksandry L. zgodnie z oczekiwaniami i wytrenowanym przez lata odruchem wygenerowało wyciszenie emocji i u Dareczka. Bezmyślnie wyciągnął w moim kierunku szklankę, po czym natychmiast odstawił ją na szafkę.

— Czekaj. To chodź chociaż na kanapę. Przecież ty ledwo uszłaś z życiem, trzeba sprawdzić, czy nic ci nie jest.

— O rany boskie, żyję przecież! To mi do szczęścia wystarczy!

— Póki co żyjesz — zdenerwował się Darek. — Na adrenalinie! A jak sprawa będzie wyglądać za pięć minut, to ja nie wiem! Sabinę nożem podziabiał, cholera wie, czy się właśnie nie wykrwawiasz!

A to już był całkiem słuszny argument. Z wahaniem pozwoliłam Darkowi podnieść się do pionu w taki sposób, by jak najmniej poruszać rękoma i poddałam się pobieżnym oględzinom. Sama również z niepokojem zerknęłam na miejsce na podłodze, na którym przed chwilą siedziałam. Nie dostrzegłam nigdzie czerwonych śladów, może nie było aż tak dramatycznie?

— Nie, no wygląda, że jesteś cała — sapnął Darek, oglądając mnie ze wszystkich stron. — Chodź do pokoju i powiedz mi wszystko. Jesteś pewna, że nie chcesz jechać do lekarza?

Wytresowana przez kochającą kryminalny babcię Nawrocką wiedziałam, że to głupi pomysł.

— Najpierw na policję — mruknęłam. — Zadzwoń do tych tam naszych. Powiedz, niech tu przyjadą. Ja na razie nie chcę nigdzie iść. Tylko Darecki! Niech cię ręka boska broni wydzwaniać do Cichosza! Do Gosa. Tylko do Gosa. I niech ci powie, co robić dalej.

— Dalej to do pracy. W sensie zadzwonić. Bo chyba żadne z nas dziś do klubu nie dotrze. Tobie od razu daję urlop do końca tygodnia. A sam zobaczę. Ola, na pewno nie mam zadzwonić po Łukasza?

O, nie! W tej chwili po każdego innego człowieka na tym świecie!

— Daj spokój — syknęłam. — Pojechał do pracy. Jakies ma dzisiaj ważne spotkania. Ja nawet nie wiem, czy odbierze telefon.

— O tej godzinie? — zdziwił się Darek, zerkając na komórkę. — Rozumiem, jak chcesz...

Kiedy Darek wisiał na telefonie i usiłował sprawnie wyjaśnić policji, co mnie spotkało i że mają szansę na coś się wreszcie przydać, pozwoliłam sobie wreszcie opaść bezwładnie na kanapę, i na spokojnie spróbowałam zebrać myśli. Najbardziej ze wszystkiego pomógłby mi nie żaden policjant, nie żaden szpital, tylko najzwyczajniejszy pod słońcem prysznic. Spłukać z siebie

tłumione siłą woli dygotanie gdzieś tam w środku. Ból powykręcanych i szarpanych rąk. Suchość w gardle, która w miarę upływu czasu coraz wyraźniej przypominała, jak brutalnie potraktowano moją szyję... Zmyć to wszystko w cholerę, razem z tym histerycznym strachem, który przysiadł gdzieś w kąciku i czekał tylko na odpowiedni moment, by totalnie mnie sparaliżować.

„I przy okazji zmyć dowody”, pomyślałam ironicznie, próbując okiełznać wszechogarniające pragnienie wejścia natychmiast pod prysznic. Mogłoby być nawet w ciuchach.

Właśnie, dowody! Szlag, niedobrze, czy oni zdążą wszystko zabezpieczyć? Ja bez kąpieli przeżyję jeszcze trochę na upartego, ale w parkowych alejkach pewnie kręcą się już ludzie... Zadepczą to miejsce, przepłoszą mordercę... O ile jeszcze sam się nie ulotnił. Ale równie dobrze mógł zyskać szansę wmieszania się w tłum i oddalenia po cichutku... Czasu miał pewnie sporo. Zaraz, która tak właściwie jest teraz godzina?

Nerwowym ruchem wydobyłam z kieszeni kurtki telefon i spojrzałam na wyświetlacz.

Szósta dwadzieścia?

Czyżby to wszystko naprawdę wydarzyło się tak szybko?

Więc może jednak była jeszcze szansa odnaleźć wariata, mordującego kobiety w parku?

Taka sama, jak prawdopodobieństwo, że nie oddalił się zbyt daleko i dostrzegł, jak pomimo jego wysiłków zbieram się z ziemi i pędzę po pomoc?

Przeszył mnie zimny dreszcz.

* * *

Przesłuchanie.

Obdukcja w szpitalu.

Zrzęczenie Dareczka, że może jednak należy zadzwonić po Łukasza, bo ktoś musi się mną zaopiekować, kiedy on sam pojedzie osobiście odebrać i odstawić do domu po pracy Beatkę. Do którego domu, nie interesowało go zupełnie, Beatka bowiem nadal pomieszkiwała kątem u rodziców, odpoczywając od nadmiaru stresu, wywołanego najpierw romansowymi, potem zbrodnictwami aspektami przeprowadzki na nasze osiedle. Był nawet skłonny namawiać ją do przedłużenia urlopu od małżeństwa. Ostatecznie rodzice Beatki mieszkali na drugim końcu miasta, na strzeżonym osiedlu domków jednorodzinnych, z dala od brykających w naszym parku wariatów z nożami. Taka lokalizacja zaś była dużo bezpieczniejsza dla młodej, pracującej, aktywnej kobiety. Młodym, pracującym, aktywnym kobietom należało w obecnej sytuacji zapewnić ochronę, nawet jeżeli im samym średnio się to podobało.

Tego samego zdania był detektyw Gos, wydzierając mnie z rąk miotającego się Dareczka, który był już gotów rąbnąć na komendzie kajdanki i przykuć mnie do siebie na czas eskapady po Beatkę i do jej rodziców.

— Odwiozę panią Olę do domu i poczekam z nią, aż pana brat wróci do domu — zapewnił po raz setny łamiącego ręce Dareczka, dla którego jednoczesna opieka nad dwiema szalenie ważnymi kobietami stanowiła wyzwanie przekraczające siły i zmysł organizacyjny. W końcu szarpiące umysł poczucie obowiązku ustąpiło wobec rzeczowych argumentów detektywa.

— Tylko proszę jej pilnować — zasapał nerwowo. — To też jest wariatka, nie gorsza od tego z parku. Gotowa latać i łapać swojego niedoszłego zabójcę. A potem sama stać się zabójczynią.

Syknęłam wściekła, bo procedury policyjno-medyczne po przebytej rano traumie ostatecznie wyzuły mnie z resztek cierpliwości. Jeszcze trochę i wyjdzie, że sama jestem

psychopatą z parku, a sama siebie napadłam, żeby zyskać alibi. Czy oni z Łukaszem naprawdę nie pojmują, że zachwalając policji moje talenty i skłonności mordercze, lada moment zapewnią mi ochronę w postaci dożywocia pod nadzorem policyjnym w mamrze?

Pewnie palnęłabym pod adresem Dareczka coś głupiego na głos, jednak wspomnienie Łukasza zatelepało mną niczym atak febry. No tak. Detektyw Gos odstawi mnie do domu, a potem zaczeka sobie na Łukasza i pozostawi mnie pod jego czułą opieką. Bardzo chętnie skorzystałabym z takiej opieki, ale mając gwarancję, że pochodzi od kochającego, szczerego mężczyzny. Czy nadal takiego posiadałam? Wątpiłam coraz poważniej.

Dla świętego spokoju jednak zdecydowałam się wrócić z eskortą do mieszkania. Była dopiero dwunasta, liczyłam zatem, że do powrotu Łukasza uda mi się spławić ochronę i wymyślić sensowny sposób zatajenia wydarzeń dzisiejszego poranka. A potem nakłonić do tego samego Dareczka. Miałam bowiem świadomość, że szlag ciężki by mnie trafił, gdybym przez kilka najbliższych tygodni (a może i dłużej, w zależności od skuteczności działań policji i ujęcia parkowego wariata) była zmuszona latać wszędzie pod eskortą udającego wielką miłość i pomnożoną razy gazylion troskę faceta.

Przejeżdżając z jednej części osiedla na drugą, nie miałam dokładnego wglądu, co dzieje się w feralnej alejce, jednak już przy wjeździe na parking zauważyłam tabuny policji biegnące po parku z psami gończymi w poszukiwaniu podejrzanego mężczyzny. Westchnęłam ciężko, wściekła na siebie. Przecież ci ludzie nie mieli pojęcia, kogo tak właściwie należy szukać. Pomimo najszczerzych chęci nie byłam w stanie podać im żadnych informacji na temat wyglądu ani ubioru. Nie mogłam w żaden sposób pomóc.

— Ile oni tak jeszcze będą latać z tą obławą? — zapytałam beznadziejnie, wysiadając z auta i rozglądając się po rojącym się od policji parkingu.

— Do skutku — wyjaśnił detektyw. — Zaatakowano panią, ale nie wiemy, czy był to przypadek, czy coś powiązanego konkretnie z panią Sobecką. Niby typ kobiety podobny, ale działanie zupełnie inne. I pozostaje kwestia skuteczności.

— No, tym razem nawalił — usiłowałam wysilić się na dowcip. — Ja nie wiem. Wydaje mi się, że ktoś mógł go spłoszyć. Chyba wiedział, co robi, był bardzo zdecydowany. Jakoś nie chce mi się wierzyć, że tak nagle mu się odwidziało.

— Tyle że póki co nic nie wskazuje na obecność kogokolwiek innego. Może zadzwoniła pani komórka? Albo gdzieś przejechało auto?

Odruchowo wyjęłam telefon i zaczęłam przeglądać połączenia z dzisiejszego dnia, choć doskonale wiedziałam, że mój telefon nie miał nic wspólnego ze spłoszeniem bandziora. Bo niby kto miałby do mnie wydzwaniać o wpół do szóstej rano?

— Nie słyszałam ani nie widziałam nikogo. Samochodów, ludzi, komórek... Ale tego gościa też nie widziałam. — Wzruszyłam ramionami. — Wszystko, co się dało, już pan ze mnie wydusił. Poza zaproszeniem na kawę, w podziękowaniu za fatygę z odwiezieniem do domu.

— Fatyga żadna. Tak sobie myślę, że będzie trzeba pofatygować więcej osób — oznajmił stanowczo detektyw. — Wie pani, dyskretna obstawa, gdy jest pani poza domem. Tu i tak cały park będzie codziennie czesany. Kogoś do pani oddelegujemy.

Jęknęłam w duchu, gdyż wyobraźnia wyprodukowała obrazek mnie samej, ciągnącej za sobą policyjny ogon, gdziekolwiek się ruszę. Kordon policji otaczający mnie w warzywniaku. Transport do pracy opancerzonym wozem. Spacer do śmietnika pod eskortą z ziemi i powietrza. Zaraz, zaraz, to może w ramach ochrony sami te śmieci za mnie wyniosą?

Perspektywa przelotu helikopterem policyjnym od klatki schodowej do najbliższego śmietnika zatelepała mną w stłumionych z trudem spazmach chichotu. Nic, tylko głupawka, jeden z możliwych objawów przeżytego stresu. Nie tłumić, nie tłamsić naturalnych reakcji,

uwolnić emocje i pozwolić duchowi wrócić do równowagi. Tyle przynajmniej zrozumiałam z pouczeń autorstwa policyjnej pani psycholog, która z racji zagrożenia szokiem pourazowym wyciągnęła mnie z przesłuchania. Byłam jej za to serdecznie wdzięczna, bo w sam środek przesłuchania, pierwotnie prowadzonego przez detektywa Gosa, wparował po kilku minutach niczym furia starszy aspirant Cichosz i, tak jak przypuszczałam, zaczął domagać się mojego alibi na czas ataku na ofiarę. O tym, że ofiarą byłam ja sama, pozwolił się przekonać po kwadransie rozpaczliwych protestów i straszliwie go to rozczarowało. Nic dziwnego, że choć psychologów nigdy nie darzyłam zbyt dużym zaufaniem, w obawie przed utratą zdrowych zmysłów, sama, z własnej, nieprzymuszonej woli uciekłam za przemiłą, rudą kobietą z tak zwanym twórczym nieładem na głowie do zacisznego gabineciku. Byłam nawet skłonna zainstalować się na kozetce, gdyby takowa gdzieś tu się zmieściła. Ponieważ jednak na kozetkę miejsca zabrakło, zapadłam się w miękki, wygodny fotel i dowiedziałam się, że ani chybi grozi mi zespół stresu pourazowego, któremu na szczęście można spróbować zapobiec. Na taką wieść odetchnęłam z prawdziwą ulgą, bo w swój stres pourazowy nie wątpiłam ani odrobinę, zważywszy na poranny napad, a potem atak przypuszczony przez aspiranta Cichosza, skłonnego zapuszkować mnie natychmiast za brutalny atak na samą siebie.

Nie mam pojęcia, jakich argumentów użył Gos, by ułagodzić rozjuszonego niezgodnym z przewidywaniami obrotem spraw Cichosza, jednak do szpitala na obdukcję odwiózł mnie bez upierdliwego aspiranta. Teraz również w drodze do domu towarzyszył mi sam, nie licząc armii policji, która pochowała się po obu częściach osiedla.

— To co? Da się pan zaprosić na kawę? — rzuciłam, przekręcając zamek w drzwiach, gdy zostałam przez sumiennego detektywa odstawiona pod samo mieszkanie. — Dla mnie żaden problem. Chyba że nie lubi pan zwierząt. Zrozumiem.

— Ma pani zwierzęta? Cichosz coś wspominał.

Nie zdążyłam udzielić odpowiedzi, gdyż przez uchylone drzwi natychmiast wyjrzały dwie ciekawskie mordy.

— O, pies! — rozpromienił się detektyw Gos na widok Dragona, który wielkim łbem przesłonił na dzień dobry płaczącego mu się pod łapami Behemota. — Świetny! No proszę, jest i kot! Wie pani, chętnie tej kawy się napiję. Nie pojmuję, dlaczego pani psa rano ze sobą nie zabrała. Z takim psem nikt by pani nie podskoczył.

— Najpierw musiałabym tego psa dobrać. Przed szóstą rano niewykonalne. — Uśmiechnęłam się, skłaniając komitet powitalny do wejścia z powrotem do mieszkania, po czym zaprosiłam Gosa do środka. — Pan lubi psy? Widać. On czuje na kilometr sympatycznych ludzi.

Spokojną, opanowaną zazwyczaj twarz detektywa rozjaśnił serdeczny, choć powściągliwy uśmiech. Ściągnięte wargi miały w sobie coś nienaturalnego, jednak szczerą życzliwość i sympatia do czworonogów w szarych oczach przeczyły udawaniu. Starając się nie gapić zbyt nachalnie na dziwną mimikę tego człowieka w innych niż służbowe okolicznościach, zastanawiałam się nad pochodzeniem blizn na jego twarzy. Sprawa musiała być poważniejsza, niż na początku mi się wydawało, gdyż podciągnięte przy głaskaniu Dragona mankiety marynarki odsłoniły podobne ślady na nadgarstkach.

— No nic, nie widzę innego wyjścia, jak odpuścić sobie bieganie przed szóstą rano — stwierdził, wchodząc za mną do kuchni w asyście zwierzątek, które również wyczuły w nim dobrą duszę. — Przyznam się szczerze, że w ogóle nie pojmuję, co to za pomysł z treningami bladym świtem albo w nocy. I pani, i pani Sobecka...

— O, przepraszam, ja nocami po parku nie latam. — Oburzyłam się, zła o porównanie z Sabinką. — A już na pewno nie sama. Jeżeli wychodzę biegać po dwudziestej, to tylko w towarzystwie kolegi. Albo psa.

— OK, a rano?

Rano to już inna sprawa. Westchnęłam ciężko na wspomnienie okoliczności, które wyciągnęły mnie z łóżka, kiedy rano wstały zorze.

— Rano też sporadycznie — mruknęłam niechętnie. — Właściwie aż jeden raz. Miałam ciężką noc i nie mogłam dospać. A wcześniej ciężki dzień. Pokłóciłam się z narzeczonym. O Sabinę.

Już na samą wieść o kłótni w oczach Gosa błysnęło zainteresowanie. Gdy wyjawiłam powód konfliktu, natychmiast oderwał się od głaskania Behemota, który bez zbędnych ceregieli włożył mu na kolana, gdy tylko detektyw usiadł.

— Powie pani coś więcej?

— A interesuje to pana służbowo?

— Trudno, żeby nie. Oboje z partnerem tkwicie w tej sprawie po uszy. Mogę z panią porozmawiać już bardziej na luzie, bo po dzisiejszym poranku nie dam sobie wmówić, że to pani zabiła Sobeczkę. Mam za to inne podejrzenia...

Posłałam mu ciężkie spojrzenie. Ton, jakim poinformował mnie o „innych podejrzeniach”, nie wróżył nic dobrego. Zalałam wrzątkiem dwa kubki z kawą, postawiłam na stole i sięgnęłam po puszkę z ciastkami zbożowymi, wyprodukowanymi według przepisu naszej klubowej dietetyczki. „Chociaż właściwie przydałaby się solidna porcja czekolady”, pomyślałam, wysypując ciasteczka na talerz i przyglądając im się krytycznie. I niby to ma mi wystarczyć jako pomoc w przetrwaniu tych rewelacji, jakie za chwilę usłyszę?

Ale na rewelacje musiałam jeszcze poczekać. Najpierw bowiem detektyw zabrał się do wyduszania ze mnie tej wiedzy na temat Łukasza i Sabinki, jakiej jeszcze nie ujawniłam śledczym.

— Mogę to panu wszystko pokazać — zakończyłam tłumaczenie powodów, które pchnęły mnie o piątej rano prosto w objęcia mordercy. — Mam na swoim laptopie.

— Bardzo chętnie.

— Tylko proszę szybko. Nie wiem, o której wróci Łukasz. Już wczoraj miałam duży problem, żeby go przekonać, że nic tu nie grzebałam...

Argument był dla Gosa w pełni zrozumiały.

— Mogę? — zapytał, i nie czekając na odpowiedź, skopiował odpowiedni folder na swój nośnik. — To może być bardzo istotne. I mówi pani, że partner był zły, kiedy się zorientował, że mogła pani poznać zawartość tych plików?

— Zły. Mało powiedziane — westchnęłam, bo mina Łukasza wczorajszego wieczoru sugerowała coś znacznie potężniejszego niż złość. — Miał pretensje o brak zaufania. Niby nie wrzeszczał ani nie zrobił mi jakiejś wielkiej awantury, ale ten ton... Wie pan, ja go naprawdę nieźle znam. I proszę mi wierzyć, takiego tonu używa w bardzo wyjątkowych sytuacjach. W stosunku do mnie pierwszy raz. Wolałabym każdą awanturę.

Detektyw utkwił we mnie uważne spojrzenie i niemal natychmiast pożałowałam, że wypowiadałam mu się z wczorajszej awantury ze spadkiem Sabinki. Do tej pory wydawało mi się, że nie ma nic gorszego niż ton, jakim Łukasz zawołał mnie wieczorem. Teraz do kompletu dołożyłam to poważne, skupione spojrzenie szarych oczu, którym zmarszczone brwi nadawały jeszcze więcej powagi. „Niech mnie opatrność strzeże przed słowami, które za chwilę padną”, pomyślałam przerażona. Taka byłam ciekawa tych jego podejrzeń, teraz dziękuję, wcale już nie chcę!

Ale Gos miał mi coś do zakomunikowania i moje przerażone, nieme protesty nie miały tu żadnego znaczenia. Nie pozostało mi nic innego, jak przyjąć na klatę te jakieś straszliwe rewelacje, a potem wyręczyć nieudolnego mordercę, skacząc z okna lub topiąc się w parkowym

jeziorku. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że po tym, co usłyszę, happy end mi raczej nie grozi.

I rzeczywiście...

— Pani Olu, mam świadomość, że może być trudno przyjąć taką wersję...

Pięknie, już po samym wstępie zrobiło mi się niedobrze. Strach pomyśleć, co będzie dalej...

— Pani partnera niestety całkiem sporo łączyło w przeszłości z panią Sobecką. Zawodowo i prywatnie, nie wiem, które bardziej. Przykro mi to mówić, ale tak wygląda. Bardzo się zdenerwował, że mogła pani się o tym dowiedzieć. Czy nie bierze pani pod uwagę... — chrząknął. — Czy nie bierze pani pod uwagę, że to on mógł być sprawcą dzisiejszego ataku?

„O rany boskie!”, wrzasnęłam w duchu, bo takie przypuszczenia odebrały mi głos całkowicie. Wbiłam w detektywa pełen paniki wzrok i usiłowałam zrozumieć, co przed chwilą powiedział. Że... że niby co? Że to Łukasz? Że to mój własny, prywatny narzeczony usiłował kropnąć mnie dzisiaj rano? Nie, to jakiś absurd! Trzymajcie mnie, bo inaczej zaraz oszaleję!

— Idiotyzm — wybełkotałam w końcu, bo Gos nadal wbijał we mnie to swoje skupione, uważne spojrzenie. — Sorry, ale to nie ma sensu. Nie zgadzam się i koniec!

Chyba był przygotowany na gwałtowne protesty, bo przeczekał cierpliwie to, co miałam do powiedzenia o jego sposobie rozumowania. Dopiero gdy wyrzuciłam z siebie własne, sklecone naprędce przemyślenia, podjął wątek.

— OK, rozumiem. To jest hipoteza. Może prawdziwa, może nadaje się tylko do kosza. Ale trzeba ją sprawdzić.

— Co chcecie sprawdzać? — najeżyłam się jeszcze bardziej. — Już szybciej uwierzę, że byli parą! Chyba nawet już wierzę! Ale żeby mnie od razu zabijać? Po jaką cholere? Przecież Sabina i tak już nie żyje! Zresztą, błagam, kto rąbnął ją, skoro Łukasz chciał rąbnąć mnie?

Ale i to detektyw zdążył sobie już bardzo dokładnie przemyśleć.

— I tutaj mamy dwie możliwości — podjął, wywołując we mnie pierwsze symptomy ataku serca. — Pierwsza: chciał zabić zabójczynię Sobeckiej. Czyli panią.

— O, i znowu wracamy do tych bredni o moich morderczych skłonnościach! A motyw?

— Zazdrość. Sama pani przyzna, że brzmi sensownie. Mnie jednak zastanawia coś innego. Nie wiem, co dokładnie jest w tych plikach, ale możliwe, że coś, co mogłoby zaszkodzić pani partnerowi. Wiedział, że Sobecka to ma i chciał ją uciszyć. A potem obejrzała to sobie pani. Więc postanowił zrobić to samo. Szczerze? Że pani zabiła Sobecką, już powiedziałem, nie wierzę. Choć mógł wierzyć pani narzeczony. Obie wersje mają sens. Która bardziej — liczę, że któryś z noży nam to wyjaśni.

Więc noże jeszcze bohatercko opierają się dyplomatycznym podchodom śledczych?

— A kiedy, jeżeli można zapytać? — spytałam beznadziejnie, bo na nieszczęsne noże bardzo liczyłam i zaczynałam wątpić, czy na wyniki ekspertyz nie przyjdzie mi czekać do uśmiechniętego końca świata. Albo i dłużej.

Ale Gos aż takiego dramatu nie przewidywał.

— Najdalej do przyszłej środy, tak myślę.

— A potem?

— Potem? — Gos uśmiechnął się zagadkowo. — Liczę, że będę wiedział coś więcej... O, a może i nawet już — ożywił się, bo z przedpokoju dobiegł nas odgłos przekręcanej w drzwiach zamka.

W przeciwieństwie do detektywa i zwierzaków, które rażno ruszyły do przedpokoju pełnić swoje ulubione obowiązki, zastygłam z kubkiem kawy do połowy uniesionym do ust i przerażonym spojrzeniem wbitym w Gosa.

— Szlag... — jęknęłam. — I co teraz?

Detektyw przyjrzał mi się skonsternowany.

— Jak to co? Dla własnego bezpieczeństwa spakuje się pani i pojedzie na kilka dni do rodziców. Pod byle pretekstem. Ja go teraz zabieram na komendę, żeby dać pani czas. Chyba nie zostanie pani w domu z potencjalnym zabójcą?

— Ale ja w to nie wierzę! — wysyczałam przenikliwym szeptem, bo Łukasz w przedpokoju witał się z Dragonem i Behemotem. — Nie wierzę!!

Z przenikliwością mocno przesadziłam, bo ledwie wygłosiłam szeptany, jak mi się wydawało, manifest swojej niewiary w winę Łukasza, sam zainteresowany wkroczył do kuchni.

— W co nie wierzysz? A, dzień dobry. — Uśmiech na jego twarzy stężał na widok siedzącego przy kawie i ciastkach detektywa. — Przesłuchanie czy rewizja tym razem?

— Ma pan nas dosyć, rozumiem. — Detektyw ani trochę nie stropił się na okoliczność cierpkiej miny Łukasza. — No przykro mi, sprawa jeszcze trochę potrwa. Są pewne kwestie do wyjaśnienia. Z panią już rozmawiałem.

— Widzę. Przy ciastkach. — Postępujący szczękościsk Łukasza zdradzał kompletny brak zrozumienia dla humanitarnych metod przesłuchiwanie świadków. Już mniej irytowały go złośliwe insynuacje ze strony aspiranta Cichosza. Ciekawe, dlaczego? Proszę, no przecież nie o zazdrość o moją skromną osobę mogło mu chodzić! Nie w obecnej sytuacji! Poza tym, bardzo przepraszam, czym są kawa i ciastka w porównaniu z tajemniczymi kopertami i plikiem zapchanym wspólnymi zdjęciami! Kto tu kogo ma prawo bardziej podejrzewać o romans?

— Nie do końca. Na komendzie ciastek nie mamy. Ale rano miał miejsce w parku kolejny incydent. Dla bezpieczeństwa zawiozłem panią Lenczyk na komendę, potem odwiozłem do domu. A skoro już jestem, postanowiłem zaczekać na pana.

— Też dla bezpieczeństwa? — wymamrotał Łukasz, ale spuścił z tonu, bo argument opieki nad bezbronną kobietą przemówił do niego. — Ja nie potrzebuję. Ale dziękuję za opiekę nad Olą. Chryste, mówi pan, że znów coś się stało?

Z przerażeniem wbiłam wzrok w detektywa Gosa. Za nic w świecie nie chciałam, by wyszło na jaw, kto był główną bohaterką porannego dramatu. W to, że drugą kluczową rolę grał w nim Łukasz, nadal upierałam się nie wierzyć. Ale i nadal skóra mi cierpła na myśl o spotęgowanej nadopiekuńczości ze strony Łukasza, której i w codziennym, normalnym wydaniu miewałam powyżej uszu. Szczególnie teraz. Stracił ukochaną Sabinę, to trzeba ratować to, co jeszcze w rezerwie zostało! Bo to, że przydzielono mi miejsce na ławce rezerwowych i dopiero po nieoczekiwanej dyskwalifikacji zawodniczki z pierwszego składu mogę wejść do gry, wbiłam sobie do głowy na wieki wieków, amen. A ja nie z tych, niestety! Żadnego grzania ławy w oczekiwaniu na ochłapy, albo ktoś mnie kocha uczciwie i rzetelnie, albo...

No właśnie, albo co? Przekłęta babska konsekwencja! Przecież dopiero co rano doszłam do wniosku, że nie jestem gotowa jeszcze przekreślić tego związku tak do końca! Ale i nadmierna bliskość jest nie do przyjęcia na ten moment! Jak tu, do diaska, to wszystko pogodzić, nie prowokując pogorszenia sytuacji?

Ale detektyw Gos był człowiekiem myślącym, biegłym w sztuce tak dyplomacji, jak i obserwowania człowieka i wyciągania właściwych wniosków.

— Wszystkiego dowie się pan na komendzie. No przykro mi, nieoficjalnie nie mogę, bo musi być protokół z przesłuchania i wszystkie te inne procedury. Sam bym najchętniej na to machnął ręką, ale wie pan. Człowiek chce dobrze robić swoją robotę, to musi zadbać o wszystko.

Strzał w dziesiątkę. Kto jak kto, ale Łukasz taką przynętę był gotów połknąć natychmiast. Sam kochał swoją pracę wariacko i był skłonny iść na rękę każdemu, kto przejawiał podobne zaangażowanie. Po minie rozpoznałam, że wizyta na komendzie jest mu wybitnie nie po drodze, ale jest skłonny pójść na rękę sumiennemu detektywowi.

— No dobrze, skoro nie można inaczej — westchnął zrezygnowany. — Moment, odłożę laptopa do gabinetu. Pozwoli pan, że pojadę własnym autem. Nie odczuwam potrzeby bycia jakoś szczególnie chronionym...

Popatrzyliśmy w milczeniu, jak znika w drzwiach gabinetu, po czym spojrzeliśmy na siebie wymownie.

— To co, pani Olu? Szybkie pakowanie i jazda do rodziców. O ile pamiętam, daleko pani nie ma. Obstawę załatwiam i do mojego telefonu nie wraca pani tutaj. Radziłbym zabrać też psa i nie ruszać się bez niego na treningi.

— A jak ja to wytłumaczę? — załamalam rękę. — Jemu, rodzicom, psu? Nie wspominam, że Behemot się wścieknie!

— OK, rozumiem, ale ktoś z rodziny mógł nagle zachorować, prawda? Mama wymaga pomocy, cokolwiek. Nagły wypadek. A rodzice i kot zrozumieją. Niech pani głupot nie robi i pomyśli o swoim bezpieczeństwie.

Cholernie chciałam myśleć o swoim bezpieczeństwie, ale nadal nie mieściło mi się w głowie, że coś zagraża mi akurat ze strony Łukasza. Poza tą idiotyczną zdradą, rzecz jasna, i w konsekwencji ciężkim atakiem apopleksji.

— Zobaczę — rzuciłam prędko, zerkając niespokojnie ku gabinetowi. — Dam panu znać, co zdecydowałam. Ale że nie zrobię głupoty, niech pan nie liczy. Każdy panu powie, że głupoty to moja specjalność.

Niewiele więcej zdołałam ustalić z troskliwym detektywem, który już szykował się do dłuższej dyskusji na temat mojego lekceważenia dla elementarnych zasad bezpieczeństwa, bo Łukasz stanął w przedpokoju i zaczął wkładać buty.

— To co? Możemy jechać?

— Pani Olu, odrobina rozsądku — szepnął tylko Gos i normalnym już tonem wygłosił podziękowanie za współpracę oraz kawę. Coś tam jeszcze mówił o kontakcie telefonicznym, ale niewiele już do mnie docierało. Z roztargnieniem uściśnęłam mu rękę na pożegnanie i niczym w transie ruszyłam do przedpokoju zamknąć za mężczyznomi drzwi.

Po czym usiadłam na szafce na buty i zapatrzyłam się w niewielki breloczek w kształcie serduszka, przypięty do moich kluczy do mieszkania.

Czy dając mi pół roku wcześniej klucze razem z tym breloczkiem Łukasz tęsknił jeszcze za Sabiną, a mnie traktował jako eksperymentalny specyfik na złamane serce? Bardzo wątpiłam, by wtedy wiedział, że przyjdzie im się jeszcze kiedykolwiek spotkać. Ale niewypalone do końca uczucie mogło tlić się jeszcze odrobinę, paląc nieznośnie i motywując do szukania antidotum na niespełnioną miłość. I wtedy pojawiłam się ja. W dodatku razem z Dragonem, nad którym opieka od początku była szalenie absorbująca. Bardzo wygodny układ. Kobieta — nie taka znowu zupełnie obca, od lat przyjaciółka starszego brata i ulubienica państwa Nawrockich. Pies — zwariowany, z wieczną potrzebą buszowania po krzakach, kradnięcia butów, ściągania świeżego prania z suszarki, i który pozostawiony na dłużej sam, zdolny był zmienić mieszkanie w totalne pobożowisko. Ach, zapomniałabym! Była przecież w tym wszystkim jeszcze także szansa odegrania bohatera, ratującego pannę przed groźną wariatką, jaką okazała się jego własna siostra, która w akcie zemsty za wyimaginowane krzywdy z okresu dzieciństwa postanowiła zniszczyć Łukaszowi życie, zabijając jego ukochaną kobietę. Wprawdzie nie do końca z tym ratowaniem tak wyszło, jak męska ambicja by sobie życzyła, bo i ja miałam swój udział w ratowaniu Łukasza

przed rodzinną katastrofą. Ale emocje, jakie towarzyszyły nam w pierwszym okresie znajomości, miały niewątpliwie szansę przyćmić pulsujący na дне serca ból po rozstaniu i dojrzeć szansę w ułożeniu sobie życia na nowo. Ze mną. Z piesem-biesem i kotem Behemotem.

Nie miałabym nic przeciwko takiej wersji zdarzeń, gdyby nie fakt, że iskierka uczuć do Sabiny najwyraźniej nie wygasła. Co gorsza, płonęła sobie coraz raźniej, z rozmachem paląc moje prywatne szczęście i pozostawiając niewiele warte zgliszcza. I ja miałam się na coś takiego bez zastanowienia godzić? Szczególnie teraz, gdy zaistniała potrzeba ugaszenia płomienia namiętności po raz drugi, tym razem ostatecznie? Znow panna Lenczyk w roli strażaka, który pluje sobie w brodę, że raz nawalił, a dodatkowo pchają go znow w ten sam paskudny pożar, z którego wyjść bez szwanku się nie da. Czy ktoś mnie w tym wszystkim pytał o zdanie? Może ja wcale, do cholery, nie chcę?

Póki co należało jednak ruszyć cierpnący już nieco tyłek z niewygodnej na dłuższą metę szafki i przemyśleć sprawę propozycji detektywa Gosa. Że niby zwać do rodziców, bo mam w domu mordercę. Nie, doprawdy, to jakiś obłąd. Nigdzie nie zwiewam i nigdzie nie jadę. Gdzie miałabym czuć się bezpieczniej niż w tym domu? Na pewno nie u rodziców, którzy w przeciwieństwie do mnie wyznają beztruską filozofię zostawiania pod swoją nieobecność na cały dzień otwartego balkonu, a drzwi do mieszkania zamykają, jak im się akurat przypomni? A zwiewać do rodziców Łukasza z obawy przed samym Łukaszem to byłaby doprawdy gruba przesada. Sprawa zatem rozwiązała się sama. Nigdzie nie zwiewam, bo nie mam ani przed kim, ani gdzie. A poza domem pilnować ma mnie policja. I tyle, proszę państwa, w tej drażliwej kwestii.

Ruszenie tyłka opłaciło mi się na tyle, że oprzytomniałym wreszcie wzrokiem dostrzegłam zniecierpliwioną już nieco minę Dragona, który wychodził z słusznego założenia, że skoro ktoś z państwa nie poszedł do pracy, to może zamiast spędzać czas bezproduktywnie, wyszedłby z psem na porządny spacer. Że rano Łukasz piesa wyprowadził, nie miałam wątpliwości, jednak taki półgodzinny spacer techniczny nie zaspokajał zwykłej potrzeby rozprostowania łap. Czas na dłuższą rundę, może niekoniecznie biegiem, ale dwie godzinki szybszym tempem to było minimum, jakiego potrzebował Dragon, żeby wieczorem nie roznieść mieszkania na okoliczność rozpierającej go energii.

Dwie godziny w nawiedzonym przez wariata parku, westchnęłam melancholijnie. Jak słusznie domyślał się detektyw Gos, z piesem-biesem u boku nie były mi straszne żadne zakamary osiedlowych terenów zielonych. Szczególnie teraz, gdy w owych zakamarach z poświęceniem buszowały stada mundurowych i jedynym zagrożeniem było wlepienie mandatu za nieposprzątanie po swoim pupilu trawniczka. Z tym akurat problemu nie miałam. Ubrawszy piesa w uprząż, ruszyłam na spacer.

„Chyba cała wielkopolska policja została rzucona w pościg za parkowym szaleńcem”, pomyślałam, bo zwarte szeregi gliniarzy przebiły liczebnością nawet matki z dziećmi i młodzież, płaczącą się po alejkach podczas przedłużonej wersji drogi do domu po lekcjach. A może to matki z dziećmi zdezerterowały, wiedząc, że bez realnego zagrożenia nikt nie przypuszcza policyjnego desantu na spokojne dotąd, przytulne osiedle. Teraz alejkami pędziły niespokojnym krokiem niedobitki matczynych szeregów, taranując wózkami każdego nieumundurowanego przedstawiciela płci męskiej. Kto wie, na kogo ta policja poluje? I czy zapoluje akurat we właściwym momencie? Broń w postaci wózka i ciężka artyleria uzbrojona w siatki z zakupami, ewentualnie grabki, łopatk i foremki do babek z piasku, musiała wystarczyć do przekonania niewidzialnego przeciwnika, że osiedlowe szanse obronią się w razie konieczności same.

Detektyw Gos musiał być w swojej pracy naprawdę skuteczny, gdyż szybko zorientowałam się, że znakomita większość kręcących się koło bloku funkcjonariuszy otrzymała

już moje zdjęcie razem z numerem PESEL i wszystkimi innymi danymi, którymi niekoniecznie miałam ochotę się chwalić. Niektórzy zezowali ku mnie dyskretnie, inni, znani z komendy lub domowej rewizji, otwarcie kłaniali się i mówili „dzień dobry”. Nie potrzebowałam transparentu ani wielkiego napisu na czole, by wszyscy na osiedlu zorientowali się, na czyją okoliczność całe to zamieszanie. Jedyną korzyść z tego taka, że żaden bandzior w promieniu stu kilometrów nie odważy się do mnie podejść, nie mówiąc o zaczepkach czy próbach dokończenia spapranego rano morderstwa. Nic dziwnego, że jak na niedoszlą ofiarę psychopaty, spacerowałam sobie po parku na wyjątkowym luzie, zatrzymując się przy każdym upatrzonym przez Dragona krzaczkach i wykorzystując zaordynowane przez psa techniczne przerwy na rozmowy telefoniczne i wyjaśnienie odpowiednim osobom w pracy, dlaczego dziś znów awaryjnie musiałam zostać w domu i kiedy będę w stanie w normalnym trybie wrócić do obowiązków zawodowych. Szczęśliwie wtajemniczony w sprawę śledztwa i moich obowiązków jako świadka, szef nie czepiał się zawirowań wynikłych z nagłych urlopów na żądanie, przynajmniej dopóki grafik się zgadzał i nie było problemu ze znalezieniem zastępstwa na moje zajęcia. Zresztą, bądźmy uczciwi. Pracoholizm, jakim kipiałam od początku kariery zawodowej, nadal kotłował się we mnie, kategorycznie domagając się rezygnacji z urlopowego lenistwa, w wyniku czego przez ostatnie lata do czegoś takiego jak wakacje przymuszali mnie moi ówcześni partnerzy, domagając się wspólnych wyjazdów. Sama z siebie potrzebę wzięcia urlopu odczuwałam jedynie, gdy trzeba było zrobić w mieszkaniu remont. Nikt w związku z powyższym nie śmiał protestować, gdy i w moim podporządkowanym pracy życiu nastął czas wykorzystania zaległych dni wolnych.

Szczególnie jeden telefon wymagał bezwzględnego wykonania. W przeciwnym razie szlag by trafił cały misterny plan udawania, że poranny napad dotyczył zupełnie innej osoby, co skutkowałoby natychmiastową hipereksplozją opiekuńczości w wykonaniu Łukasza, której tak strasznie chciałam uniknąć.

— Jak tam Beatka? — chrząknęłam, gdy Darek odebrał telefon. — Wraca do domu?

— Niech Bóg broni — zasapał zaaferowany Daruś. Zaaferowany? I bardzo dobrze. Jest szansa, że skupiony na ukochanej małżonce odpuścił informowanie Łukasza, jak sprawy się rano miały w jego domu. Komunikacja między przybranymi braćmi była bowiem najwyższej jakości i prędkość światła miałyby duże problemy, by za nią nadążyć. Cokolwiek wiedział Darecki, Łukasz również wiedział natychmiast. Szczególnie zaś na mój temat. Odetchnęłam z ulgą, dziękując Bogu za chwilową wyprowadzkę Beatki do rodziców i komplikacje z tym związane. Wymagały od Dareczka wyjątkowego skupienia myśli, a Dareczek na niewielu rzeczach umiał się skupiać, jeżeli przekraczały liczbę równą sztuk jeden. Także tym razem.

— Beatka zostaje u mamy. Dyskutowaliśmy o tym dość długo i w tej sytuacji to najlepsze wyjście. O innych sprawach też zresztą musieliśmy, hm, podyskutować.

Efekt tych dyskusji bardzo mnie interesował.

— Ech, ja nie wiem, chyba już jej przeszło — mruknął zirytowanym tonem Darek. — Co wy baby macie, że każda inna to już Bóg wie jaka konkurencja i podrywka. Mam dziwne wrażenie, że Betty mi odpuściła tylko dlatego, że Sabina jest... no sama wiesz...

„Bardzo prawdopodobne”, zgodziłam się w duchu, jednak dyplomatycznie wybąkałam coś o ogromnej miłości, jaką moja przyjaciółka darzy swojego małżonka i która kazała jej puścić całe nieporozumienie w niepamięć. Zła byłam jeszcze na Darka, że do tego nieporozumienia w ogóle doszło i że kto jak kto, ale to ja sama najwięcej się nagimnastykowałam, by przekonać Beatkę o jego niewinności. Z drugiej jednak strony mój własny związek walił się i palił, a ja nie miałam pojęcia, jak go ratować, o ile jeszcze warto było się dla tego ratowania poświęcać. Małżeństwo Dareczka i Beatki różne zawirowania przeszło, ale nikt nigdy nie mógłby zwątpić w

łączące ich uczucie. W ich przypadku wiedziałam, że każda próba załagodzenia konfliktu jest warta wysiłków, bo każda pociągnie ich tylko w górę. Chociaż ich, jak już nie siebie samą, desperacko pragnęłam uchronić przed najgorszym.

Dareczka z reguły łatwo było podejść, a Dareczek zaaferowany bez sekundy zastanowienia udzielał wszystkich żądanych informacji, z kwotą na koncie oszczędnościowym i numerem PIN włącznie. To mi do szczęścia nie było potrzebne, a numer PIN do jego karty i tak znałam na pamięć, bo nie raz z błogosławieństwem przyjaciela zdarzało mi się z tej karty korzystać. Ja wiedzieć chciałam teraz tylko jedno. I na całe szczęście usłyszałam satysfakcjonującą odpowiedź.

— No co ty, zwariowałaś, Aleksandro — zasapał Darek w odpowiedzi na moje pytanie. — Ciebie zostawiłem pod opieką gliniarzy, tak? Oni mieli cię odstawić pod czułe skrzydła Łukasza. I jak słyszę, wywiązali się. To po jaką cholere jeszcze ja miałbym do niego wydzwaniał? Już i tak kilka ładnych godzin spędziłem, usiłując dodzwonić się do Beaty! A teraz siedzimy z jej rodzicami przy obiedzie. Nie, błagam, daruj, z bratem pokonferuję sobie kiedy indziej. Zamierzałem jeszcze wieczorem pokonferować z tobą na temat twojego samopoczucia i w ogóle po tym wszystkim...

Postanowiłam być wyjątkowo łaskawa i zwolnić Dareczka z obowiązku wydzwaniania do mnie wieczorem. Szczególnie że wieczorne rozmowy musiałabym prowadzić w sposób zawołany i najlepiej szyfrem. W taki sposób mogłam pogadać sobie z Beatą. Do Darka, zwłaszcza Darka zdenerwowanego, należało mówić wielkimi literami i najlepiej metodą komiksu. Korzystając z okazji, streściłam mu przebieg tego efektownego dnia, zapewniłam, że fizycznie czuję się świetnie, i pojutrze, zgodnie z grafiką, zamierzam wreszcie normalnie stawić się do pracy.

— Rewizję mam z głowy, przesłuchania też, nawet próba morderstwa zaliczona — zażartowała głupkowato. — Nie przewiduję innych kataklizmów. Zwierzaki odchorowały swoje w lutym i marcu. No chyba że postanowimy z Łukaszem się rozwieść — zachichotałam ostentacyjnie, bo za późno ugryzłam się w język, a jakoś ten kretyński komunikat należało obrócić w żart.

— Idiotka — burknął kurtuazyjnie Dareczek, nie doceniając mojego poczucia humoru. — Nawet tak nie żartuj. Mnie tu wystarczy, że sam omal nie dostałem w pysk pozwem rozwodowym. Ma być spokój i pojutrze normalnie chcę cię widzieć w pracy. Nowych musimy zatrudnić, sam nie chcę decydować.

Akurat co do kompetencji zawodowych Dareczka nie śmiałabym mieć żadnych zastrzeżeń, jednak przyzwyczajony do pracy w ścisłym duecie Darecki niechętnie podejmował ważne decyzje sam, szczególnie te dotyczące kadry. Sama zaś czułam, że nic nie pomoże mi lepiej na wszechogarniające mój świat i głowę wariactwo od solidnej dawki nadgodzin w klubie. Solennie obiecałam stawić się zgodnie z grafiką i zwolniłam Darka z obowiązku dzwonięcia do mnie wieczorem.

Przecignięte ponad akceptowalną dla mnie normę telefoniczne konferencje sprawiły, że kiedy wróciłam do domu, była godzina siedemnasta. Łukasz zdążył wrócić z komendy i usiłował ochłonać po dyskusji z detektywem Gosem, choć sama byłam przeświadczona, że kto jak kto, ale Gos nie stosuje wobec świadków wyrafinowanych tortur psychicznych i że rozmowy z nim przebiegają w mało stresującej atmosferze. O ile przesłuchania w sprawie popełnianych na naszym osiedlu udanych i nieudanych morderstw mogły być pozbawione pierwiastka stresu...

Tymczasem Łukasz latał po mieszkaniu z kubkiem kawy, co rusz dopadając okna i wymachując nerwowo telefonem.

— No nareszcie! — zawołał, gdy weszliśmy z Dragonem do mieszkania. — Gdzieś ty

znowu zginęła? Psychol jakiś lata po parku, a ty beztrąsko spacerki sobie urządzasz! Chryste, czy ja kiedykolwiek będę miał szansę przestać się o ciebie martwić?

Z ciężkim westchnieniem ściągnęłam buty, zastanawiając się gorączkowo, co też takiego nagadał mu Gos i skąd ta cała eksplozja nerwów o moją osobę.

— A widziałeś, ile policji za tym psycholem lata? — spytałam zrezygnowana. — Ja muszę chodzić do pracy. Na zakupy od czasu do czasu też. Dragon musi wychodzić na spacer. Wszystko to już zdążyliśmy ustalić. W tej sytuacji przykuwanie mnie do kaloryfera dla tak zwanego bezpieczeństwa chyba nie ma za bardzo sensu.

— I tu zaczynam mieć wątpliwości. Chryste, jak sobie pomyślę, że dziś rano mogło paść na ciebie...

O, czyli jednak nie na mnie padło... Całe szczęście, Gos i bez słów zdołał się zorientować, że rola ofiary jest mi wybitnie nie na rękę, przynajmniej w oczach Łukasza. I chyba dotarło do niego również, że niemożliwe, by tak troskliwy facet mógł się okazać sprawcą porannego napadu na własną narzeczoną. Łukasz wprawdzie łąć potrafił jak z nut, jednak takiej roli zaimprovizować nie zdołałby nawet on. Taka rola wymagałaby dokładnego zaplanowania i wykucia scenariusza na pamięć, a i to miałoby szansę przejść tylko pod warunkiem, że i inni zaangażowani w sprawę ludzie zachowają się w sposób idealnie odpowiadający morderczemu planowi zbrodniarza. Nie, niemożliwe. Szczególnie że obie wersje, przedstawione mi rano przez detektywa, wymagałyby raczej popełnienia zabójstw w afekcie, nie zaś skrupulatnie planowanych przez kilka miesięcy. Za szybko to wszystko się działo i choć Gos w moich oczach wyglądał na bardzo kompetentnego, wpakowanie Łukasza na listę głównych podejrzanych nie pasowało tu ani trochę.

Skoro już ustaliliśmy, że nie ma mnie rano, padło i to, że nie ja jestem ofiarą nieudolnego mordercy, mogłam pozwolić sobie na zahaczenie o temat, który dotyczył mnie zupełnie jawnie.

— Jak tak bardzo ci zależy na moim samopoczuciu, powiedz mi lepiej, o co chodzi z tą idiotyczną kopertą — zaproponowałam od niechcena, wycierając łapy psu. Miało to na celu raczej podkreślenie, że zawartość tajemniczej koperty nie absorbuje mnie aż tak bardzo, skądże znowu. Bo przecież pogoda była całkiem ładna i psie łapy nie wymagały odpracowania tańca z brązowym ręcznikiem.

Łukasz przez chwilę patrzył na mnie bez słowa, udając, że nie rozumie, o co mi chodzi.

— A, z tą kopertą... — mruknął wreszcie niechętnie, jakby dopiero teraz przypomniał sobie powód ostatnich nieporozumień. — Wiesz co, nie wiem, czy to jest teraz najważniejsze. Raczej chciałbym pogadać o twoim bezpieczeństwie.

A myślałam, że ten temat mamy już z głowy. Ale no tak, czegoś się trzeba ucześcić, żeby ominąć niewygodny temat.

— O moje bezpieczeństwo zadba ten tam tłumek niebieskich — skinęłam głową ku oknu. — I pies. Tobie zostawiam zadbanie o mój spokój ducha. Obiecałeś, że to wyjaśnimy. Chyba że znowu zamierzasz dla tak zwanego mojego dobra wyeksmitować mnie do swoich rodziców, oficjalnie na czas łapania bandziora. A mniej oficjalnie, żebym zdążyła zapomnieć o kopercie. Nic z tego, sorry.

— Akurat to nie jest wcale głupi pomysł. I tak, masz rację, nawet o tym myślałam. A o tej całej kopercie zdążyłem sam zapomnieć. Nie mam teraz głowy do zajmowania się pierdołami. Naprawdę nie sędzę, żeby mogło tam być cokolwiek ważnego.

Głośny wybuch śmiechu zagłuszył ostatnie słowa Łukasza. Pewnie i nie był to najdelikatniejszy sposób, by powiedzieć, co myślę o wmawianej mi tu trosce, ale zszargane nerwy wzięły górę. Nigdy nie byłam dobrą dyplomatką, a w tej chwili opuściły mnie nawet te mizerne resztki talentu do negocjacji.

— Błagam! Mam uwierzyć, że jeszcze tego nie otwarłeś? — prychnęłam. — Że nie zżerała cię zwykła ludzka ciekawość? Każdy normalny człowiek rzuciłby się do czegoś takiego natychmiast! Chyba że wiedziałeś, co może być w tej kopercie. I że mogę się lekko zdenerwować!

Łukasz z oszołomioną miną stał i patrzył na ten nagły atak szału, nie mając pojęcia, co z tym dalej zrobić.

— Chryste, Ola, uspokój się! — wydukał w końcu. — I puśćże tego psa, bo mu łapy powyrywasz!

Uwaga była słuszna, bo płonąć świętym gniewem przeciw męskim wiarołomcom, zapomniałam o Dragonie, który z męczeńską miną stał i pozwalał szorować sobie łapy ręczniczkiem. Wyrwanie kończyn mu nie groziło, ale starcie naskórka było już całkiem prawdopodobne.

— Przepraszam, Dragon — mruknęłam zawstydzona i puściłam nieszczęsne zwierzę. W końcu to jego pan mnie zdenerwował, pies nie miał tu nic do rzeczy. — Tak czy inaczej — z rozmachem trzepnęłam ręczniczkiem o szafkę — nie wierzę w ani jedno twoje słowo! Znowu wracamy do punktu wyjścia! Dzieje się coś niedobrego, coś, co chciałbyś ukryć, więc najlepiej Oleczkę wyeksmitować do swoich rodziców! Może sprawa przycichnie, może się wyjaśni. A może Oleczkę trafi ciężki przypadek amnezji! Bo wygląda na to niestety, że Oleczka pamięć ma lepszą od ciebie!

Z wściekłą kobietą Łukasz wojować otwarcie nigdy nie umiał. Przyparty do muru, wiedział, że dalsze kombinowanie na wiele się tu nie zda.

— Tak, dobrze, masz rację — powiedział zrezygnowany. — Otwarłem tę cholerną kopertę.

— I co?

— I nic!

— No błagam, nie wmawiaj mi, że była pusta! Nie jestem idiotką!

— Oczywiście, że nie była pusta! — Łukasz nerwowo przeciągnął dłońmi po włosach. — Chryste, no co mam ci powiedzieć?

— Ależ to bardzo proste! Co tam było! Albo najlepiej pokazać! Sam twierdziłeś, że nie było żadnego romansu! To chyba nie masz co przede mną kryć?!

— Chryste, skończ wreszcie z tymi romansami! Romansów nie było! Przyjaźniliśmy się! A zawartości koperty ci nie mogę pokazać, bo to sprawy służbowe! Pewne... pewne projekty, na których Sabinie bardzo zależało. Mógłbym to dalej pociągnąć, bo w sumie to był nasz wspólny projekt...

Stałam, wbijając w niego oskarżycielskie spojrzenie. Znałam tę metodę aż za dobrze. Powiedzieć kawałek, kawałeczek prawdy i liczyć, że będę zadowolona, bo przecież SIĘ DOWIEDZIAŁAM! Chciałam się dowiedzieć, nie? No to proszę bardzo!

— Nie wierzę — wycodziłam. — Gdyby to chodziło tylko o projekt, powiedziałbyś od razu i byłby spokój. Na pewno z tym projektem nie było żadnych czułych zdjęć? Liścików miłosnych? Takich na pamiętkę? Bo wiesz, może ona nie pogodziła się z faktem, że to miał być TYLKO służbowy projekt?

— Och, oczywiście. I te wszystkie zdjęcia, liściki, pewnie jeszcze łańcuszek na pamiętkę upchnęła w skompresowanej postaci w płaskiej kopercie. — Łukasz przewrócił oczami. — Oleczko, przykro mi, ale cię rozczaruję. Sama tę kopertę widziałaś. Mała cienka koperta. Bez zaproponowanego przez ciebie nadzienia. I nawet bez zasuszonych płatków róż. Nic na to nie poradzę.

Ach tak? Wykił się niewielką zawartością koperty i ma nadzieję, że zawstydzona własną

głupotą przeproszę i machnę na sprawę ręką? O, niedoczekanie!

Przez całe życie pokutowałam za uleganie nadmiernym emocjom w sytuacjach wymagających chłodnej kalkulacji. Wściekałam się, wrzuszałam, szalałam ze szczęścia i w konsekwencji robiłam głupoty, jakie odkręcić później było niemożliwością. Ileż razy dostałam po tyłku za kierowanie się sercem zamiast rozumem! Jakim cudem ten obity tyłek nie nauczył mnie, że czasem ugryźć się w język jest najlepszym z możliwych wyborów?

I tym razem spałałam sprawę, dokładnie w taki sposób, jakiego się obawiałam.

— Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku — syknęłam. — Korespondencję, również miłosną, załatwia się mailowo, a dowolną liczbę czułych fotografii jesteś w stanie upchnąć na nośniku typu płyta CD albo pendrive! Co ty myślisz, że jestem aż tak upośledzona informatycznie? I że nie mam świadomości, że jedno i drugie wejdzie spokojnie do małej koperty? Bo przecież nie bez powodu tak się ciskałeś o tego pendrive'a, którego sobie pożyczyłam wczoraj? To było to? No miej honor, przynaj, że to nie był żaden służbowy!

Ostatnie słowa wykrzyczałam niejako siłą rozpędu, już w trakcie żałując, że nie potrafię powstrzymać impetu własnej furii. Sięgnęłam po najgorszą, jaka tylko istniała, formę poinformowania Łukasza, że wiem o wszystkim. Błąd, błąd, potworny błąd, wrzeszczało we mnie wszystko na widok gwałtownie pobladłego Łukasza, zaciskającego posiniałe wargi i ściskającego spazmatycznie w dłoniach kubek po kawie.

— Czyli jednak — wycedził, gdy wykrzyczałam bohatersko, co myślę, po czym tchórzliwie zamilkłam i podkuliłam ogon pod siebie. — Grzebałaś w tych plikach.

— W niczym nie musiałam grzebać — mruknęłam, bo choć teraz należało przejść do ofensywy i trzymać się bronionych z takim poświęceniem własnych racji, chęć do działań bojowych właśnie cichaczem wyniosła się z mojej duszy. — Wystarczyło popatrzeć, jak się ciskasz o te pliki. Gdybyś nie zrobił takiej awantury, w życiu by mi do głowy nie przyszło cokolwiek podejrzewać. Sama bym nie wpadła, że to pendrive może być w tej cholernej, pieprzonej kopercie. Jak myślisz, o jakie dowody własnej zdrady facet może aż tak się trząść? Musiałabym być kompletną kretynką, żeby się nie domyślić. I co? Dobrze się domyśliłam?

Teraz to Łukasz prychnął nieprzyjemnym śmiechem.

— Wiesz co? Może lepiej by było, gdybyś w takim razie jednak sprawdziła zawartość tych plików. Kobieta tak inteligentna od razu zorientowałaby się, jak sprawa wygląda. A tak mamy problem. Bo myślałem, że po tym wszystkim, co nam się na głowę zważyło w zeszłym roku, umiesz wykrzesać z siebie więcej zaufania!

— Powiedział ten, co mi najbardziej ufa — burknęłam. — Jak tak bardzo wierzysz w tę moją inteligencję, to proszę bardzo. Pokaż mi te pliki. I przestań wokół wszystkiego w swoim życiu robić te kretyńskie tajemnice. Bokiem mi już to wszystko wychodzi. Ty się podobno chcesz ze mną ożenić. W małżeństwie zaufanie to jest podstawa.

— Otóż to — warknął Łukasz. — Z obu stron. Przypominam ci, że gdybyś się nie uparła w zeszłym roku odkrywać na własną rękę tych tajemnic, dowiedziałabyś się wszystkiego w swoim czasie i dużo spraw dałoby się załatwić o wiele prościej! Ale panna L., cóż, wiedziała lepiej. Teraz tak samo.

— To pokaż mi te cholerne pliki! — zjeżyłam się. Zwalanie na mnie winy za rodzinne sekrety Nawrockich było doprawdy ciosem poniżej pasa. O ile pamięć mnie nie myliła, zostałam w te sekrety wciągnięta wbrew własnej woli! Ba! Bez mojej wiedzy! Czy naprawdę aż tak dziwne było, że chciałam wiedzieć coś o mężczyźnie, zanim zdecydowałam się związać z nim swoje życie? — No, pokaż!

Ale Łukasz wbił tylko we mnie oskarżycielskie spojrzenie.

— Teraz to wybac, zaważyłaś sprawę — rzucił w końcu. — Prosiłem o zaufanie.

Tłumaczyłem, że nie mam romansu z Sabiną. Nie dało się tego tak po prostu przyjąć? I trochę poczekać? No nie dało. Bo panna L. musi wszystko zrobić po swojemu. Tak się składa, że tę sprawę chciałem załatwić dla odmiany po swojemu. W domu to chyba niewykonalne. Przepraszam, Ola. Muszę to wszystko sobie przemyśleć.

Patrzyłam osłupiała, jak szybkim ruchem wkłada buty, chwyta kurtkę i wybiega z domu. W przelocie wcisnął mi tylko do ręki kubek z niedopitą kawą i grubą warstwą fusów na dnie. Trzasnęły drzwi, klucz w zamku przekręcił się gwałtownie. Z szybkimi krokami zbiegającego po schodach Łukasza oddaliła się cała moja nadzieja na posklejanie naszego życia w sensowną całość.

* * *

„Na cholerę mi było to całe gadanie o rozwodzie”, kłęłam w duchu, biegając nerwowo po domu, na zmianę dopadając do telefonu i ciskając nim z rozmachem o łóżko. Kilka minut wcześniej wybiła dwudziesta druga, a ja nadal siedziałam w domu sama, nie licząc zwierzaków i nie wiedziałam, czy modlić się, by Łukasz wreszcie wrócił do domu, czy raczej błagać niebiosa o maksymalne odwleczenie tego powrotu w czasie. Czułam przez skórę, że powrót wcale nie musiał być jednoznaczny z buziakiem na pojednanie i końcem awantury. Prawdziwe piekło mogło się dopiero rozpętać.

Gdzie Łukasz podziewał się od czterech godzin, mogłam sobie jedynie gdybać, bo natychmiast po wyjściu był uprzejmy wyłączyć telefon. Najbardziej prawdopodobne było, że pojechał po klótni prosto do rodziców. Dzwonić jednak do nich było głupim pomysłem. Znałam Łukasza aż za dobrze, by wiedzieć, że nie zechce wtajemniczać matki ani ojca w naszą awanturę. Powody takiego stanu rzeczy były dwa. Po pierwsze Łukasz z natury był człowiekiem skrytym. Spowiadać się z tego, co mu leży na sercu, nie lubił. Miał również świadomość, że w oczach Nawrockich od lat pełniłam rolę rodzinnej maskotki. Cokolwiek się działo, ani pani Eliza, ani pan Antoni nie byli skłonni bezkrytycznie uwierzyć w moją winę. Jeżeli posunęłam się do czegoś głupiego, z pewnością miałam ku temu powód. Gdyby więc choć słóweczko wypsnęło się Łukaszowi na temat naszej klótni, natychmiast zwałyby mi się na głowę telefony, po czym pani Eliza osobiście stanęłaby w drzwiach, żeby dowiedzieć się, o co chodzi, a następnie pojednać pokłóconą parę. Jeżeli więc Łukasz pojechał do rodziców i ani słówka nie pisnął, że mamy sytuację mocno kryzysową, nie miałam ochoty sygnalizować tego sama telefonem w stylu: „Pani Elizo, Łukasz kilka godzin temu trzasnął drzwiami i nie zechciał zdradzić, gdzie się udaje. Czy wybrał się może do państwa na kawkę?”.

Wycieczkę do Darka skreśliłam z listy możliwych opcji. Dareczek przypuszczalnie nadal siedział u Beatki, co w tej sytuacji było mi bardzo na rękę. Złośliwie pomyślałam, że gdyby żyła Sabinka, nie miałabym wątpliwości, gdzie szukać Łukasza. Chociaż nie, stop. Piętro wyżej Sabinka nie stacjonowała przecież samotnie. Co jeszcze w takim razie mogło wchodzić w grę?

Za dużo wymyślić póki co nie zdołałam, bo zbliżała się jedenasta, ostatni dzwonek, by choć na chwilę wyjść z Dragonem przed nocną przerwą. Cholera, tak się martwił o moje bezpieczeństwo, a teraz proszę! Samą mnie zostawił, żebym po nocy z piesem latała po nawiedzonym przez zbrodniarza parku! Całe szczęście, park nawiedzony był nadal przez całą armię policji, która w godzinach wieczornych zwarła szyki i zwiększyła znacząco swoją liczebność. Z cichą nadzieją, że w takiej asyście i z potencjalnie groźnym piesem u boku jestem bezpieczna, wciągnęłam adidas, gwizdnęłam na Dragona i szybkim krokiem pomknęliśmy na dół.

Już pod klatką dwaj policjanci skinęli mi uprzejmię głowami.

— Pani Olu, to tak rozsądnie? — zapytał jeden, przyglądając mi się z troską. — Detektyw Gos twierdził, że pojedzie pani do rodziców. A pani nie dość, że tutaj, to jeszcze o tej godzinie lata gdzieś poza domem!

Detektyw Gos poinformował najwyraźniej wszystkich, że są tu dla ochrony rozkapryszonej diwy, którą trzeba otoczyć najtroskliwszą opieką, dopóki niebezpieczeństwo nie zostanie zażegnane. „O co temu człowiekowi chodziło”, zastanowiłam się zdumiona. „Przecież nie każdy szary obywatel jest od razu traktowany jak świadek koronny i to wypchany brylantami!”.

Zwięźle wytłumaczyłam swojej obstawie, że potrzeby fizjologiczne psa nie obejmują zagrożeń natury kryminalnej.

— Ja tylko kółeczko dookoła bloku — obiecałam. — Zamelduję się natychmiast, jak będzie po wszystkim! Panowie jeszcze tutaj pewnie będą?

— A pewnie! Tam z drugiej strony bloku też jest patrol. Niech pani krzyczy, jakby coś się działo.

Obiecałam solennie wrzeszczeć, ile sił w płucach, po czym udałam się na błyskawiczną rundkę wokół bloku, rejestrując obecność patroli nie tylko we wskazanym miejscu, ale przed każdą niemal klatką schodową. „Do bani taka robota”, pokręciłam głową, obserwując funkcjonariuszy. Ochronić to pewnie tą metodą ochronią całe osiedle i jeszcze nasze auta, ale czy uda się złapać bandziora, miałam poważne wątpliwości. Widząc taką armię policji, na miejscu każdego logicznie myślącego mordercy znalazłabym sobie inny park, bo tu, ani chybi, można wpaść na każdym kroku. „Czy oni chcą go zatem po prostu przepłoszyć”, zastanowiłam się bezradnie i postanowiłam przy najbliższej okazji podpytać o to Gosa. Nie chciało mi się wierzyć, by tak inteligentny człowiek mógł zorganizować do tego stopnia partacką obławę.

Oblecenie bloku zajęło mi ledwie kwadrans, bo i Dragon nie odczuwał potrzeby dłuższego buszowania po trawniczkach. Przemykając na klatkę schodową, zgodnie z obietnicą pomachałam do pilnujących mnie policjantów i pobiegłam na górę, gnana nadzieją, że być może Łukasz raczył się wreszcie objawić i uda się na spokojnie, po ludzku porozmawiać. Nadzieja jednak skłęsa już w chwili, gdy przekreśliwszy klucz w dolnym zamku, zorientowałam się, że i górny jest nadal zamknięty. Zatem nic z tego. Będąc w mieszkaniu, zamykaliśmy drzwi tylko na dolny zamek. Oba zamknięte informowały jednoznacznie: poza kotem nikogo nie ma w domu.

„No i trudno”, zbuntowałam się rozżalona, bo przecież kto tu był winien całej tej szopki? Ja czekać w nieskończoność nie będę. Czekają winni, żeby się tłumaczyć. Ja z moim czystym jak łąza sumieniem położę się w tej chwili do łóżka i zasnę snem sprawiedliwej, choć niesprawiedliwie potraktowanej kobiety. A wcześniej dam wyraz swemu niezadowoleniu, zamykając mieszkanie na oba zamki i pozostawiając klucz w drzwiach, i to w pozycji uniemożliwiającej otwarcie z zewnątrz.

Nadal bardzo zbuntowana pogasiłam światła, zawołałam do łóżka zwierzaki i obwieściłam złowieszczymi myślami całemu wszechświatu, że nawet jeżeli Łukasz pojawi się do rana w domu, to i tak do spania pozostanie mu tylko kanapa.

Po czym bunt we mnie jakby z lekka przygasł, bo rzucając się w łóżku w poszukiwaniu wygodnej pozycji, natrafiłam nogą na spodnie od piżamy, stanowiące własność narzeczonego. Więc jak to tak? Koniec ze spaniem w piżamach ukochanego, od których bezczelnie zaanektowałam niemal wszystkie bluzy i koszulki? Miotając się w łazience i plując ze złości na wszystkie strony pastą do zębów, nawet się nie zorientowałam, że pierwszy raz od pół roku będzie trzeba wywlec z szuflady własną nocną koszulę. Dopiero teraz, gdy tuż obok spodni wymacałam nogami górę od piżamy Łukasza, pociągnęłam nieszczęśliwa nosem. Szlag niech

trafi te wszystkie jedwabie i koronki, w których tak bardzo lubiłam kiedyś sypiać. Nigdy bym nie pomyślała, że przyjdzie noc, kiedy wzgardzę kompletowaną przez lata z takim zamięłowaniem nocną wyprawką na rzecz męskiej, spranej piżamy, w której co rusz urywały się guziki.

„A niechże diabli wezmą bycie kobietą”, warknęłam wściekła na niesforną leżkę, która wykorzystwała moment nieuwagi, by wymknąć się niepostrzeżenie spod powieki. Niech piekło pochłonie facetów, całą tę nikomu niepotrzebną miłość i prowadzące do zguby romantyczne wzruszenia!

Zerknęłam z nadzieją na swoich własnych przedstawicieli piekła, dwóch ich aż miałam pod ręką. Istniała szansa, że chociaż jeden wysłucha osobliwych inwokacji pod adresem mocy szatańskich i będzie uprzejmy zlikwidować mój problem. Ale próżne to były nadzieje. Zarówno pies-bies, jak i kot Behemot przejawiali iście piekielny brak zrozumienia dla wzywającej ich pomocy jednostki ludzkiej.

„Tylko mi nie próbujcie potem żadnych cyrografów wciskać do podpisu”, obraziłam się na piekło. Nie pozostało mi nic innego, jak skorzystać ze znanej, podobno skutecznej metody, praktykowanej przez wieki jako lek na bezsenność. Może byłaby ona skuteczna i w moim przypadku, gdyby nie fakt, że przy osiemdziesiątej czwartej owcy złapałam się na tym, że stłumiona agresja pchnęła mnie do roli wilka, który liczy niewinne owieczki, by oszacować, ile będzie w stanie zamordować za jednym zamachem. „Ze mną jest bardzo, bardzo niedobrze”, jęknęłam i odpuściłam sobie liczenie czegokolwiek.

„A tak się ciskał, że muszę mieć opiekę dwadzieścia cztery godziny na dobę”, przemknęła mi jeszcze pełna urazy myśl pod adresem Łukasza. I proszę bardzo. Zabrał się i pojechał Bóg wie gdzie z powodu cholernych plików jeszcze bardziej cholernej Sabinki! „Nie ma jak wielka miłość”, sarknęłam, wcisnęłam głowę pod poduszkę i zasnęłam.

* * *

Dziwne hałasy poderwały mnie z łóżka kilka minut przed pierwszą. Dopiero co zdołałam na dobre zasnąć, gdy nagły rumor wyrwał mnie ze snu. Choć przed pójściem spać przynajmniej sto tysięcy razy sprawdziłam, czy aby drzwi i okna mam porządnie pozamykane, paranoja na punkcie upartego mordercy, który pewnie w szale wybił pół policyjnej armii, byle dokończyć spartaczony dzieło, kazała mi natychmiast wyskoczyć z łóżka.

Nie było to łatwe, gdyż paranoja dotknęła tylko mnie. Nie dotyczyła natomiast zwierzaków, które potraktowały nocny hałas jako irytujący, lecz mało istotny przerywnik w odpoczynku. Dragon na chwilę uniósł łeb i rozejrzał się zaspianym wzrokiem. Behemot ledwie raczył ziewnąć i przewrócić się na drugi bok, anektując już w tej chwili obie poduszki.

Przez kilka sekund trwałam niezdecydowana w ciemności. Potraktować zachowanie zwierzaków jako sygnał, że nic złego się nie dzieje i wrócić do łóżka, czy też skłąć ich wyjątkową opieszałość i samotnie ruszyć na obchód mieszkania? Po chwili zdecydowałam się zerknąć choć do przedpokoju. Kto wie, może Łukasz wrócił do domu i teraz dobijał się do przybłokowanych pozycją klucza w zamku drzwi?

Idiotyzm, Łukasz dobijałby się przez cały czas, a w ostateczności zadzwoniłby do drzwi. Ewentualnie, żeby uniknąć scen na korytarzu, skorzystałby z telefonu, żeby wyciągnąć mnie z łóżka. Tymczasem coś, co wyrwało mnie ze snu, walnęło raz i umilkło. Ki lichy?

„Oblecieć mieszkanie nie zaszkodzi”, zdecydowałam, zapalając ku głębokiemu niezadowoleniu zwierząt nocną lampkę i szybkim krokiem wyszłam z sypialni. Zwierzyna śpi, więc raczej po domu nie płacze się nikt obcy o bardzo złych zamiarach, prawda? Można zupełnie bez strachu zerknąć do wszystkich pomieszczeń, bez żadnego skradania się i szukania na osłep

czegoś ciężkiego do ewentualnej obrony koniecznej? Chyba tak, jednak dla pewności, zanim weszłam do poszczególnych pokoi, ruszyłam jak burza po mieszkaniu i pozapalałam wszystkie możliwe światła. Dopiero tonąc w świetle żarówek i kompletnie ignorując zasady oszczędzania prądu, zrobiłam obchód domu.

Zupełnie bez sensu, bo nie znalazłam dokładnie nic. Nie tylko w postaci czającego się na mnie bandziora, ale również przedmiotu, który jakimś cudem mógłby zapragnąć ulec prawu grawitacji i tak bez ostrzeżenia runąć na podłogę. Wszystko stało na swoim miejscu. Klucze do mieszkania tkwiły w zamku drzwi wejściowych dokładnie tak, jak je zostawiłam. To co mnie w takim razie obudziło?

Bezmyślnie pogapiłam się jeszcze na klucze w zamku i na wszelki wypadek wyjrzałam na korytarz przez wizjer. Ciemno. Cicho. Nikt się nie kręcił, chyba że zamarł przyczajony gdzieś w kącie, inaczej bowiem reagując na ruch lampy zalałyby go jasnym blaskiem. Czy w takim razie można spokojnie iść dalej spać?

„Chyba można”, uznałam w końcu, gasząc po drodze pozapalane światła. Wepchnęłam się do łóżka pomiędzy zwierzaki i wyciągnęłam rękę ku nocnej lampce. O nie, w nosie mam oszczędzanie prądu. Tej jednej nie zgaszę, bo jeżeli coś jeszcze łupnie mi w takich totalnych ciemnościach, umrę na zawał jak się patrzy!

I całe szczęście, bo ledwie umościłam się na skrawku poduszki i rozpoczęłam batalię o wyciągnięcie spod Dragona choć kawałka kołdry, niezidentyfikowany hałas poderwał mnie na równe nogi kolejny raz! Rany boskie, ja się tak nie bawię! Co to ma być, przecież nikt mi nie łązi po chacie!

Nocna lampka może i nie wystarczyłaby do pełnego oświetlenia mojego otępiałego strachem i zmęczeniem umysłu, ale przynajmniej pozwoliła znaleźć wskazówkę. Hałas, podobnie jak ten chwilę wcześniej, zdążył umilknąć, jednak zdołałam dostrzec pierwszą, instynktowną reakcję zwierzaków. Oba jak na komendę zerknęły w kierunku, z którego dochodziły tajemnicze odgłosy.

Do góry.

Spojrzałam również i pusty śmiech mnie ogarnął. „No tak, idiotko, przecież to jasne!”. Kto powiedział, że hałasować musi u mnie? A jaką mam gwarancję, że szanowni sąsiedzi śpią snem sprawiedliwych i nie uskuteczniają żadnych ekscesów, na przykład łóżkowych, w środku nocy? Te łóżkowe to nawet usprawiedliwione, nie miałabym prawa mieć o nie pretensji, chociaż... Gdyby się zastanowić, czy to brzmiało jak łóżkowe ekscesy? Musiałyby być bardzo energiczne, żeby coś tam zwalić lub przewrócić, ale takie ekscesy generują jeszcze inne dźwięki. Chyba odpada... Ale przecież sama kilka tygodni temu przekonałam się, że środek nocy może być dla niektórych dobrą porą na remont. Może komuś piętro wyżej odbiło i lada moment radośnie uruchomi wiertarkę? Po czym ja osobiście, zdecydowanie mniej radosna, znów pofatyguję się do góry zrobić awanturę? Raz już przecież byłam tam robić awanturę, prawda? To co za problem ją powtórzyć?

„Ano jest problem, idiotko”, podszepnął zdławionym z lekka głosem rozum. Kto w mieszkaniu na górze miałby robić remonty? Rafał, który wyjechał i osobiście dał ci klucze, żebyś popilnowała kwiatków? Czy może pokutujący duch Sabinki?

Wyobraźnia zaprezentowała mi wizję chwiejącej się na drabinie zjawy, która pobrzękując z cicha łańcuchami, od czasu do czasu złośliwie waliła młotkiem w ścianę, albo upuszczała na podłogę wiadro krwistoczerwonej farby i mimowolny wrzask wyrwał mi się z gardła. Matko przenajświętsza, nie dość, że życie mi zrujnowała, to jeszcze i teraz pastwi się z uporem godnym lepszej sprawy! Ja się na takie coś nie zgadzam, ja nie chcę!

Chcieć albo nie chcieć mogłam sobie do woli, bo niezależnie od moich życzeń z góry

dobiegł kolejny hałas, tym razem bardziej przypominający szuranie. Przecież ja tu oszaleję do rana! Zwłaszcza z tymi dwoma zwierzakami, które wbrew powszechnej opinii ani należytej czujności, ani wrażliwości na zjawiska nadprzyrodzone przejawiać nie chciały! Nie mówiąc o tym, że problem dotyczy mieszkania, nad którym osobiście podjęłam się wczoraj opieki! Jak nie strach i histeria, to zeżrą mnie wyrzuty sumienia, że tam duchy harcują, a ja nic nie robię!

Nie ma siły, nie pozostaje mi nic innego, jak udać się piętro wyżej, zgarnawszy po drodze dwóch odpornych na moje wymysły policjantów, i sprawdzić, co tam się wyrabia! „Machnąć ręką na duchy, bo może to przecież zwyczajne włamanie”, pomyślałam nerwowo, narzucając dres i wciągając buty. Klucze, klucze, gdzie te klucze od Rafała? Są! Głęboki wdech i idziemy! No już, Aleksandro, weźże się w garść!

Po krótkim namyśle w garść pochwyliłam swoją torebkę. Ciężka jak zwykle, znakomicie nadawała się do zaprawienia w łeb niepożądanego jednostki, bez ryzyka uszkodzenia jej z nadmierną skutecznością. Na wszelki wypadek wyrzuciłam tylko etui z dokumentami. Jeszcze tego by brakowało, żebym je zgubiła w ferworze walki!

A potem uzbrojona w torebkę i nędzne resztki odwagi, wyprysłam na klatkę schodową.

Rozsądku starczyło mi na tyle, żeby zakluczyć porządnie mieszkanie. Po czym, nieporna na własne postanowienia, ruszyłam na górę. Dopiero na półpiętrze trzasnęłam się w głowę. Było przecież zabrać Dragona! Nie musiałabym rzucać nim w potencjalnego bandziora, pies ani chybi rzuciłby się sam! No i z definicji wyglądał groźniej niż dzierzona przeze mnie damska torebka! Szlag...

Tylko zerknę, obiecałam sobie, tylko zerknę i już nic więcej głupiego nie zrobię! Polecę po piesa i po policję! „Sprawdzą tylko, czy jest sens ich alarmować”, pomyślałam i ostrożnie wychyliłam głowę zza ściany w kierunku mieszkania Rafała. Niby nic podejrzanego, żadnych uchylonych drzwi, ale kto tam wie? Żadnych hałasów już nie słychać, tylko że stąd to trochę daleko. Podejdę do drzwi i posłucham. Bardzo cichutko i bardzo ostrożnie. Na paluszkach...

Na paluszkach zatem przemknęłam głupia ku drzwiom lokum Rafała i wstrzymawszy oddech, przytknęłam do nich ucho. Jest tam ktoś w środku? Żywy lub... niekoniecznie?

Kretyńska wyobraźnia jak zwykle zadziałała w niewłaściwym momencie. Ciche kroki wewnątrz mieszkania natychmiast zinterpretowała jako skradanie się podłej Sabinki, która pewnie lada chwila wychynie zza ściany, wylewając mi na łeb wiadro tej swojej czerwonej farby. Zanim mózg uruchomił sygnał „uciekać!” i przekazał go do niższych partii, klamka skrzywnęła, po czym drzwi delikatnie się uchyliły i z mieszkania wychynęła szczupła postać w ciemnym, obcisłym ubraniu i kominiarce.

Zamarłam w ciemnym jeszcze korytarzu, świadoma, że gdy intruz znajdzie się na zewnątrz, uruchomione automatycznie lampy oświetlą cały korytarz, a zatem także i mnie. Na ucieczkę szans nie było już żadnych. Zrobiłam najgłupszą rzecz, jaką podpowiedział mi babski instynkt. Preraźliwie, histerycznie, okropnie wrzasnęłam...

Po czym zdziwiłam się niebotycznie, bo włamywacz, który już wiedział, że ma towarzystwo, również na mój widok preraźliwie wrzasnął! Co więcej, wrzasnął kobiecym głosem! Ba, chyba nawet skądś mi znanym...

— O rany boskie — jęknęłam i desperackim gestem zdarłam z głowy wrzeszczącego bandziora płci żeńskiej kominiarkę.

Po czym stanęłam oko w oko z równie przerażoną jak ja panią Halinką...

* * *

— Szlag, co pani odbiło, żeby ładować się do tego mieszkania — wysyczałam, ciągnąc

podopieczną do mieszkania, tuż po tym, jak zrobiłam z siebie idiotkę przed sąsiadami, wciskając im bajeczkę o koleżance, która przyjechała do mnie po kłótni z mężem w środku nocy i przestraszyła się myszy na klatce schodowej. Nic innego do głowy mi nie przyszło, a coś musiałam naprędce powiedzieć zbudzonym naszymi wrzaskami lokatorom, gdy nagle pootwierały się wszystkie drzwi sąsiadujące z lokum Rafała. Historyjka musiała być wiarygodna, żeby nikomu nie przyszło do głowy skorzystać z pomocy płaczącej się w ilości mnogiej policji. Dopiero potem mogłam zająć się panią Haliną i jej kretyńskimi pomysłami.

— Pani Oleńko, przecież wiem, że to był straszny, okropny idiotyzm — jęknęła, gdy wepchnęłam ją do własnego mieszkania, zaryglowałam drzwi i opadłam na szafkę po przeżytym stresie. — Zaraz, sekundkę, wszystko pani powiem! Tylko błagam, niech pani nie wzywa policji!

— Mamy dużo szczęścia, że sami się nie wezwali — powiedziałam ponuro. — Tu jest obława, mieliśmy w parku morderstwo. Policji się płacze cała armia, jeszcze tego by brakowało, żeby jakiś sąsiad narobił krzyku! Chodźmy do kuchni, ja chyba muszę się napić wody. A potem poprawić czymś mocniejszym! W przeciwnym razie wyjazd do wariatkowa mam gwarantowany!

Nocna awantura nie wywołała większego zainteresowania zwierzaków, które przywędrowały na chwilę za nami do kuchni, błędnym krokiem podeszły do misek, po czym powróciły do łóżka. Ja zaś przystąpiłam do parzenia herbaty, słuchając, co ma do powiedzenia moja podopieczna.

— No Boże drogi, ja wiem, że to idiotyczne — tłumaczyła się gęsto pani Halinka. — No ale co? Pani wie, w ogóle, czyje to mieszkanie? Rafała!

— Tyle wiem — mruknęłam i poinformowałam ją, że znane mi są personalia sąsiada. — I co?

— I to. — Pani Halinka nabrała oddechu. — Że to jest mój były mąż! I zamieszkał tutaj z kochanką! Tą, która rozbiła nasze małżeństwo!

O! Takich rewelacji doprawdy się nie spodziewałam! Rafał, kochanka, rozwód, coś kojarzyłam z opowieści pani Halinki, sam Rafał również się przyznał, że puścił żonę kantem z powodu kochanki. Ale żeby całe to towarzystwo kotłowało mi się tyle czasu pod nosem, w życiu bym nie pomyślała! Nie mówiąc o tym, że wcale nie zdziwiło mnie, kto stał za zdemolowaniem małżeństwa mojej podopiecznej. No bo któżby inny, jak nie Sabinka? W tym jednak wypadku miałam do Sabiny najmniej pretensji. Patrząc na odmienioną po rozwodzie panią Halinkę, czułam, że jej całe to romansowanie Sabinki z cudzymi mężczyznami wyszło na dobre.

Dlaczego wobec tego postanowiła włamać się do mieszkania Rafała?

— O ile wiem, korzystnie na rozwodzie wyszła pani, nie on — zaczęłam ostrożnie, pilnując, by tym razem trafić wrzątkiem z czajnika do kubków, a nie na własne kapcie. — Sprawa rozwodowa zamknięta, co miał oddać, oddał. Błagam, nie chcę słyszeć, że toczycie wojnę podjazdową o albumy ze zdjęciami z okresu małżeństwa!

— Aż tak sentymentalną idiotką to nawet ja nie jestem — prychnęła pani Halinka, po czym bojowy nastrój nieco ją opuścił. — Ale tak w ogóle to jestem idiotką. Sentymentalną. Tu nie o pieniądze poszło ani żadne albumy... Ani nawet o dokumenty. Chciałam odzyskać pierścionek...

Dobrze, że obie herbaty zostały już zalane i stały teraz przed nami na kuchennym blacie, bo ani chybi oblałabym teraz nie tylko własne nogi, ale i całą resztę. Wytrzeszczyłam oczy na panią Halinkę, niezdolna nawet wyartykułować sensownego pytania. O jaki pierścionek mogło tu chodzić?

— Zaręczynowy? — wykrztusiłam wreszcie.

Pani Halinka parsknęła śmiechem na moją głupotę.

— Pani Oleńko, nawet gdyby brylant miał tysiąc karatów, nie chciałabym pierścionka,

który przypieczętował moje nieszczęście na tyle lat! Ale był jeszcze jeden... Taki z białego złota z szafirowym oczkiem. To był pierścionek mojej teściowej. Bardzo byłyśmy zaprzyjaźnione. Kiedy kilka lat temu zmarła na raka, zostawiła mi ten pierścionek na pamiątkę. A ten drań po rozwodzie po prostu zabrał mi go z szuflady! — wykrzyknęła z oburzeniem. — Bo niby po jego matce, to bardziej mu się należy! Pani rozumie, teściowa to była naprawdę dobra, życzliwa kobieta. Zawsze mogłam na nią liczyć. I ten pierścionek też z sympatii mi zostawiła, zamiast dać go Rafałowi! No to jak mogłam pozwolić, żeby dał go teraz tej... tej...

— Świętej pamięci żoźcie — dokończyłam z posępną satysfakcją. — Bo pewnie pani nie wie, to właśnie Sabinę ktoś zabił w tym naszym parku. Pierścionka już raczej nie dostanie...

— Pani Rafała nie zna. — Pani Halinka z goryczą machnęła ręką. — Jak on coś kocha, to nic się nie liczy. Pod warunkiem, że kocha naprawdę. A na jej punkcie oszalał zupełnie. Że Sabina nie żyje, to sama wiem doskonale. Policja omal mnie nie wsadziła, przecież miałam idealny motyw, żeby ją unieszkodliwić! I właśnie dlatego tutaj przyszłam. Przecież on by ją z tym pierścionkiem pochował! A teściowa przewracałaby się w grobie do końca świata!

Wszystko rozumiałam. Kto wie, czy dla pamiątki po pani Elizie nie dopuściłabym się podobnej głupoty... Nie zamierzałam alarmować policji i informować ich o włamaniu, chociażby po to, żeby ich nie rozpraszać. Na mordercach mieli się skupić, a nie pokrzywdzonych przez byłych mężów kobietach, które samodzielnie muszą sięgać po sprawiedliwość. Pozostało ustalić, co zrobić, by zatrzeć ślady bytności pani Halinki w mieszkaniu piętro wyżej.

— Nic. — Pani Halinka beztrząsko wzruszyła ramionami. — Miałam klucze, weszłam bez demolowania zamków. Wie pani, pożyczyłam sobie komplet syna, on przecież w domu u ojca bywa. Pierścionek też znalazłam. — Uśmiechnęła się promiennie, wyciągając ku mnie rękę, na której błyszczał delikatny pierścionek z szafirowym oczkiem, otoczonym cyrkoniami. — Coś tam przewróciłam, bo nie chciałam zapalać świateł. Ale spokojnie, pozbierałam. W razie czego będzie na syna. Dziś po szkole miał jechać do domu do ojca, bo zapomniał podręcznika do matmy. Jedyne droga za kratki wiedzie przez panią.

Kogo jak kogo, ale pani Halinki nie miałam najmniejszej ochoty wsadzać za kratki. Wypiłyśmy herbatę i wróciłyśmy na chwilę na górę. Rafał na moją przyjaźń w tej chwili nie za bardzo mógł już liczyć, ale klucze do mieszkania przyjął i zamierzałam wywiązać się ze zobowiązania. W zamieszaniu na klatce schodowej zapomniałyśmy zamknąć porządnie mieszkanie i należało to nadrobić. Wprawdzie żadna z nas prywatnie nie miałyby nic przeciwko, gdyby przez dom Rafała przeleciały całe tabuny złodziei, ale moja własna, po stokroć przeklęta solidność nie pozwalała na zaniedbanie. Miałam pilnować. No to dopilnuję, oddam klucze i bierz diabli tego pana!

Nocna awantura pomogła mi nieco oderwać się od własnych problemów i prawie zapomniałam, że w domu zamiast Łukasza towarzyszy mi pani Halinka. Wypiłyśmy jeszcze jedną herbatę i wyciągnęłyśmy z szafki kuchennej zbożowe ciasteczka.

— Dziś panią rozgrzeszam — mruknęłam, wynosząc ciastka i napoje do salonu. — Ze słodczy, włamań i kradzieży... Siebie zresztą też. I mnie Sabinka krwi ostatnio napsuła, ile wlezie. Trzeba odreagować, wszystko później da się wypocić. Zresztą to według przepisu Agnieszki upiekłam. Zdrowe kalorie.

— Chociaż kalorie — stwierdziła krytycznie pani Halinka, której trudno było się przełamać w obecności srogiej zawsze trenerki. — Ale skoro to od Agnieszki...

Tymczasem zrobiła się trzecia. Teoretycznie zarywanie nocy było dla organizmu bardziej szkodliwe niż podżeranie zbożowych ciasteczek, ale miałam obawy, by wypuścić panią Halinkę z domu w środku nocy. Policja wprawdzie na moją prośbę pewnie zapewniłaby jej obstawę i odeskortaowała bezpiecznie do domu, ale nie po to tu ich oddelegowano, by służyli snującym się

nocami ekscentrycznym damom za taksówkę. Pani Halinka chętnie przystała na moją propozycję, by przespać się na kanapie w salonie. Rano również nie było potrzeby zrywać się bladym świtem, gdyż od trzech godzin była sobota.

„A dla Łukasza zostanie wycieraczka”, pomyślałam mściwie, usiłując złośliwością zatkać usta podszeptom rozsądku i intuicji, które tym razem wyjątkowo były zgodne co do perspektyw powrotu Łukasza na noc. Że były to perspektywy zerowe. Jeżeli tak długo został u rodziców, pewnie testuje tę ich nową sofę. Ciekawe swoją drogą, czym uzasadnił potrzebę tego testowania? Tym, że robię babską piżamową imprezę? Akurat to byłoby zupełnie trafione! Chociaż mała ta impreza, doszłam do wniosku, gdy chrupiąc ciasteczka zainstalowałyśmy się na kanapie, opatulone po uszy kocami i ani odrobinę śpiące. Panią Halinkę zainteresowały pisma fitness, leżące na stoliku. Ani się obejrzałyśmy, jak buszowałyśmy w gazetach, komentując nowinki kosmetyczne i najdziwniejsze warianty diety.

Było nam tak dobrze, że dzwonek do drzwi o wpół do czwartej w pierwszej chwili umknął naszej uwadze. Nie umknął za to zwierzakom, które niemal natychmiast wychynęły z sypialni i nieco zaspanym krokiem powędrowały do przedpokoju. Komitet powitalny? Dla kogo?

„No przecież nie Łukasz”, przemknęło mi przez myśl, gdy wygramoliłam się spod koca i na boso, możliwie cichym krokiem ruszyłam do drzwi. Policja też nie, komitet zarezerwowany jest dla osób bliskich... No to naprawdę już nie wiem. Boże, chyba nie pani Eliza? Czyżby Łukasz tym razem mało skutecznie nakłamał?

Ostrożnie wyjrzałam przez wizjer i wydałam zduszony okrzyk. No oczywiście! Nocna babska impreza! Kogo tu brakowało?

— No wreszcie, myślałam, że mnie nie wpuścisz do końca świata — denerwowała się Beatka, gdy otwarłam drzwi. — No nie gap się tak na mnie, do licha! Jakbyś ducha zobaczyła czy coś!

— Bo chyba ducha bym się bardziej spodziewała — wymamrotałam, patrząc z niedowierzaniem na przyjaciółkę. — Co ty tu robisz w środku nocy?

— A niby kiedy miałam do ciebie przyjechać? — fuknęła Beatka, machinalnie odwzajemniając powitanie czekających cierpliwie zwierzaków. — Myślisz, że było mi łatwo się wyrwać? Do kaloryfera jeszcze mnie nie przykuli, ale rozważają wszczęcie mikroczypa. Teraz jak Daruś im jeszcze naopowiadał o tym psychopacie! Kogo tym razem dorwał?

Westchnęłam ciężko. Najwyraźniej relacja o porannych wydarzeniach została na potrzeby Beatki mocno ocenzurowana. No tak, całkiem logiczne. Wiedząc, że morderca celował tym razem we mnie, Beatka jak nic natychmiast wyrwałaby się spod czulej opieki rodziców i męża.

— O rany boskie! I ty nic nie dzwonicz! Nic się nie odzywasz! — padły liczne zarzuty, gdy Beatka dostała już swój kubek z herbatą, koc i została zapoznana z panią Halinką. — Wiedziałam, że coś tutaj przeraźliwie śmierdzi! Darek mi wmawiał, że nie powinnam do ciebie dzwonić, bo policja zainstalowała ci podsłuch! Że niby cię podejrzewają i żeby ci nie zaszkodzić! Boże, jaka ja jestem naiwna!

— Lepiej tak. — Machnęłam ręką. — Już byłam gotowa się obrazić, że masz mnie w nosie i wściekając się na Darka, wściekłaś się i na mnie. Sama nie dzwoniłam, bo widzisz, co tu za piekło. Nic mi w telefonie nie instalowali, ale tu napady, tu rewizje, tu ten cholerny Łukasz...

— No właśnie widzę — Beatka złowieszczo rozejrzała się po mieszkaniu. — Gdzie ten cholerny Łukasz?

„Jak babska noc, to babska noc”, pomyślałam rozżalona. Kiedy, jak nie w babską noc, wylać z siebie wreszcie żal i słuszne pretensje pod męskim adresem? Ani przed Beatą, ani przed panią Halinką nie miałam ochoty niczego kryć. Wszystkie tonęłyśmy w bagnie zdeptanych uczuć przez tę samą żołą.

Zrelacjonowałam pokrótce wybryki cholernei Sabinki i aktualnie również cholernego Łukasza, który pierwszy raz w życiu uczciwie zapracował sobie na taki przydomek. Zarówno Beatka, jak i pani Halinka omal nie udławiły się ciastkami, słysząc o bezczelności, z jaką Sabina wepchnęła się w moje życie i z jakim rozmachem, przy stosunkowo niedużym nakładzie pracy, zdołała je zdemolować.

— Nie wierzę! — prychnęła moja rozjuszona podopieczna. — A ja myślałam, że skoro odbiła mi Rafała, to się nim zapcha, wypcha i będzie spokój! A tu proszę! Remoncik nowego mieszkania i nowi kandydaci na kochanków! I to jak blisko!

— Ja tam nie jestem wcale pewna, czy ta bliskość to przypadek — westchnęłam. — Może oni to zaplanowali z Łukaszem? Chwilę wcześniej związała się z Rafałem, a potem pojawiła się szansa na odnowienie starego romansu. Może celowo namówiła Rafała na to mieszkanie?

— W przypadku tej baby nic by mnie nie zdziwiło — zawyrokowała pani Halinka. — I wiecie co? Po stokroć mi przykro, że padło na panią, ale mam satysfakcję, że długo ta wielka miłość Rafała nie zdołała przetrwać. Tak szalał! Tak chciał się drugi raz żenić! I nawet gdyby się ożenił, a ona by żyła, to kopnęłaby go w dupsko jeszcze mocniej niż on mnie! Chociaż nie, mogłaby nie zdążyć... Za to, co usłyszałam, sama bym wyręczyła zabójcę.

— To niech pani tego za głośno nie mówi. — Obejrzałam się z obawą na otwarte w ciepłą noc okna, przez które ktoś ze stróżujących w parku gliniarzy mógłby usłyszeć nasze bojowe deklaracje.

Jedna Beatka kręciła z niedowierzaniem głową, słuchając o atrakcjach, jakie zorganizował mi przy udziale Sabiny ukochany.

— Porąbało cię, Ola — zawyrokowała wreszcie zatroskana. — Ty tu takie idiotyzmy opowiadasz, jakbyś Łukasza wcale nie znała.

— No bo wychodzi, że nie znam — fuknęłam, ze złością skopując z siebie koc. Na czymś musiałam wyładować nagromadzoną złość i frustrację. — Przed chwilą sama mówiłaś, że cholerny.

— No bo cholerny, że cię z tym wszystkim tak po prostu zostawił — wytłumaczyła Beatka, patrząc z dezaprobatą na moje dosyć dziecinne odruchy. — Powinien pogadać, pokazać ci oficjalnie te pliki i się wytłumaczyć...

— No popatrz, a on oficjalnie nawet nie raczył mnie powiadomić, gdzie zamierza spędzić tę noc!

— Co nie zmienia faktu... — Beatka zgromiła mnie spojrzeniem, zatem potulnie umilkłam. — Że nie jest idiotą. Gdyby ten cały romans naprawdę istniał, zatuszowałby sprawę w jakiś inteligentny sposób. Dla świętego spokoju pokazałby ci jakiegokolwiek pliki albo kilka starych zdjęć czy czegoś tam, ty byś się chwilę powściekała, ale ponieważ Sabina nie żyje, moglibyście to wszystko zakwalifikować jako dawno i nieprawda. No sama pomyśl. A skoro aż tak się pogubił i wyłączyła mu się umiejętność kręcenia, to moim zdaniem mówił prawdę. Ten cały facet Sabiny i sama Sabina postawili go w okropnie kretyńskiej sytuacji. Ty dodatkowo ogłosiłaś totalne wotum nieufności i sama zaczęłaś w tym grzebać. Wbrew obietnicom...

— O, przepraszam! To przez przypadek! — Jawna niesprawiedliwość wydarła mi z gardła bolesny okrzyk słusznego protestu.

— Na początku, potem grzebałaś już celowo. — Beatka surowo wycelowała we mnie palcem. — Nie bronię Łukasza, bo sam sobie nagrabił! Ale na twoim miejscu przekonałabym się chociaż, czy mówił prawdę!

— Niby jak? — nadałam się.

— Przejrzyj to wszystko jeszcze raz! Dokładnie! Tak jak powiedział! A jak sama nie dasz rady, to mnie daj, ja sobie przejrzę. I bez litości powiadomię cię o rezultatach.

Co do tego nie miałam wątpliwości. W przypadku znalezienia najmniejszej poszlaki wskazującej na niewierność ukochanego, Beata wywaliłaby mi całą prawdę prosto w oczy. Dopiero potem podlała odpowiednią ilością napojów znieczulających.

Tylko czy byłam aż takim tchórzem, żeby zwalać przyjaciółce na głowę rozwiązywanie własnych kłopotów? Pomysł z dokładnym przekopaniem się przez pliki był dobry, a czy sama to zrobię, czy oddam Beacie, jeżeli znajdziemy dowody niewierności, boleć będzie i tak, i tak. Nie, to już lepiej sama. Oszczędzę sobie latania nerwowo po mieszkaniu i czekania na telefon od przyjaciółki.

— Dobra, przejrę... — zgodziłam się niechętnie. — A potem niech Bóg i policja mają w opiece Łukasza, bo ja się z morderczymi zapędami kryła nie będę.

— Tak, tak, w twoim stylu to raczej zabójstwo w afekcie. — Beata się uśmiechnęła. — Weź może się nastaw, że wcale nie będzie potrzeby mordowania. Wystarczy, że jeden tu lata i morduje. Właśnie! I to zmienia mój ogląd na sytuację! Sama Nawrockiego zamorduję! Jak on cię mógł zostawić samą po tym napadzie?

— On nie wie, że to na mnie...

— Ale to drugi napad w okolicy! Nieważne na kogo, powinien tu siedzieć, warować i nie odstępować cię na krok!

— Tak jak Dareczek i rodzice ciebie? — Uśmiechnęłam się złośliwie.

— Na przykład! — Beata kopnęła mnie w nogę i zlazła z fotela, żeby wydłubać z torebki swój telefon. — No co za palant cholerny! Naprawdę wyłączył komórkę! Olka, ty te pliki załatw! Ja sobie muszę z nim poważnie porozmawiać!

— Ale chyba nie teraz!

— Teraz to muszę się zastanowić, co powiem w domu, jak mnie nakryją na włożeniu do sypialni przez okno...

Czyli wszystkie miałyśmy coś do przemyślenia. Pani Halinka — jak zwalić na syna ewentualny bałagan w mieszkaniu byłego męża. Beata — jakich argumentów użyć w rozmowie z Łukaszem, zanim dojdzie do mordobicia. Ja — jak zmotywować się do kopania w piórunkach w celu dogrzebania się do jakichś skrawków prawdy.

Na to wszystko, plus sen, plus dyskusje na tematy okołobabskie jako antidotum na wszelkie zgryzoty, noc okazała się nieco przykrótka. Tuż przed siódmą ostatecznie zrezygnowaliśmy ze spania, mamrocząc coś o maseczkach odświeżających spojrzenie i nadających cerze różany blask w miejsce księżycowej bladeści i podkrążonych ze zmęczenia oczu. I o tym, że na szczęście jest wreszcie sobota, więc istnieje szansa na realizację wszystkich wytyczonych celów i jeszcze odespanie chociaż odrobinę.

Pomimo rozgrzeszenia za piątkowe wybryki, rozespany umysł automatycznie przerzucił kartkę w kalendarzu i uznał, że od rana w sobotę dyspensa już nie obowiązuje, zmuszając nas do pokonania lenistwa i uszykowania zdrowego śniadania.

— Ja na trening dzisiaj nie idę — jęknęła pani Halinka. — Sorry, mogę cały dzień zreć samą sałatę. Może jakiś seansik jogi w domu wieczorem. Ale nic więcej.

— Ja tam w ogóle na trening nie idę i mam to w nosie — radośnie zakomunikowała Beata. — Ja z definicji ćwiczę, kiedy mam ochotę.

— Nawet się nie przyznawaj — burknęłam, krojąc ogórki i usiłując nie okraścić ich krwią swoją serdeczną. — Pani Halinko, nie bierzemy z tej pani przykładu.

— Oj, kiedy wy się z Dareckim tak napocicie i namęczycie, że ja od samego patrzenia chudnę. — Przewróciła oczami Beata. — Ja kibicuję! I zdrowo się odżywiam! I dużo spalam w pracy! I muszę mieć siły natrzaskać Łukaszowi!

— Dobra, już dobra — mruknięłam udobruchana ostatnim argumentem. — Chociaż miało

być polubownie, a mordobicie to tak awaryjnie.

— Przemyslałam sprawę — oznajmiła Beatka. — Dobrze, że piesa nie zabrał wieczorem, bo wtedy mógłby nie przeżyć. Tylko z drugiej strony, to ty teraz musisz sama lecieć z Dragonem na spacer! O, nie ma mowy! Trudno. Będę musiała jakoś poinformować Darka, że zabiłam mu brata!

Niekoniecznie życzyłam Łukaszowi tak krwawego końca żywota, nawet pomimo faktu, że nadal się nie pokazał ani nawet nie raczył włączyć komórki, o czym powiadomiła mnie coraz bardziej oburzona Beatka. Na spacer z piesem wyjść się nie bałam. Obstawa policji, dwie przyjaciółki i pies — to było aż nadto, by zapewnić sobie bezpieczną wędrówkę przez park. Gdy uporałyśmy się już ze śniadaniem i poranną toaletą, założyłam Dragonowi uprząż i ruszyłyśmy na spacer.

— O, gliny — szepnęła Beatka, której od kilku dni na osiedlu nie było i widok armii policji nieco nią wstrząsnął. — I tu gliny... I jeszcze więcej gliniarzy... Matko Boska, to jakieś ćwiczenia? Czy postanowili tu zrobić poligon?

— Obława — zaśmiałam się gorzko i wyjaśniłam Beatce, jak doszło do tego, że na osiedlowych uliczkach jest więcej patroli niż mieszkańców. — Ale jak chcą tego faceta złapać, nie mam pojęcia. Chyba czekają, aż im wpadnie w objęcia tak przez przypadek.

— Tylko skąd będą wiedzieli, że to ten? — skrzywiła się z niesmakiem pani Halinka, której policyjne metody działania również nie przekonywały swoją skutecznością. — Chyba że będą łapać pierwszego lepszego kretyna z wadą wzroku. Każdy inny już dawno się połapał i zwiął.

— Chodźmy to powiedzieć policji — zaproponowałam zrezygnowana. Sama miałam podobne przemyślenia, ale zwyczajnie nie umiałam wprost poinformować uczynnych funkcjonariuszy, którzy z takim zaangażowaniem mnie strzegli, że uważam ich pracę za zmarnowany czas. Zmarnowany przecież nie był. Tyle kobiet mogło się poczuć bezpiecznie, wracając po zmroku do domu albo po prostu nie denerwować się, czy aby na pewno zamknęły mieszkanie lub auto. Poza tym na moją okoliczność ta cała szopka, to przecież nie wykażę się czarną niewdzięcznością i nie zaproponuję im, by wypróbowali inne metody pracy. I nie polecę ze skargą do Gosa!

Wszystkie te argumenty moje towarzyszki przyjęły z lekkim oporem.

— Ja tylko twierdzę, że sama lepiej bym łapała — mruknęła pani Halinka. — Nie wiem, niech się chociaż poprzebierają. Albo jakaś przynęta... Wiecie, taka akcja pod przykrywką...

Na przykrywkę tymczasem policjanci ochoty wcale nie mieli. Nie kryli się ze swoją obecnością, bezceremonialnie zaglądali pod każdy krzaczek i beztrudnie mówili mi „dzień dobry”. Doprawdy, dziewczyny miały rację. Już wyraźniej nie dało się zakomunikować bandziorem, że jeśli chcą kogoś napadać, to mogą się wynieść w inne rejony, bo inne rejony chronione nie są wcale. Chyba że wszyscy policjanci w mieście nagle zostali poddani klonowaniu w trybie natychmiastowym.

„Może jednak będzie trzeba pogadać z Gosem”, przemknęło mi przez myśl, gdy jeden z patroli omal nie rozbroił mi buszującego w krzaczkach i wziętego za przestępcę Dragona. Dużo byłam w stanie zrozumieć, ale czemu miałabym mordercę prowadzić po krzakach na smyczy, tego już pojąć nie mogłam.

— Dajmy im jeszcze trochę czasu. — Usiłowałam się uśmiechnąć. — Przynajmniej będę się czuła bezpiecznie, dopóki Łukasz nie wróci do domu. O ile w ogóle wróci...

— Nic mi na razie na ten temat nie wiadomo — warknęła Beatka, która niezmordowanie wykorzystywała każdy techniczny psi przystanek na próby dodzwonienia się do mojego partnera. — Ale spokojnie, też dam mu trochę czasu. A potem osobiście przywlokę!

— Jutro — zastrzegłam, bo wolałam zostawić sobie trochę czasu na zmierzenie się z zawartością plików od Sabiny.

— Może być — burknęła Beatka, jednak krwiożerczy błysk w jej oku kazał mi się poważnie zastanowić, czy dla odmiany nie oddelegować połowy policyjnej obstawy do ochrony Łukasza. I to nie przed żadnym szalonym psychopatą, latającym z nożem po krzakach, tylko przed własną, prywatną, zazwyczaj łagodną, ale tym razem rozsierdzoną do granic możliwości bratową!

Poranny spacer, pomimo sceptycznych komentarzy pod adresem stróżów prawa i ogólnego złorzeczenia płci męskiej, podładował nam nieco baterie i wzmógł wolę walki. Odprowadzając na parking panią Halinkę, umówiliśmy się na niedzielne spotkanie w klubie. Nawet Beatka, która otrząsała się ze wstrętem na samo hasło „siłownia”, dała namówić się na zajęcia power jogi, oczywiście broń Boże nie w celu poprawiania własnej kondycji ani sylwetki! Zaciągnięcie Beatki na siłownię wymagało zmotywowania jej bardziej szczytnym celem — na przykład koniecznością przetestowania umiejętności nowej kandydatki na instruktorkę. No i rzecz jasna, możliwością ukojenia skołatanych nerwów... O formę fizyczną Beatka bowiem szczególnie nie dbała, wychodząc z założenia, że na zdrowiu fizycznym odbija się przede wszystkim to psychiczne i żadne ćwiczenia ani diety nie zapewnią człowiekowi formy, kiedy jest chudnącym bez opamiętania kłębką nerwów, jak była uprzejma mnie określić.

— Zróbcie w tym swoim fitness klubie jakieś zajęcia z samoobrony dla kobiet — zasugerowała. — Kiedyś ten policyjny nalot się skończy, a czasem trzeba wyjść z domu po zmroku. Albo o świcie. Na takie zajęcia to nawet ja się zapiszę.

Pani Halinka podchwyciła z zapalem pomysł.

Po czym zapal kazał jej pójść odrobinę dalej.

— Musiałabym spytać brata o granice obrony koniecznej. Bo może to nie tylko samoobrona nam jest potrzebna? Może czasem trzeba lać po łbie, zanim cię zmuszą do samoobrony? Tak jak na przykład z panią Olą było.

— Mnie tam by samoobrona wystarczyła w zupełności — zaprotestowałam. — Poza tym co? Każdego zbliżającego się mężczyznę lać po łbie bez ostrzeżenia? Żeby miał nauczki na przyszłość, jak mu kiedyś w głowie zaświta, żeby bezbronne kobiety napadać?

— Każdego nie... — mruknęła z namysłem pani Halinka. — Cóż, kobietki kochane, dziękuję wam za tę bardzo rozrywkową noc i że nie muszę cierpieć z powodu jej konsekwencji — zerknęła na mnie porozumiewawczo. — A do tematu walenia w łeb bez ostrzeżenia to ja bym wróciła, jak policja ogłosi ewakuację tej całej armii. Z bandziorem złapanym lub bez. Chociaż, na moje oko, to raczej bez.

— Niech się nie wygłupiają — oburzyła się Beatka. — Ja kiedyś bym chciała wrócić do domu! Bez bandziorów z nożami i siekierami!

— Najlepiej w ogóle bez żadnych bandziorów — westchnęłam, wznosząc oczy ku niebu. Co mi po braku bandziorów z nożami i siekierami, jak w każdej chwili może wyskoczyć spod krzaczka taki z młotkiem? Udowodniono naukowo, że nawet gąbka przy osiągnięciu odpowiedniego poziomu desperacji może stać się narzędziem zbrodni!

— Amen. — Pani Halinka się uśmiechnęła.

Tym optymistycznym akcentem zakończyłyśmy spontaniczne piżamowe party. Pani Halinka wraz z ukochaną pamiątką po teściowej odjechała w kierunku domu. Beatkę odprowadziłam na postój taksówek i wsadziłam do jednej z nich, na wszelki wypadek spisując numery rejestracyjne i wszelkie możliwe dane, ze stanem cywilnym życzliwego taksówkarza włącznie. Na propozycję, że poda mi jeszcze nazwisko panińskiego matki i adres mailowy ojca, zreflektowałam się wreszcie, że mania prześladowcza odrobinę za mocno przesłoniła mi zdrowy

światopogląd.

— Zadzwoń, jak dotrzesz do rodziców — upomniałam jeszcze Beatkę, po czym zawróciłam w kierunku bloku.

„No to sru”, pomyślałam, wygrzebując ze skrzynki zalegającą chyba od miesiąca pocztę. Potem przypomniałam sobie o zbożowych ciasteczkach, które pochłonęłyśmy w nocy, a których zapas warto mieć pod ręką, zawróciłam więc w kierunku najbliższego sklepu w celu nabycia stosownych składników. Następnie obleciałam jeszcze parking, sprawdzić, czy aby grafitowa honda Łukasza nie pojawiła się na stałym miejscu. Stwierdziwszy ponad wszelką wątpliwość brak hondy nie tylko na zwykłym miejscu postojowym, ale i na wszystkich innych częściach parkingu, sprawdziłam jeszcze, czy zaciągnęłam ręczny we własnym aucie.

I wtedy wreszcie powlokłam się w kierunku mieszkania, dając się prowadzić Dragonowi niczym cielę wiedzione na rzeź.

Tymczasem już na parterze powolny marsz ku rzezi nabrał niepokojąco zwawego tempa, gdyż Dragon zapiszczał radośnie i rzucił się po schodach jak szalony. „Czyżby jednak Łukasz”, przemknęło mi przez myśl i dla odmiany włączyłam wsteczny. Piechotą przyleciał czy po prostu pod naszym mieszkaniem zameldował się ktoś inny, kogo pies znał i darzył ciepłymi uczuciami?

Bez względu na tożsamość osoby na piętrze, sama daleka byłam od wariackiego psiego entuzjazmu. Nieważne, czyją obecność sobie wizualizowałam, żadna wizja nie przypadła mi do gustu. Dareczek, który odkrył nocną eskapadę Beatki i lada moment będzie się pieklił, że jego misterny plan ochrony spalił na panewce. Łukasz, na którego byłam obrażona do granic możliwości i któremu najchętniej roztrzaskałabym coś ciężkiego na głowie, gdyż udzielił mi się bojowy nastrój Beatki. Detektyw Gos? O rany boskie, czyżby wreszcie znaleźli mordercę?

Teraz i ja wyrwałam do góry, mijając w szaleńczym galopie Dragona i zmuszając go do wariackiego nawet jak na piekielne standardy tempa. Niczego w tej chwili nie pragnęłam bardziej, jak usłyszeć wreszcie, że sprawca napadów na biegające samotnie kobiety sam również wbiegł w swym radosnym pędzie prosto w objęcia policji i chociaż jakaś część mojego światka zacznie się kręcić we właściwym kierunku. Przeszaną głupio podejrzewać Łukasza o morderstwa, wyjaśni się sprawa tych kretyńskich plików... Może i nawet swój ukochany nóż odzyskam, zagalopowałam się, czując, jak serce się ściska w wielkim wzruszeniu i niesiona euforią niemal przeleciałam nad ostatnimi stopniami prowadzącymi na moje piętro...

Po czym wylądowałam dość twardo i w trybie mocno awaryjnym, ściągnięta na ziemię widokiem siedzącej na schodach pani Elizy...

— Przynajmniej wiem, że Łukasz nie zapadł się pod ziemię — wymamrotałam pod nosem, usiłując choć w tym znaleźć nędzną namiastkę pociechy.

Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ciepły uśmiech na ładnej, okolonej burzą rudych, nieposkromionych włosów twarzy pani Elizy zawsze wywoływał radosne piknięcie w okolicy serca. Oto kobieta, która przed laty przyjęła mnie do swojej rodziny, choć nigdy nie byłam związana z Darkiem w żaden sposób poza przyjaźnią, w domu której zawsze czekały na mnie tylko moje kapcie i otwarte ramiona, która pomimo różnicy wieku zaprzyjaźniła się ze mną tak bardzo, że nie byłabym w stanie zliczyć sytuacji, gdy chichotałyśmy jak nastolatki lub wspierałyśmy się wzajemnie radą lub po prostu obecnością. Zżyłyśmy się przez te wszystkie lata uśmiechów i zgryzot niczym bliźniaczki, a to oznaczało jedno: nikt nie potrafił lepiej od pani Elizy namierzyć punktów kryzysowych w moim życiu. Skoro pojawiła się tu dziś rano, bajeczka o nocnej babskiej imprezie totalnie Łukaszowi nie wyszła...

„Czyli ja będę musiała coś nałgać”, pomyślałam w panice, wściekła, że i to zwałił na mnie. Ja nałgać pani Elizie! To już równie dobrze mogłabym spróbować wskrzesić Sabinkę i zmusić do odkręcenia całego tego cyrku, zanim dojdzie do sytuacji, gdy zostaną zmuszona do

przeprowadzenia tej kolejnej w ostatnich dniach, trudnej, nieprzyjemnej rozmowy...

— No, już się wystraszyłam, że tak mocno odsypiasz kaca. — Pani Eliza na mój widok podniosła się ze schodów i ucałowała mnie w oba policzki. — Jak tam impreza? Rozumiem, że tylko ludzcy faceci zostali wykluczeni z uczestnictwa? Piesa i kota nie wystawiłaś na dwór?

— Jakżebym śmiała... — wydukałam, przyglądając się czulemu powitaniu pani Elizy z Dragonem. Czyli jednak trafiłam i to aż dwa razy. Łukasz naprawdę nocował u rodziców. Pod pretekstem babskiej imprezy... — Oni też się całkiem nieźle bawili.

— No, na pewno lepiej niż ty. — Pani Eliza zawładnęła kluczami, którymi nieporadnie gmerałam w zamku, wepchnęła mnie do mieszkania i przysiadła na szafce z butami. — No, panno Olu. Co to była za impreza? Wylewanie łez w rękaw Beacie? Czy zatrudniłaś zwierzaki w charakterze psychoterapeutów?

Głęboki wdech, pełna mobilizacja i... wygląda na to, że totalna kłapa...

— Nikomu niczego nie wylewałam — już mniej przekonująco się nie dało tego powiedzieć... — Skąd w ogóle taki pomysł? Spotkałyśmy się z koleżankami i tyle. W piżamach i z ciasteczkami. Grzecznie i bezalkoholowo. Bez łez.

Pani Eliza popatrzyła na mnie przez chwilę swoimi mądrymi, brązowymi oczami, dając mi cień nadziei, że może jednak udało mi się wcisnąć jej tę kiepską bajeczkę. Po czym parsknęła śmiechem, tarmosząc mi włosy.

— Olka, mam pytanie. Dlaczego wam wszystkim się wydaje, że po tylu latach możecie robić ze mnie idiotkę? Jak już koniecznie jest taka potrzeba, zapiszcie się z chłopakami i Beatką na jakiś kurs psychologiczny i kłamcie chociaż w lepszym stylu. Bo na razie to idzie wam coraz gorzej. Brak progresu, proszę państwa. A to źle, bo z wiekiem powinniście się rozwijać. A wy nie dość, że rozwijacie się w złym kierunku, to jeszcze kompletnie nieudolnie! Nawet Antułań zorientował się wczoraj, że ta babska impreza to jeden wielki kant!

No i co ja mogłam jej na to powiedzieć? Z pewnością nic mądrego, a i nawet żaden idiotyzm nie chciał mi przejść w tej chwili przez usta. Uwolniłam Dragona ze smyczy, mając dziś wyjątkowo w nosie wycieranie łap, po czym sama przysiadłam na szafce i chlipnęłam parę razy smętnie.

— A on? Co powiedział?

Pani Eliza od razu zorientowała się, że bardziej interesują mnie zeznania wyciągnięte z Łukasza niż opinia jej męża na temat wymyślonej naprędce piżamowej imprezy dla dziewczyn.

— Ten kretyń, mój syn, jeszcze wierzy, że jest w stanie mnie okpić — prychnęła z pogardą. — Dlatego jestem tutaj. Liczę na twoją inteligencję bardziej niż na przełamanie uporu tego dzieciaka. Zrób mi kawę i mów, co się tutaj wyprawia!

O Boże drogi, jaka ulga! Tak się bałam, co będzie, jak pani Eliza zechce zabawić się w terapeutę dla par, a tu proszę. Kamień spadł mi z serca, zdolność ruchu i mowy odblokowały się niemal natychmiast i ani się obejrzałam, jak startowałam w kierunku kuchni, potykając się o kota Behemota, który z nieco spóźnionym zapłonem przytruchtał przywitać matkę Łukasza. Pani Eliza rzuciła mi pełne dezaprobaty spojrzenie, wzięła na ręce obrażonego o podeptany ogon futrzaka i usiadła przy stole. Behemot natychmiast uruchomił mruczenie w wersji pokazowej, co oznaczało, że tym razem, bardzo wyjątkowo, da się udobruchać po doznanej zniewadze.

— Kawa jest, kot jest, czekoladę masz? — Pani Eliza nie studiowała wprawdzie psychologii, zawodowym dietetykiem również nie była, jednak umiała w idealny sposób odnaleźć balans pomiędzy łakomstwem i nadmiernym folgowaniem babskiemu pożądaniu czekolady a stworzeniem nastroju sprzyjającemu wyprowadzeniu z otchłani rozpaczy.

Z niejakiem wstydem przyznałam, że wszystko słodkie zdążyłyśmy wymieść z Beatką i panią Halinką w nocy, w związku z powyższym dysponuję jedynie składnikami na dietetyczne

ciasteczka, które nabyłam przed powrotem do domu.

— Dietetyczne — jęknęła pani Eliza. — Dziewczyno, fitness, zdrowe odżywianie, wszystko rozumiem, ale sytuacja jest kryzysowa i wymaga działań specjalnych! Serotoniny w najbardziej skondensowanej dawce! I magnezu, magnez ucieka ze stresem. Masz. — Wyciągnęła z torebki sporych rozmiarów czekoladę z całymi orzechami laskowymi. — Druga dla mnie, bo sama się stresuję tymi waszymi wyglupami! A teraz proszę siadać na tyłek i mówić prawdę, samą prawdę i tylko prawdę!

Cóż było robić? Posłusznie przygotowałam dla nas napoje i skubnąwszy nieśmiało pierwszą kosteczkę czekoladowego antidotum na zło tego świata, wylałam z siebie cały żal. Opowiedziałam o awanturze zapoczątkowanej przez podrywanie Darka, Marcina i Łukasza w wykonaniu biuściastej blond sąsiadki, którą życie pokarało mnie nie wiadomo za jakie grzechy kilka tygodni temu i jak to się stało, że choć zamordowana (świeć Panie, nie będę aż taką cholera, żeby nie życzyć jej spoczywania w pokoju), nadal siała z rozmachem ferment. Jako dowód rzeczowy przyniosłam mój własny pendrive, bo oryginalny Łukasz pewnie tym razem schował skuteczniej. Wyjaśniłam dokładnie, dlaczego po osiedlu gania armia policji, pomijając milczeniem jedynie to, co i przed narzeczonym chciałam zataić — że sama stałam się celem szalonego krzaczkowego mordercy.

Pani Eliza ze zmarszczonym czołem wysłuchiwała tych rewelacji, skubiąc drugie opakowanie czekolady. Potem przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niewielki dowód rzeczowy, który trzymałam w dłoni.

— Dawaj to — zdecydowała wreszcie, dopijając kawę. — I laptopa. Bo już widzę, że się do tego zabierasz z takim entuzjazmem, jak Dragon do wycierania łap. Przejrzemy razem. Albo ja sama. Tylko uprzedzam, ja dbam o zdrowie i sylwetkę, ale i o swoją psychikę. Bierz się za te ciastka albo leć po czekoladę. Nie zamierzam się stresować, nie mając pod ręką środków uspokajających.

Krótki wypad do pobliskiego sklepiku mógł nie wystarczyć mi do odreagowania olbrzymiego wyrzutu adrenaliny, jakiego doznałam na widok pani Elizy uruchamiającej laptopa. Czym prędzej przyniosłam z sypialni zeszyt z przepisami Agnieszki i wygrzebałam z nierozpakowanej nadal siatki składniki na ciastka. „Tu się przynajmniej pobawię, poodmierzam proporcje, a potem będę miała górę garów do pozmywania”, zdecydowałam desperacko i rzuciłam się do pieczenia.

— Ale powie mi pani wszystko? Tak bez znieczulenia? — zapytałam jeszcze, wydłubując z szafki odżywkę białkową i zerkając przez ramię na ekran komputera.

— Oła, a czy ja kiedykolwiek bawiłam się w znieczulenie? — Pani Eliza parsknęła śmiechem, ale odwróciła laptopa tak, żeby maksymalnie utrudnić mi zezowanie. — Kawę jeszcze poproszę. I o psa się tym razem nie potknij!

Była to uwaga ze wszech miar słuszna, gdyż jako zwierzę towarzyszące i towarzyskie do granic możliwości, zainteresowany poruszeniem w kuchni amstaff przydreptał i zległ tuż obok stołu, wyciągając przed siebie przednie łapy.

— Sfinks się znalazł! Od kota się nauczył. — Pani Eliza pokręciła głową. — No dobra, mam. No to sru!

Sama nie bardzo mogłam się zdecydować, czy wolę bawić się w pieczenie ciasteczek i sprzątanie kuchni, czy siedzieć obok pani Elizy, obgryzając z nerwów paznokcie i czekając, co ujawnią pliki, do których nie zdążyłam się dorwać. Właściwie paznokcie mogłabym poobgryzać, i tak miałam w planach zrobienie porządku z palcami u rąk i stóp. Pomalowanych i świeżo opiłowanych nie odważyłabym się tak beztrudnie zniszczyć, ale póki co straty byłyby niewielkie... I tak z trudem hamowałam odruch nerwowego przygryzania dłoni, ilekroć tuż za

mną rozlegał się pełen dezaprobaty komentarz. Poza dezaprobatą niestety nie byłam w stanie zrozumieć nic więcej, gdyż pani Eliza oszczędnie dobierała słowa. Od czasu do czasu wychwytywałam jedynie znaczące: „No proszę”, „Hmmm”, „Co za cholera”, przy czym za skarby świata nie byłam w stanie rozszyfrować, czy mianem cholery określa Sabinkę, czy swojego młodszego syna, na którego, jak mniemam, była już bardzo, bardzo zła. Z tym większym wysiłkiem przychodziło mi skupienie na kuchennej papraninie, która na szczęście nie wymagała zbyt uważnego pilnowania porcji.

Chyba zbyt nachalnie usiłowałam siłą woli podejrzyć, co też widać na ekranie laptopa, bo pani Eliza zerknęła ku mnie niecierpliwie.

— Jak tam z tym pieczeniem? Jak się nudzisz, poproszę o jeszcze jedną kawę. Na szczęście mam niskie ciśnienie i póki co podpełzło mi zaledwie do normalnych wartości.

— Czyli rozumiem, że mnie grozi zawał? — jęknęłam, trzęsącymi się dłońmi chwytając czajnik i paprząc go przy okazji syropem klonowym. — Mieli ten cholerny romans?

— Olka, weź mi tu nie histeryzuj, jestem dopiero w połowie.

„Histeryzować to ja nawet porządnie nie zaczęłam”, przemknęło mi przez myśl, gdy jakimś cudem zdołałam postawić przed panią Elizą nową filiżankę kawy i nie zemdleć na krótkim odcinku pomiędzy kuchenką a stołem. Jeden rzut oka na minę matki Łukasza wystarczył, żebym utwierdziła się w przekonaniu, że właśnie przyszedł czas najwyższy na uruchomienie trybu prawdziwej, rzetelnej, autentycznej hysterii — takiej z rzucaniem się na podłogę, waleniem głową w ścianę, wyciem niczym syrena okrętowa i wylewaniem z siebie całego oceanu łez. Albo przynajmniej ustawienie tegoż trybu w pełnej gotowości bojowej. Niechże ja najpierw te ciastka upiekę, zezłościłam się, dokładając do wizji hysterii spaloną kuchnię i pożar mieszkania wywołane niedopilnowaniem wstawionych do piekarnika ciastek. Zdrowe, niezdrowe, sfajczyć mieszkanie mogą mi tak samo, o ile jakikolwiek pożar zdoła się utrzymać wobec rozlanego i wciąż wzbierającego łzawego oceanu. „O rany boskie, toż to mieszkanie całe zaleję, łącznie z sąsiadami”, wściekłam się jeszcze bardziej i na wszelki wypadek postanowiłam jeszcze chwileczkę z histerią się wstrzymać. Przynajmniej do chwili, gdy dostanę po łbie tą okropną informacją, że ponad wszelką wątpliwość Łukasz i Sabina mieli jednak romans.

Na tę informację jednak musiałam jeszcze chwilę zaczekać.

Wsadziłam ciasteczka do piekarnika.

Umyłam naczynia.

Z rozpędu zrobiłam pani Elizie jeszcze jedną kawę, zupełnie zapominając, że jej nawet niskie ciśnienie powoli, choć uparcie pełźnie w stronę wartości uznawanych powszechnie za zbyt wysokie.

Wyjęłam ciastka z piekarnika i poparzyłam się, wpychając kilka do buzi, zanim zdążyły ostygnąć.

I dopiero, gdy desperacko gasiłam pożar w swojej prywatnej jamie ustnej, usłyszałam ciężkie westchnienie.

— Oj, Olka, Olka... No to już wszystko jasne...

„Nareszcie!”, wrzasnęłam w duchu, zapominając o wodzie mineralnej, którą piłam chciwymi łykami, by choć odrobinę uśmierzyć ból oparzonego podniebienia. Zachłystując się emocjami i kotłującą się w blokach startowych histerią, plunęłam nieszczęsną wodą na świeżo przetartą podłogę i dopiero rzuciłam się ku pani Elizie.

— I co? — wychrypiałam, uwieszając się jej na ramieniu i na wszelki wypadek starając się nie patrzeć na ekran komputera.

— Sama sobie przeczytaj. — Pani Eliza bezlitośnie klepnęła mnie w ramię. — Najważniejsze znalazłam.

Przełamalam opór zaciskających się automatycznie powiek i wreszcie zerknęłam na monitor.

Maile? Do maili nie dotarłam, przejrzałam pobieżnie dwa pierwsze i zdenerwowałam się za bardzo, żeby czytać cokolwiek dalej. Ten datowany był na początek kwietnia.

Naprawdę? Naprawdę chcesz pogrzebać nasze szanse dla związku z tą idiotką? Nadal upierasz się, że jest dla Ciebie ważniejsza niż wszystko, co mogliśmy razem stworzyć? Chciałabym powstrzymać Cię przed tym szaleństwem, ale zbyt wiele razy już próbowałam... Bezskutecznie... Cóż, mogę z nią wygrać na maratonie, ale nie w wyścigu o Ciebie. Chyba już nie wierzę, że zmienisz zdanie, ale jeszcze trochę poczekam.

Odetchnęłam głośno, łapczywie wciągając do płuc powietrze i ulgę. W tym jednym nie mogłam odmówić Sabinie racji. Byłam idiotką. Jak mogłam stracić rozum do tego stopnia, by kiedykolwiek zwątpić w Łukasza?

— Lepiej? — mruknęła pani Eliza, popijając łyk kawy już bez obaw o swoje ciśnienie. — Dawaj te ciastka. Musimy to chyba jakoś uczcić? I zostaw trochę Łukaszowi. W domu pożarł mi wszystkie kokosanki.

Nie ma sprawy! Całą blachę! A nawet upiekę dwie kolejne! Niesione euforią serce gotowe było zmotywować mnie do wyprodukowania całej tony ciasteczek w kształcie serduszka i ułożenia z nich gigantycznego napisu: „Przepraszam, byłam idiotką!”.

Ale póki co na drodze do szafki ze składnikami stanął mi Dragon, którego zgrzyt przekręcanego w drzwiach klucza poderwał na równe łapy, zanim zdążyliśmy się obejrzeć. Tuż za piesem wystartowała ja, pozostawiając problem miasteczkowych przeprosin na później. W radosnym pędzie ruszyłam do przedpokoju, gotowa rzucić się Łukaszowi na szyję i wybaczyć mu, że zniknął bez słowa na całą noc, zostawiając mnie na pastwę morderców, a wcześniej dawał się podrywać Sabinie.

Ale radosny pęd skończył się już w progu kuchni, gdy zobaczyłam zaciśnięte usta i zmarszczone czoło narzeczonego.

— Przyjechałem z dwóch powodów — oznajmił Łukasz. — Po pierwsze przepraszam, że zostawiłem cię w domu bez opieki, choć policja od wczoraj opiekuje się całym osiedlem bardzo skutecznie. Po drugie wolę wiedzieć, co sobie tu we dwie wymyśliłyście. I zweryfikować twoje przekonanie mamó, że tu jedna tylko osoba jest biedna i pokrzywdzona.

* * *

Nie mam pojęcia, jakie rewelacje przekazał matce Łukasz podczas godzinnej dyskusji, podczas której większość czasu spędziłam na balkonie, gapiąc się bezmyślnie w przestrzeń i totalnie już mając w nosie dobro swoich paznokci. Uległam resztkom zdrowego rozsądku, nakazującym zostawić w spokoju samą płytkę paznokcia, masakrując i tak już poobdzierane i pogryzione do krwi skórki. Gdy pani Eliza wyjrzała na balkon, wrywałam właśnie najbardziej oporną, która zdążyła podpuchnąć od nieustannego szarpania zębami.

— I co? — spytałam, podrywając się na równe nogi, bo zatroskana mina pani Elizy nie wróżyła niczego dobrego. — Mam się już wyprowadzić czy coś? Czy po prostu mnie zabije i będzie święty spokój?

— Oleńka, sama nie wiem — szepnęła bezradnie pani Eliza, kładąc mi rękę na ramię. — Oboje narobiliście jakiegoś straszego bałaganu. Przykro mi, ale to już musicie sami odkręcić.

Wolałabym energiczne klepięcie w ramię i informację, że zostaniemy zmuszeni do finansowania pani Elizie dożywotniego pobytu w najbardziej ekskluzywnym ośrodku dla

nerwowo chorych. Może wtedy nie patrzyłabym z takim przerażeniem w głąb mieszkania, gdzie Łukasz zapewne wędrował nerwowym krokiem z pokoju do pokoju, popijając wodę i postanawiając nie odzywać się do mnie do końca świata. A może i nawet trzy dni dłużej.

— Nic, jadę. Oczywiście dzwoń w każdej chwili, przyjeżdżaj, nie wiem, co tam jeszcze...
— westchnęła bezradnie pani Eliza, zbierając się do wyjścia. Ze ściśniętym sercem wstałam z wiklinowego fotela i ruszyłam za nią do przedpokoju, rozglądając się z obawą. O rany boskie... Zamknięte drzwi do gabinetu wskazywały, że Łukasz skrócił swoją zwykłą trasę na kryzysowe chwile.

— Trzymaj się, Ola. I dobra rada. Na razie zostaw temat. Nie włącz tam. Trudno. Musisz chyba przetrzymać, aż sam się do ciebie odezwie.

Uściskałam panią Elizę, obiecałam wieczorem zadzwonić i zamknęłam za nią drzwi.

A potem oparłam czoło o futrynę i nasłuchiwałam, jak razem z matką Łukasza oddala się szansa na poukładanie naszego życia, żeby wyglądało ono tak, jak jeszcze dwa miesiące temu.

* * *

Łatwo było powiedzieć, że muszę przetrzymać, nie włączyć i czekać. Znacznie trudniejsze było przemykanie między kuchnią, sypialnią, łazienką i salonem, schodząc z drogi uosobieniu męskiej wzdryki, które konsekwentnie milczało, siedząc najczęściej za zamkniętymi drzwiami gabinetu i udając, że mnie nie widzi. A i w rzadkich chwilach, gdy Łukasz wyłaniał się ze swojej jaskini, niemal natychmiast wychodził z pomieszczenia, w którym akurat się pojawiłam. Był obrażony do tego stopnia, że wołał przerwać szykowanie sobie śniadania i zaczekać, aż wyjdę z kuchni, niż przez kilka minut znieść moją obecność. Bo najwyraźniej moja obecność, jeszcze niedawno tak pożądana, aktualnie wymagała tolerowania. Tolerowania z najwyższym trudem, z zaciśniętymi ze złości zębami i chmurnym wzrokiem wbitym ponuro w podłogę.

„Gorzej już chyba nie będzie”, jęknęłam, widząc, jak Łukasz wnosi do gabinetu pościel i dmuchany materac, na którym sypiał po powrocie do Polski, zanim urządził sypialnię. Gdzie i jakim cudem zdołał go upchnąć, było moim najmniejszym zmartwieniem, choć nie wyobrażałam sobie, by w niewielkim, zaadaptowanym do pracy pokoiku udało się zmieścić jeszcze ten materac w miejscu innym niż pod sufitem. Zamknięte już chyba na wieki wieków drzwi nie dawały najmniejszych szans na zweryfikowanie moich przypuszczeń.

Na diabła mi zresztą była ta weryfikacja, denerwowałam się, kładąc się wieczorami do łóżka z kotem i psem w charakterze przytulank. Dobrze, że chociaż one solidarnie trwały przy moim boku, jednak była to marna pociecha, bo foch Łukasza trwał już przeszło tydzień i nic nie wskazywało, by miał się wreszcie skończyć. I tyleż trwało milczenie ludzi, którzy odzywać się potrafili już tylko do zwierząt. Ewentualnie do innych przedstawicieli gatunku ludzkiego, którzy zatroskani milczącą wojną dzwonili lub odwiedzali to ponure, ciche pole bitwy, by choć zapoczątkować rozejm. Bezskutecznie.

Wstawałam codziennie nawet całkiem sprawnie. Chodziłam do pracy. Nie zaniedbywałam sprzątaniam, gotowania, prania, prasowania ani żadnych innych czynności domowych, które pogrążonemu w rozpacz człowieka zazwyczaj zaczynają wisieć i powiewać. Jakimś cudem nawet wyprowadzanie Dragona na spacer pomimo braku komunikacji szło nam całkiem nieźle, a i Behemot nie mógł narzekać na mało sprawną obsługę kuwety. Nawet do cholernego maratonu trenowałam, pilnując, by nigdy nie wychodzić z domu w godzinach uznawanych za mniej bezpieczne, a i w tych bezpiecznych obowiązkowo zabierałam ze sobą Dragona i męską nianię w postaci Darka albo Marcina. Odbierałam telefony.

Innymi słowy, funkcjonowałam całkiem normalnie.

I tylko coś w środku, coś bardzo ważnego gdzieś w okolicach serca, kurczyło się, usychając i krusząc się z każdym kolejnym dniem wypełnionym ciszą.

Obserwując postępujący pęd własnych uczuć ku nieuchronnej zagładzie, z roztargnieniem rejestrowałam zmiany dookoła i docierające z zewnątrz informacje. Nawet gdy park zaczął pustoszeć i coraz mniej patroli pojawiało się przed blokami, z trudem powstrzymałam wzruszenie ramion, słuchając aspiranta Cichosza, który pofatygował się powiadomić mnie, że obława nie przyniosła oczekiwanych efektów i konieczne jest obranie innego kierunku w śledztwie. Normalnie w pierwszym odruchu chwyciłabym telefon i zadzwoniła do detektywa Gosa, domagając się wyjaśnień, co, do pioruna, policja zamierza dalej uczynić. W chwili obecnej zdobyłam się na podziękowanie aspirantowi Cichoszowi za fatygę i nawet nie zdenerwowałam się na kilka kąśliwych uwag, które rzucił pod moim adresem jako podejrzaney. Dla tego człowieka nieistotne było, że sama na siebie napaść raczej nie mogłam. Ale mogłam przecież namówić kogoś, by zrobił to za mnie, zapewniając sobie skuteczne alibi, nieprawdaż?

Podejrzana czy nie, miałam gorsze zmartwienia, o czym doskonale wiedziały pani Eliza, Beatka i pani Halinka. Wiedziały i tak jak potrafiły, starały się walczyć z opadającą mnie apatią. Bezskutecznie. Wychodziłam z nimi na spacer, jeździłam na rowerze, a nawet wygospodarowałam w grafiku czas na indywidualne zajęcia ogólnorozwojowe, na które w ramach przywracania mnie światu żywych zapisała się z najwyższym poświęceniem Beatka. W rezultacie byłam kłębkim nerwów chudnącym w nieco mniejszym tempie. Ale nadal byłam. I nic nie wskazywało, by ta sytuacja miała się zmienić.

— Przydałoby się kolejne piżamowe party — zdecydowała któregoś dnia Beatka. — Cholerny Łukasz nie wyjeżdża gdzieś czasem?

— Cholerny Łukasz nie jest uprzejmy komunikować mi takich rzeczy — prychnęłam. Przydomek nadany Łukaszowi przez Beatkę przyjął się w ostatnim czasie i grono bliskich mi kobiet rzadko odmawiało sobie jego używania. Nawet pani Eliza zbulwersowana uporem syna określała go tym wdzięcznym mianem, ilekroć poruszałyśmy w rozmowach nieprzyjemne kwestie. — Ostatnio w ogóle nigdzie nie jeździł. Nie wiem, czy taki ma okres w pracy, czy na swój nietypowy sposób zapewnia mi opiekę.

— O, coś pożytecznego, innymi słowy — parsknęła Beatka. — Bo policja już odpuściła, jak widzę.

Skwitowałam postawę policji wzruszeniem ramion. Bo co innego mogłam zrobić? Krzaczkowy morderca widocznie sam bardzo rozsądnie uznał, że chwilowo nie ma szans bezkarnie hasać na naszym osiedlu, i przeniósł się w inne rejony. Albo i w ogóle zrobił przerwę techniczną. Dość, że póki co o żadnych napadach na jednostki płci żeńskiej nie było słyhać, choć dwa dni po wyniesieniu się prowizorycznego centrum dowodzenia śledczych z parku jeden z sąsiadów zgłosił kradzież bocznych lusterek w swoim mercedesie.

— Niech się cieszy, że reszta mercedesa została — burknęła Beatka, która akurat z sąsiadem miała na pieńku na polu zawodowym. Pracując w banku, co rusz użerała się z pretensjami i zażaleniami z jego strony o każdą, najdrobniejszą nawet opłatę, co przy dochodach na poziomie kilkunastu tysięcy miesięcznie uważała za sporą przesadę.

— Ja nie wiem, co ten facet jeszcze robi na tym blokowisku — denerwowała się, ilekroć przyszło jej spotkać skąpego gburę w sklepie lub podczas spacerów w parku. — Jazda mi stąd razem z mercedesami, lusterkami i złodziejami! Porządnych, normalnych, tanich aut żaden złodziej nie rozbiera na czynniki pierwsze!

Prywatnie nic do sąsiada nie miałam, ale rozumiałam rozgoryczenie przyjaciółki, dla której praca stała się ostatnio źródłem silnej frustracji. Nawet tak pogodna i opanowana jednostka miała prawo zbuntować się, jeżeli na jej barkach łądował skumulowany ciężar w postaci

niezapłaconych nadgodzin, kokietowania męża przez wysportowaną blond żonę, zagrożenia działalnością nieobliczalnego bandziora i jeszcze poważnego kryzysu w związku najbliższej przyjaciółki. Nic dziwnego, że i w zgodnej zazwyczaj, lecz praworządnej do granic możliwości duszy Beatki załęgło się pragnienie rewolucji.

— Słuchajcie dziewczyny, ja mam dosyć! — warknęła któregoś dnia, gdy spotkałyśmy się na wspólnych zajęciach z power jogi z panią Halinką. — To jest nie do pomyślenia! Wydawało mi się, że chociaż złodziei lusterek mam po swojej stronie! A tu co? Policja ledwie się ulotniła, a już czterem osobom okradli auta! I to wcale nie mercedesy! Seat tej babeczki z kwiaciarni, polonez starszego pana od królików, toyota mojej kosmetyczki... No i ten cały mercedes bubka z bloku naprzeciwko. Tylko patrzeć, jak nasz krzaczkowy świr uzna, że już jest bezpiecznie i można wracać na stare śmieci! Chyba że go jakimś cudem jednak złapali? — Zerknęła na mnie z nadzieją.

Parsknęłam ponurym śmiechem.

— Gdyby złapali, już bym wiedziała. Póki co wydzwanają do mnie co pięć minut, czy jestem bezpieczna i czy nie było żadnych incydentów. Wczoraj zaproponowałam Cichoszowi, żeby mi zamontowali mikroczipy, mniej pieniędzy i czasu stracą niż na telefony. Nie, oni chyba nawet nie wiedzą, kogo szukają. Tyle że wysoki facet.

— Z taką wiedzą nic, tylko łapać — prychnęła Beatka.

„Pluć, łapać i po tyłku się drapać”, uzupełniłam gniewnie w duchu komentarz przyjaciółki, posługując się jednym z ulubionych cytatów mojego ojca, który w ten sposób najczęściej komentował sytuację polityczną w kraju i postawę rządzących. Sama kierowałam go pod adresem detektywa Gosa — człowieka, w którym pokładałam najwięcej nadziei na przywrócenie poczucia bezpieczeństwa kobietom na naszym osiedlu. Do Cichosza, który ze swoim rozmachanym, zjadliwym sposobem bycia wprowadzał do sprawy więcej nerwowości i zamieszania niż konstruktywnych działań, pretensji nie miałam wcale, bo nie na niego liczyłam. Ale detektyw Ireneusz Gos, w którego skuteczność wierzyłam święcie od pierwszego spotkania, zawiódł mnie bardzo. I coraz częściej dawałam mu to odczuć opryskliwym tonem, ilekroć rozmawiałam z nim przez telefon.

— Ja wam mówię, kobietki, same byśmy to załatwiły lepiej. — Bojowy nastrój, który ogarniał panią Halinkę podczas treningów, nie znalazł wystarczającego ujścia podczas zajęć jogi. — Złapać gnojka. Złapać, skopać dupsko i oddać w ręce policji. Na co chcecie czekać? Aż znowu znajdziecie kogoś świętej pamięci w krzakach?

— Mam poważne obawy, że to ja znajdę — powiedziała ponuro Beatka i spojrzała na mnie znacząco — Ciebie.

— Myślisz, że jestem aż tak interesującym obiektem? Własnego narzeczonego kompletnie przestałam interesować — westchnęłam rozgoryczona, bo w obliczu klęski w życiu prywatnym działalność szalonego mordercy ulotniła się z mojej pamięci. Przez dwa tygodnie, które minęły od pamiętnego poranka, nie wydarzyło się nic, co mogłoby wskazywać na zainteresowanie moją osobą jakiegokolwiek psychopaty. Zaabsorbowana milczącym kryzysem w domu, psychopatów przestałam się obawiać zupełnie.

— Nie wygłupiaj się! — zdenerwowała się Beatka. — Kto w pierwszej kolejności interesuje morderców? Ten, kogo nie dali rady ubić za pierwszym podejściem! Zapytaj babcię Janeczkę!

Konsultacje kryminalne z babcią Janeczką nie były mi potrzebne, by dostrzec słuszność takiego rozumowania. Gdzieś w zakamarkach umysłu przemknęła myśl o potrzebie zwiększenia środków ostrożności na wypadek, gdyby kryminologiczne mądrości babci Janeczki miały znaleźć odbicie w rzeczywistości. Jednak słabnący pod wpływem stresu na tle konfliktu z Łukaszem głos

rozsądku nie miał wystarczającej siły przebicia, by solidnie przemyśleć dobór tychże środków.

— To co właściwie chcecie zrobić? — spytałam od niechcienia, przerywając Beatce i pani Halince snucie bardzo już zaawansowanych planów na zbliżający się weekend.

A potem, jak ostatnia idiotka, zgodziłam się na cały ten brawurowy, kretyński plan...

* * *

— O matko, no ileż można? — gorączkowała się Beatka, rozcierając zdrętwiałe od przykucania nogi. — Gliny wyniosły się tydzień temu, co on się taki zrobił ostrożny?

— A skąd mam wiedzieć, co ja jestem? Specjalistka od psychologii wariatów? — zniecierpliwiłam się, bo i mnie było już trochę niewygodnie. A dodatkowo kręciło mnie w nosie. Z trudem stłumiłam potężne psiknięcie i ostrożnie wystawiłam głowę z kryjówki.

Od piątej rano tkwiłyśmy w krzaczkach w feralnej alejce, w której zostałam napadnięta, uzbrojone w niewyczerpane pokłady cierpliwości, gaz pieprzowy i moje prywatne lekkie hantle. Całe to wyposażenie, wraz ze sprayem przeciw kleszczom i komarom, zgromadziłyśmy kilka dni temu, opracowując sprytny plan dopadnięcia i rozbrojenia krzaczkowego mordercy. Teraz wcielałyśmy w życie nasz błyskotliwy pomysł, z nadzieją, że chociaż jeden z gnębiących nas problemów uda się wreszcie rozwiązać.

Błyskotliwy pomysł zakładał prostotę działania i stuprocentową skuteczność. Polegał na czatowaniu w krzakach w rozmaitych odludnych miejscach parku w godzinach, delikatnie rzecz ujmując, porannych, mniej więcej pomiędzy piątą a szóstą rano. Dla zwiększenia skuteczności należałoby czatować również po zmroku, to jednak mogłoby się spotkać z gwałtownym protestem ze strony Darka, być może również Łukasza, który wprawdzie nadal okazywał mi milczącą wzdargę i ledwie tolerował moją obecność, jednak dostrzegłam, że ilekroć wychodzę z domu i wracam, zerka na zegarek. Istniały zatem przesłanki, by przypuszczać, że moje bezpieczeństwo aż tak obojętne mu nie jest i chyba tylko dlatego nie poddałam się jeszcze czarnej rozpacz i nie zaczęłam pakować walizek. Tak czy inaczej, mógłby również zaprotestować przeciw plątaniu się po parku w godzinach wieczornych i udaremnić nasz niecny plan.

Pozostało nam zatem czatować o świcie, co było całkiem sensowne, zważywszy że właśnie o świcie zostałam napadnięta. Dla ścisłości — wartę w krzaczkach miałyśmy na zmianę, trzymając się ustalonego uprzednio systemu. Dwie z nas z prowizoryczną bronią stały na czatach, trzecia symulowała poranne, samotne bieganie, dbając, by prędkością nie zniechęcić potencjalnego napastnika. W razie ataku dwie czatujące miały wyskoczyć ze swojej kryjówki, zaatakować ze stuprocentową skutecznością napadającego i obezwładnić za pomocą hantli, gazu i własnej inwencji twórczej, podpowiadającej, jak skutecznie kopać, bić, gryźć i drapać. A następnie w glorii i chwale dowlec na najbliższy posterunek i ostatecznie załatwić sprawę psychopatycznego mordercy z parku.

Byłyśmy doskonale przygotowane. Plan rozpracowałyśmy z uwagą i dokładnością godną elitarnych jednostek antyterrorystycznych. Skonsultowałyśmy nawet z bratem pani Halinki kwestię obrony własnej i postanowiłyśmy przymknąć oko na fakt, że obrona konieczna nie dopuszcza warowania w krzakach z przygotowaną uprzednio bronią. Ostatecznie jako zagrożone kobiety miałyśmy prawo nosić w torebkach gaz pieprzowy. Mnie zaś, jako instruktorce fitness, nikt nie mógł zabronić noszenia w torbie sprzętu sportowego. Zresztą, ruch na świeżym powietrzu jest bardzo wskazany, nie było zatem przesłanek, by podważać fakt, że wyszłam sobie na poranny trening wraz z karimatą oraz ciężarkami. To samo mogłam zalecić pani Halince, a

nawet Beatce, której wizyty na siłowni stawały się coraz częstsze. Nikt zatem nie zdołałby udowodnić nam celowego czajenia się i napadania. Może poza napadniętym mordercą. Ale jego opinia akurat guzik nas obchodziła.

Cóż jednak z najbardziej genialnych, dopracowanych w najdrobniejszych szczegółach planów, gdy nasza cierpliwość powoli ulegała wyczerpaniu? Codziennie markowanie biegów, tkwienie nieruchomo w kryjówkach i pełna gotowość bojowa nie przynosiły efektów, bo na horyzoncie nie był uprzejmy pojawić się nikt o morderczych zamiarach! Kilka razy przedefilowali nam przed nosem samotni panowie z pieskami i wracający chwiejnym krokiem z piątkowych baletów studenci, nazbyt pijani, by w sposób skoordynowany napadać. Raz tylko wystartowałyśmy z groźnie wzniesioną bronią na widok faceta, który wspaniałym sprintem pędził w kierunku truchtającej pani Halinki, po czym... równie wspaniałym sprintem minął ją i pognął dalej przed siebie, udowadniając nam ponad wszelką wątpliwość, że samotne kobiety o świecie guzik go interesują.

Wyglądało na to, że krzaczkowy morderca spasował.

Nic dziwnego, że ścierpięte nogi Beatki zbuntowały się po kolejnej godzinie tkwienia w niewygodnej pozycji w ciasnej kryjówce.

— Chyba należy zrobić przerwę — mruknęłam, wywołując u przyjaciółki kolejny atak zniecierpliwienia, używając antykleszczowego sprayu, którym psikałam się obficie średnio co kwadrans.

— Chyba należy ci to zabrać! — syknęła Beatka, usiłując wydłubać mi z ręki spray. — Przepłoszyłaś wszystkie owady, a teraz i mordercę tym cholerstwem! To coś odstraszy wszystko!

— Chodzi mi tylko o kleszcze! — rzuciłam się w panice wydłubać Beatce z ręki zabrany przemocą spray. Krzaczki zaszleściły niepokojąco w wyniku naszej przepychanki i gdyby gdzieś w pobliżu znajdował się nasz morderca, mogłyby go skutecznie przepłoszyć, jednak przerażona wizją oblażących mnie kleszczy, nie myślałam w tej chwili racjonalnie. — Oddawaj, tu jest pewnie pełno tego cholerstwa!

— Oszalałaś, wszystko wytrułaś samymi oparami!

— Au! — wrzasnęłam, bo łokieć Beatki boleśnie trafił mnie w kontuzjowane przed laty kolano. Odruchowo odskoczyłam w tył i wyprostowałam, niechcący wystawiając głowę ponad poziom maskującej naszą obecność roślinności. — Szlag, Beata, popatrz!

— Co? — poderwała się natychmiast Beatka, która pomimo okadzania sprayem zachowała czujność. — Co tam jest?

Bez słowa pokazałam jej wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę, który wolnym krokiem zmierzał ku nam alejką. Podszedł do jednej z ławek, wyciągnął z kieszeni papierosa i rozsiadł się wygodnie, niedbale przeglądając coś w telefonie.

— A to co? — warknęła nieufnie Beatka. — Ty widzisz? On jest ewidentnie podejrzany!

Sama byłam tego zdania. Kto o piątej nad ranem skutecznie spacerki po parku, nie posiadając czworonoga? Aż tu musiał przylecieć, żeby zapalić?

Skupiłam wzrok na mężczyźnie, który niespiesznie bawił się komórką, udając zainteresowanie czymś, co akurat przeglądał. Że udawał, nabrałam pewności, gdy raz, drugi, potem kolejny zerknął ukradkiem w prawo i w lewo, jakby szukał wzrokiem kogoś, z kim bynajmniej wcale nie był umówiony. Na kogoś umówionego czeka się przecież zupełnie jawnie, spoglądając na zegarek i rozglądając się dookoła!

— Rany boskie, to on — jęknęłam równocześnie z Beatką. — Beata, gdzie pani Halinka? Szlag! Trzeba jakoś ją ostrzec! Niech tu nie leci, mam złe przeczucia!

Beatka spojrzała na mnie przerażona.

— No ale jak? — wyszeptała niepewnie. — Jak ją odwołamy, to nie napadnie! A my jego

tym bardziej!

— A jak on ją napadnie skutecznie? Taki ciach nożem nie zajmuje dużo czasu, nie zdążymy dolecieć!

— Halinka silna, a ciebie nie ciachał! O Boże, co teraz?

Gorączkowe szepty w krzakach przerwało pojawienie się pani Halinki, która zgodnie z planem spokojnym truchtem przemierzała alejkę. Biegła prosto w kierunku faceta na ławce. Przepadło!

Wypracowany przez godziny czatowania odruch i adrenalina podjęły decyzję za nas. Chwyciliśmy czym prędzej podręczną broń i zastygliśmy, wpatrując się w napięciu w scenę na alejce.

Pięćdziesiąt metrów dzieliło panią Halinkę od ławki, na której siedział mężczyzna. Pozornie niezainteresowany biegnącą powolutku kobietą, leniwym gestem zgasił papierosa i wstał, kierując się ku najbliższej śmietniczce. Schował komórkę do kieszeni spodni. Nie uszło naszej uwadze ukradkowe zerknięcie w kierunku Halinki, która pewnym krokiem zmierzała naprzód, jakby zupełnie nie przeczuwała zagrożenia ze strony samotnie płaczącego się po parku mężczyzny.

Trzydzieści metrów — facet wyrzucił papierosa do śmietniczki, uprzednio starannie go dogaszając...

Dwadzieścia — odchylił poły kurtki, szukając czegoś w wewnętrznej kieszeni...

Dziesięć — pewnym, zdecydowanym ruchem wydobyl to coś z kieszeni, odwracając się w kierunku pani Halinki...

Nie przyglądałyśmy się tajemniczemu przedmiotowi w dłoni mężczyzny. Czymkolwiek zamierzał zaatakować panią Halinkę, to już było nieważne. Z dzikim wrzaskiem wypadliśmy z krzaków uzbrojone w spray i hantle i rzuciliśmy się w kierunku faceta!

Nie mam pojęcia, jak to się stało, że jedna z nas podcięła mu nogi wspaniałym ślizgiem, druga przygwoździła do podłoża kolanem, psikając mu w twarz całą zawartością gazu pieprzowego. Nie minął ułamek sekundy, a obezwładniony facet wił się na piasku, parszcząc i zasłaniając łzawiące oczy, podczas gdy Beata wciskała mu kolano w klatkę piersiową, a ja opierałam nogę o najbardziej wrażliwy rejon, gotowa w każdej chwili przenieść na stopę cały ciężar ciała.

— Niech pani dzwoni po policję, to on! — wrzasnęłam do pani Halinki, która stała, wytrzeszczając na nas oczy, oszołomiona bohaterską akcją.

— Nie trzeba, nie trzeba policji! — wycharczał mężczyzna, ostatkiem sił wyciągając rękę w kierunku upuszczonego podczas naszej szarży przedmiotu, po czym jęknął głucho, gdy docisnęłam stopę.

— Zamknij się! — warknęłam. — Pani Halinko, szybko! Telefon! Beata, jakby co, psikaj! A jak się skończy, bierz to drugie!

Beata wyszczerzyła groźnie zęby i podetkała facetowi gaz tuż pod nos.

— Łapy do góry, bo będę strzelać! Tfu, tego! To znaczy psikać!

— Dobrze, już dobrze, tylko spokojnie! — morderca pojął, że wobec furii trzech mścicielek jest bez szans i uniósł powoli ręce, kładąc je nad głową na ziemi. — Niech mi panie pozwolą tylko coś powiedzieć!

— Jasne, żeby nie wzywać policji! — prychnęłam. — A ty sobie będziesz dalej spokojnie napadał biegaczki! Zamknij się, psycholu! Już żadnej bezbronnej kobiety nie napadniesz!

— Co pani, zwariowała?! Nie jestem żadnym mordercą!

— O, a skąd wiesz, że o morderstwa chodzi?! Jaki zorientowany! I jeszcze mnie od wariatka wzywa! Co z tą policją, kiedy przyjadą?!

Ostatnie pytanie skierowałam do pani Halinki, która trzymała w dłoni telefon, ale nie wyglądała, jakby zamierzała gdziekolwiek dzwonić. Spłoszonym wzrokiem wpatrywała się w przedmiot, do którego próbowała dosięgnąć nasza ofiara.

— O Boże, pani Olu! — wytchnęła wreszcie, chwytając długi kij. Nie ryzykując znalezienia się w zasięgu rąk psychopaty, przysunęła patykiem do siebie płaskie, niewielkie etui na dokumenty, po czym podniosła je z ziemi. — O Boże, o Boże! Kobiетки, stop! Przestańcie, zostawcie pana! O Boże, najmocniej przepraszamy, nie chcieliśmy!

Obie z Beatką zamarłyśmy wyglupione, patrząc, jak pada na kolana obok poturbowanego przez nas faceta.

— Co? Oszalała pani? — wybąkała niepewnie Beatka.

— Ja? Wszystkie oszalałyśmy! Co nam do głowy strzeliło napadać policjanta? — jęknęła rozdzierająco pani Halinka.

No właśnie, co?

* * *

— Co paniom strzeliło do głowy napadać policjanta? — huknął detektyw Gos, gdy z własnej woli podążyłyśmy z poszkodowanym młodszym aspirantem Grzeszczykiem na komendę wypowiadać się z całej awantury.

Sam aspirant Grzeszczyk, który po krótkim przystanku w mieszkaniu pani Halinki pozwolił opatrzeć sobie zadane w starciu z nami rany, roześmiał się głośno, słysząc nasze wyjaśnienia i wcale nie był skłonny ciągnąć nas na oficjalne przesłuchania. Gorzej, bo jak się okazało, w sąsiednich krzaczkach siedział jego starszy kolega, Cichosz, i nadzorował z ukrycia całą akcję, którą, jak podkreślił jadowitym sykiem, byłyśmy uprzejmie koncertowo spaprać.

Nadzorowana przez Cichosza akcja była, jak się dowiedziałyśmy, zgrabnie zaplanowanym etapem policyjnej obławy w parku, którą zorganizował detektyw Gos. Po szumnym przetrząśnięciu każdego zakątka parku i krytykowanym przez nas rozstawieniu patroli na całym osiedlu, policjanci nadal czuwali — tyle że bardziej dyskretnie i w przebraniach. Ich celem było wzbudzenie w mordercy przekonania, że obława została zakończona i zniechęceni funkcjonariusze wycofują się na dobre.

— Przecież było jasne, że facet znów się na panią zasadzi — warknął wściekły Gos, celując palcem w moim kierunku. — Trzeba mu było dać złudne poczucie, że ma wolną rękę!

— A... Że niby taka akcja pod przykrywką — zaszemrała słabo Beatka, załamując ręce. — Jakie my kretyńki jesteśmy...

— Nic, tylko pofarbować na blond! — jadowicie wysyczał aspirant Cichosz, który brał czynny udział w uświadamianiu nam naszej głupoty.

— OK, spokojnie. — Gos uznał, że dość pastwienia się nad naszym blond intelektem. — Akcja nie jest jeszcze spalona. Nawet jeżeli morderca coś widział, to widział trzy baby, które napadły na siedzącego na ławce faceta. Wie, że jesteście agresywne, więc stanie się bardziej ostrożny. Co nie znaczy, że zrezygnuje. Wciąż mamy szansę. Pod warunkiem, że panie nie wpadną na kolejny, genialny pomysł.

Pełne potępienia spojrzenie szarych oczu Gosa znowu spoczęło na mnie.

— Szlag, nie mógł nas pan jakoś uprzedzić? Oznakować tych policjantów czy coś?

— To znaczy jak? Mam funkcjonariuszy pomalować na zielono? Przykro mi, pani Olu, ten pomysł chyba nie wypali. Gdyby nie to, że jest pani potrzebna jako przynęta, oznakowalbyśmy was wszystkie i wysłał gdzieś daleko. Przynajmniej do zakończenia akcji!

Póki co jednak kierunek wysyłki wskazywał cel trochę bliższy. Siedziałyśmy skruszone, czekając, aż aspirant Cichosz wezwie nam stosowną eskortę, która bezpiecznie odstawi nas do domów, a następnie przykuje do kaloryferów i udaremni kolejne kretyńskie eskapady. Jedynie po panią Halinkę nie miał kto przyjechać, więc na ochotnika zgłosił się coraz bardziej ubawiony poranną przygodą aspirant Grzeszczyk, który i tak zdążył zakończyć na dziś służbę.

Tymczasem ciężko doświadczony naszą inwencją twórczą detektyw Gos pokazał nam na laptopie zdjęcia funkcjonariuszy, których przydzielił nam do ochrony i którzy mieli błąkać się po osiedlu, czuwając nad nami, ilekroć będziemy poza domem.

— Normalnie w życiu by mi to do głowy nie przyszło — westchnął, podając nam również nazwiska i numery służbowe. — Ale ja nie wiem, kiedy któraś z pań uzna za stosowne w obronie własnej przejechać kogoś z naszych autem. Tak dla urozmaicenia. Już w tej chwili spodziewam się wszystkiego.

„I całkiem słusznie”, pomyślałam zgnębiona, unikając ile się dało ciskającego pioruny wzroku szarych oczu Gosa. Jak pokazało życie, głupie pomysły trzymały się jak nie jednej, to drugiej, a chyba tylko totalna izolacja zdołałaby przeszkodzić nam w ich realizacji. Pewnie w ramach tej izolacji detektyw uznał za stosowne wsadzić każdą z nas do innego auta i osobno odstawić do domu.

Najbardziej szatańskim zaś z jego pomysłów było wezwanie na komendę posiłków w postaci braci Nawrockich. Omal nie spadłam z krzesła, gdy tuż za posapującym wściekle Dareczkiem do gabinetu wkroczył posepnie Łukasz.

— Szlag — jęknęłam, bo po stokroć wołałabym przez całą drogę do domu słuchać gniewnych wyrzutów, których Darek nie szczędziłby ani swojej żonie, ani mnie. Tymczasem wyglądało na to, że Łukasz właśnie zyskał pretekst do dalszych milczących demonstracji obrazy.

Szczęśliwie Gos powiedział już, co myśli na temat naszych pomysłów i wyglądało na to, że nie zamierza informować o swoich poglądach kolejnych osób.

— Dzień dobry, panie zostały wezwane na uzupełniające przesłuchanie. Pojawiły się pewne nowe okoliczności i wymagały wyjaśnienia — powiedział, witając braci Nawrockich uściskiem dłoni. — Przepraszam za fatygę, ale ze względów bezpieczeństwa wolę, żeby nie wracały same do domu. Odwiózłbym osobiście, ale w tej chwili moja obecność na komendzie jest niezbędna.

— Żaden problem — burknął Dareczek i już po jego minie zorientowałam się, że problem jest ogromny. — Odstawimy do domu, zwiążemy, zakneblujemy. Proszę dać znać, kiedy będzie po wszystkim. Tu już nawet zwykły areszt domowy nie działa.

Aha, czyli jednak Beatce nie udało się przeforsować argumentów tłumaczących nocną wycieczkę i opuszczanie domu rodziców przez okno w późnych godzinach wieczornych. Gos mógł sobie do upojenia tłumaczyć, że nasza dzisiejsza obecność na komendzie wynika jedynie z potrzeby złożenia dodatkowych zeznań. Dość już knułyśmy, by wystawić ograniczoną cierpliwość Dareczka na próbę.

— Ja nie wiem, co wam zrobię — zasapał, pakując nas do auta na tylne siedzenia i z trudem hamując odruch obwiązania pasami niczym kaftanem bezpieczeństwa.

W nosie miałam poburkiwanie Dareczka, znacznie bardziej pociłam się na widok pleców siedzącego przede mną Łukasza, który póki co nie odezwał się ani słowem. W milczeniu przywitał się i pożegnał z funkcjonariuszami, stanowczym gestem ujął mnie pod rękę i wyprowadził z komendy. Po czym sam wsiadł do samochodu, zacisnął zęby i konsekwentnie milczał.

„Chyba nigdy tak bardzo nie groziło mi zamordowanie przez własnego narzeczonego, jak w tej chwili”, przemknęło mi przez myśl, gdy wyciągając i wykręcając pod nienaturalnym kątem

szyję usiłowałam uchwycić spojrzenie Łukasza w lusterku. W którymś momencie nawet się udało. Przez ułamek sekundy nasze oczy spotkały się pierwszy raz od prawie dwóch tygodni. Natychmiast pożałowałam, bo takiego chłodu w oczach Łukasza nie miałam potrzeby oglądać. Wyglądało na to, że przepadłam... Gdyby w tej chwili zobaczył nas Gos, bez chwili wahania aresztowałby mojego partnera pod zarzutem mało życzliwych myśli i zamiarów względem narzeczonej. Zresztą, zaraz, zaraz... Przecież nie tak dawno słyszałam, że powinnam na jakiś czas przeprowadzić się do rodziców, bo Łukasz zajmuje miejsce w ścisłej czołówce podejrzanych! I co, tak nagle śledczym się odwidziało, że tegoż właśnie podejrzanego ściągnęli, żeby mi zapewnił opiekę?

Niezbadane są wyroki Ireneusza Gosa, pomyślałam zniechęcona i dałam sobie spokój z próbami nadażenia za tokiem myśli detektywa. Tak się starałam i wyszła mi z tego piękna akcja napaści na pilnującego nas aspiranta Grzeszczyka. To już lepiej naprawdę ufarbować włosy na blond i w razie kolejnych głupich pomysłów udawać słodką idiotkę.

Na szczęście zanim w kolejnym głupim odruchu zechciałam zażądać wysadzenia pod najbliższą drogerią celem nabycia stosownej farby do włosów, Dareczek z piskiem opon wyhamował tuż pod naszą klatką schodową.

— Kurs darmowy, nie wystawię rachunku — mruknął i ledwie zdołałam wyplątać się z pasów i wysiąść, równie energicznie zawrócił z chodnika. Odkoczyłam, wyjąc ze złości, bo zamaszyste manewry Dareczka omal nie pozbawiły mnie stopy.

I, jak to było do przewidzenia, wskoczyłam prosto na stopy stojącego za mną Łukasza.

— Szlag, przepraszam! — zawołałam przerażona, rzucając się w tył, idealnie pod koła nadjeżdżającej ku parkingowi toyoty.

— Chryste, Aleksandra, co ty wyprawiasz? — syknął Łukasz, chwytając mnie za ramię i błyskawicznym szarpnięciem ratując przed zderzeniem z maską samochodu. — Jeszcze wizyta na ostrym dyżurze ci dzisiaj potrzebna do szczęścia? Ja mam naprawdę dosyć atrakcji w ostatnim czasie!

Stałam niczym wmurowana, gapiąc się na wściekłego Łukasza, który zniecierpliwionym gestem wdusił kod na domofonie i ciężkim spojrzeniem próbował zmotywować mnie do ruszenia tyłka z chodnika. Nie wierzę, nareszcie się do mnie odezwał! Wprawdzie czułości, ba! nawet uprzejmości w tym odezwaniu szukać by na próżno, ale było to o niebiosy lepsze od ponurego milczenia, jakie fundował mi przez ostatnie dwa tygodnie! Może istniała szansa, że przemówiwszy raz, zechce przemówić ponownie? Na przykład odpowiadając na moją nieśmiałą próbę nawiązania konwersacji?

Nie czekając na dalsze zachęty, pomknęłam po schodach w kierunku mieszkania. Czym prędzej wyłowiłam z kieszeni klucze, nie chcąc stracić ani sekundy, święcie przekonana, że im szybciej spróbuję przełamać milczenie, tym większe szanse, że zrobię to skutecznie. „Zwierzyna mi wybaczy”, pomyślałam, zdawkowo poklepując po łbach płaczące się w przedpokoju zwierzaki, i zajęłam strategiczną pozycję, blokując sobą przejście do gabinetu, zanim Łukasz zdążył wejść i ściągnąć buty. Przecież w łazience się przede mną nie zabarykaduje?

Nie przewidziałam tylko jednego: że zawsze pozostaje droga ewakuacyjna z powrotem na dwór. Skorzystanie z tej drogi rozważał w tej chwili Łukasz, który dopiero co odstawiwszy buty, sięgnął po nie ponownie.

— Nie, no błagam — jęknęłam. — To już wolę, żebyś mnie ochrzanił! Tylko nie wychodź!

— Bo co? — usłyszałam ponure burknięcie i siła do walki o choć krótką rozmowę ewakuowała się tylnym wyjściem.

— Bo chcę cię przeprosić — wydukałam nerwowo. — Ktoś musi zacząć, niech będzie, że

ja! Tak, spartoliłam sprawę, ale ten pendrive to był naprawdę przypadek! A potem dobra, masz rację! Wykazałam się brakiem zaufania! Tylko po jaką cholere tak kręciłeś z tym wszystkim? Mogłeś ze mną normalnie pogadać i byłby święty spokój! Jakbyś mi te maile paluchem pokazał od razu, byłoby dawno po sprawie!

— O, ciekawostka — zakpił Łukasz. — Myślałem, że damska ciekawość nie wymaga pokazywania paluchem, bo sama dokopie się do wszystkiego! Albo i nawet głębiej! Jak już zaczęłaś tam grzebać, trzeba było grzebać konsekwentnie do końca.

— Akurat te zdjęcia bardzo zachęcały do dalszego grzebania! — prychnęłam. — Może akurat mnie wystarczył widok Sabinki uwieszanej na twojej szyi? Dalszych intymności uwiecznionych na zdjęciach nie chciałam oglądać, wiesz, że jestem nerwowa! Zresztą bierz diabli! Z tobą, legalnie, przeżyłabym jakoś i to! Wiesz jak to jest patrzeć na ukochaną osobę w cudzych objęciach? Nie wspomnę, że te cudze objęcia robiły wszystko, żeby znów cię pochwycić!

— A ja jestem pierwszy, żeby w te objęcia lecieć! Mieszkamy razem, dziewczyno, ślub planujemy, to chyba cudze objęcia mi niepotrzebne? Chryste, Aleksandra, gdzie tu logika?

— W czarnej dziurze! — wrzasnęłam. — Skoro mnie tak kochasz, to logika nakazuje raczej od nachalnych dziwek się oganiać! A nie wynosić im śmieci, naprawiać samochody i trzymać w tajemnicy jakieś wspólne stare fotki! Wiesz, co bym zrobiła na twoim miejscu? Od razu bym to cholerstwo wywaliła! Bez oglądania!

Chyba i w mojej logice tkwiło coś przekonującego, bo Łukasz na chwilę zamilkł. Patrzyłam, jak podejmuje wędrówkę swoją stałą trasą, którą przemierzał w chwilach wyjątkowego zdenerwowania, oddychając ciężko i przeczesując co rusz nerwowym gestem włosy. Bieganie za nim było bez sensu. Nauczyłam się już, że lepiej pozostać na miejscu i zaczekać, aż wróci do punktu wyjścia.

I rzeczywiście.

— Tylko wiesz co, Ola? — usłyszałam, gdy pojawił się znów w przedpokoju. — Dwie sprawy. Sabinę lubiłem. Został mi gdzieś tam sentyment do niej z czasów, gdy razem pracowaliśmy. Nie umiałem jej wywalić prosto w twarz, że ma się odczepić. Dużo dla mnie zrobiła w Stanach, mieliśmy na koncie sporo wspólnych sukcesów. Jak miałem nagle udawać, że jej nie znam? A że sposób bycia miała dość wyzywający i lubiła flirtować, to już nic nie poradzę. Informacja, że moja narzeczona dostaje na tę okoliczność białej gorączki tylko by ją nakręciła. Pozabijałybyście się nawzajem. Wiem to. Znam i ciebie, i ją.

— To po co był jej ten Rafał? — nadałam się. — I cała reszta obstawy? Marcin, Darek, ty...

— Chryste, przecież ci mówię. Ona taka była. Flirtowała na lewo i prawo, nawet o tym nie wiedząc. Co do mnie, dobrze, przyznaję, miała nadzieję na coś więcej. Stałaś jej na drodze ty. Z moim błogosławieństwem. Powtarzam, nic od niej nie chciałem, ale waszej wojny też jakoś nieszczęśliwie. Tyle w temacie.

Coś mi nadal mocno nie pasowało. Uruchomiona raz logika szukała z zacięciem godnym ogara nieścisłości w zeznaniach Łukasza. Czułam, że niepotrzebnie przeciągam w tej chwili awanturę, bo przecież mogłabym przyjąć tłumaczenia, zainicjować wzajemne przeprosiny i cieszyć się, że wreszcie mamy kryzys za sobą. Tylko czy byłabym w stanie naprawdę odetchnąć z ulgą dręczona przez niedoprecyzowane wątpliwości? To, że pewne elementy da się na siłę wcisnąć do układanki, wcale nie oznacza, że tam pasują.

— To dlaczego nie usunąłeś tych plików? — zapytałam wreszcie. — Po co ci w ogóle był ten pendrive? Usunąć, wywalić, z głowy!

Znów milczenie. Kolejna runda po mieszkaniu. Pytanie musiało trafić w czuły obszar.

Niecierpliwie czekałam, przekonana jednak, że dla tej odpowiedzi warto wykrzesać z siebie odrobinę opanowania.

Przekonanie ugruntowało się we mnie na amen, gdy Łukasz wrócił do przedpokoj, z trudem tłumiąc rozdrażnienie.

— Nie mogłem wywalić — mruknął wreszcie.

— No tak, ten sentyment!

— Żaden sentyment, skończ już wreszcie! — wybuchnął, waląc pięścią w ścianę. — Żaden sentyment, tylko projekt! Projekt, który chciała razem pociągnąć Sabina! Też mi na tym projekcie cholernie zależało! Tylko jak miałem to tobie wyjaśnić? Że kilka razy w roku będę z Sabiną wyjeżdżał robić program w różnych częściach świata? Życ byś mi nie dała, Sabina zresztą też! Liczyła, że ten program nas zbliży! Oła, bardzo chcę ten projekt zrealizować! Jeździć, ile się da! Ale z tobą! Co miałem zrobić?

— Jak to co? — palnęłam pierwszą odpowiedź, która przyszła mi do głowy. — Zabić Sabinę!

Zabić Sabinę? Dobry Boże...

Z cichym kliknięciem wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce.

Silny motyw.

Wątpliwe alibi.

Mój kuchenny nóż.

Drażliwość Łukasza na punkcie tych plików od Sabiny.

Żadnej luki do wypełnienia, żadnego wątpliwego miejsca, w które dałoby się wcisnąć argument podważający oczywistą prawdę.

Nic.

Właśnie to nic zatrzymało mnie jeszcze na ułamki sekund, przez które szukałam w głowie innego, bardziej sensownego wyjaśnienia.

A potem, nadal puste, wyrzuciło mnie z mieszkania i kazało gnać przed siebie najszybciej, jak potrafiłam.

— Aleksandra, oszalałaś! Zaczekaj! — dobiegło mnie jeszcze wołanie Łukasza i przyspieszyłam jeszcze bardziej, omal nie tracąc równowagi na najniższym półpiętrze.

„Może jednak jej nie zamordował, skoro bawi się w zamykanie drzwi od mieszkania, zamiast lecieć mnie utłuc jak najszybciej”, przemknęła przez głowę histeryczna myśl. A potem myślenie wyłączyło się zupełnie, gdy na schodach rozległ się tupot pędzącego za mną Łukasza.

* * *

— Aleksandra!

Nie ma mowy, wrzeszcz sobie! Sama nie wiedziałam, czy uciekam, bo boję się o własną skórę, zagrożoną dokończeniem dzieła mordy, czy usiłuję przegonić myśl o zaszlachtowaniu Sabiny przez Łukasza moim nożem kuchennym, by chronić nasz związek, a jednocześnie nie stracić możliwości zrealizowania upragnionego projektu. Nie dbałam również o to, w którą stronę biegnę, licząc na przychylne głupim szczęście, że przy jego drobnej pomocy nie wyhamuję na masce pierwszego lepszego auta. Instykt samozachowawczy uruchomił się dość szybko, korygując ten radosny pęd ku samozagładzie i skierował mnie w głąb parku, z dala od ruchliwego o tej porze parkingu. Szybko poczułam się zwolniona z obowiązku skupienia uwagi na zgiełku osiedlowej części parku. Zachłysnęłam się świeżym powietrzem, licząc, że zdoła wyprzeć ze świadomości przerażające wizje zdarzeń, które przemocą wdarły się do mojego

spokojnego światka w ostatnim czasie. Ale w głowie nadal dudniło echo wołania Łukasza i słów, które naprowadziły mnie na najbardziej prawdopodobne wersje śmierci Sabiny i ataku na mnie. Szlag, przecież tak bardzo chciałam od tego uciec, schować się przed tym, nie słuchać! Nie myśleć!

Odruchowo naciągnęłam mocniej sportową czapkę z daszkiem, w której wybrałam się na poranną zasadzkę i którą zdjęłam tylko na chwilę podczas wizyty na komendzie. Gdyby udało się choć odrobinę, choć na momencik zagłuszyć ten wrzask w głowie, nakazujący uciekać jak najdalej od prawdziwego sprawcy tych wszystkich tragedii! Może mając choć chwileczkę ciszy, zdołałabym wypełnić to nic, w miejsce którego powinno wskoczyć sensowne, niepodważalne alibi dla Łukasza! Może udałoby się wydłubać tę jedną, maleńką nieściskość w moim rozumowaniu i wykazać ponad wszelką wątpliwość, że moje podejrzenia są absurdalne! Tylko Boże, gdzie znaleźć tę ciszę i trochę spokoju?

Daleko. Jak najdalej stąd, szepnęło coś w głębi duszy i ponagliło mnie do dalszego pędu przed siebie. Przed siebie. Daleko. Nic innego w tej chwili się nie liczyło.

Skoncentrowana na odległym, niesprecyzowanym miejscu, gdzie będę mogła usiąść w spokoju na tyłku i przeanalizować całą sytuację z dala od Łukasza oraz upiornego widma Sabinki, zablokowałam zdolność rejestrowania bodźców docierających spoza własnego nieszczęśliwego jestestwa. W przeciwnym razie być może usłyszałabym zbliżające się błyskawicznie kroki i zdołałabym uskoczyć, zanim ktoś z rozpędu staranował mnie barkiem i pchnął na ziemię.

Wrzasnęłam bardziej z bólu niż ze strachu, bo upadając, paskudnie wykręciłam prawą nogę. Szarpnęłam się, usiłując wstać i dopiero wtedy mózg zarejestrował, co się dzieje. Skręcona, a może i złamana noga uniemożliwiła mi pozbieranie się do pozycji pionowej. O ucieczce, zanim napastnik zdoła się podnieść, nie było mowy. Szlag, drugi raz nie spaprze roboty, już po mnie!

Kwiknęłam, upadając, i zdołałam przeturlać się na brzuch w ostatniej chwili. W miejsce, w którym sekundę wcześniej było moje ramię, z impetem wbił się wielki, kuchenny nóż o ząbkowanym ostrzu. Napastnik wyszarpnął go z wściekłością i zamachnął się po raz kolejny, drugą ręką chwytając mnie za skręconą nogę i ciągnąc ku sobie. Przez kolano przeszedł przesywający ból, wyzwalał potężne kopnięcie, którym chyba bardziej ciało pragnęło uwolnić się od przyczyny pogłębiającego się urazu, niż obronić przed ciosem. W coś trafiłam, bo morderca jęknął głucho, na chwilę wypuszczając nóż z ręki. Ale ta chwila była zbyt krótka, by spróbować się choć odczołgać, nie mówiąc o ucieczce. Pozostawało bronić się do upadłego. Kopać, wierzgać, wrzeszczeć, walić pięściami i modlić się o cud, który kolejny raz uratowałby mi życie. Cuda dwa razy nie lubią się zdarzać, pomyślałam przerażona i przeturlałam się na plecy, by nie dać się zaskoczyć i nie wymierzać ciosów na oślep. Bez zastanowienia wierzgnęłam, trafiając napastnika w szczękę i zrzucając mu z głowy kaptur.

— Boże, człowieku, zwariowałeś! — wrzasnęłam. — Czego ty chcesz?!

Zaskoczony ciosem, pozbierał się szybciej, niż ja oprzytomniałam po szoku wywołanym odkryciem tożsamości sprawcy. Za późno wyciągnęłam rękę, by chwycić go za nadgarstek, wbić paznokcie i wymusić wypuszczenie noża. Zdołałam jedynie osłonić przedramieniem twarz. Dziki skowyt wydarł mi się z gardła, gdy ostrze wbiło się w rękę, ześlizgnęło i rozcięło ciało prawie do nadgarstka. „Koniec”, przemknęła histeryczna myśl, bo choć ból nie dotarł jeszcze do świadomości, traciłam siłę, jaką napędzała mnie buzująca w żyłach adrenalina. Mężczyzna chwycił mnie za drugą rękę i ścisnął zdrowy nadgarstek. Pochylił się nade mną i zamachnął się po raz kolejny...

Nie zdążyłam zamknąć oczu i tylko dlatego dostrzegłam nadbiegającą znajomą sylwetkę.

Sekundę później Łukasz z wściekłym przekleństwem rzucił się na napastnika, wyszarpnął mu z ręki nóż i błyskawicznie obezwładnił.

Patrzyłam oszołomiona na wijącego się pod ciosami Rafała, który desperacko usiłował dosięgnąć kopniętego przez Łukasza noża.

— Boże, Rafał, dlaczego? — wybełkotałam przerażona widokiem wykrzywionej wściekłością twarzy.

Rafał na chwilę przestał się szarpać, przytrzymywany stanowczym chwytem przez Łukasza.

— Ty miałaś nie żyć! — wyszczał dziko. — Za to wszystko, co mi zrobiłaś! Ale przysięgam, w końcu cię dopadnę, Sabina!

* * *

— Trzeba mi było od razu powiedzieć, że to przez tę wariatkę! — wykrzyknęła z oburzeniem Beatka, waląc pięścią w stół. — Sama bym ją zabiła na wejściu i byłby święty spokój! A ciebie — oskarżycielsko wycelowała we mnie palec — ciebie też bym zabiła! Kto obiecuje opiekować się kwiatkami w domu własnego mordercy?

— Niedoszłego — poprawiłam z naciskiem, gładząc się po bandażu, którym lekarz troskliwie omotał dwadzieścia szwów, świeżo założonych na moim przedramieniu. — Nie zabił mnie koniec końców. Cześć i chwała mu za to.

— Idiotka — sarknęła Beatka, której moje dobre samopoczucie nie mieściło się w głowie. Mnie zaś powodów do dobrego samopoczucia udało się wyliczyć całe mnóstwo. Przede wszystkim dwukrotnie uszłam z życiem z rąk opętanej obsesją na punkcie Sabiny Rafała. Wprawdzie pokiereszowana ręka i kontuzjowana noga unieruchomiły mnie w domu na dobre trzy tygodnie, jednak pod czułą opieką Łukasza i reszty rodziny Nawrockich rekonwalescencja przebiegała całkiem znośnie. No i wyglądało na to, że do półmaratonu zdołam wrócić do pełnej sprawności.

Nic jednak nie mogło równać się z ulgą na myśl, że każde słowo, jakie padło podczas naszej kłótni z Łukaszem, było prawdą. Wyjaśniliśmy to sobie już na luzie, gdy uspokoiło się nieco szaleństwo rozpięte za sprawą konfrontacji z naszym krzaczkowym mordercą.

— Ty chyba na głowę upadłaś, żeby tak go nazywać — zrezygnowany Łukasz pokręcił z niedowierzaniem głową, gdy po raz setny podczas przesłuchania użyłam tego określenia, wywołując dyskretny uśmiech na twarzy detektywa Gosa i zniesmaczone spojrzenia starszego aspiranta Cichosza. — Facet dwa razy usiłował cię zabić.

— Nie mnie, tylko Sabinę — poprawiłam go, mądrzejsza o wiedzę, jaką wynieśli z przesłuchania Rafała śledczy i jaką detektyw Gos podzielił się ze mną. — Rafał miał obsesję na punkcie Sabiny. I straszne poczucie krzywdy, że go zdradzała. A potem jeszcze gorsze poczucie winy, kiedy ją w końcu zadźgał. Widział ją niemal wszędzie, a ja mu ją bardzo przypominałam. Biegaczka, ubrana w podobne rzeczy, wystarczyło schować włosy pod czapeczkę i zjawa Sabiny jak znalazł. Więc postanowił ją zabić skuteczniej. Ją, czyli mnie.

— Miał cholerne szczęście, bo ja bym go od razu skutecznie zabił — burknął Łukasz. — Gdyby Gos nie porozstawiał tych swoich patroli...

Patrole, które zgodnie z zamierzeniami detektywa Gosa nadal kręciły się w cywilnym przebraniu po parku w ilości mnogiej, szybko zorientowały się w sytuacji i słysząc odgłosy szamotaniny w jednej z alejek, czym prędzej zjawiły się na miejscu, akurat na czas, by powstrzymać mordercze zapędy Łukasza. Niestuszenie podejrzewany przeze mnie o zabicie

Sabiny i próby usunięcia mnie z tego padolu, tym razem zupełnie autentycznie był bliski popełnienia morderstwa. Jedynie szybka interwencja funkcjonariuszy uchroniła Rafała przed zagrażającymi życiu obrażeniami w wyniku ciężkiego pobicia. Wstrząs, spowodowany możliwością utraty narzeczonej, wyłączył wreszcie tryb focha, w którym Łukasz funkcjonował przez ostatnie tygodnie. W rezultacie po powrocie ze szpitala nie tylko zaczął rozmawiać ze mną ludzkim głosem, ale zadbał o wszystkie niezbędne i zbędne wygody, jakich mogłam sobie zażyczyć na okres rekonwalescencji.

— Wywalam ten projekt — oznajmił mi pewnego wieczora, gdy ku niezadowoleniu zwierząt leżeliśmy znowu razem w łóżku. — Usunąłem z laptopa, ciebie proszę o to samo. Muszę jeszcze sam nośnik wyczyścić, tylko nie mogę go nigdzie znaleźć. Uczciwie — schowałeś go gdzieś?

— O, no jasne, znowu na mnie — nadaśalam się. — Jak go niby miałam schować, skoro ty go schowałeś przede mną? I to cholernie skutecznie?

— No to naprawdę nie wiem. Nic, kiedyś tam się znajdzie. — Łukasz machnął ręką.

— A przecież tak bardzo ci na nim zależało... Mógłbyś osiągnąć wielki sukces.

— Gdybym wiedział, co z tego wyniknie, posłuchałbym twojej rady. Wywalić od razu, bez oglądania. Chryste, w życiu nie chcę sukcesów, przez które omal cię nie straciłem. I jeszcze sam głupi nie dopilnowałem twojego bezpieczeństwa! Oleczko, zależy ci jeszcze chociaż trochę na tym kretynie, twoim narzeczonym?

Głupie pytanie! Oczywiście, że mi zależało! Pomijając fakt, że równie bardzo zależało mi, żeby móc mu raz kiedyś porządnie przywalić za ten cały stres, kiedy byłam gotowa przysiąc, że nasz związek zakończą słowa: „I nie odezwę się do ciebie aż do śmierci”, zamiast tych planowanych o nieopuszczaniu.

— Troszeczkę — oznajmiłam wspaniałomyślnie, przemyślawszy kuszący pomysł przywalenia Łukaszowi. Ostatecznie to on, nie ja, trenował od dziecka sztuki walki. Nie żebym się bała, że mi odda, ale wolałam się nie kompromitować. — Właściwie to nawet bardzo troszeczkę.

Co, rzecz jasna, nie przeszkadzało mi w ramach rekompensaty za doznane krzywdy moralne i ciężki stres nieco nadużywać luksusów, przysługujących mi jako poszkodowanej niedoszłej ofierze morderstwa... Sytuacja ta szczególnie irytowała Dareczka, który nadal dąsał się na mnie z powodu nocnych eskapad Beatki. Nadaśał się jeszcze bardziej, gdy dowiedział się, że obsadziłam jego brata w roli głównego podejrzanego.

— No, odpuść mu wreszcie, Aleksandro! — wysapał gniewnie, widząc, jak Łukasz sprawnie lawiruje pomiędzy płaczącymi się pod nogami piesem i kotem, spełniając moje kolejne kaprysy. — Ostatecznie wykazał się chłopak bardziej niż policja! Uratował ci tyłek, złapał im mordercę...

— Pomijając fakt, że sam mnie w to wkopał, to masz całkowitą rację — mruknęłam do Darka, obiecując sobie w uznaniu zasług Łukasza kaprysić może odrobinę mniej.

Ale i policja doceniła owe zasługi, choć nie każdy ze śledczych był skłonny przyznać się do popełnionych błędów. Szczególnie człowiek, który popełnił ich najwięcej...

— Może wreszcie przestanę być podejrzana? — spytałam z nadzieją detektywa Gosa podczas jednego z przesłuchań na komendzie. — Aspirant Cichosz nadal jest przekonany, że to ja?

Defilujący zamaszystym krokiem przez korytarz aspirant Cichosz nawet nie musiał fatygować się do gabinetu. Z daleka dostrzegłam jego zniesmaczoną minę i wymalowane na niej przekonanie, że to tylko wynik jakiegoś przedziwnego przekrętu, że jego główna podejrzana okazała się autentyczną ofiarą.

— Wie pani. — Detektywowi Gosowi również nie umknęła ta milcząca manifestacja. — Najważniejsze, że pozostali śledczy są przekonani o pani niewinności. Ja również. Podejrzany usiłował wprawdzie nas przekonać, że to jego napadnięto. Gdyby nie funkcjonariusze, którzy byli w pobliżu, sprawa nie byłaby taka oczywista. Pani narzeczony, zdaje się, umie się bić...

— Trenował od dziecka te tam wszystkie jujitsu i inne karate... Choć szczerze mówiąc, przez chwilę zważyłam, czy nie przetrenuje ich na mnie. Wie pan, żeby dobić... — chrząknęłam i natychmiast się obruszyłam, widząc rozbawioną minę detektywa Gosa. — Na miłość boską, sam mnie pan nastraszył!

— OK, przyznaję. — Uśmiechnął się detektyw. — Zupełnie poważnie brałem pod uwagę, że mając motyw i wybrakowane alibi, mógł zabić Sobecką, mógł też próbować zabić panią. Trochę mu pomógł ten wasz nóż. W ogóle nie pasował do ran zadanych Sobeckiej.

— Niech zgadnę. Ten, z którym mnie goił, pasował idealnie!

— Nie da się ukryć... Chociaż podczas rewizji ukrył go dość sprytnie, w donicy z kwiatami.

Otrząsnęłam się ze zgrozą, odruchowo zerkając na pociętą przez Rafała rękę. Rany boskie, ileż bakterii musiało być na tym ostrzu! Chwała lekarzom za to szczepienie przeciw tężcowi i wylane na moje rany hektolitry środków odkażających! Nie dość, że zagrożona zespołem stresu pourazowego, miałam niepowtarzalną szansę nabawić się tężca, zgorzeli gazowej i kto wie, jakiej jeszcze paskudnej sepsy!

Jednak najbardziej oburzające było zaangażowanie, z jakim Rafał czatował na mnie przez ostatni tydzień. Opowiadając bajeczkę o wyjeździe do rodziców, próbował zapewnić sobie sprytne alibi, spakował zatem walizki, upchnął mi klucze do mieszkania, po czym razem z bagażem i uknutym w głowie planem przeprowadził się do czasu realizacji morderczych zamiarów do kolegi z pracy. Miał nadzieję, że pójdzie sprawnie, zwłaszcza że już szykując się do przenosin, zwierzył okazję do unieszkodliwienia „Sabinki”. Tyle że w trakcie podejścia numer jeden zorientował się, że potencjalna ofiara nie jest jednak osobą, na którą liczył.

— Bardzo dziwne — zastanowiłam się. — Pierwszy raz się zreflektował, a drugi już nie? Czyżby mi biust urósł? — Zerknęłam nieznacznie w kierunku dekoltu, z nadzieją, że może choć coś tam zdołało przybyć. — Bo z przerobienia się na blondynkę ostatecznie zrezygnowałam.

— Miała pani czapkę na głowie — detektyw Gos szybko sprowadził mnie na ziemię. — I podobną koszulkę, jak pani Sobecka w dniu śmierci. To go zdezorientowało. Poza tym, tak sobie myślę... Ta obsesja jakby narasta. Nie jemu pierwszemu wściekłość ograniczyła zdolność postrzegania. Zresztą, to już nie pani problem, tylko psychiatrów. No i sądu.

Sąd. Wzdrygnęłam się nerwowo na samą myśl, choć to nie mnie mieli sędzić. Wiedziałam, że zeznania w sprawie morderstwa Sabiny mnie nie ominą, a i próba pozbawienia mnie życia była rozpatrywana z urzędu. Inaczej sama nie wiem, czy zebrałabym się, żeby ją zgłosić.

Póki co Rafał siedział w areszcie, a damska część naszego osiedla odetchnęła z ulgą, znów wylegając tłumnie na parkowe alejki. Jedna pani Halinka była niepokieszona. Po pierwszym szoku wywołanym wieścią, że to jej własny były mąż zamordował kochankę, dla której zrujnował swoje małżeństwo, a potem, owładnięty obsesją, usiłował dobić jej ducha, pokręciła głową z dezaprobatą.

— I taka satysfakcja mnie ominęła! Wie pani, co to by było, gdybyśmy wtedy zamiast policjanta zdołały dopaść Rafała? Jedno, co mnie męczy, to to, że jest ojcem mojego syna. Oby tym razem jabłko odturlało się jak najdalej od jabłoni...

I choć mam świadomość, że niezbyt elegancko to wyglądało, z całego serca pogratulowałam jej sukcesu, jakim okazała się decyzja o rozwodzie. Ostatecznie spędzić resztę

życia z psychopatą, a potem skończyć to życie przedwcześnie z własnym kuchennym nożem wbitym w klatkę piersiową to naprawdę nie jest szczyt marzeń, z jakimi młoda kobieta idzie do ołtarza.

A jeśli już o ołtarzach mowa, to i sama wkrótce pewnie się do ołtarza pofatyguję. Nie ma wyjścia, zwłaszcza że po ostatnich przygodach Łukasz zapragnął uspokoić moją rozszalałą niepewność w kwestii swoich uczuć i udowodnić, że jestem tą jedną jedyną, nie zaś marną nagrodą pocieszenia po Sabinie. Biorąc pod uwagę zapał, z jakim pani Eliza i Beatka knują za moimi plecami, mogę się spodziewać wyznaczenia daty ślubu lada dzień. Wyjątkowo nie będę protestować. Protestowałam całe życie. I wreszcie trafiłam na mężczyznę, który z moimi protestami sobie poradził.

Ostatnia pamiątka, czyli pendrive Sabiny nie spędza mi już snu z powiek. Została zniszczona w wyjątkowo skuteczny sposób, a zadbał o to nie kto inny, jak przedstawiciel wzywanego tyle razy na ratunek piekła, które wreszcie raczyło udzielić mi swojego wsparcia. Behemot wykazał się większą niż nasza skutecznością w poszukiwaniu nośnika, który wraz z zapisanymi plikami niósł ogromny ładunek negatywnych emocji. W chwili, gdy Łukasz machnął już ręką na przetrząsanie po raz tysięczny gabinetu, kot zdecydował, że można przestać ukrywać się z nową, interesującą zabawką, którą ukradkiem zwędził panu z torby. Podobnie jak inne fascynujące przedmioty, postanowił i ten obiekt poddać przeprowadzanemu namiętnie w ostatnich dniach eksperymentowi, który miał na celu ustalenie, co tak właściwie da się utopić w stojącej na balkonie konewce z wodą, a co wymaga poszturchiwania łapą, a i wtedy unosi się na powierzchni.

— Chryste, Aleksandra, gdzie moje spinki do tej czarnej koszuli? — usłyszałam pewnego dnia rano, gdy Łukasz szykował się do ważnego spotkania. Nauczona doświadczeniem, nie fatygowałam się nawet sprawdzać psiego kojca ani innych miejsc, które zwykle byłyby podejrzane w pierwszej kolejności. Odruchowo wyjrzałam na balkon i westchnęłam ciężko na widok medytującego przy konewce kota.

— Behemot coś ma! — krzyknęłam w kierunku miotającego się po sypialni w poszukiwaniu spinek Łukasza i odgoniłam niezadowolonego eksperymentatora od źródła uciechy. — Zaraz...

Pochylona nad konewką, stwierdziłam ponad wszelką wątpliwość dwie rzeczy.

Primo — nie spinki mojego narzeczonego zostały poddane eksperymentowi.

Secundo — pendrive z charakterystyczną zielonkawą smyczą dał się utopić. Nie mam pojęcia, czy wymagał przy tym poszturchiwania kocią łapą, czy też poszedł na dno niczym Titanic. Żadne z nas nie podjęło się powtórzenia doświadczenia, by sprawdzić stopień zatapialności urządzeń usb. Wręcz przeciwnie, od tamtego dnia wszystkie nośniki wyjątkowo skrupulatnie usuwamy z zasięgu kocich łap. Tamten, gruntownie odmoczony w wodzie do kwiatków, pozostawiłam Behemotowi do dalszych badań. W końcu jego pęd do wiedzy tym razem nam się przysłużył.

Pozostały do ściągnięcia szwów i powrotu do aktywności czas postanowiłam wykorzystać na załatwienie jeszcze jednej, bardzo istotnej sprawy.

— Bardzo się cieszę, pani Olu, że tym razem nie mogła pani narzekać na bezczynność policji — odetchnął młodszy aspirant Nowakowski, gdy po powrocie z urlopu spotkaliśmy się na spacerze z Dragonem. — Ale tu nie miałem żadnych wątpliwości. Pocięte opony w aucie a morderstwo to naprawdę wielka różnica. No i wiedziałem, że mogę liczyć na Irka.

— Zaraz, zaraz — zdziwiłam się na dźwięk imienia detektywa Gosa. — Panowie się znacie?

— Ależ oczywiście! — usłyszałam i zdziwiłam się jeszcze bardziej. — Przecież to mój

kuzyn! Wiedziałem, że nie jestem w stanie zająć się pani sprawą osobiście z powodu odległości, ale to nie znaczy, że zamierzałem zostawić panią bez opieki. Byłem pewien, że na moją prośbę Irek zadba o pani bezpieczeństwo.

— Wyjaśniło się wreszcie, skąd ta cała armia policji na osiedlu — mruknęłam. — Oj, przyznaję, takiej obstawy w życiu nie miałam. Opłaca się mieć znajomości w policji. Naprawdę mi miło, że się pan tak przejął.

— Raz sprawę zawałam — chrząknął aspirant Nowakowski. — Drugi raz nie wchodził w grę. Zwłaszcza kiedy usłyszałem, kto ma prowadzić śledztwo. Rozumie pani. Dzięki Irkowi byłem na bieżąco.

— Jest pan rozgrzeszony za tę pierwszą wtopę — oświadczyłam łaskawie. — Zrehabilitował się pan aż nadto. W ramach podziękowań zobowiązuję się nie pakować już w żadne kryminalne afery. Wolałabym, żeby miał pan szansę wykazać się w innych sprawach, a nie tylko czuwać nad jedną pechową wariatką.

Ale aspirant Nowakowski uśmiechnął się jedynie pod nosem.

— Oj, pani Olu. A mnie coś mówi, że z pani szczęściem jeszcze nie raz spotkamy się w służbowych okolicznościach. W razie problemów niech pani dzwoni. Jak sam nie będę mógł, oddeleguję Irka.

Bóg broń przed kolejnymi kryminalnymi aferami! Wzdrygnęłam się nerwowo na samą myśl o następnych wandalach, szantażystach i mordercach, na kontakt z którymi ani trochę nie miałam ochoty. Choć patrząc na to inaczej, świadomość wsparcia ze strony dwóch zaprzyjaźnionych przedstawicieli prawa po obfitującym w sensacyjne przygody roku była krzepiąca. Bez zastrzeżeń ufałam Nowakowskiemu, a i detektyw Gos ze swoim cichym, lecz stanowczym głosem od początku wzbudził moje zaufanie. Polubiłam tego wysokiego, tajemniczego człowieka o przystojnej pomimo zeszpecenia bliznami twarzy i świętej cierpliwości do narwanych świadków. Tym bardziej że, jak zdradził mi aspirant Nowakowski, detektyw Gos był równie zaprawionym w bojach maratończykiem, jak Marcin. A w przyszłości, mam taką nieskromną nadzieję, że i ja...

A zatem dwa wyzwania przede mną.

Nie przynieść wstydu liczącej dwie kobietki i trzech facetów drużynie podczas maratonu.

A potem pokonać dystans dzielący mnie od ołtarza, dopilnowawszy uprzednio, by Dragon nie pożarł mi butów ślubnych...

Trzymajcie kciuki, Kochani. Za mnie i za to, co głupiego po drodze wymyślę. I za tych wszystkich kochanych ludzi, którzy się potem będą z moimi głupimi pomysłami użerać...

Podziękowania

Pragnę z całego serca podziękować wielu wspinałym ludziom, którzy razem ze mną wystartowali najpierw w *Maratonie do szczęścia*, a teraz towarzyszą mi, biegnąc *Sprintem do marzeń*.

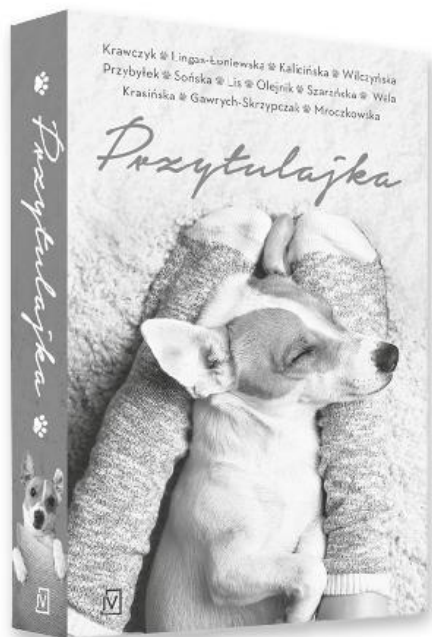
Przede wszystkim dziękuję zespołowi wydawnictwa Czwarta Strona za profesjonalizm, życzliwość i zaangażowanie włożone w pracę nad książką. Cieszę się, że to właśnie Wy czuwacie nad moim pisaniem. Nikt nie zrobiłby tego lepiej!

Mojej Rodzinie i Przyjaciołom za Wasze wsparcie, miłość i inspirację. Jesteście dla mnie źródłem siły każdego dnia. Bardzo Was Kocham! Wasza obecność jest bezcennym skarbem i najlepszym motorem do działania.

Dziękuję również futrzastym członkom mojej Rodziny, szczególnie Attonowi. Nic nie pomaga lepiej skoncentrować się na pisaniu niż kocie mruczenie.

Wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom, którzy zaprzyjaźnili się z Olą, Łukaszem oraz piesem-biesem. Dziękuję, że przebiegliśmy razem *Maraton do szczęścia* i że startujecie ze mną w kolejnym biegu. Nie ma lepszej motywacji do pracy niż Wasze ciepłe słowa i pozytywne komentarze. Z niecierpliwością czekam na nowy wspólny start, tym razem do marzeń.

Osobne podziękowania kieruję do wszystkich, których pies-bies przekonał, że przygarnięcie bezdomnego zwierzaka to początek wspaniałej przygody i przyjaźni na całe życie. Jeżeli też jesteście tego zdania, koniecznie napiszcie do mnie o sobie i swoich podopiecznych.



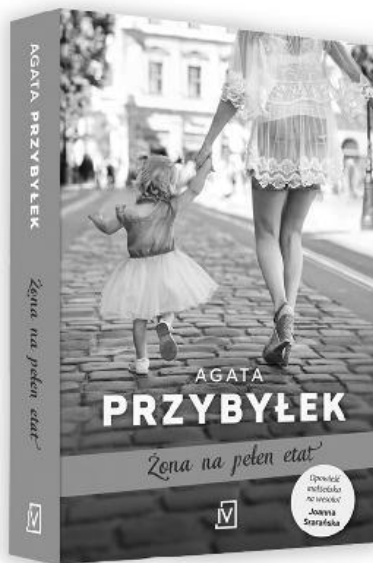
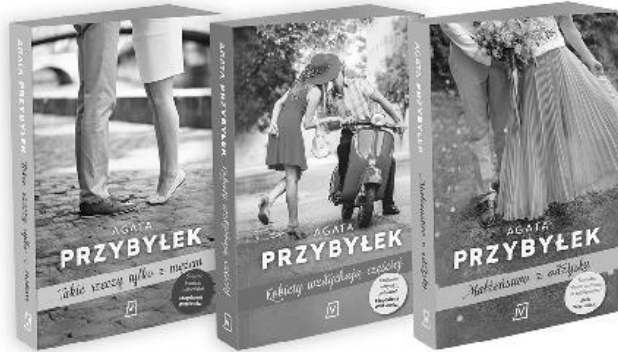
Lubisz się przytulać?

Autorki najpiękniejszych
powieści obyczajowych
stworzyły opowiadania
pełne miłości
do domowych pupilów.

Przygotuj kubek herbaty, ciepły koc i wtul się w nasze rozgrzewające historie.

Przytulajka to trzynaście chwytających za serce opowieści, w których psy, koty i inni czworonożni przyjaciele namieszają w życiu swoich właścicieli. Zwierzaki pomagają zatrzymać się w codziennej gonitwie i dostrzec serdeczność innych ludzi. Może miłość czeka bliżej, niż myślisz?

Ciche mruczenie, miękkie futerko, merdający ogonek i oklapnięte uszko zawsze wywołują uśmiech na twarzy.



*Magda Witkiewicz,
Alek Rogoziński
i Joanna Szarańska
nie mogą się mylić:
seria z Zuzanną
to inteligentne i zabawne
komedie małżeńskie,
które zapewnią Ci
rozrywkę na długie
wieczory!*

Myślicie, że bycie mężatką jest proste lub nudne? Jesteście w błędzie!

Zuzanna, bohaterka bestsellerowej serii Agaty Przybyłek, udowadnia, że małżeństwo to niekoniecznie gotowanie obiadów i robienie prania, lecz zwariowane i zaskakujące życie, w którym z łatwością można zostać prywatnym detektywem lub... gwiazdą filmową! I równie łatwo można przy tym wpakować się w kłopoty!

Gdy wydaje się, że wszystko wróci do normy i bajka zakończy się na „...i żyli długo i szczęśliwie”, bohaterka ściąga sobie na głowę kolejne kłopoty - przeczytajcie o nich w najnowszym tomie serii pt. *Zona na pełen etat*.



DYNAMICZNY MONTAŻ,
ZABAWNA INTRYGA
I CIĘTE RIPOSTY.

SCENARZYŚCI
W NAJLEPSZEJ FORMIE!

Ekscentryczna ekipa filmowców wyrusza na Teneryfę kręcić kryminał pod tytułem *Spisek scenarzystów*. Wszystko miało iść jak z płatka, lecz już pierwszego dnia na planie dochodzi do zabójstwa jednego z głównych aktorów. Scenarzyści rozpoczynają własne śledztwo. Kuba popada w paranoję, a Sylwia próbuje przemówić ekipie do rozsądku. Ich śledztwo nabiera rumieńców, bo morderca nie zwalnia tempa i wysyła sygnały, że na jednym trupie nie skończy.

Zamieszanie wokół filmu sprzyja promocji i sławie, dlatego wydaje się, że to był czyjś precyzyjny plan. Tylko kto mógł wpaść na tak przewrotny pomysł? Czy przebojowym filmowcom uda się odnaleźć mordercę, zanim sami staną się ofiarami?

Wojciech Nerkowski – scenarzysta *BrzydUli* i *M jak miłość* odświeża ciemną stronę planu filmowego.

